

Sidney Sheldon
Nieznajomy w lustrze

A Stranger in the Mirror
Przełożyła Justyna Kotlicka

Podziękowania

Składam wyrazy wdzięczności za udzieloną mi pomoc producentom telewizyjnym i filmowym: Seymourowi Bernsowi, Larry'emu Gelbartowi, Bertowi Granetowi, Harveyowi Orkinowi, Marty'emu Rackinowi, Davidowi Swiftowi i Robertowi Weitmanowi.

Z głębi serca dziękuję także: Marty'emu Allenowi, Miltonowi Berle'owi, Redowi Buttonsowi, George'owi Burnsowi, Jackowi Carterowi, Buddy'emu Hackettowi, Groucho Marxowi i Janowi Murrayowi, którzy podzielili się ze mną swoimi wspomnieniami.

AUTOR

Opowieść niniejsza jest fikcją literacką. Wszystkie postacie są zmyślane, prawdziwe są tylko nazwiska wielkich gwiazd sceny i ekranu.

Do Czytelnika Sztuka rozśmieszania innych jest cudownym darem bogów. Z całego serca dedykuję tę książkę satyrykom i humorystom, aktorom komediowym i estradowym, mężczyznom i kobietom – wszystkim, którzy posiadając ów dar, dzielą go z innymi. A przede wszystkim jednemu z nich – Grouchowi, ojcu chrzestnemu mojej córki.

Gdy zechcesz odnaleźć siebie, nie spoglądaj w lustro, będzie tam tylko cień – ktoś obcy...

SILENIUS Oda do prawdy

Prolog

W niedzielny ranek, na początku 1969 roku, na pokładzie luksusowego statku pasażerskiego, pięćdziesięciopięcioletniego SS Bretagne, zdarzyło się cały szereg dziwnych i niewytłumaczalnych wypadków. Statek przygotowywał się właśnie do wypłynięcia w rejs z Nowego Jorku do Hawru.

Ochmistrz, Claude Dessard, człowiek sprawny i pedantyczny, kierował, jak sam to lubił określać, statkiem „zapiętym na ostatni guzik”. W ciągu piętnastu lat służby nie zdarzyła się sytuacja, z którą nie potrafiłby sobie poradzić szybko i dyskretnie. A to coś znaczy, zważywszy, że SS Bretagne był statkiem francuskim. Tego jednakże dnia wydawało się, że wszyscy diabli sprzysięgli się przeciwko Dessardowi. Dla jego galijskiej dumy niewielką pociechę stanowił fakt, że śledztwo przeprowadzone później przez amerykański i francuski oddział Interpolu, a także przez siły bezpieczeństwa armatora, nie zdołało wyjaśnić przedziwnych zdarzeń, które miały miejsce tego dnia.

Z uwagi na obecność w nich sławnych osobistości sprawa trafiła na czołówki gazet całego świata, jednakże tkwiąca w niej tajemnica pozostała nie wyjaśniona.

Jeśli idzie o Claude'a Dessarda, zrezygnował z pracy dla Cie Transatlantique i otworzył bistro w Nicei, gdzie wielokrotnie relacjonował swoim klientom dziwne wypadki, które miały miejsce owego pamiętnego listopadowego dnia.

Zaczął się od tego, wspominał Dessard, że dostarczono kwiaty w imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Godzinę przed odpłynięciem statku czarna limuzyna z oficjalnymi oznaczeniami rządowymi podjechała na nabrzeże 90 u ujścia rzeki Hudson. Wysiadł z niej mężczyzna w brązowo-szarym garniturze. Niósł bukiet złożony z trzydziestu sześciu róż odmiany Sterling Silver. Mężczyzna podszedł do stóp trapu i zamienił kilka słów z pełniącym służbę oficerem, Alanem Staffordem. Kwiaty ceremonialnie przekazano Janinowi, młodszemu oficerowi pokładowemu, który zaniósł je do kabiny, a następnie odszukał Claude'a Dessarda.

– Pomyślałem, że może chciałby pan wiedzieć – zaraportował Janin. – Róże od prezydenta dla pani Temple.

Jill Temple. W ciągu ostatniego roku jej fotografie pojawiały się na pierwszych stronach gazet i na okładkach tygodników od Nowego Jorku po Bangkok, od Paryża po Leningrad. Claude Dessard przypomniał sobie, że zajęła pierwsze miejsce w ankiecie na najbardziej uwielbianą kobietę świata i że wiele noworodków płci żeńskiej zostało ochrzczonych jej imieniem. Stany Zjednoczone Ameryki zawsze miały swoje bohaterki. Najnowszą była Jill Temple. Jej odwaga, niezwykła walka, którą najpierw wygrała, a następnie, o ironio, przegrała, rozpały masową wyobraźnię. Była to historia wielkiej miłości oraz także coś więcej: zawierała wszystkie elementy klasycznego greckiego dramatu i wszelkie znamiona tragedii.

Claude Dessard nie lubił Amerykanów, lecz w tym przypadku był zadowolony, mogąc uczynić wyjątek. Z całego serca podziwiał panią Toby Temple. Była galante, czyli wytworna, i tym określeniem wyrażał najwyższe uznanie, na jakie mógł się zdobyć. Postanowił dopilnować, aby podróż na statku stała się dla niej niezapomnianym przeżyciem.

Ochmistrz porzucił medytacje i ponownie skoncentrował się na liście pasażerów. Znalazł tam całą kolekcję osobników, których Amerykanie określali jako VIP. Akronim ten

napelniał Dessarda niesmakiem, zwłaszcza że Amerykanie mieli zupełnie barbarzyńskie wyobrażenia o tym, kto jest, a kto nie jest ważną osobistością.

Zanotował, że żona bogatego przemysłowca podróżuje sama. Uśmiechnął się ze zrozumieniem i przejrzał listę w poszukiwaniu nazwiska Matta Ellisa, czarnoskórego gwiazdora futbolu. Znalazł je i z satysfakcją pokiwał głową. Z zainteresowaniem odnotował również fakt, że dwie sąsiadujące ze sobą kabiny zajmowali: znany senator i Carlina Rocca, południowoamerykańska striptizerka, o których krążyło ostatnio mnóstwo plotek. Jego wzrok przesunął się w dół listy.

David Kenyon. Pieniądze. I to duże. Już przedtem podróżował na pokładzie Bretagne. Dessard pamiętał, że David Kenyon jest przystojnym, mocno opalonym mężczyzną o szczupłej, atletycznej sylwetce, spokojnym lecz imponującym. Dopisał przy nazwisku litery SK, oznaczające stół kapitański.

Clifton Lawrence. Rezerwacja z ostatniej chwili. Czoło oficera zmarszczyło się nieznacznie. Delikatny problem. Co począć z takim Monsieur Lawrence? Dawniej takie pytanie w ogóle by się nie pojawiło. Zostałby automatycznie przydzielony do stolika kapitańskiego, gdzie zabawiałby wszystkich wesołymi anegdotkami. Clifton Lawrence był agentem teatralnym i filmowym, który w swoim czasie reprezentował niejedną wielką gwiazdę przemysłu rozrywkowego. Niestety, jego dni już minęły. Kiedyś zamówiłby luksusowy Apartament Książęcy, tym razem zarezerwował jednoosobową cabinę na dolnym pokładzie. Pierwszą klasę, rzecz jasna, jednakże... Claude Dessard postanowił wstrzymać się z decyzją, póki nie przejrzy całej listy.

Znalazł dalekiego krewnego rodziny królewskiej, sławnego śpiewaka operowego i rosyjskiego powieściopisarza, który odmówił przyjęcia Nagrody Nobla.

Pukanie do drzwi oderwało go od pracy. Wszedł Antoine, jeden ze stewardów.

– Tak? O co chodzi? – spytał Dessard.

Antoine przyjrzał mu się zaropiałymi oczami.

– Czy to pan kazał zamknąć salę kinową?

Dessard zmarszczył się z niezadowoleniem.

– O czym ty mówisz?

– Myślałem, że to pan. Bo kto inny mógłby to zrobić? Kilka minut temu poszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Drzwi pozamykane i słychać, że ktoś tam puszcza film.

– Nigdy nie puszczaamy filmów w porcie – Dessard rzekł stanowczo. – I nigdy nie zamykamy tych drzwi. Zajmę się tym.

W normalnych warunkach poszedłby natychmiast wyjaśnić problem, lecz tym razem zatrzymało go mnóstwo drobnych spraw, które musiał załatwić przed odpłynięciem. Zauważył pewne niezgodności w rachunkach; jeden z najlepszych apartamentów został omyłkowo zarezerwowany dla dwóch różnych osób; prezent ślubny zamówiony przez kapitana Montaigne'a dostarczono na inny statek. Kapitan będzie wściekły. Dessard przestał wsłuchiwać się w znajomy pomruk czterech potężnych turbin. Poczłł ruch SS Bretagne, gdy statek tyłem odbił od nabrzeża i skierował się do kanału. Ochmistrz powrócił do rozstrzygania zawitych kwestii.

Pół godziny później wszedł Leon, główny steward z pokładu spacerowego. Dessard spojrzał na niego niecierpliwie.

– Tak?

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale sądziłem, że powinien pan wiedzieć...

– Hmm? – Dessard słuchał nieuważnie, zajęty delikatnym problemem ułożenia listy gości, którzy w czasie trwania rejsu mieli zasiadać przy stole kapitańskim. Kapitan był pozbawiony talentów towarzyskich i cwieczorny obiad z pasażerami stanowił dla niego udrękę. Do zadań Dessarda należało dobranie grupy agrdable.

– Chodzi o panią Temple... – zaczął Leon.

Dessard natychmiast odłożył pióro i spojrzał na stewarda. W małych, czarnych oczach pojawił się błysk czujności.

– Tak?

– Mijałem jej kabinę kilka minut temu. Usłyszałem podniesione głosy i krzyk. Przez zamknięte drzwi trudno jest zrozumieć słowa, ale zdawało mi się, że powiedziała: „Zabiłeś mnie, zabiłeś”. Wolałem nie przeszkadzać i przyszedłem z tym do pana.

Dessard skinął głową.

– Dobrze zrobiłeś. Sprawdzę i upewnię się, czy u niej wszystko w porządku.

Mężczyzna obserwował wychodzącego stewarda. Było nie do pomyślenia, żeby ktoś chciał skrzywdzić taką kobietę, jak Lilie Temple. Galijska rycerskość Dessarda buntowała się przeciw temu. Włożył czapkę od munduru, zerknął w lustro i ruszył do drzwi. Zadzwoił telefon. Ochmistrz zawahał się na moment, potem podniósł słuchawkę.

– Dessard.

– Claude – był to głos mata – na litość boską, przyślij do ki na kogoś ze szmatą, dobrze? Pełno tam krwi.

Dessard poczuł skurecz w żołądku.

– Już wysyłam – obiecał i rozłączył się. Wysłał sprzątaczy i wykręcił numer lekarza pokładowego.

– Andra? Tu Claude. – Starał się, by jego głos brzmiał obojętnie. – Czy przypadkiem nie zgłosił się jakiś pacjent?... Nie, nie chodzi mi o pigułki przeciw chorobie morskiej. Ktoś, kto by krwawił, nawet dość poważnie... Rozumiem. Dziękuję. – Odwiesił słuchawkę, czując narastający niepokój. Opuścił biuro i skierował się do apartamentu Jill Temple.

Był w połowie drogi, gdy zdarzyło się coś nowego. Wchodząc na pokład łodziowy, Dessard wyczuł zmianę rytmu kołysania statku. Rozejrzał się wokoło i stwierdził, że dotarli już do latarniowca Ambrose, gdzie rozstawali się z holującym ich pilotem i wypływali na pełne morze. Tym razem jednak Bretagne zatrzymał się. Działy się niezwykle rzeczy.

Dessard podszedł do relingu i wychylił się. Na wodzie pod nim holownik tulił się do luku Bretagne, a dwóch marynarzy przenosiło nań bagaż ze statku. Po chwili tą samą drogą przeszedł na łódź jeden z pasażerów. Dessard zdołał dostrzec tylko jego plecy, był więc pewien, że pomylił osoby. Było to niewiarygodne, wręcz niemożliwe. Co więcej, opuszczenie przez pasażera w ten sposób statku było tak niezwykle, że ochmistrz potraktował to jak sygnał ostrzegawczy. Odwrócił się i pobiegł do apartamentu Jill Temple. Na pukanie nie było odpowiedzi. Zapukał ponownie, tym razem głośniejsze.

– Madame Temple... Tu Claude Dessard, ochmistrz. Chciałem tylko spytać, czy pani czegoś nie potrzebuje?

Cisza. Wewnętrzny system ostrzegania Dessarda pracował teraz pełną parą. Instykt podpowiadał mu, że coś tu jest nie w porządku, a przeczucie podszeptowało, że owo „coś” wiąże się w jakiś sposób z panią Temple. Czarne myśli snuły się po jego głowie. Została zamordowana lub porwana, a może... Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Dessard powoli je uchylił. Jill Temple stała pod przeciwległą ścianą kabiny, tyłem do niego. Wyglądała przez okno. Dessard otwierał już usta, chcąc się odezwać, lecz coś w jej sztywnej, nieruchomej sylwetce powstrzymało go. Stał przez chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy nie lepiej wyjść po cichu, gdy nagle całąabinę wypełnił nieludzki, dojmujący skowyt jakby śmiertelnie ranionego zwierzęcia. Bezradny wobec tak głębokiej rozpaczyci innego człowieka, Dessard wycofał się, starannie zamykając za sobą drzwi.

Postał przez chwilę na korytarzu, słuchając dochodzącego z wnętrza szlochu bez słów, wreszcie, głęboko wstrząśnięty, udał się na główny pokład do sali kinowej. Wycierano właśnie ślady krwi na korytarzu.

Mon Dieu – pomyślał – co tu się jeszcze wydarzy?

Nacisnął klamkę. Drzwi sali kinowej nie były zamknięte na klucz. Wszedł do dużego, nowoczesnego audytorium, mogącego pomieścić sześćset osób. Sala była pusta. Pod wpływem impulsu podszedł do kabiny projekcyjnej. Drzwi stawiały opór. Tylko dwóch ludzi miało do nich klucz, on i operator. Dessard otworzył je i wszedł do środka. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Zbliżył się do dwóch trzydziestopięciomilimetrowych projektorów Century znajdujących się w pokoju i dotknął ich ręką.

Jeden był ciepły.

Dessard odnalazł operatora w pomieszczeniach dla załogi na pokładzie ale Ten przysięgał, że nic nie wie o tym, by ktokolwiek korzystał z aparatury projekcyjnej.

Udając się ponownie do biura, Dessard przeszedł przez kuchnię, aby skrócić sobie drogę. Zatrzymał go rozwścieczony szef kuchni.

– Patrz pan – zażądał – co zrobił jakiś idiota!

Na marmurowym blacie stał przepiękny, sześciopiętrowy tort weselny. Jego szczyt zdobiły wykonane z lukru delikatne figurki młodej pary.

Ktoś zmiążdżył głowę panny młodej.

– I w tym momencie uświadomiłem sobie – opowiadał Dessard swoim klientom w bistro – że stanie się coś okropnego.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

W roku 1919 żadne przemysłowe miasto świata nie miało takiej koniunktury jak Detroit w stanie Michigan. Pierwsza wojna skończyła się, a Detroit odegrało niemałą rolę w zwycięstwie sprzymierzonych, dostarczając im ciężarówek, czołgów i samolotów. Teraz, gdy groźba najazdu Hunów została zażegnana, wielkie fabryki ponownie skierowały całą swą energię na produkcję samochodów. Wkrótce cztery tysiące wozów dziennie znowu zjeżdżało z taśm. Wykwalifikowana i niewykwalifikowana siła robocza ścigała tu zewsząd w nadziei znalezienia pracy w przemyśle samochodowym. Masowo napływali Irlandczycy, Włosi i Niemcy.

Wśród przybyszów znalazł się Paul Templarhaus z żoną Friedą. Paul terminował u rzeźnika w Monachium, a posag, który mu wniosła Frieda, umożliwił emigrację do Nowego Jorku. Tu otworzył sklep mięsny, który wkrótce zaczął przynosić straty. Przeniósł się wówczas do St Louis, potem do Bostonu i, wreszcie, do Detroit, bankrutując w każdym z tych miast. W epoce, gdy interesy rozkwiatały, a rosnący dobrobyt powodował zwiększony popyt na mięso, Paulowi udawało się tracić pieniądze, ilekroć otwierał sklep. Był dobrym rzeźnikiem lecz beznadziejnie niekompetentnym biznesmenem. Po prawdzie, znacznie bardziej interesował się pisaniem wierszy niż robieniem pieniędzy. Całe godziny trawił na wymyślaniu rymów i obrazów poetyckich. Potem je spisywał i wysyłał do rozlicznych gazet i czasopism, które nigdy nie kupowały jego arcydzieł. Pieniądze nie były dla niego ważne. Udzielał kredytu wszystkim, toteż za każdym razem po mieście szybko rozchodziło się powiedzonko: „Jeśli nie masz pieniędzy, a chcesz mięsa w najlepszym gatunku, idź do Paula Templarhausa”.

Żona Paula, Frieda, była brzydką dziewczyną. Nie miała żadnych doświadczeń z mężczyznami, dopóki nie zjawił się Paul i nie oświadczył się jej – lub, co było bardziej na miejscu – jej ojcu. Frieda błagała ojca, by zaakceptował zamiary Paula, lecz starszy pan udzieliłby zgody i bez jej nalegania. Gnębił go strach, że będzie miał córkę na karku do końca swoich dni. Zwiększył nawet jej posag, tak aby młoda para mogła opuścić Niemcy i wyemigrować do Nowego Świata.

Nieśmiała Frieda zakochała się w swoim mężu od pierwszego wejrzenia. Nigdy przedtem nie widziała poety. Paul był chudy i ze swoimi jasnymi, krótkowzrocznymi oczyma i przeredzonymi włosami wyglądał na intelektualistę. Upłynęły miesiące, zanim Frieda uwierzyła, że ten przystojny, młody człowiek naprawdę do niej należy. Nie miała żadnych złudzeń co do własnego wyglądu. Niezgrabna figura przypominała ogromną nie dogotowaną pyzę. Największą jej atrakcją stanowiły fiołkowe, pełne życia oczy. Reszta twarzy zdawała się być poskładana z elementów należących do różnych osób. Wielki, kulfonowaty nos odziedziczyła po babce, wysokie, cofnięte czoło – po wuju, a kwadratowy, ostro zarysowany podbródek – po ojcu. Gdzieś w środku Frieda była piękną, młodą dziewczyną uwięzioną w ciele, które Bóg dał jej w przypiływie jakiegoś kosmicznego poczucia humoru. Ludzie dostrzegali tylko jej okropny wygląd. Wszyscy, z wyjątkiem Paula. Jej Paula. Dobrze się stało, że Frieda nigdy się nie dowiedziała, iż Paula przynęcił wyłącznie duży posag, który jawił mu się jako sposób ucieczki od krwistych befsztyków i głowizny. Paul marzył

o otwarciu własnego interesu i zarobieniu tylu pieniędzy, by móc się poświęcić ukochanej poezji.

Frieda i Paul spędzili swój miodowy miesiąc w gospodzie w pobliżu Salzburga. Gospoda mieściła się w pięknym, starym zamku położonym nad prześlicznym jeziorem, otoczonym łąkami i lasami. Frieda setki razy wyobrażała sobie noc poślubną. Paul zamknął drzwi na klucz i obejmie ją ramionami. Zacznie ją rozbierać, szepcząc najczulsze słowa. Jego wargi odnajdą jej usta, potem przesuną się w dół po jej nagim ciele w sposób, jaki wielokrotnie opisywano w małych, zielonych książeczkach, które potajemnie czytywała. Jego członek będzie twardy i będzie sterczał dumnie jak niemiecki sztandar. Paul zanieśie ją do łóżka (może byłoby bezpieczniej, gdyby ją tam zaprowadził) i ostrożnie położy. I powie: Mój Boże, Frieda, uwielbiam twoje ciało. Nie jesteś, jak te inne, chuda jak patyk. Masz ciało prawdziwej kobiety.

Rzeczywistość wstrząsnęła nią. Prawda, że gdy weszli do pokoju, Paul zamknął drzwi na klucz, lecz potem już nic nie przypominało wymarzonej sceny. Frieda obserwowała, jak Paul zdejmuje koszulę, odsłaniając wypukłą, chudą, bezwłosą pierś. Potem ściągnął spodnie. Między nogami dyndał maleńki, wiotki członek, częściowo ukryty pod napletkiem. Pod żadnym względem nie przypominał podniecających obrazków, które kiedyś widziała. Paul wyciągnął się na łóżku, czekając na nią, i Frieda zrozumiała, że ma się rozebrać sama. Powoli zaczęła zdejmować odzież. No cóż, myślała, rozmiar to nie wszystko; Paul z pewnością okaże się cudownym kochankiem. Chwilę później drżąca oblubienica dołączyła do swego wybrańca w łożu małżeńskim. Podczas gdy czekała na romantyczne wyznanie, Paul wturlał się na nią, zgnął ją kilka razy i sturlał z powrotem. Dla oszołomionej panny młodej wszystko się skończyło, zanim zdążyło się rozpocząć. Jeśli idzie o Paula, jego dotychczasowe doświadczenia seksualne ograniczały się do dziwki w Monachium. Już miał sięgnąć po portfel, gdy uświadomił sobie, że nigdy więcej nie będzie musiał za to płacić. Od tej pory miało być za darmo. Paul zasnął, a Frieda długo jeszcze leżała, starając się nie myśleć o swoim rozczarowaniu. Seks to nie wszystko, powiedziała sobie. Mój Paul z pewnością będzie cudownym mężem.

Nie wiedziała, jak bardzo się myli.

Wkrótce po ślubie Frieda zaczęła widzieć męża w bardziej realnym świetle. Została wychowana na tradycyjną niemiecką Hausfrau, była posłuszna mężowi we wszystkim, ale wcale nie była głupia. Paula interesowały w życiu wyłącznie własne wiersze, a Frieda orientowała się, że są one bardzo złe. Ze smutkiem stwierdzała, że jej mąż pozostawia wiele do życzenia w każdej dziedzinie, która jej mogła przyjść do głowy. Tam, gdzie Paul był niezdecydowany, Frieda była stanowcza, gdzie Paul wykazywał niekompetencję, Frieda – sporą dozę rozsądku. Na początku ich pożycia usuwała się w cień, cierpiąc w milczeniu, gdy głowa rodziny, z powodu idiotycznie miękkiego serca, wyrzucała w błoto jej spory posąg. Gdy przeprowadzili się do Detroit, Frieda nie mogła już dłużej tego znieść. Wkroczyła któregoś dnia do sklepu męża i zasiadła przy kasie. Pierwszą rzeczą, którą uczyniła, było wywieszenie kartki: NIE UDZIELAMY KREDYTU. Paul zdrętwiał z przerażenia, lecz to był dopiero początek. Frieda podniosła ceny mięsa i zasypała całą okolicę ulotkami reklamowymi. Interes rozwinął się nieomal z dnia na dzień. Od tej chwili zaczęła podejmować wszelkie istotne decyzje, pozostawiając Paulowi ich posłuszne wykonywanie.

Rozczarowanie zrobiło z niej tyrana. Odkryła w sobie talent do kierowania sprawami i ludźmi, była nieugięta. To ona decydowała, gdzie zainwestować pieniądze, gdzie zamieszkać, dokąd pojechać na urlop i kiedy nadszedł czas na dziecko.

Któregoś wieczoru obwieściła swą decyzję mężowi i zmuszała do realizacji tego planu tak konsekwentnie, że biedny człowiek omal nie załamał się nerwowo. Paul obawiał się, że nadmiar seksu podkopie jego zdrowie, lecz Frieda była zdeterminowana.

– Włóż go we mnie – komenderowała.

– Jak? – protestował. – On nie jest zainteresowany.

Frieda ujmowała wówczas w dłonie jego maleńkie, pomarszczone prącie i naciągała skórę, a gdy nic się nie działo, brała je do ust...

– Mein Gott, Frieda! Co ty robisz?!

...póki, mimo protestów Paula, nie twardniało na tyle, że mogła wsunąć je sobie między nogi i trzymać aż do wytrysku.

Trzy miesiące później oznajmiła mężowi, że może odpocząć. Zaszła w ciążę. Paul chciał mieć córkę, a Frieda – syna. Dla nikogo w tej sytuacji nie było zaskoczeniem, że noworodek okazał się chłopcem.

Frieda uparła się, że urodzi dziecko w domu z pomocą akuszerki. Wszystko przebiegało normalnie, łącznie z samym porodem. I wówczas ci, którzy zebrali się wokół łóżka, przeżyli szok. Dziecko było pod każdym względem prawidłowo zbudowane z wyjątkiem prącia. Członek był ogromny, bujał się jak spuchnięty, nadnaturalnych rozmiarów dodatek do niewinnego ciała noworodka.

Jego ojciec nie jest tak zbudowany, myślała Frieda przepelniona szaloną dumą.

Dała synowi na imię Tobiasz, ku czci radnego z ich obwodu. Paul powiedział, że zajmie się chłopcem. W końcu do ojca należy wychowywanie syna.

Frieda słuchała, uśmiechała się i z rzadka tylko dopuszczała Paula do dziecka. To ona wychowywała chłopca. Rządziła nim twardą, iście żelazną ręką i nie zadawała sobie trudu, by przyodziać ją w aksamitną rękawiczkę. W wieku pięciu lat Toby był chudym dzieckiem, z nogami jak patyki; miał rozmarzoną twarz i błyszczące, fiołkowe oczy swej matki. Uwielbiał matkę i wiecznie odczuwał niedosyt jej akceptacji. Chciał, żeby podnosiła go i trzymała w objęciach tak, by mógł przytulić głowę do jej miękkich piersi. Lecz Frieda nie miała czasu na takie rzeczy. Była zajęta zdobywaniem środków utrzymania dla rodziny. Kochała małego i zdecydowała się nie dopuścić, by wyrósł na człowieka słabego jak jego ojciec. Wymagała od Toby'ego perfekcji we wszystkim, cokolwiek robił. Gdy zaczął chodzić do szkoły, nadzorowała odrabianie lekcji. Ilekroć nie umiał sobie poradzić z pracą domową, mawiała:

– Dalej, chłopcze, zakasuj rękawy i do roboty! – I stała nad nim, dopóki nie rozwiązał problemu.

Im surowsza była dla Toby'ego, tym bardziej chłopiec ją kochał. Trząśł się na samą myśl o jej niezadowoleniu. Nie żałowała kar, nie była skora do chwalenia; czuła, że robi to dla dobra chłopca. Od momentu, gdy po raz pierwszy znalazł się w jej ramionach, była pewna, że w przyszłości zdobędzie sławę, że będzie kimś ważnym. Nie wiedziała ani kiedy, ani jak, lecz miała pewność, że tak się stanie. Zupełnie, jakby Bóg zwierzył się jej na ucho. Zanim Toby dorósł na tyle, by to zrozumieć, Frieda wielokrotnie opowiadała synowi o jego przyszłej

wielkości i nigdy nie zaniechała tego tematu. Tak więc mały Toby wzrastał w przekonaniu, że czeka go sława, ale nie rozumiał dlaczego. Wiedział tylko, że matka zawsze ma rację.

Najszcześliwsze chwile w życiu Toby'ego zdarzały się wówczas, gdy odrabiał lekcje w ogromnej kuchni, a matka gotowała, stojąc przy dużym staroświeckim piecu. Rozchodziły się wtedy niebiańskie zapachy gęstej zupy fasolowej, soczystych kielbasek, placków kartoflanych o przyrumienionych, nierównych brzegach, jakby ozdobionych koronką. Czasami stała nad stolnicą i zagniała ciasto szerokimi, silnymi rękami, oprószała je mąką i wyczarowywała Pflaumenkuchen lub Apfelkuchen, które sprawiały, że ślinka sama napływała do ust. Toby podchodził do niej i obejmował jej wielkie ciało, głową sięgając zaledwie talii. Podniecający zapach kobiety, jej zapach, stawał się częścią podniecających zapachów kuchennych i w chłopcu odzywał się nieoczekiwany seksualizm. W takich momentach Toby czuł, że z radością umarłby dla niej. Zapach jabłek duszonych na maśle zawsze przywoływał na pamięć żywy obraz matki.

Któregoś popołudnia, gdy Toby miał dwanaście lat, przyszła z wizytą miejscowa plotkara, pani Durkin. Miała kościstą twarz, czarne, wyzywające oczy i język, który nigdy nie próżnował. Po jej wyjściu Toby począł ją naśladować, co matka przyjęła wybuchem śmiechu. Chłopiec odniósł wrażenie, że pierwszy raz w życiu słyszy jej śmiech. Odtąd przy każdej okazji starał się ją zabawić. Naśladował klientów w sklepie, nauczycieli, kolegów szkolnych, za każdym razem wywołując u matki donośny śmiech.

Toby odkrył wreszcie sposób zdobycia uznania matki.

Spróbował swych sił w szkolnym przedstawieniu, No Account David, w którym kreował główną rolę. W wieczór premiery matka zasiadła w pierwszym rzędzie i oklaskiwała sukcesy syna. Od tego momentu Frieda wiedziała już dokładnie, w jaki sposób zostaną zrealizowane boskie obietnice.

Na początku lat trzydziestych zaczął się wielki kryzys. Teatry i kina w całym kraju sięgały po wszelkie możliwe środki, byle tylko zapełnić puste miejsca: rozdawano naczynia i radioodbiorniki, organizowano wieczory „bingo” i „keno”, wynajmowano pianistów, by akompaniowali śpiewającej publiczności.

Organizowano także konkursy dla amatorów. Frieda bardzo dokładnie przeglądała gazety. Chciała dowiedzieć się, gdzie odbędzie się kolejny konkurs. Zabierała tam Toby'ego i podczas gdy chłopiec naśladował Ala Jolsona, Jamesa Cagneya czy Eddie'ego Cantora, wykrzykiwała z widowni:

– MeinGott! Jaki zdolny chłopiec!

Toby niemal zawsze zdobywał pierwszą nagrodę.

Urósł, ale pozostał chudy. Był poważnym dzieckiem o szczerym spojrzeniu błyszczących oczu osadzonych w twarzy cherubina. Patrząc na niego, odnosiło się nieodparte wrażenie niewinności. Każdy widz miał ochotę objąć go ramionami, przytulić i chronić przed Życiem. Kochano go i oklaskiwano na scenie. Toby zrozumiał wówczas, jakie jest jego przeznaczenie: zostanie gwiazdą.

Popęd seksualny zbudził się w nim, gdy miał piętnaście lat. Onanizował się w łazience, jedynym miejscu, co do którego miał pewność, że nikt nie zakłóci tam jego samotności. Masturbacja jednak nie wystarczała. Toby zdecydował, że potrzebuje dziewczyny.

Pewnego wieczoru wracał do domu po wykonaniu jakiegoś polecenia matki. Podwiozła go Clara Connors, zamężna siostra jednego z kolegów szkolnych. Clara była ładną blondynką o dużych piersiach. Gdy siedział w samochodzie obok niej, poczuł erekcję. Nerwowo sięgnął ręką pod jej spódnicę, gotów wycofać się na pierwszy jej pisk. Clara była bardziej rozbawiona niż zła, lecz wpadła w zachwyt, gdy Toby obnażył członek i mogła zobaczyć jego rozmiary. Na następne popołudnie zaprosiła chłopaka do siebie i wprowadziła w arkana seksu. Było to fantastyczne doświadczenie. Zamiast namydlonej dłoni Toby znalazł miękkie, ciepłe pojemniki, pulsujące i chętne do przyjęcia jego członka. Jęki i krzyki Clary powodowały, że nie wiotczał ani na chwilę, wytrysk następował za wytryskiem, bez opuszczania wilgotnego, ciepłego gniazda. Rozmiar członka zawsze stanowił dla Toby'ego źródło starannie ukrywanego wstydu, lecz teraz stał się przedmiotem dumy. Clara nie zatrzymała wiadomości o tym „cudzie” dla siebie i wkrótce Toby świadczył usługi kilku mężatkom z okolicy.

W ciągu następnych dwóch lat Toby pozbawił dziewictwa prawie połowę dziewcząt z klasy. Niektórzy jego koledzy zdobywali laury w piłce nożnej, drudzy byli przystojniejsi lub bogatsi, lecz Toby bił ich na głowę na innym polu. W oczach dziewcząt uchodził za najzabawniejszego, najmilszego chłopaka i było wprost niemożliwe oprzeć się tej niewinnej twarzy i rozmarzonym, fiołkowym oczom.

W ostatnim roku szkoły – Toby miał osiemnaście lat – został wezwany do gabinetu dyrektora. Zastał tam matkę z ponurą miną, szlochającą szesnastoletnią dziewczynę, katoliczkę, Eileen Henegan, oraz jej ojca w mundurze sierżanta policji. Ledwie wszedł do gabinetu, zrozumiał, że będą kłopoty.

– Przystąpię z miejsca do sedna sprawy – powiedział dyrektor. – Eileen jest w ciąży. Twierdzi, że jesteś ojcem jej dziecka. Czy miałeś z nią stosunek cielesny?

Poczuł suchość w ustach. W głowie miał tylko wspomnienie, jak bardzo Eileen była zadowolona, jak jęczała i błagała o jeszcze. A teraz to!

– Odpowiedz na pytanie, ty mały sukinsynu! – zaryczał ojciec Eileen. – Dotykałeś mojej córki?!

Toby zerknął na matkę. Była świadkiem jego wstydu i upokorzenia. Rozczarował ją i oburzył. Będzie czuła do niego obrzydzenie za takie postępowanie. Chłopak poprzysiągł sobie, że jeśli uda mu się wyjść z tego cało, jeśli Bóg jakimś cudem uratuje go ten jeden, jedyny raz, to już nigdy, jak długo żyć będzie, nie tknie żadnej dziewczyny. Pójdzie prosto do lekarza i zażąda kastracji, żeby nawet nie pomyśleć o seksie i...

– Toby... – głos matki był stanowczy i zimny – byłeś w łóżku z tą dziewczyną?

Toby przełknął, nabrał powietrza w płuca i wymamrotał:

– Tak, mam.

– W takim razie ożenisz się z nią – w głosie matki brzmiała stanowczość. Popatrzyła na zapuchnięte oczy płaczącej dziewczyny. – Czy o to ci chodzi?

– T...tak – wyszlochała Eileen. – Kocham Toby'ego. i zwracając się do chłopaka, dodała: – Zmusili mnie do mówienia. Nie chciałam podać twojego nazwiska.

Jej ojciec, sierżant policji, odezwał się głośno, do wszystkich:

– Moja córka ma dopiero szesnaście lat. W świetle prawa jest to gwałt. Mógłby trafić do więzienia na resztę nędznego żywota, ale jeśli obiecuje się z nią ożenić...

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Toby'ego. Przelknął ponownie i powiedział:

– Tak, proszę pana. Przy... przykro mi, że tak się stało.

Do domu jechali w milczeniu. Toby siedział obok matki, nieszczęśliwy. Wiedział, jak bardzo ją zranił. Będzie musiał znaleźć pracę, aby utrzymać Eileen i dziecko. Prawdopodobnie będzie zmuszony podjąć pracę w sklepie i zapomnieć o swoich marzeniach, o planach na przyszłość. Gdy dotarli do domu, matka powiedziała:

– Chodź na górę.

Toby wszedł za nią do swojego pokoju, przygotowując się w duchu na kazanie. Matka spokojnie wyjęła walizkę i zaczęła pakować jego rzeczy. Patrzył na nią zdumiony, niczego nie rozumiejąc.

– Mamo, co ty robisz?

– Ja? Nic nie robię. Wyjeżdżasz. Przerwała i odwróciła się do niego.

– Sądziłeś, że pozwolę ci zmarnować życie na takie nic, jak ta dziewczyna? Wzięłaś ją do łóżka i teraz będzie miała dziecko. Dowodzi to dwóch rzeczy: – że ty jesteś istotą ludzką oraz że ona jest głupia. Nie – nikt nie wciągnie mego syna w małżeństwo. Bóg przeznaczył cię na wielkiego człowieka, Toby. Pojedziesz do Nowego Jorku, a gdy już będziesz sławny, przyślesz po mnie.

Zamrugnął powiekami, by ukryć łzy. Rzucił się w jej ramiona, a ona tuliła go i kołysała na swej szerokiej piersi. Toby poczuł się raptem zagubiony, bał się rozstania. Lecz gdzieś w głębi tliło się podniecenie i radość, że wkroczy w nowe życie. Wejdzie do show businessu. Zostanie gwiazdą. Będzie sławny.

Matka tak powiedziała.

Rozdział II

W roku 1939 Nowy Jork był prawdziwą Mekką dla ludzi teatru. Kryzys już się skończył. Prezydent Franklin Roosevelt powiedział, że już nie ma się czego bać, chyba samego strachu; i ogłosił, że Ameryka będzie najbogatszym krajem świata. I była. Każdy miał pieniądze do wydania. Na Broadwayu szło trzydzieści sztuk i każda zdawała się być hitem.

Toby przybył do Nowego Jorku, mając w kieszeni sto dolarów, które dostał od matki. Wiedział, że kiedyś będzie sławny i bogaty. Zabierze wówczas ją do siebie. Zamieszkają w luksusowym mieszkaniu. Co wieczór matka zasiądzie w teatrze, by obserwować, jak publiczność go oklaskuje. Na razie jednak musiał znaleźć pracę. Odwiedzał wszystkie teatry na Broadwayu, wchodząc wejściem dla aktorów, i opowiadał o konkursach amatorskich, które wygrał, i jak bardzo jest utalentowany. Wyrzucano go. W ciągu tygodni, które strawił na poszukiwaniu pracy, niejednokrotnie wkładał się do teatrów i nocnych klubów i przypatrywał się pracy najlepszych wykonawców, a zwłaszcza komików. Widział Bena Blue'ego, Joe'ego E. Lewisa i Franka Faya. Wiedział, że któregoś dnia przewyższy ich wszystkich.

Pieniądze się kończyły. Toby najął się do zmywania naczyń w barze. Co niedziela, gdy taryfa jest niższa, dzwonił do matki. Opowiedziała mu, jaką wrzawę wywołał swoją ucieczką.

– Szkoda, żeś ich nie widział – rzekła. – Ten policjant podjeżdża tutaj co wieczór wozem patrolowym. Z jego zachowania można by wnosić, że wszyscy jesteśmy gangsterami. Ciągłe pyta o ciebie.

– No i co im odpowiadasz?

– Prawdę. Że zwiąłeś jak nocny złodziej i że jeśli kiedykolwiek dostanę cię w swoje ręce, osobiście skrucę ci kark.

Toby roześmiał się głośno.

W ciągu lata pracował jako pomocnik magika, pozbawionego talentu szarlatana o paciorkowatych oczkach, który występował pod pseudonimem Wielki Merlin. Przedstawienia odbywały się w drugorzędnych hotelach w Catskills, a głównym zajęciem Toby'ego było przenoszenie ciężkich rekwizytów tam i z powrotem oraz pilnowanie dobytku Merlina. Składało się nań sześć białych królików, trzy kanarki i dwa chomiki. Ponieważ Merlina prześladowała obawa, że dobytek zostanie zjedzony, Toby zmuszony był mieszkać razem ze zwierzętami, nierzadko w pomieszczeniach wielkości szafy. Zdawało mu się, że lato przesiąknięte jest ich odorem. Był fizycznie wyczerpany od noszenia ciężkich szafek o ruchomym dnie lub ściankach oraz od ustawicznego uganiania się za czworonogami zawsze skorymi do ucieczki. Czuł się samotny i rozczarowany. Często gapił się na ciemne pokoiki, zastanawiając się, co też właściwie w nich robi i jak to ma przybliżyć jego karierę w branży rozrywkowej. Przed lustrem nadal ćwiczył parodiowanie innych, mając za całą widownię cuchnące zwierzątka Merlina.

Pewnej niedzieli o zmierzchu Toby wykonał swój cotygodniowy telefon do domu. Tym razem odebrał ojciec.

– Mówi Toby, tato. Jak się masz? Zapadła cisza.

– Halo! Jesteś tam?

– Jestem, Toby. – W głosie ojca usłyszał coś, co go zmroziło.
– Gdzie mama?
– Wczoraj w nocy wzięto ją do szpitala.
Toby tak mocno ścisnął słuchawkę, że omal jej nie zgniótł.
– Co się stało?
– Lekarz powiedział, że to atak serca. Nie! To nie mogło przytrafić się jego matce!
– Ale wszystko będzie dobrze – nalegał Toby. – Prawda? – Teraz już krzyczał do słuchawki: – Powiedz, że wszystko będzie dobrze, do cholery!

Z odległości miliona kilometrów usłyszał płacz ojca.

– Ona... ona umarła kilka godzin temu, synu.

Te słowa zapiekły jak rozpalona do białości lawa, ogarnęły całe ciało jak ogień. Ojciec kłamał. Ona nie mogła umrzeć! Zawarli przecież umowę. Toby będzie sławny, a matka będzie przy nim. Czekają na nią luksusowe mieszkanie, limuzyna z szoferem, futra, diamenty... Szlochał tak gwałtownie, że z trudem chwycił oddech. Słyszał odległy głos, który powtarzał:

– Toby! Toby!

– Wracam do domu. Kiedy pogrzeb?

– Jutro. Ale nie wolno ci wracać. Będą na ciebie czekać, Toby. Eileen już wkrótce urodzi. Jej ojciec chce cię zabić. Będą cię szukać na cmentarzu.

Nie mógł więc nawet pożegnać się z jedynym człowiekiem, którego kochał. Toby cały dzień przeleżał w łóżku. Wspominał. Widział matkę jak żywą. Oto stoi przy kuchni i gotując opowiada, jak ważną osobistością zostanie w przyszłości jej syn, albo siedzi w pierwszym rzędzie w teatrze i wykrzykuje: „Afón Gott! Jaki zdolny chłopak!”

Pamiętał, jak się śmiała z jego parodii i dowcipów, jak pakowała jego walizkę. Gdy zostaniesz sławny, przyślesz po mnie. Leżał na łóżku sparaliżowany bólem i myślał: Nigdy nie zapomnę tego dnia, nigdy, aż do śmierci. 14 sierpnia 1939 roku. To najważniejszy dzień w moim życiu.

Miał rację. Ale nie z powodu śmierci matki, lecz z powodu wydarzeń, które miały miejsce w stanie Teksas, w Odessie, odległej o tysiąc pięćset mil.

Szpital mieścił się w jakimś czteropiętrowym budynku, noszącym wyraźne piętno dobroczynności. Wewnątrz, niczym w królikarni, był istny gąszcz malutkich pomieszczeń przeznaczonych do zdiagnozowania choroby, złagodzenia, wyleczenia, a niekiedy – pogrzebania jej ofiary. Medyczny supermarket, w którym każdy mógł znaleźć coś dla siebie.

Była czwarta nad ranem, pora na cichą śmierć lub niespokojny sen. Chwila wytchnienia dla personelu szpitalnego przed przygotowaniem do walki o następny dzień.

Zespół położniczy w sali operacyjnej nr 4 miał kłopoty. Odbywający się poród, który zapowiadał się jako rutynowy, nagle zmienił się w ostry przypadek. Aż do właściwego porodu, wszystko u pani Czinski przebiegało normalnie. Pani Czinski była zdrową kobietą, pierwiastką o szerokich biodrach wieśniaczki – marzenie każdego położnika. Skurcze stawały się coraz częstsze, wszystko według schematu.

– Poród pośladowy – oznajmił położnik, dr Wilson. Jego słowa nie wywołały alarmu. Mimo że tylko trzy procent dzieci rodzi się w ten sposób – najpierw ukazuje się dolna część noworodka – medycyna świetnie umie sobie z tą sytuacją radzić.

Rozróżniamy trzy typy porodów pośladowych: siłami natury – nie wymagające pomocy; wspomagane, w których położnik wspiera nieco naturę; i całkowite „nieszczęście”, gdy dziecko klinuje się w drogach rodnych matki.

Dr Wilson stwierdził z satysfakcją, iż będzie miał do czynienia z przypadkiem najprostszym. Obserwował pojawienie się stóp noworodka, a w ślad za nimi – dwóch maleńkich nóżek.

Następny skurcz i ukazały się biodra dziecka.

– Już prawie po wszystkim – zachęcająco powiedział dr Wilson. – Niech pani dalej prze.

Pani Czinski uczyniła to, lecz bez rezultatów.

Lekarz zmarszczył brwi.

– Jeszcze raz. Mocniej.

Nic. Dr Wilson uchwycił rękoma nóżki noworodka i delikatnie pociągnął. Nic, żadnego ruchu. Przecisnął rękę przez wąskie przejście, obok dziecka, do macicy i rozpoczął badanie. Nagle na jego czole pojawiły się krople potu. Pielęgniarka podeszła do niego i wytarła je.

– Mamy problem – powiedział cicho, lecz pani Czinski usłyszała go.

– Coś nie w porządku? – spytała.

– Wszystko idzie świetnie.

Lekarz sięgnął głębiej, próbując delikatnie popchnąć dziecko w dół. Ani drgnęło. Wyczuł pępowinę wciśniętą między ciało noworodka a miednicę matki; krew nie mogła przez nią płynąć.

– Fetoskop!

Położna sięgnęła po słuchawkę, przyłożyła ją do brzucha kobiety, wsłuchując się w bicie serca dziecka.

– Spadło do trzydziestu – oznajmiła. – Znaczna arytmia. Palce dr Wilsona, niczym zdalne wypustki jego mózgu, macały, szukały w głębi ciała matki.

– Zanika bicie serca – w głosie pielęgniarki brzmiał niepokój.– Nic nie słyszę!

Maleństwo umierało w łonie matki. Ciągle jeszcze był cień szansy. Gdyby tylko udało się wydobyć je na zewnątrz, oczyścić mu płuca i zmusić maciupkie serce do ponownego bicia. Mieli na to maksimum cztery minuty. Po tym czasie uszkodzenia mózgu będą zbyt rozległe i nieodwracalne.

– Włączyć zegar – polecił dr Wilson.

Wszyscy odruchowo spojrzeli, gdy zegar elektryczny ustawiony na dwunastą szcęknął i wielka, czerwona wskazówka sekundnika rozpoczęła swoje pierwsze okrążenie.

Zespół wrócił do pracy. Podtoczono do stołu butlę z tlenem, podczas gdy położnik usiłował wysunąć noworodka z dna miednicy. Rozpoczął zabieg Brachta, polegający na przekręceniu dziecka, skręceniu mu ramion tak, by otworzyć ujście pochwy. Bez powodzenia.

Młodziutka praktykantka ze szkoły pielęgniarskiej poczuła się raptem źle. i wybiegła z sali. Był to pierwszy poród, przy którym asystowała.

Pod drzwiami sali operacyjnej stał Karl Czinski, nerwowo miętosząc kapelusz w wielkich, spracowanych dłoniach. Nadszedł najszczęśliwszy dzień jego życia. Był cieślą, człowiekiem prostym, który uważał, iż mężczyzna powinien się wcześniej ożenić i mieć dużą

rodzinę. To dziecko miało być ich pierwszym. Z trudem trzymał na wodzy swoje podniecenie. Kochał żonę bardzo i wiedział, że bez niej będzie zgubiony. Akurat myślał o niej, gdy praktykantka wybiegła z porodówki.

– Jak ona się czuje? – krzyknął za dziewczyną. Roztrzęsiona, cała pochłonięta konającym noworodkiem, odparła z płaczem:

– Nie żyje, nie żyje!

I pobiegła wymiotować do łazienki.

Twarz pana Czinskiego pobladła. Chwycił się rękoma za pierś i ciężko dyszał, nie mogąc złapać tchu. Gdy spostrzeżono, co się z nim dzieje, na wszelką pomoc było już za późno.

Na porodówce dr Wilson pracował jak szaleniec, ścigając się z czasem. Palcami mógł wyczuć pępowinę i wzrastające ciśnienie krwi, lecz nie było sposobu na uwolnienie jej. W mózgu wszystko krzyczało mu, by wyciągnąć na wpół urodzone dziecko siłą, lecz niejednokrotnie przedtem widział, jak taki poród się kończy. Pani Czinski jęczała teraz, na poły tylko przytomna.

– Niech pani prze, pani Czinski. Mocniej! No dalej!

Nie było efektów. Lekarz zerknął na zegar. Dwie cenne minuty już minęły. Dwie minuty, w ciągu których przez mózg maleństwa nie przepływała krew. Przed doktorem Wilsonem stanął następny problem: co miał robić, gdyby udało mu się wydostać dziecko po upływie owych czterech minut? Utrzymać przy życiu, a właściwie wegetacji, czy litościwie zezwolić na szybką śmierć? Odsunął od siebie te pytania, zaczął się ruszać szybciej. Zamykając oczy, zdając się wyłącznie na zmysł dotyku, całą uwagę skupił na tym, co działo się wewnątrz ciała kobiety. Spróbował skomplikowanego zabiegu Veita–Smellego, którego celem było uwolnienie ciała dziecka. I nagle poczuł drgnięcie. Maleństwo zaczęło się przesuwać.

– Kleszcze!

Pielęgniarka położna szybko podała mu żądane narzędzie. Lekarz otoczył nimi główkę noworodka i chwilę później dziecko było już na świecie.

Zwykle jest to moment chwały, cud nowego życia, gdy noworodek o czerwonej twarzy wrzaskiem oznajmia światu swoje oburzenie i skargę, iż z ciemnego i zaciszego łona został wyrzucony w światło i chłód.

Lecz nie to dziecko, dziewczynka. To maleństwo było bladospine i nieruchome.

Zegar. Pozostało jeszcze półtorej minuty. Teraz wszystkie ruchy były szybkie i mechaniczne, rezultat wieloletniej praktyki. Palce zaopatrzone w gazę oczyściły całe gardło niemowlęcia, aby umożliwić dostęp powietrza. Dr Wilson położył maleństwo płasko na plecach. Położna podała mu mały laryngoskop połączony z elektrycznym aparatem do odsysania. Lekarz umieścił ssak na właściwym miejscu i skinął głową. Pielęgniarka włączyła prąd. Z maszyny zaczęły się dobywać rytmiczne odgłosy odsysania.

Dr Wilson zerknął na zegar.

Zostało jeszcze dwadzieścia sekund. Serce nie zaczęło bić.

Piętnaście... czternaście... Nie zabiło.

Nadszedł moment decyzji. Mogło być już za późno na uratowanie mózgu. Tego nigdy nie można być do końca pewnym. Widywał już sale szpitalne pełne nieszczęsnych stworzeń o ciałach dorosłych ludzi, lecz z mózgami malutkich dzieci albo i gorzej.

Dziesięć sekund. Podjął decyzję i miał nadzieję, że Bóg zrozumie i mu wybaczy. Miał zamiar wyjąć wtyczkę z sieci i powiedzieć, że dziecka nie dało się uratować. Nikt by tego nie zakwestionował. Jeszcze raz dotknął skóry noworodka. Była zimna i lepka.

Trzy sekundy.

Spojrzał w dół na maleństwo i zachciało mu się płakać. Jaka szkoda. Taka ładna dziewczynka. Wyrosłaby na piękną kobietę.

Zastanawiał się, jak ułożyłoby się jej życie. Czy wyszłaby za męża i miała dzieci? A może zostałaby artystką lub nauczycielką, albo kobietą interesu? Czy byłaby biedna, czy bogata? Szczęśliwa czy nie bardzo?

Jedna sekunda. Serce nie zaczęło bić.

Zero.

Dr Wilson sięgnął do wyłącznika i w tym momencie serce maleństwa zabiło. Był to pojedynczy skurcz jakby na próbę, a potem następny, i jeszcze następny, w nieregularnych odstępach, aż wreszcie zaczęło bić miarowo i silnie. Obecni na sali rozpromienili się. Rozległy się gratulacje. Dr Wilson nie słuchał.

Wpatrywał się w zegar na ścianie.

Matka nazwała ją Josephine, po babci z Krakowa. Drugie imię wydawało się zbyt pretensjonalne dla córki polskiej krawcowej z Odessy, w stanie Teksas.

Z powodów, których pani Czinski nie rozumiała, dr Wilson nalegał, by przynosiła dziecko na badania co sześć tygodni. Wnioski za każdym razem były identyczne: nie widać odchyłań od normy.

Tylko czas mógł to potwierdzić.

Rozdział III

Święto Pracy zakończyło letni sezon w Catskills. Wielki Merlin stracił zajęcie, a wraz z nim i Toby. Chłopak był teraz wolny. Mógł odejść. Ale dokąd? Był bezdomny, bezrobotny i nie miał grosza przy duszy. Los podjął tę decyzję za niego, gdy kobieta, która była gościem hotelowym, zaoferowała mu dwadzieścia pięć dolarów za odwiezienie jej wraz z trojgiem dzieci z Catskills do Chicago.

Toby wyjechał bez pożegnania z Merlinem i jego wonną kompanią.

Chicago w roku 1939 było miastem zamożnym, szeroko otwartym dla każdego. Tym, którzy mieli pieniądze i znali rozmaite dojścia, oferowało wszystko, od kobiet i narkotyków począwszy, na politykach skończywszy. W setkach nocnych klubów można było znaleźć dowolną rozrywkę. Toby próbował wszędzie, od wielkiego, zdobionego mosiądzem Chez Paree, po małe bary rozsiane na Rush Street. Odpowiedź była niezmiennie taka sama. Nikt nie chciał zaangażować takiego chlystka. A czas uciekał. Toby miał już prawie dziewiętnaście lat; najwyższa pora, by zacząć realizować marzenia matki.

Klub, do którego Toby dość często zachodził, nazywał się Knee High. Program rozrywkowy składał się z występów zmęczonego tria jazzowego, przegranego, wiecznie pijanego aktorzyzny komediowego w średnim wieku oraz dwóch striptizerek, Meri i Jeri, znanych jako siostry Perry, co dziwniejsze, prawdziwych sióstr. Miały po dwadzieścia kilka lat i były, w tani i wulgarny sposób, atrakcyjne.

Pewnego wieczoru Jeri podeszła do baru i usiadła obok Toby'ego. Uśmiechnął się do niej i odezwał uprzejmie:

– Podobał mi się twój występ.

Jeri zwróciła ku niemu wzrok i ujrzała naiwnego chłopca o dziecięcej twarzy, zbyt młodego i zbyt ubogo odzianego, aby mogła to być poza. Skinęła obojętnie głową i już miała się odwrócić, gdy Toby wstał. Dziewczyna gapiała się przez chwilę na wiele mówiące wybrzuszenie w jego spodniach, podniosła oczy i ponownie spojrzała na młodą, niewinną twarz.

– Jezu Chryste! – wykrzyknęła. – Czy to wszystko twoje? Uśmiechnął się.

– Jest tylko jeden sposób, by się przekonać.

O trzeciej nad ranem Toby był w łóżku z obydwoma siostrami Perry na raz.

Wszystko zostało starannie zaplanowane. Na godzinę przed występem Jeri zaprowadziła klubowego komika, nałogowego hazardzistę, do pewnego apartamentu przy Diversey Avenue, gdzie zapamiętałe grano w kości. Na ten widok oblizwał wargi i rzekł:

– Możemy tu zostać tylko minutkę.

Pół godziny później, gdy Jeri cichcem opuszczała lokal, komik potrząsał kubkiem.

– Muszę wygrać, ty sukinsynu! – wrzeszczał jak oszalały, cały zatopiony w świecie fantazji, w którym sukces, pozycja gwiazdora, pieniądze – wszystko zależało od jednego rzutu kośćmi.

A w Knee High Toby, czysty i schludny, siedział przy barze i czekał.

Nadeszła pora występu, a komik się nie pojawił. Właściciel klubu kłął rozwścieczony.

– Koniec z tym bękartem! Niech się tu nawet nie zbliża!

– Ma pan rację – rzekła Meri. – Jednak szczęściarz z pana. Ma pan innego aktora, siedzi przy barze. Właśnie przyjechał z Nowego Jorku.

– Co? Gdzie? – Właściciel przyjrzał się Toby’emu. – Na litość boską! A gdzie jego niańka? Przecież to jeszcze dziecko!

– Jest świetny! – powiedziała Jeri i mówiła to szczerze.

– Niech go pan wypróbuj – dorzuciła Meri. – Nic pan nie traci.

– Z wyjątkiem pieprzonych klientów! – W końcu, wzruszywszy ramionami, podszedł do miejsca, gdzie siedział Toby.

– Więc jesteś aktorem estradowym, he?

– Taa – odparł Toby obojętnie. – Właśnie skończyłem robić jeden kawałek w Catskills.

Właściciel przyglądał mu się z namysłem.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia dwa – skłamał Toby.

– Gównu tam. No, dobra. A jeśli zrobisz klapę, to nie dożyjesz swoich dwudziestych drugich urodzin.

To było to. Marzenie Toby’ego Temple’a urzeczywistniło się.

Stał w kręgu światła, podczas gdy orkiestra grała dla niego fanfarę, a publiczność, jego publiczność, czekała, aby odkryć w nim wielkość, aby go uwielbiać. Silne wzruszenie przeszkadzało mu mówić. Zupełnie, jakby był złączony z publicznością jakąś magiczną więzią, jakby stanowił z nią jedność. Na mgnienie oka stanęła mu w pamięci matka. Miał nadzieję, że widzi go teraz, gdziekolwiek jest. Fanfara ucichła. Toby rozpoczął swój rutynowy występ.

– Dobry wieczór, szczęśliwi ludzie. Nazywam się Toby Temple. Myślę, że każdy z was zna swoje nazwisko.

Cisza. Ciągnął dalej:

– Słyszeliście już o nowym zwierzchniku chicagowskiej mafii? To pedał. Od dzisiaj poczynając, „pocałunek śmierci” obejmie także obiad i dancing.

Nikt się nie śmiał. Wpatrywali się w niego zimno, pełni wrogości. Toby poczuł w żołądku ostre ukłucie strachu. Całe ciało miał mokre od potu. Cudowna więź z publicznością gdzieś zniknęła. Uparcie kontynuował:

– Podpisałem właśnie kontrakt w teatrze w Maine. Teatr położony jest tak głęboko w lesie, że zarządza nim niedźwiedź.

Cisza. Publiczność nienawidziła go.

– Nikt mnie nie uprzedził, że to jest zebranie głuchoniemych. Czuję się, jak dyrektor odpowiedzialny za rozrywki na Titanicu. Pobyt tutaj przypomina wchodzenie na statek po trapie... tyle, że nie ma statku.

Zaczęli gwizdać. W dwie minuty od rozpoczęcia występu właściciel gwałtownie dał sygnał i orkiestra zaczęła głośno grać, zagłuszając słowa Toby’ego. Stał z szerokim uśmiechem na twarzy, lecz oczy piekły go od łez.

Chciało mu się wyć.

Wrzaski obudziły panią Czinski, przejmujące, zwierzęce, brzmiące niesamowicie w nocnej ciszy. Dopiero gdy usiadła, uświadomiła sobie, że to mała krzyczy. Pobiegła do

przyległego pokoju, przysposobionego na dziecinny. Josephine, sina na twarzy, przewracała się z boku na bok w konwulsjach. W szpitalu podano jej dożylny środek uspokajający i zapadła w spokojny sen. Dr Wilson, który odbierał Josephine, zbadał ją bardzo starannie. Niczego nie znalazł. Odczuwał jednak niepokój. Nie mógł zapomnieć zegara na ścianie.

Rozdział IV

Wodewil kwitł w Ameryce od roku 1881 aż do swego końca, kiedy to Palace Theatre zamknął swe podwoje w roku 1932. Stanowił zaprawę dla młodych, ambitnych aktorów komediowych i estradowych, arenę, gdzie ostrzyli swój dowcip w starciu z nieprzyjazną, drwiącą publicznością. Ci, którym udało się wygrać, zdobywali sławę i fortunę: Eddie Cantor i W.C. Fields, Jolson i Benny, Abbott i Costello, Jessel i Burns, bracia Marx i wielu, wielu innych.

Wodewil był pewniakiem, źródłem regularnych zarobków, a gdy go zabrakło, komicy musieli przenieść się gdzie indziej. Wielkie nazwiska pojawiły się w radiu, jak również w słynnych nocnych klubach w całym kraju. Dla młodych, usiłujących się dopiero wybić aktorów, jak Toby, sytuacja wyglądała jednak zupełnie inaczej. Również oni występowali w nocnych klubach, ale był to świat całkowicie odmienny. Nazwano go eufemistycznie Obwodem Toaletowym. Składał się z gęsto rozsianych brudnych barów, gdzie niedomyta publiczność schodziła się żłopać piwo, bekać na striptizerki i niszczyć komików, ot tak, dla sportu. Przebieralnie mieściły się w toaletach cuchnących zjełczalym tłuszczem, rozlanym piwem, moczem i tanimi perfumami. Lecz nad wszystkim górował odór zestarzałego strachu: woń potu towarzysząca klęsce. Ubikacje były tak brudne, że wykonawczynie oddawały mocz, kucając nad umywalkami w toaletach. Honoraria wahały się od niestrawnego posiłku do pięciu, dziesięciu, a niekiedy nawet piętnastu dolarów za noc, zależnie od reakcji widowni.

Toby Temple poznał je wszystkie, stały się jego szkołą. Zmieniały się nazwy miast, lecz miejsca pozostawały takie same; te same zapachy i ta sama wroga publiczność. Gdy wykonawca się nie podobał, rzucano w niego butelkami po piwie, hałasowano podczas występu, wygwizdywano go. Była to twarda szkoła, lecz dobra; nauczyła Toby'ego wszelkich sposobów na przeżycie. Wiedział, jak sobie radzić z pijanymi turystami i trzeźwymi bandytami, i nigdy ich nie mylił. Umiał wypatrzyć każdego chętnego do zerwania przedstawienia i obłaskawić go, prosząc o łyk piwa lub pożyczając sobie od takiego serwetkę, by osuszyć twarz z potu.

Toby'emu udało się dostać pracę w miejscach noszących nazwę Lakę Kiamesh, Shawang Lodge czy Avon. Grał również w Wildwoodzie, New Jersey, B'nai B'rith i innych.

Nie przestawał się uczyć.

Jego występ składał się z parodii popularnych piosenek, imitacji Gable'a, Granta, Bogarta czy Cagneya oraz skeczów ukradzionych wybitnym komikom, których stać było na opłacenie dobrych tekściarzy. Początkujący aktorzy estradowi często tak robili, chełpiąc się przy tym:

– Robię teraz Jerry'ego Lestera – co miało znaczyć „wykorzystuję jego materiał” – i jestem dwa razy lepszy od niego.

Albo:

– Robię Milтона Berla. Lub też:

– Szkoda, że nie widziałeś mojego Reda Skeltona. Ponieważ teksty były sprawą kluczową, kradziono je najlepszym.

Toby próbował wszystkiego. Hipnotyzował niemal obojętną publiczność swymi marzycielskimi, fiołkowymi oczyma i mówił:

– Widzieliście kiedy eskimoskiego siusiaka? – i składał obie ręce na rozporoku, a spomiędzy palców wyciekały mu kostki lodu.

Wkładał na głowę turban i owijał się prześcieradłem. Zapowiadał wówczas: „Abdul, pogromca węży” i rozpoczynał grę na flecie, a z wiklinowego kosza, rytmicznie, w takt muzyki, w miarę jak Toby pociągał za druty, wysuwała się kobra. Ciało jej zrobione było z gumowego węża, głowę stanowiła końcówka rozpryskowa, lecz na widowni zawsze znalazł się ktoś, kto uważał, że jest w tym coś śmiesznego.

Jego dowcipy były prościutkie, wręcz prymitywne; nie wymagały komentarzy; nie zmuszały do najmniejszego wysiłku umysłowego.

Znał różne kawałki. W każdej chwili musiał być gotów do przeskoczenia z jednego na drugi, nim zaczną latać butelki.

Ale bez względu na to, gdzie akurat grał, zawsze jego występom towarzyszył szum wody spuszczonej w toaletach.

Toby podróżował autobusami. Po przyjeździe do kolejnego miasta meldował się w najtańszym hotelu lub pensjonacie, po czym dokonywał przeglądu barów, nocnych klubów i salonów gry. Wkładał do butów kawałki tektury, białą kołnierzyk koszuli kredą, aby zaoszczędzić na pralni. Wszystkie miasta były ponure, jedzenie jednakowo okropne, lecz najbardziej dawała mu się we znaki samotność. Nie miał nikogo. Nie było nikogo na całym bożym świecie, kogo by choć trochę obchodziło, czy Toby żyje, czy umarł. Od czasu do czasu pisywał do ojca, lecz czynił to raczej z poczucia obowiązku aniżeli z potrzeby serca. Toby rozpaczliwie potrzebował kogoś, z kim mógłby pogadać, kto by go zrozumiał, dzielił jego marzenia.

Obserwował niekiedy, jak wybitni przedstawiciele świata rozrywki opuszczali wielkie kluby, otoczeni świtą, w towarzystwie pięknych, pierwszej klasy dziewczyn i odjeżdżali lśniącymi limuzynami. Zazdrościł im. Pewnego dnia...

Lecz najgorsze były momenty, gdy robił kłapę, gdy w trakcie występu publiczność zaczynała wrzeszczeć, zmuszając go do opuszczenia sceny, zanim naprawdę zaczął. W takich razach Toby nienawidził ludzi na widowni; mordowałby, gdyby mógł. I nie chodziło o to, że przegrał, ale raczej, że przegrał, będąc i tak na samym dnie. Już niżej stoczyć się nie mógł. Chował się wówczas w hotelowym pokoju, płakał i błagał Boga, aby go zostawił w spokoju, aby pozbawił go tego przemożnego pragnienia, by stać przed publicznością i bawić ją. Boże, modlił się, spraw, bym zapragnął zostać sprzedawcą obuwia czy rzeźnikiem. Czymkolwiek, byle nie tym.

Matka musiała się mylić. Bóg niczym go nie wyróżnił. Nigdy nie będzie sławny. Jutro znajdzie sobie jakąś pracę. Postara się o robotę w biurze i będzie żył jak normalny człowiek.

Następnego wieczoru Toby znów był na scenie. Parodiując, opowiadając dowcipy, starał się zwyciężyć ludzi na widowni, zanim zwrócili się przeciw niemu i zaatakowali.

Uśmiechał się do nich niewinnie i mówił:

– Pewien człowiek zakochał się w kacze. Zabrał ją któregoś dnia do kina, lecz kasjer nie pozwolił mu wejść. „Nie może pan wziąć kaczkę ze sobą”. Mężczyzna poszedł za róg, wepchnął sobie kaczkę w spodnie, kupił bilet i wszedł do środka. Kaczka zaczęła się dusić, odpiął więc rozporok, aby mogła wystawić łeb na zewnątrz. Tuż obok siedziała kobieta z małżonkiem. Zwróciła się do męża i powiedziała: „Ralph, mężczyzna koło mnie ma pracę

na wierzchu”, a on na to: „Zaczepia cię?” „Nie” odparła. „Okay, w takim razie, nie zwracaj na niego uwagi i oglądaj film”. Kilka minut później kobieta ponownie szturchnęła męża. „Ralph... jego członek...” Na to on: „Powiedziałem ci, żebyś nie zwracała na to uwagi”. Ona zaś odparła: „Nie mogę... jego członek wyjada mi prażoną kukurydzę!”

Raz wystąpił w Three Six Five w San Francisco, raz – w Rudy Rail w Nowym Jorku i raz – w Kin Wa Low w Toledo. Grywał na zjazdach hydraulików, na uroczystościach bar miewa i na bankietach w kręgielniach.

I ciągle się uczył.

Dawał cztery do pięciu przedstawień dziennie w małych teatrzykach, takich jak Gem, Odeon, Empire czy Star.

I ciągle się uczył.

W końcu zrozumiał, że może strawić resztę życia, grając w lokalach Obwodu Toaletowego, nikomu nie znany, nie odkryty. Lecz zdarzyło się coś, co sprawiło, że jego problem stał się czysto akademicki.

Działo się to w zimne, niedzielne popołudnie na początku grudnia 1941 roku. Toby występował wówczas pięć razy dziennie w Dewey Theatre na Czternastej Ulicy w Nowym Jorku. Na plakatach widniało osiem numerów i częścią zadania Toby’ego było zapowiadanie ich. Pierwszy pokaz poszedł dobrze. Gdy Toby przedstawił Latających Kanazawów, rodzinę japońskich akrobatów, widownia zaczęła psykać. Toby wycofał się za kulisy.

– Co, do cholery, tam się dzieje? – spytał.

– Jezus, nic nie wiesz?! Japonce zaatakowały Pearl Harbor kilka godzin temu – wyjaśnił reżyser.

– No to co? Spójrz na tych chłopców – są wspaniali.

W czasie kolejnego przedstawienia, gdy przyszła kolej na zespół japoński, Toby wyszedł na scenę i powiedział:

– Panie i panowie, mam zaszczyt przedstawić państwu, świeżo po triumfach odniesionych w Manili, Latających Filipińczyków!

Ledwie zespół japoński pojawił się na scenie, publiczność zaczęła psykać. W czasie kolejnych występów Toby przedstawiał ich jako Szczęśliwych Hawajczyków, Wściekłych Mongołów i wreszcie – Eskimoskich Lotników. Nie był w stanie ich uratować. Ani, jak się później okazało, siebie. Gdy tego wieczoru zatelefonował do ojca, dowiedział się, że czeka na niego list. Zaczynał się od „Pozdrowień”, a kończył podpisem „Prezydent”. Sześć tygodni później Toby został zaprzysiężony jako żołnierz Stanów Zjednoczonych. W dniu, w którym wcielono go do armii, w głowie tak mu szumiało, że ledwie zdołał powtórzyć rotę przysięgi.

Migreny zdarzały się często i wówczas młodej Josephine zdawało się, że dwóch olbrzymów ściska jej skronie. Starła się nie płakać, ponieważ martwiło to matkę. Pani Czinski odkryła religię. W głębi duszy zawsze żywiła przekonanie, że wraz z dzieckiem przyczyniła się w jakiś sposób i była odpowiedzialna za śmierć męża. W czasie spotkania na rzecz odrodzenia religijnego duchowny grzmiał: „Jesteście skąpani w grzechu i niegodziwości. Bóg, który trzyma was nad otchłanią piekielną, niczym obrzydliwe robaki nad ogniem, brzydzi się wami. Wasz los wisi na włosku, każdego z was, przekłęci, płomienie Jego gniewu zniszczą, chyba że okażecie skruchę!” Pani Czinski natychmiast poczuła się lepiej, bowiem wiedziała, że słyszy głos Pana. – To kara zesłana nam przez Boga, ponieważ

zabiłyśmy twojego ojca – powtarzała córce. Josephine była za mała, by zrozumieć znaczenie słów, wiedziała jednak, że uczyniła coś bardzo złego. Chciałaby wiedzieć, co to takiego, aby móc powiedzieć matce, że bardzo żałuje.

Rozdział V

Początkowo wojna jawiła się Toby'emu Temple'owi jako koszmar.

W armii był nikim, kolejnym numerem w mundurze, jak miliony innych anonimowych postaci bez twarzy i bez nazwiska.

Wysłano go na szkolenie do obozu w Georgii, a potem statkiem do Anglii, gdzie jego jednostkę przydzielono do obozu w Sussex. Toby powiedział sierżantowi, że chciałby rozmawiać z generałem dowodzącym. Udało mu się dotrzeć aż do kapitana. Nazywał się Sam Winters. Miał ciemną cerę, inteligentny wygląd i niewiele ponad trzydzieści lat.

– Jaki macie problem, żołnierzu?

– To jest tak, panie kapitanie – zaczął Toby. – Zajmuję się rozrywką, pracuję w tej dziedzinie. Tyle robiłem w cywilu.

Kapitan Winters uśmiechnął się, widząc, z jaką powagą Toby mówi.

– Co dokładnie robiliście? – spytał.

– Wszystko po trochu – odparł Toby. – Imitacje i parodie, i... – a widząc wyraz oczu kapitana, dodał sztywno: – I inne rzeczy tego typu.

– Gdzie pracowaliście?

Toby zaczął mówić, potem urwał. To było beznadziejne. Na kapitanie wrażenie zrobiłyby zapewne tylko Nowy Jork i Hollywood.

– Nigdy pan o tych miejscach nie słyszał – dodał. Wiedział, że traci czas.

– Decyzja w tej sprawie nie należy do mnie, ale zobaczę, co się da zrobić.

– Jasne – odparł Toby. – Bardzo dziękuję, kapitanie. Zasalutował i wyszedł.

Kapitan Sam Winters siedział za biurkiem i myślał o Tobym jeszcze długo po wyjściu chłopca. Zaciągnął się do wojska, ponieważ czuł, że w tej wojnie trzeba walczyć i zwyciężyć. Jednocześnie nienawidził jej za to, co robiła takim dzieciom jak Toby Temple. Jeżeli chłopak rzeczywiście miał talent, to wypłynie, wcześniej czy później, gdyż talent jest jak delikatna roślina rosnąca pod nagą skałą – w końcu nic jej nie powstrzyma przed wydostaniem się na wierzch i pełnym rozkwitem. Sam Winters zrezygnował z dobrej posady producenta filmowego w Hollywood, aby wstąpić do armii. Zrobił kilka dobrych filmów dla wytwórni Pan-Pacific i widywał dziesiątki młodych, pełnych nadziei chłopców, takich jak Toby Temple. Zasługiwali przynajmniej na szansę. Jeszcze tego samego popołudnia rozmawiał o Tobym z pułkownikiem Beechem.

– Myślę, że służby specjalne powinny go przesłuchać – powiedział Winters. – Mam przeczucie, że okaże się dobry. Bóg świadkiem, że nasi chłopcy będą potrzebowali wszelkiej dostępnej rozrywki.

Pułkownik Beech przypatrywał mu się chłodno.

– Dobrze, kapitanie. Sporządźcie pisemną notatkę i połóżcie mi na biurko. – Obserwował, jak Winters opuszcza pokój. Pułkownik Beech był zawodowym oficerem, absolwentem West Point. Gardził wszystkimi cywilami, a dla niego kapitan Winters był cywilem. Mundur, nawet z kapitańskimi dystynkcjami, nie czyni z człowieka żołnierza. Gdy otrzymał od Wintersa notatkę dotyczącą Toby'ego Temple'a, zerknął na nią, ze złością nabazgrał w poprzek: „ZAŁATWIONE ODMOWNIE” i podpisał swoimi inicjałami.

Toby'emu najbardziej doskwierał brak publiczności, a coś zmuszało go do pracy. Opowiadał więc dowcipy i wykonywał poszczególne numery swego zwykłego repertuaru przy każdej okazji. Widownię mogli stanowić dwaj szeregowcy pełniący wartę gdzieś na pustym polu, autobus pełen żołnierzy w drodze do miasta czy pomywacze z kantyny. Toby musiał ich rozśmieszyć, zdobyć ich aplauz.

Kapitan Winters obserwował któregoś dnia takie przedstawienie w sali rekreacyjnej. Podszedł potem do Toby'ego.

– Żałuję, że nie udało się was przenieść, Temple. Myślę, że macie talent. Po wojnie, jeżeli traficie do Hollywood, zgłóście się do mnie. – Uśmiechnął się i dodał: – Zakładając oczywiście, że nadal będę tam pracował.

W następnym tygodniu batalion Toby'ego odkomenderowano na front.

W późniejszych latach, gdy Toby wspominał wojnę, pamięć nie podsuwała bitew. Pod Saint-LN odniósł niebywały sukces, dodając ruchy warg i mimikę do płyty Binga Crosby'ego. Pod Aachen wymknął się do szpitala i opowiadał rannym przez dwie godziny kawały, zanim pielęgniarki go stamtąd nie wyrzuciły. Z satysfakcją wspominał, iż jeden z rannych śmiał się tak serdecznie, że wszystkie szwy mu popękały. W Metz zrobił, co prawda, klapę, lecz czuł, że wszystkiemu winne były latające nad głowami niemieckie samoloty, wywołujące niepokój wśród publiczności. Udział Toby'ego w walkach był czysto przypadkowy. Wymieniono go nawet w rozkazie: za dzielność w zdobyciu niemieckiego stanowiska dowodzenia. W rzeczywistości Toby nie miał pojęcia o tym, co się dzieje. Odgrywał właśnie Johna Wayne'a i tak go poniosło, że nie zdążył się przestraszyć, a już było po wszystkim.

Dla Toby'ego liczyło się tylko jedno: móc zabawiać innych. W Cherbourgu wraz z dwoma kolegami udał się do burdelu i podczas gdy tamci byli na górze, Toby urządził przedstawienie dla madame i jej dwóch dziewczyn. Gdy skończył, szefowa posłała go na górę na koszt firmy.

Taka była ta wojna Toby'ego. W sumie, wcale nie taka zła. Czas mijał szybko. Gdy skończyła się w 1945 roku, Toby miał prawie dwadzieścia pięć lat. Na oko nie postarzał się ani trochę. Zachował słodką twarz, urzekające fiołkowe oczy i wciąż rozsiewał wokół siebie atmosferę bezradnej niewinności.

Wszyscy mówili o powrocie do domu. Na kogoś czekała narzeczona w Kansas City, na innego – rodzice w Bayonne, a na jeszcze innego – interes w St. Louis. Na Toby'ego nie czekał nikt i nic. Z wyjątkiem Sławy.

Zdecydował, że pojedzie do Hollywood. Najwyższy czas, by Bóg wywiązał się ze swoich obietnic.

– Czy znacie Boga? Czy widzieliście twarz Jezusa? Ja Go widziałem, bracia i siostry, i słyszałem Jego głos. Lecz przemawia On tylko do tych, którzy przed Nim klękają i wyznają swoje grzechy. Bóg brzydzi się tymi, którzy nie okazują skruchy. Łuk gniewu bożego jest napięty, a płomieniste strzały Jego słuszne go oburzenia skierowane są w wasze złe serca. W dowolnym momencie może On wypuścić strzałę i ukarać was, odpłacając za zło, które czynicie! Spójrzcie na Niego, zanim będzie za późno!

Josephine zerknęła w górę, na dach namiotu, przerażona, czekając na ogniste strzały, które ją trafią. Mocno ścisnęła rękę matki. Ta jednak nie zwracała na małą uwagi. Twarz miała zarumienioną z przejęcia, oczy błyszczały zapalem.

– Chwalcie Pana! – zagrzmięła kongregacja.

Spotkania na rzecz odrodzenia odbywały się w ogromnym namiocie na przedmieściach Odessy. Pani Czinski zabierała córkę na wszystkie. Ambonę stanowiła drewniana platforma wzniesiona sześć stóp nad ziemią. Tuż przed nią znajdowało się ogrodzone miejsce chwały, gdzie doprowadzano grzeszników, aby mogli się pokajać i doznać nawrócenia. Dalej ciągnęły się, rząd za rzędem, twarde, drewniane ławki, zatłoczone rozśpiewanymi fanatykami, poszukującymi zbawienia, przepelnionymi lękiem przed Piekiełm i Potępieniem. Wszystko to przerażało sześciolatnie dziecko. Kaznodzieje należeli do Fundamentalistów, ugrupowania Holly Rollers, Zielonoświątkowców, Metodystów czy Adwentystów i wszyscy ziali ogniem piekielnym i potępieniem.

– Na kolana, grzesznicy. Winniście drżeć przed mocą Jehowy Ponieważ wasze grzechy ranią serce Jezusa Chrystusa, czeka was kara spowodowana gniewem Ojca! Spójrzcie na twarze otaczających was dzieci, poczętych z chuci i przepelnionych grzechem.

A mała Josephine czerwieniła się ze wstydu, czując, że wszyscy na nią patrzą. Gdy nadchodziła migrena, wiedziała, iż jest to kara zesłana jej przez Boga. Co wieczór modliła się, aby bóle głowy zniknęły; wiedziałaby wówczas, że Bóg jej przebaczył. Pragnęła dowiedzieć się, co uczyniła, co było aż tak złe.

– I zaśpiewam Alleluja, i ty zaśpiewasz Alleluja, wszyscy zaś śpiewamy Alleluja, gdy dotrzemy do Celu.

– Alkohol jest krwią Szatana, tytoń jest jego oddechem, a nierząd jest jego przyjemnością. Czy macie na sumieniu handel z Diabełm Jeśli tak, będziecie płonąć wiecznie w ogniu piekielnym, przekłęci na wieki, ponieważ Lucyfer idzie po was!

Josephine trzęsła się cała, dzikim wzrokiem rozglądała się dookoła i kurczowo trzymała się drewnianej ławki, aby jej Diabeł nie zabrał.

– Chcę dostać się do Nieba, by spocząć po długiej drodze śpiewano, lecz mała nie zrozumiała słów i śpiewała po swoje mu:

– Chcę dostać się do Nieba, by skoczyć na drugiej nodze.

Po grzmiących kazaniach następowały Cuda. Josephine śledziła z pełną lęku fascynacją procesje kalekich kobiet i mężczyzn, którzy kulejąc szli, czołgali się lub podjeżdżali w fotelach na kółkach pod ambonę, gdzie kaznodzieja kładł na nich ręce i przekazywał moc Niebios, aby im pomóc. Odrzucali wówczas laski czy kule, a niektórzy bełkotali histerycznie w dziwnych językach, tak że mała Josephine chowała głowę ze strachu.

Spotkania na rzecz odrodzenia kończyły się zwykle zbieraniem na tacę.

– Jezus patrzy na was – i nienawidzi skąpców.

– było po wszystkim, lecz lęk jeszcze długo nie opuszczał Josephine.

W roku 1946 miasto Odessa w stanie Teksas miało szczególne upodobanie do ciemnego brązu. Kiedyś, gdy żyli tu Indianie, miasto najbardziej lubiło sobie kolor piasków pustyni. Obecnie był to kolor nafty.

W Odessie żyły dwa rodzaje ludzi: Naftowi i Inni. Naftowi nie spoglądali nawet z góry na Innych – po prostu im współczuli, gdyż z pewnością boskim zamiarem było, by

każdy miał prywatny samolot i cadillaca, i basen pływacki, i możliwość wydawania przyjęć z szampanem na sto osób. Po to przecież Bóg stworzył naftę w Teksasie.

Josephine Czinski nie wiedziała, że należy do Innych. W wieku lat sześciu była prześlicznym dzieckiem o lśniących, czarnych włosach, głębokich, piwnych oczach i pięknym owalu twarzy.

Pani Czinski była doświadczoną krawcową, która pracowała dla bogaczy i zabierała córkę ze sobą do Naftowych Dam, ilekroć zamieniała bajkowe materiały w piękne kreacje wieczorowe.

Naftowi lubili Josephine, ponieważ była miłym, grzecznym dzieckiem. A za to, że ją lubili, lubili również siebie. Czuli, że to bardzo demokratycznie z ich strony, pozwolić ubogiej dziewczynce z innej części miasta bawić się z ich dziećmi. Josephine była Polką, lecz nie wyglądała na Polkę i mimo że nigdy nie mogłaby należeć do ich Klubu, byli zadowoleni, mogąc udzielić swemu gościowi pewnych przywilejów. Josephine wolno było bawić się z Naftowymi Dziećmi ich lalkami po sto dolarów sztuka, jeździć na ich rowerach i kucykach. Doszło do tego, że prowadziła podwójne życie. Inaczej wyglądało wszystko w domu, malutkiej, drewnianej chałupce ze zniszczonymi meblami, wygodką na zewnątrz i drzwiami, które ledwie trzymały się na zawiasach. Inaczej zaś żyła w wielkich rezydencjach w stylu kolonialnym, położonych w ogromnych majątkach. Gdy spędzała noc w domu Cissy Topping czy Lindy Ferguson, dostawała dużą sypialnię wyłącznie do swojej dyspozycji, a śniadanie przynosiła jej do łóżka pokojówka, Josephine uwielbiała wstawać w środku nocy, gdy inni spali, schodzić na dół i przyglądać się pięknym rzeczom w domu: ślicznym obrazom, ciężkim srebrom zdobionym monogramami oraz antykom wypolerowanym przez czas i historię. Wpatrywała się w nie, pieściła i mówiła sobie, iż któregoś dnia ona też będzie miała takie rzeczy, któregoś dnia zamieszka we wspaniałym domu i będzie otoczona pięknem.

W obu jednak światach Josephine czuła się samotna. Bała się rozmawiać z matką o swoich bólach głowy i o swoim lęku przed Bogiem, gdyż pani Czinski stała się fanatyczką czekającą radośnie na karę boską. Josephine nie chciała również zwierzać się ze swoich lęków Naftowym Dzieciom, gdyż oczekiwano od niej, iż będzie żywa i wesoła, tak jak one. Musiała więc zachować swoje lęki dla siebie.

W siódme urodziny Josephine magazyn Brubakera ogłosił konkurs fotograficzny na Najpiękniejsze Dziecko w Odessie. Zdjęcie musiało być zrobione w dziale fotograficznym magazynu. Nagrodą był złoty puchar z wygrawerowanym nazwiskiem zwycięzcy. Puchar umieszczono na wystawie i Josephine codziennie tam zachodziła, aby się nań pogapić. Pragnęła go bardziej niż czegokolwiek dotychczas w życiu. Matka nie zgodziła się na jej udział w konkursie.

– Próżność jest zwierciadłem szatana – zawyrokowała, lecz jedna z Naftowych Kobiet zapłaciła za zdjęcie; lubiła Josephine.

Od tej chwili dziewczyna wiedziała, że puchar jest jej. Wyobrażała sobie, jak stoi na toalecie. Będzie go codziennie starannie polerować. Gdy dowiedziała się, że przeszła do finału, poczuła się zbyt zdenerwowana, aby pójść do szkoły. Cały dzień przeleżała w łóżku z rozstrojem żołądka, szczęście wręcz ją rozsadzało. Pierwszy raz będzie miała coś pięknego na własność.

Następnego dnia ogłoszono wyniki. Konkurs wygrała Tina Hudson, Naftowa Dziewczynka. Tina nie była tak piękna jak Josephine, lecz przypadkiem okazało się, że ojciec Tiny posiada niezły pakiet akcji magazynu Brubakera.

Gdy orzeczenie jury dotarło do Josephine, dostała tak silnej migreny, że miała ochotę krzyczeć. Obawiała się jednak, że Bóg się dowie, ile ten piękny złoty puchar dla niej znaczy. Najwidoczniej wiedział i tak, gdyż bóle głowy nie ustąpiły. W nocy płakała w poduszkę, aby matka jej nie słyszała.

Kilka dni po konkursie Josephine została zaproszona do Tiny na weekend. Złoty puchar stał w pokoju zwyciężczyni na gzymsie kominka. Josephine długo się weń wpatrywała.

Wracając do domu, ukryła puchar w swojej torbie. Pozostał tam do chwili, gdy matka Tiny przyszła i zabrała go z powrotem. Pani Czinski spuściła córce bolesne lanie pejczem uplecionym z długich, zielonych gałązek. Josephine nie czuła jednak złości do matki.

Te kilka minut, w ciągu których miała w ręku piękny złoty puchar, warte były każdego bólu.

Rozdział VI

W roku 1946 Hollywood w stanie Kalifornia było filmową stolicą świata, magnesem, który przyciągał utalentowanych, chciwych, pięknych, pełnych nadziei i nawiedzonych. Było krainą drzew palmowych, Rity Hayworth, Najświętszego Kościoła Uniwersalnego Ducha i Santa Anita. Było czynnikiem, który umożliwiał przeobrażenie człowieka w ciągu jednej nocy w gwiazdę; było grą pozorów, burdelem, gajem pomarańczowym, świętym przybytkiem. Było magicznym kalejdoskopem i każdy, kto weń spoglądał, widział swą własną wizję.

Dla Toby'ego Temple'a Hollywood było miejscem, do którego przywiodło go przeznaczenie. Przybył do miasta z wojskowym workiem na odzież i trzystoma dolarami w gotówce, wprowadził się do taniego pensjonatu na Cahuenga Boulevard. Musiał dostać się do filmu, zanim się kompletnie spłucze. Toby wiedział wszystko o Hollywood. Przede wszystkim musi wyglądać przyzwoicie. Udał się do sklepu z konfekcją męską na Vine Street, zakupił odzież i z pozostałymi dwudziestoma dolarami w kieszeni spacerkiem powędrował do Hollywood Brown Derby, gdzie „wielcy” przychodzili na obiady. Ściany pokrywały karykatury wybitnych aktorów. Toby wyczuwał w tym pomieszczeniu piętno przemysłu rozrywkowego, całą jego potęgę. Dostrzegł zbliżającą się ku niemu hostesę. Była to śliczna, dwudziestokilkuletnie, czerwonowłose stworzenie o sensacyjnej figurze. Uśmiechnęła się i spytała:

– Czym można służyć?

Toby nie był w stanie się jej oprzeć. Wyciągnął obie ręce przed siebie i złapał ją za piersi przypominające dwa dojrzałe melony. Na twarzy dziewczyny odmalował się szok. Już otwierała Usta do krzyku, gdy Toby nadał swym oczom szklany, niewidzący wyraz i rzekł przeproszająco;

– Proszę o wybaczenie, panienko... Jestem niewidomy.

– Och! Bardzo mi przykro! – Była pełna skruchy z powodu tego, co sobie przed chwilą pomyślała, okazała współczucie.

Ujęła Toby'ego pod ramię i podprowadziła do stolika, pomogła mu usiąść i przyjęła zamówienie. Gdy kilka minut później podeszła do niego i przyłapała go na studiowaniu obrazów na ścianach, rozpromienił się i rzekł:

– Stał się cud! Znowu widzę!

Był przy tym tak zabawny i wyglądał tak niewinnie, że nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Nie przestała się śmiać w trakcie obiadu z Tobym ani w nocy w łóżku.

Toby chwycił się najdziwniejszych prac wokół Hollywood, byle tylko znaleźć się na obrzeżach show businessu. Parkował samochody pod Ciro, a gdy podjeżdżali sławni aktorzy, otwierał im drzwi wozu z szerokim uśmiechem i odpowiednim żarcikiem. Nie zwracali na niego uwagi. Był tylko chłopcem do parkowania, nie wiedzieli nawet, że żyje. Toby obserwował piękne dziewczyny, jak wysiadają z samochodów w drogich, obcisłych sukienkach, i powtarzał sobie w duchu: Gdybyś tylko wiedziała, jak wielką gwiazdą zostanę w przyszłości, porzuciłabyś te kreatury.

Toby począł nachodzić impresariów, lecz wkrótce zorientował się, że nadaremnie traci czas. Ludzie ci gotowi byli wylizywać tyłki, ale wyłącznie gwiazdom. Nigdy, przenigdy nie

wolno szukać kontaktu z nimi. To oni muszą szukać ciebie. Nazwisko, które się najczęściej powtarzało, brzmiało: Clifton Lawrence. Pracował wyłącznie z największymi talentami i zawierał najbardziej niewiarygodne kontrakty. Któregoś dnia, myślał Toby, Clifton Lawrence zostanie moim impresario.

Zaabonował dwie „biblie” przemysłu rozrywkowego: Daily Variety i Hollywood Reporter. Dzięki nim czuł się dopuszczony do wewnętrznych tajemnic. Wytwórnia Twentieth Century–Fox zakupiła Forever Amber i reżyserię powierzono Ottonowi Premingerowi. Główną rolę w filmie Whistle Stop będzie kreować Ava Gardner, a partnerować jej będą George Raft i Joria Curtright. Scenariusz Life with Father został kupiony przez wytwórnię Warner Brothers. Nagle Toby dostrzegł wzmiankę, która przyspieszyła mu tętno: „Producent Sam Winters został mianowany wicedyrektorem do spraw produkcji w Pan–Pacific Studios”.

Rozdział VII

Gdy Sam Winters powrócił z wojny, jego stanowisko w Pan-Pacific Studios nań czekało. Pół roku później nastąpił przewrót. Dotychczasowy dyrektor wytwórni został wyrzucony, a Sama poproszono o przejęcie jego obowiązków do czasu znalezienia nowego szefa produkcji. Winters wykonywał swą pracę na tyle dobrze, iż poszukiwań zaniechano i został oficjalnie mianowany zastępcą dyrektora do spraw produkcji. Była to praca szarpiąca nerwy i wywołująca wrzody żołądka, lecz Sam kochał ją bardziej niż cokolwiek innego w życiu.

Hollywood przypominało cyrk przepelniony szalonymi, niezrównoważonymi osobnikami; pole minowe, na którym tańczyła parada idiotów. Aktorzy, reżyserzy i producenci byli, w większości, niewdzięcznymi, złośliwymi, destrukcyjnymi megalomanami i maniakami zainteresowanymi wyłącznie sobą. Jeśli idzie o Sama Wintersa, akceptował to bez zastrzeżeń, o ile mieli talent. Talent był magicznym kluczem, reszta nie była ważna.

Drzwi do gabinetu Sama otworzyły się i weszła Lucille Elkins, jego sekretarka, niosąc świeżo otwartą pocztę. Lucille była kompetentną profesjonalistką, jedną z tych, które trwają na swym stanowisku i obserwują, jak kolejni szefowie przychodzą i odchodzą.

– Clifton Lawrence czeka, aby się z panem zobaczyć – rzekła.

– Powiedz mu, żeby wszedł.

Sam lubił Lawrence'a. Miał swój styl. Fred Allen kiedyś powiedział: „Całą szczerłość Hollywood można schować w pępku komara, a zostanie jeszcze dość miejsca na cztery ziarnka kminku i serce impresaria”.

Cliff Lawrence był bardziej szczerzy niż większość jego kolegów. Stał się legendą Hollywood, a lista jego klientów obejmowała niemal całe „Who's Who” w dziedzinie przemysłu rozrywkowego. Prowadził jednoosobowe biuro i bez przerwy był w rozjazdach, pracując dla klientów w Londynie, Szwajcarii, Rzymie czy Nowym Jorku. Był w zażyłych stosunkach ze wszystkimi decydentami w Hollywood; organizował cotygodniowe wieczory karciane, w których brali udział kierownicy produkcji trzech wytwórni. Dwa razy w roku Lawrence wynajmował jacht, zapraszał kilka pięknych „modelek” i parę wpływowych osób z wytwórni na kilkudniową „wyprawę wędkarską”. Utrzymywał świetnie wyposażony nadmorski dom w Malibu, który udostępniał znajomym, ilekroć tego potrzebowali. Żył w pełnej symbiozie z Hollywood i wszyscy dobrze na tym wychodzili.

Sam patrzył, jak drzwi się otwierają i wpada Lawrence, elegant w doskonale skrojonym garniturze. Podszedł do Sama i wyciągnął nienagannie wypielęgowaną dłoń.

– Ja tylko na chwileczkę, żeby powiedzieć ci cześć. Co słychać, drogi chłopcze?

– Ujmę rzecz następująco – odparł Sam. – Jeśli dni przy równać do okrętów, to dzisiejszy będzie Titanikiem.

Clifton Lawrence zareagował współczującym pomrukiem.

– Co sądzisz o wczorajszym pokazie?

– Obetnij pierwszych dwadzieścia minut i dokręć nowe za kończenie, a będziesz miał prawdziwy hit.

– W dziesiątkę – uśmiechnął się Sam. – Właśnie to robimy.

– Nie sprzedasz mi dzisiaj żadnego klienta?

Lawrence wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Przykro mi. Wszyscy pracują.

Była to prawda. Na stadko Cliftona Lawrence’a, dobrane spośród najjaśniejszych gwiazd, a także najlepszych reżyserów i producentów, popyt był nieograniczony.

– Do zobaczenia w piątek na obiedzie, Sam – rzucił Clifton.

– Ciao. – Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

W intercomie zabrzmiał głos Lucille:

– Przyszedł Dallas Burkę.

– Daj go.

– Mel Foss chciałby się z panem zobaczyć. Twierdzi, że to pilne.

Mel Foss kierował działem telewizji w PanPacific Studios. Sam zerknął na kalendarz na biurku.

– Przekaż mu, że spotkamy się jutro rano na śniadaniu.

O ósmej. W Polo Lounge.

W sekretariacie zadzwonił telefon i Lucille podniosła słuchawkę.

– Sekretariat pana Wintersa.

Odezwał się nieznany głos.

– Cześć. Czy wielki człowiek jest u siebie?

– A kto mówi?

– Proszę mu powiedzieć, że dzwoni jego dawny kumpel Toby Temple. Byliśmy razem w wojsku. Mówił, żeby do niego zajrzeć, gdy zawitam do Hollywood. Przyjechałem.

– Jest na zebraniu, panie Temple. Jak wróci, to oddzwoni.

– Dobrze. – Podyktował swój numer telefonu, a Lucille wrzuciła go do kosza na śmieci. Nie po raz pierwszy ktoś usiłował sprzedać jej bajeczkę o dawnym kumplu z wojska.

Dallas Burkę był jednym z tych reżyserów, którzy swego czasu torowali drogę przemysłowi filmowemu. Jego taśmy pokazywano w każdej szkole poświęconej dziesiątej muzyce. Kilka z jego wcześniejszych prac uznano za klasykę; wszystkie cieszyły się opinią wybitnych i nowatorskich. Burkę dobiegał osiemdziesiątki, jego potężna sylwetka mocno się skurczyła, tak że ubranie wisało na nim jak na kołku.

– Miło cię znowu widzieć, Dallas – powiedział Sam, gdy stary człowiek wszedł do gabinetu.

– To ciebie miło widzieć, chłopcze. – Wskazał na młodego, towarzyszącego mu mężczyznę. – Znasz mojego agenta?

– Oczywiście. Cześć, Peter.

– Słyszałem, że masz jakiś pomysł – zwrócił się Sam do Dallasa Burke’a.

– Tak, piękną historię – starczy głos drżał z podniecenia.

– Umieram z ciekawości – zachęcił go Sam. – Strzelaj.

Dallas Burkę pochylił się do przodu i zaczął mówić:

– Czym wszyscy na świecie najbardziej się interesują, chłopcze? Miłością, nie? A to jest pomysł o najświętszym uczuciu, jakie w ogóle istnieje – o miłości matki do dziecka. – Jego głos potężniał w miarę, jak zagłębiał się w temacie. – Dziewiętnastoletnia dziewczyna pracuje jako sekretarka na Long Island dla bogatej rodziny. Bogatej od pokoleń. To nam daje możliwość pokazania błyszczącego tła – wiesz, o czym mówię? Ta kie kawałki z życia

wyższych sfer. Facet, dla którego ona pracuje, jest ożeniony ze skapiradłem o błękitnej krwi. Lubi swoją sekretarkę, a ona jego, mimo dużej różnicy wieku.

Słuchając jednym uchem, Sam zastanawiał się, czy historyjka okaże się kolejną wersją Back Street czy Imitation of Life. Nie miało to, co prawda, większego znaczenia, gdyż zdecydowany był ją kupić bez względu na treść. Od blisko dwudziestu lat Dallas Burke nie wyreżyserował żadnego filmu, nikt mu tego nie proponował. Sam nie potępiał za to przemysłu. Ostatnie trzy filmy starca były niezmiernie kosztownymi, staromodnymi koszmarkami ozłoconymi znanymi nazwiskami. Dallas Burke skończył się jako twórca, lecz był istotą ludzką i ciągle żył. Należało jakoś zadbać o niego, skoro nie zaoszczędził ani jednego centa. Zaproponowano mu miejsce w domu spokojnej starości dla filmowców, ale z oburzeniem odrzucił tę ofertę. „Nie chcę waszej pieprzonej dobroczynności – krzyczał. – Mówicie do człowieka, który pracował z Dougiem Fairbanksem, Jackiem Barrymore’em, Miltonem Sillsem i Billem Farnaumem. Jestem gigantem, wy karłowate sukiny!”

Był gigantem. Był legendą. Jednakże nawet legendy muszą jeść.

Gdy Sam został producentem, zadzwonił do znajomego agenta i poprosił go o przyprowadzenie Burke’a. Od tamtej pory Sam kupował od Dallasa nie nadające się do niczego pomysły za tyle pieniędzy, aby stary człowiek mógł żyć. Gdy był w wojsku podczas wojny, z daleka pilnował, aby ten układ nie uległ zmianie.

– .. tak więc – kontynuował Burke – mała wyrasta, nie znając matki, lecz ta śledzi potajemnie losy dziecka. Wreszcie, gdy dziewczyna wychodzi za mąż za bogatego lekarza, mamy wspaniały ślub. I wiesz, co się dzieje, Sam? Posłuchaj, bo to duża rzecz. Nie wpuszczają matki! Musi ukradkiem dostać się do kościoła, aby uczestniczyć w ślubie własnej córki. Zobaczysz, każdemu oczy zwilgotnieją... Dobra, to wszystko. Co o tym myślisz?

Domysły Sama były błędne. Stella Dallas. Spojrzał na agenta, który odwrócił wzrok i zmieszany wpatrywał się w czubki swoich drogich butów.

– Świetny pomysł – rzekł Sam. – Za czymś takim wytwórnia właśnie się rozgląda. – Zwrócił się do agenta. – Zadzwon do działu handlowego i popracuj z nimi trochę nad kontraktem, Peter. Zawiadomię ich, że się zgłosisz.

Impresario skinął głową.

– Powiedz im, że będą musieli dobrze za to zapłacić, bo inaczej pójde do wytwórni Warner Brothers – wtrącił Dallas Burke. – Daję ci pierwszeństwo, bo jesteśmy przyjaciółmi.

– Doceniam to – odparł Sam.

Patrzył, jak dwaj mężczyźni opuszczali gabinet. Świetnie zdawał sobie sprawę, że nie ma prawa wydawać pieniędzy wytwórni na takie sentymentalne gesty. Z drugiej jednak strony przemysł filmowy zawdzięczał co nieco ludziom pokroju Dallasa Burke’a; bez nich po prostu by nie istniał.

O ósmej następnego ranka Sam Winters podjechał pod arkady hotelu Beverly Hills. Kilka minut później przemierzał Polo Lounge, skinięciem głowy witając przyjaciół, znajomych i przedstawicieli konkurencji. W tej sali załatwiono więcej spraw w trakcie śniadań, lunchów czy koktajli niż w biurach wszystkich wytwórni razem wziętych. Foss podniósł wzrok, gdy Sam się zbliżył.

– Dzień dobry, Sam.

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i Sam zajął miejsce naprzeciwko Fossa. Przed ośmioma miesiącami Winters mianował Mela na stanowisko szefa działu telewizyjnego wytwórni. Telewizja stała się ukochanym dzieckiem w świecie rozrywki i rozwijała się w niewiarygodnym tempie. Wytwórnie filmowe, które niegdyś patrzyły z góry na jedenastą muzę, teraz ją częściowo tworzyły.

Kelnerka podeszła, żeby przyjąć zamówienia, a gdy się oddaliła, Sam zapytał:

– No i co dobrego, Mel?

Foss potrząsnął przecząco głową.

– Nic dobrego – powiedział. – Mamy kłopoty.

Sam czekał bez słowa.

– Nie nadadzą kolejnego odcinka The Raiders.

Winters spojrzał nań zdumiony.

– Serial jest chętnie oglądany. Dlaczego telewizja chce go skasować? Nie jest przecież łatwo o przebój.

– Nie chodzi o serial – odparł Foss. – Chodzi o Jacka Nolana. – Nolan był gwiazdą programu, w błyskawicznym tempie zdobył uznanie zarówno krytyki, jak i publiczności.

– A co z nim? – spytał Sam.

Foss lubił cedzić informacje i zmuszać swych rozmówców, aby je z niego wyciągali. Winters tego nie znosił.

– Nie czytałeś ostatniego numeru tygodnika Peekl – W ogóle tego nie czytam. Stek bzdur. – Uświadomił sobie nagle, ku czemu zmierza Foss. – Przygwoździli Nolana!

– Mają to czarno na białym. Ten dumny sukinsyn włożył swoją najpiękniejszą koronkową suknię i poszedł na przyjęcie.

Sfotografowano go.

– Sytuacja jest zła?

– Nie może być gorsza. Miałem wczoraj z tuzin telefonów.

Zarząd telewizji i sponsorzy chcą się wycofać. Nikt nie ma zamiaru włączyć w gównno.

– Transwestyta – mruknął Sam.

Liczył na ten program. W swoim sprawozdaniu, przygotowanym na zebranie zarządu, które miało się odbyć w przyszłym miesiącu w Nowym Jorku, podkreślał korzyści płynące z telewizji. Informacje Fossa burzyły wszystko. Strata The Raiders była prawdziwym ciosem.

Chyba, że zaradzi złu.

Gdy Winters wrócił do biura, Lucille zamachała całym plikiem notatek.

– Najpierw sprawy najpilniejsze – powiedziała. – Potrzebny pan jest...

– Później. Połącz mnie z Williamem Huntem z IBC.

Po dwóch minutach rozmawiał już z dyrektorem International Broadcasting Company. Sam darzył go sympatią; luźna znajomość trwała od lat. Hunt rozpoczynał jako młody, bystry doradca prawny korporacji i dopracował się najwyższego stanowiska. Rzadko spotykali się w interesach, gdyż Sam nie pracował bezpośrednio dla telewizji. Żałował teraz, iż tak mało czasu poświęcał Huntowi. Uzyskawszy połączenie, zmusił się do mówienia głosem człowieka w pełni zrelaksowanego.

– Dzień dobry, Bili.

– Co za miła niespodzianka – odparł Hunt. – Dużo wody upłynęło, Sam.

– Za dużo. Tak to jest z naszą pracą. Nigdy się nie ma czasu dla ludzi takich jak ty.

– To prawda.

– A przy okazji, czy przypadkiem widziałeś ten głupi artykuł w Peekl – Głos Sama brzmiał tak, jakby pytanie dopiero te raz przyszło mu do głowy.

– Wiesz, że tak – odparł Hunt spokojnie. – Właśnie dlatego zdejmujemy serial, Sam. – W jego słowach kryła się stanowczość.

– Bili, a co byś powiedział, gdybym ci zakomunikował, że oskarżenie zostało sfabrykowane?

Po drugiej stronie przewodu rozległ się śmiech.

– Powiedziałbym, że powinieneś zostać pisarzem.

– Nie żartuję – z powagą odparł Sam. – Znam Jacka Nolana.

Jest tak samo normalny, jak ty czy ja. Zdjęcie zrobiono na balu kostiumowym. Jego dziewczyna urządziła przyjęcie urodzinowe. Nolan przebrał się dla kawału. – Sam czuł, jak mu dłonie zwilgotniały.

– Nie mogę...

– Powiem ci, jak dalece ufam Jackowi – rzucił do słuchawki Winters. – Właśnie dałem mu główną rolę w Laredo, pełnometrażowym westernie przewidzianym na przyszły rok.

Chwila ciszy.

– Mówisz poważnie, Sam?

– Cholernie dobrze wiesz, że tak. Film będzie kosztować trzy miliony dolarów. Jeśli Jack Nolan okaże się pedalem, zostanie wygwizdany. Dystrybutorzy tego nie kupią. Czy wziął bym na siebie takie ryzyko, gdybym nie był pewien tego, co mówię?

– No, dobrze... – w głosie Billa Hunta pojawiło się wahanie.

– No, Bili, chyba nie pozwolisz, żeby taki Peek, publikując wszawie plotki, zniszczył karierę porządnego człowieka. Tobie przecież ten serial się podoba, prawda?

– Nawet bardzo. To cholernie dobry program. Ale sponsorzy...

– To jest twoja sieć telewizyjna. Masz więcej sponsorów niż czasu antenowego. Daliśmy ci naprawdę przebojowy serial. Ze szczęściem nie wolno igrać.

– No...

– Czy Mel Foss poinformował cię, jakie wytwórnia ma plany na przyszły rok względem The Raiders?

– Nie.

– Myślę, że chce cię zaskoczyć – powiedział Sam. – Poczekaj, aż usłyszysz, co on wymyślił! Nowe gwiazdy, najlepsi autorzy westernowi, zdjęcia kręcone w plenerze – wszystko! Jeśli The Raiders nie wyjdą na pierwsze miejsce, to ja nie znam się na niczym.

Nastąpiła chwila wahania, po czym Hunt powiedział:

– Niech Mel do mnie zadzwoni. Może spanikowaliśmy tu taj niepotrzebnie.

– Zadzwoni – obiecał Sam.

– I, Sam – rozumiesz mnie. Nie chciałem nikogo urazić.

– Oczywiście, że nie – odparł Winters wielkodusznie. Znam cię zbyt dobrze, aby coś takiego pomyśleć, Bili. I dlatego sądziłem, że winienem ci prawdę.

– Doceniam to.

– Nie poszedłbyś ze mną na lunch w przyszłym tygodniu?

– Z chęcią. Zadzwoń do ciebie w poniedziałek.

Wymienili pożegnalne frazesy i rozłączyli się. Sam siedział kompletnie wyczerpany. Jasne jak słońce, że Nolan to pedzio. Dawno już należało się go pozbyć. Cała przyszłość Wintersa zależała od takich maniaków. Kierowanie wytwórnią przypominało chodzenie po linie rozwieszanej nad wodospadem Niagara w czasie zamieci śnieżnej. Trzeba być wariatem, żeby tu pracować, pomyślał Sam. Podniósł słuchawkę prywatnego telefonu i wykręcił numer. Po chwili rozmawiał już z Melem Fossem.

– The Raiders pozostają na antenie – powiedział.

– Co takiego? – głos Mela zdradzał kompletną niewiarę.

– Tak jest. Chciałbym, żebyś pogadał z Jackiem Nolanem.

Powiedz mu, że jeśli jeszcze raz wykręci taki numer, to osobiście wyrzucę go z tego miasta z powrotem do Fire Island! I zrobię to. Jeżeli znajdzie go chęćka possania czegoś, niech weźmie banana!

Sam trzasnął słuchawką. Rozparłszy się w fotelu, zastanawiał się nad sytuacją. Zapomniał poinformować Mela o wszystkich zmianach w serialu, które już zapowiedział Huntowi. Będzie musiał znaleźć autora, który da sobie radę ze scenariuszem westernu zwanego Laredo.

Drzwi gwałtownie się otworzyły. Stała w nich blada jak ściana Lucilie, – Czy może pan pójść do hali dziesiątej? Ktoś ją podpalił.

Rozdział VIII

Toby Temple kilkakrotnie próbował dostać się do Sama Wintersa, lecz nigdy nie udawało mu się ominąć tej suki, jego sekretarki, i wreszcie zrezygnował. Obszedł wszystkie liczące się nocne kluby, ale nic mu to nie dało. Przez cały rok, aby zdobyć pieniądze, chwycił się różnych zajęć. Sprzedawał nieruchomości, polisy ubezpieczeniowe i wytworną odzież męską, czasem grywał w barach i obskurnych nocnych klubach, lecz nigdy nie przekroczył bram wytwórni.

– Źle się do tego zabierasz – powiedział jeden z przyjaciół.

– Zmuś ich, żeby przyszli do ciebie.

– Niby jak? – spytał Toby cynicznie.

– Dostań się do Actors West.

– Do szkoły aktorskiej?

– To coś więcej niż szkoła. Wystawiają sztuki, a wszystkie wytwornie w mieście przysyłają swoich obserwatorów.

Actors West nosiła piętno profesjonalizmu. Toby wyczuł to, gdy tylko przekroczył próg. Na ścianach wisiały fotografie absolwentów. Rozpoznał wśród nich wielu wziętych aktorów.

Jasnowłosa recepcjonistka siedząca za biurkiem spytała:

– Czym można służyć?

– Nazywam się Toby Temple. Chciałbym się zapisać.

– Czy ma pan jakieś doświadczenie aktorskie? – spytała.

– Hmm, nie. – odparł. – Ale ja...

Potrząsnęła głową.

– Przykro mi. Pani Tanner nie prowadzi wstępnych rozmów z kimś, kto nie posiada doświadczenia zawodowego.

Toby gapił się na nią przez chwilę.

– Pani ze mnie żartuje?

– Ależ nie. To nasza zasada. Ona nigdy...

– Nie o tym mówiłem – przerwał jej Toby. – Mam na myśli... Pani naprawdę nie wie, kim jestem?

Zerknęła na niego i powiedziała:

– Nie.

Toby cichutko westchnął.

– O Jezu! Leland Hayward miał rację. Jeśli człowiek pracuje w Anglii, Hollywood nie wie nawet o jego istnieniu. Uśmiechnął się przepaszająco. – Żartowałem. Sądziłem, że pani o mnie słyszała.

Recepcjonistka była teraz zdezorientowana, nie wiedziała, w którą wersję ma wierzyć.

– A zatem pan pracował zawodowo?

Toby zaśmiał się.

– Powiedziałbym, że tak.

Blondynka wzięła do ręki formularz.

– Jakie role pan grał? I gdzie?

– Tutaj nic – odparł Toby pospiesznie. – Ostatnie dwa lata spędziłem w Anglii. Grałem w repertuarze klasycznym.

Recepcjonistka skinęła głową.

– No tak. Pan pozwoli, że porozumiem się z panią Tanner.

To mówiąc, zniknęła w sąsiednim gabinecie. Po chwili wróciła.

– Pani Tanner przyjmie pana. Powodzenia.

Toby mrugnął na recepcjonistkę, wziął głęboki wdech i wszedł do gabinetu.

Alice Tanner była ciemnowłosą kobietą o pociągającej, arystokratycznej twarzy. Miała trzydzieści kilka lat, była o dziesięć lat starsza od Toby'ego. Siedziała za biurkiem, a widoczna część jej figury zrobiła na mężczyźnie duże wrażenie. To miejsce jest świetne, pomyślał. Uśmiechnął się jak zdobywca i powiedział:

– Jestem Toby Temple.

Alice Tanner wstała i podeszła do niego. Jej lewa noga tkwiła w ciężkiej metalowej szynie. Utykała z wprawą człowieka, który musi od dawna z tym żyć.

Choroba Heinego–Medina, zdecydował Toby. Nie wiedział, czy zrobić jakąś uwagę na ten temat, czy nie.

– Więc chce pan się zapisać na nasze kursy.

– Bardzo.

– Mogę spytać dlaczego?

Odpowiedział z udaną szczerością:

– Ponieważ wszędzie, gdzie tylko się udam, słyszę o waszej szkole i wspaniałych sztukach, które wystawiacie. Założę się, że pani nie zdaje sobie sprawy, jak dobrą opinią cieszy się to miejsce.

Przez chwilę przyglądała mu się badawczo.

– Zdaję sobie sprawę. I dlatego staram się trzymać z daleka wszelkich oszustów.

Toby poczuł, że zaczyna się rumienić. Przywołał więc swój chłopięcy uśmiech i skomentował:

– Z pewnością wielu z nich usiłuje się tu wepchać.

– Sporo – zgodziła się z nim pani Tanner. Spojrzała na wizytówkę, którą trzymała w ręku. – Toby Temple.

– Prawdopodobnie nie słyszała pani tego nazwiska – wyjaśnił – ponieważ przez ostatnie dwa lata...

– Grałem w Anglii w repertuarze klasycznym.

– Zgadza się.

Alice Tanner spojrzała na niego i powiedziała spokojnie:

– Panie Temple, Amerykanom nie wolno grać w Anglii w repertuarze klasycznym. Brytyjski związek zawodowy aktorów nie zgadza się na to.

Toby poczuł nagły skurcz w dołku.

– Należało sprawdzić to wcześniej i zaoszczędzić nam obojgu niemiłej sytuacji. Przykro mi, ale przyjmujemy tylko profesjonalistów. – Ruszyła w kierunku biurka. Rozmowa była skończona.

– Stać! – jego głos był jak uderzenie biczem.

Odwróciła się zdumiona. W tym momencie Toby sam jeszcze nie wiedział, co powie czy zrobi. Wiedział tylko, że ważyły się jego losy. Stojąca przed nim kobieta tarasowała mu drogę do wszystkiego, o czym marzył, dla zdobycia czego pracował w pocie czoła, i nie miał zamiaru jej na to pozwolić.

– Nie osądza się zdolności za pomocą reguł, proszę pani!

No, więc dobrze – nigdy nie grałem. A dlaczego? Bo ludzie tacy jak pani nie dali mi szansy. Rozumie pani? – Był to głos W.C. Fieldsa.

Alice Tanner otworzyła usta, by mu przerwać, lecz Toby nie pozwolił na to. Głosem Jimmy’ego Cagneya powiedział jej, że powinna dać biednemu chłopcu szansę, udając Jamesa Stewarta zgodził się z poprzednikiem; jako Clarke Gable marzył o współpracy z tym chłopcem, a jako Cary Grant wyrażał opinię, że chłopak jest wspaniały. W gabinecie znalazł się raptem cały zastęp najświetniejszych gwiazd Hollywood i wszyscy opowiadali śmieszne dykteryjki, jakie Toby’emu Temple’owi nigdy przedtem nie przyszły do głowy. Słowa, dowcipy wprost wylewały się z niego w szalonej desperacji. Był jak człowiek tonący w mrokach własnej niepamięci, który kurczowo chwycił się słów, gdyż tylko słowa, niczym tratwa ratunkowa, mogą utrzymać go na powierzchni. Spocony biegał po pokoju, naśladowując ruchy każdej osoby, która mówiła. Przeszedł sam siebie, wpadł w trans, zapominając, gdzie się znajduje i czego tu szuka, dopóki nie usłyszał słów: „Przestań! Przestań!”

Alice Tanner aż płakała ze śmiechu.

– Przestań! – powtórzyła, z trudem łapiąc oddech.

Powoli Toby wrócił na ziemię. Pani Tanner wyjęła chusteczkę i otarła sobie twarz.

– Pan jest wariatem – powiedziała. – Czy pan o tym wie?

Toby gapił się na nią, czując, jak duma i podniecenie powoli wypełniają go i unoszą pod niebiosa.

– Podobało się, co?

Alice Tanner potrząsnęła głową, wzięła głęboki oddech, żeby opanować śmiech, i powiedziała:

– Nie, nie bardzo.

Wściekły Toby spojrzał na nią. Śmiała się z niego, nie z jego dowcipów. Zrobił z siebie durnia.

– W takim razie z czego pani się śmiała? – spytał.

Uśmiechnęła się i odpowiedziała spokojnie:

– Z pana. To było najbardziej szalone przedstawienie, jakie kiedykolwiek widziałam. Gdzieś, za tymi wszystkimi gwiazdami filmowymi, siedzi ukryty młody i bardzo utalentowany człowiek. Nie musi pan naśladować innych. Posiada pan wrodzony dar rozśmieszania ludzi.

Toby poczuł, że gniew go opuszcza.

– Myślę, że któregoś dnia będzie pan naprawdę dobry, jeśli zechce pan nad sobą popracować. Zechce pan?

Posłał jej błogi uśmiech i odparł:

– A więc trzeba zakasać rękawy i zabrać się do roboty.

Josephine ciężko pracowała w sobotni rano, pomagając matce w sprzątanii. O dwunastej Cissy i jej przyjaciółki zabrały ją na piknik.

Pani Czinski obserwowała, jak Josephine odjeżdża długą limuzyną wypełnioną Naftowymi Dziećmi. Myślała sobie: „Któregoś dnia coś złego przytrafi się Josephine. Nie powinnam jej na to pozwolić. To są dzieci Szatana”. Zastanawiała się, czy w dziewczynce nie zadomowił się diabeł. Będzie musiała porozmawiać z wielbnym Damianem. On będzie wiedział, co zrobić.

Rozdział IX

Actors West dzieliło się na dwie sekcje: grupę pokazową, dla bardziej doświadczonych wykonawców, oraz grupę warsztatową. To aktorzy grupy pokazowej wystawiali sztuki, na które pilnie uczęszczali łowcy młodych talentów pracujący dla wytwórni. Toby'ego skierowano do grupy warsztatowej. Alice Tanner uprzedziła go, że upłynie co najmniej sześć miesięcy, może nawet rok, nim wyjdzie na scenę.

Toby uznał, że zajęcia są bardzo ciekawe, lecz brakowało mu jednego, wręcz magicznego elementu: aplauzu, śmiechu, wielbiącej go publiczności.

Przez pierwsze tygodnie prawie nie widywał dyrektorki szkoły. Od czasu do czasu Alice Tanner wpadała na zajęcia grupy warsztatowej, aby przyjrzeć się, jak przebiega praca, i rzucić słówko zachęty. Czasami mijał ją, biegnąc na ćwiczenia. Żywił jednak nadzieję na bliższe kontakty. Łapał się na tym, że często myśli o Alice Tanner. Była, jak ją Toby określał, kobietą z klasą i to przemawiało do niego; czuł, że taka kobieta mu się należy. Myśl o jej kalectwie początkowo go niepokoiła, lecz stopniowo stawała się elementem seksualnej fascynacji.

Toby ponowił prośby o przydzielenie mu roli w przedstawieniu grupy pokazowej, aby krytycy i łowcy talentów mogli go zobaczyć.

– Nie jesteś jeszcze gotów – odpowiedziała.

Stała mu na drodze, przeszkadzała w osiągnięciu sukcesu. Muszę coś z tym zrobić, postanowił.

Wystawiono kolejną sztukę grupy pokazowej. Podczas premiery Toby siedział w środkowym rzędzie obok dziewczyny imieniem Karen, grubej, niskiej aktorki charakterystycznej z jego klasy. Toby niejednokrotnie grywał z nią w różnych scenkach i wiedział o niej dwie rzeczy: nigdy nie nosiła bielizny i miała niemiły oddech. Robiła, co w jej mocy, z wyjątkiem puszczenia sygnałów dymnych, aby dać Toby'emu do zrozumienia, że ma ochotę przespać się z nim, lecz on udawał, że tego nie rozumie. Jezus, myślał, pieprzyć ją, to zupełnie jak wpaść w beczkę z gorącym sadłem.

Gdy czekali na podniesienie kurtyny, Karen pokazała mu krytyków z Herald-Express i z Los Angeles Times oraz łowców talentów z Twentieth Century-Fox, MGM i Warner Brothers. To pobudziło Toby'ego. Byli tutaj, aby obserwować aktorów na scenie, podczas gdy on musiał siedzieć na widowni jak manekin. Opanowała go nieprzeparta chęć, aby wstać, wykonać kilka swoich numerów, olśnić ich, pokazać wszystkim, co znaczy prawdziwy talent.

Przedstawienie się podobało, lecz Toby'ego absorbowała wyłącznie myśl o łowcach talentów, którzy byli w zasięgu ręki – od nich zależy cała jego przyszłość. Jeżeli Actors West stanowi dla nich przynętę, to trzeba to wykorzystać. Lecz nie ma najmniejszego zamiaru czekać na to sześć miesięcy, a nawet sześć tygodni.

Następnego dnia rano Toby udał się do gabinetu Alice Tanner.

– Jak ci się podobało przedstawienie? – spytała.

– Wspaniale – odparł Toby. – Wykonawcy byli naprawdę świetni. – Jego uśmiech wyrażał niezadowolenie z siebie. – Te raz rozumiem, co miałaś na myśli, gdy mówiłaś, że nie jestem jeszcze gotów.

– Oni mają po prostu więcej doświadczenia niż ty, ale ty masz wyjątkową osobowość. Osiągniesz sukces, tylko bądź cierpliwy.

Westchnął.

– Sam nie wiem. Może powinienem to rzucić i zająć się sprzedawaniem polis ubezpieczeniowych czy czymś takim.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Nie wolno ci tego zrobić – powiedziała. Toby potrząsnął głową.

– Po wczorajszym wieczorze opadły mnie wątpliwości. Nie wiem, czy mam talent.

– Oczywiście, że masz. Nie pozwolę ci tak mówić.

W jej głosie pojawiła się nuta, na którą Toby czekał od dawna. Nie była już nauczycielką przemawiającą do ucznia, lecz kobietą dodającą odwagi mężczyźnie, który nie jest jej obojętny. Wstrząsnął nim dreszcz satysfakcji.

Bezradnie wzruszył ramionami.

– Sam już nic nie wiem. Czuję się samotny w tym mieście. Nie mam z kim porozmawiać.

– Zawsze możesz porozmawiać ze mną, Toby. Chciałabym być twoją przyjaciółką.

Słyszał w jej głosie chrypkę wywołaną seksualnym podnieceniem. Wpatrywał się w nią, a w jego oczach widniała obietnica szczęścia. Nie protestowała, gdy przeszedł przez pokój i zamknął drzwi na klucz. Wrócił do niej, opadł na kolana i wtulił głowę w jej łono. Gdy poczuł dotknięcie jej palców na włosach, podniósł powoli spódnicę, odsłaniając kalekie udo uwięzione w twardej, metalowej szynie. Łagodnie odpiął protezę i czule ucałował czerwone znaki pozostawione przez stalowe uchwyty. Powoli odpiął jej pas do pończoch, nie przestając opowiadać o swej miłości i pożądaniu, schodząc z pocałunkami coraz niżej, aż do wilgotnych warg, odsłoniętych tuż przed nim. Zaniósł ją na głęboką, skórzaną kanapę i tam się z nią kochał.

Tego wieczoru Toby wprowadził się do Alice Tanner.

Tej samej nocy w łóżku odkrył, że Alice Tanner była straszliwie samotną kobietą, rozpaczliwie tęskniącą za kimś, z kim mogłaby porozmawiać, kogo mogłaby kochać. Urodziła się w Bostonie. Jej ojciec był zamożnym przemysłowcem; dawał jej sporo pieniędzy, lecz nie poświęcał najmniejszej uwagi. Alice kochała teatr, chciała zostać aktorką. W czasie studiów zaraziła się chorobą Heinego–Medina, co na zawsze położyło kres jej marzeniom. Opowiedziała Toby’emu, jak bardzo choroba wpłynęła na jej życie. Chłopak, z którym była zaręczona, porzucił ją na pierwszą wzmiankę o kalectwie. Alice opuściła dom i wyszła za mąż za psychiatrę, który popełnił samobójstwo pół roku później. Emocje wylewały się z niej w gwałtownym wybuchu aż do pełnego wyczerpania; zupełnie jakby dotychczas tkwiły w niej niczym w zakorkowanej butelce. Poczła się spokojna i cudownie zaspokojona.

Toby doprowadził Alice niemal do omdlenia z rozkoszy. Wypełnił ją swym ogromnym członkiem i powoli zataczał kręgi biodrami, aż zdawało mu się, że dotyka każdego kawałka jej ciała. Jęczała.

– Och, najmilszy, tak bardzo cię kocham. O Boże, jak ja to kocham!

W sprawach szkoły natomiast, co Toby szybko odkrył, nie uzyskał na nią najmniejszego wpływu. Namawiał ją, aby obsadziła go w najbliższym przedstawieniu grupy

pokazowej, aby przedstawiła go reżyserom i poleciła decydującym z wytwórni, lecz Alice była stanowcza.

– Tylko sobie zaszkodzisz tym pośpiechem. Naczelna zasada brzmi: najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Jeśli nie spodobaś się im od razu, już nigdy nie zechcą oglądać cię po raz wtóry. Musisz się przygotować.

Ledwie padły te słowa, stała się wrogiem. Była przeciwko niemu. Toby przełknął wściekłość i zmusił się do miłego uśmiechu.

– Jasne. To tylko niecierpliwość. Chcę osiągnąć sukces także dla ciebie, nie tylko dla siebie.

– Naprawdę? Och, Toby, tak bardzo cię kocham!

– Ja też cię kocham, Alice – uśmiechnął się do jej pełnych uwielbienia oczu. Wiedział, iż będzie musiał przechrzyć jakoś tę sukę przeszkadzającą mu w spełnieniu pragnień. Nienawidził jej, pragnął ukarać.

W łóżku zmuszał ją do rzeczy, których nigdy przedtem nie robiła, rzeczy, o które nawet kurwy nigdy nie prosił. Wykorzystywał jej usta, język, palce. Popychał ją wciąż dalej i dalej w kierunku pełnego upokorzenia. A ilekroć zmusił ją do bardziej poniżającego aktu, chwalił ją, ale tak, jak się chwali psa za opanowanie nowej sztuczki. Ona zaś była szczęśliwa, że mogła go zadowolić. A im bardziej ją poniżał, tym bardziej sam czuł się upokorzony. Karał sam siebie, lecz zupełnie nie wiedział dlaczego.

Miał pewien plan, a okazja do wprowadzenia go w czyn przyszła wcześniej, niż oczekiwał. Alice Tanner zapowiedziała, iż grupa warsztatowa zorganizuje prywatne przedstawienie w następny piątek. Przedstawienia takie były przeznaczone dla bardziej zaawansowanych studentów i prywatnych znajomych. Każdy uczestnik miał przygotować wybrany przez siebie numer. Toby zdecydował się na monolog i ćwiczył go bez końca.

W dniu przedstawienia doczekał do końca zajęć i podszedł z prośbą do Karen, grubej aktorki, która siedziała obok niego w wieczór pamiętnej premiery.

– Zrobisz coś dla mnie? – spytał dość obojętnie.

– Jasne. – Jej głos zdradzał zdumienie i ochotę.

Toby zrobił krok do tyłu, aby nie czuć jej oddechu.

– Chcę zrobić kawał staremu przyjacielowi. Chciałbym, że byś zadzwoniła do sekretarki Cliftona Lawrence'a, przedstawiła się jako sekretarka Sama Goldwyna i powiedziała, że pan Goldwyn życzy sobie, aby pan Lawrence wpadł na dzisiejsze przedstawienie obejrzyć nowego, świetnego komika. Bilet będzie czekał na niego w kasie.

Karen gapiła się na niego.

– Jezu, stara lady Tanner urwie mi głowę. Wiesz, że nie pozwala obcym wchodzić na przedstawienia grupy warsztatowej – Wszystko będzie w porządku, możesz mi wierzyć. – Ujął jej łokieć i uściśnął. – Co robisz dziś po południu?

Przełknęła; jej oddech uległ nieznacznemu przyspieszeniu.

– Nic... chyba że ty masz na coś ochotę.

Mam na coś ochotę.

Trzy godziny później rozanielona Karen wykonała telefon.

Audytoryum wypełniali aktorzy z różnych klas oraz zaproszeni przez nich goście, lecz Toby widział tylko jedną osobę – mężczyznę siedzącego w skrajnym fotelu trzeciego rzędu.

Obawiał się, że jego podstęp nie wypali. Z pewnością człowiek tak mądry jak Clifton Lawrence przejrzy jego zagrywkę. Lecz nie przejrzał. Przeszedł.

Na scenie chłopak i dziewczyna występowali w scenie z *The Seagull*. Toby miał nadzieję, że Clifton Lawrence nie opuści teatru z ich powodu. Wreszcie scenka dobiegła końca, aktorzy skłonili się i zeszli z podium.

Nadeszła kolej na Toby'ego. W kulisach podeszła do niego niespodziewanie Alice.

– Powodzenia, kochanie – wyszeptła nieświadoma, że to powodzenie siedziało na widowni.

– Dziękuję, Alice.

Toby zmówił w duchu modlitwę, rozprostował ramiona, wyskoczył na scenę i powitał publiczność chłopięcym uśmiechem.

– Cześć wam. Jestem Toby Temple. Hej, czy zastanawialiście się, choć przez chwilę, nad imionami i nad tym, jak nasi rodzice je wybierają? Po wariacku. Spytałem kiedyś moją matkę, dlaczego nazwała mnie Toby. Powiedziała, że wystarczyło jej spojrzeć na moją gębę.

Śmiano się, lecz głównie z powodu jego wyglądu. Stojący na podium chłopak sprawiał wrażenie niewinnego marzyciela i z miejsca podbił serca wszystkich. Dowcipy, które opowiadał, były straszne, lecz nie miało to żadnego znaczenia. Zdawał się tak podatny na ciosy, że widzowie mieli ochotę go chronić – za pomocą śmiechu i aplauzu. Na Toby'ego spłynął dar miłości, wypełniając go wesołością niemal do granic wytrzymałości. Był Edwardem G. Robinsonem i Jimmi'em Cagneyem i właśnie Cagney mówił:

Ty brudny szczurze! Sądzisz, że komu wydajesz rozkazy?

A na to Robinson:

– Tobie, ty śmieciu. Jestem Małym Cesarzem. Jestem szefem. A ty jesteś niczym. Wiesz, co to znaczy?

– Taa, brudny szczurze. Jesteś szefem niczego.

Śmiech. Publiczność uwielbiała Toby'ego.

Bogart także tam był i warczał:

– Naplułbym ci w oczy, ty gnoju, gdyby mi warga nie uwieźła nad zębami.

Widzowie byli zachwyceni.

Toby uraczył ich z kolei swoim Peterem Lorrem.

– Widziałem, jak mała dziewczynka bawiła się tym w swoim pokoju. Podnieciło mnie to. Sam nie wiem, co mnie naszło, nie mogłem się powstrzymać. Wślizgnąłem się do jej pokoju.

Ciągnąłem za sznurek coraz mocniej i mocniej, aż popsułem jej. Publiczność zanosila się od śmiechu.

Przełączył się na Laurela i Hardy'ego, gdy jakiś ruch na widowni zwrócił jego uwagę. Spojrzał. Clifton Lawrence wychodził właśnie z teatru.

Resztę wieczoru Toby pamiętał jak przez mgłę.

Gdy przedstawienie się skończyło, podeszła doń Alice Tanner.

– Kochanie, byłeś cudowny! Ja...

Nie mógł znieść jej widoku; nie mógł znieść, by ktokolwiek na niego patrzył. Pragnął być sam w swoim nieszczęściu, aby przemóc ból, który go rozrywał na strzępy. Świat wokół niego się zawalił. Miał wreszcie swoją szansę i zawiódł. Clifton Lawrence wyszedł w trakcie

jego występu, nie doczekał nawet do końca. Niewątpliwie umiał rozpoznać prawdziwy talent, był profesjonalistą i miał do czynienia z najlepszymi. Jeśli uważał, że Toby niczego sobą nie reprezentuje... Poczł mdłości.

– Idę na spacer – powiedział do Alice.

Poszedł w dół Vine Street i Gower, minął wytwórnie Columbia Pictures, RKO i Paramount. Wszystkie bramy były zaryglowane. Powędrował wzdłuż Hollywood Boulevard i przyjrzał się wielkiemu drwiącemu neonowi na wzgórzu: HOLLYWOODLAND. Nie ma żadnej krainy Hollywood. Jest tylko stan umysłu, miraż, który pcha tysiące skądinąd normalnych ludzi w szaleństwo: obłędne pragnienie, aby za wszelką cenę zostać gwiazdą. Słowo Hollywood stało się magnesem, pułapką przyciągającą ludzi cudownymi obietnicami spełnienia wszelkich marzeń i niszczącą ich na koniec.

Toby włoczył się po ulicach, całą noc dumając o tym, co powinien teraz uczynić ze swoim życiem. Jego wiara w siebie uległa zachwianiu; czuł się pozbawiony korzeni, zdany na łaskę losu. Nigdy przedtem nie wyobrażał sobie, że mógłby robić cokolwiek innego niż zabawianie ludzi; a jeśli nie może tego robić, każde inne, dostępne mu zajęcie stanie się tylko nudną, monotonna pracą, na którą będzie skazany do końca życia. Zostanie panem Anonimem. Nikt nigdy nie dowie się, kim był. Myślał o długich, jałowych latach, o gorzkiej samotności w tysiącach bezimiennych miast, o ludziach, którzy śmiali się i oklaskiwali go, którzy go kochali. Toby zapłakał. Płakał nad przeszłością i nad przyszłością.

Płakał, ponieważ był martwy.

Był już świt, gdy Toby wrócił do białego, zdobionego stiukami bungalowu, który dzielił z Alice. Wszedł do sypialni i przyjrzał się śpiącej. Kiedyś sądził, że ona otworzy mu drzwi do zaczarowanego królestwa, lecz zaczarowane królestwo nie istniało. Przynajmniej dla niego. Wyjedzie. Nie wiedział tylko dokąd. Miał już prawie dwadzieścia siedem lat i żadnej przyszłości.

Wyczerpany położył się na tapczanie. Przymknął oczy i słuchał odgłosów budzącego się miasta. Poranne dźwięki wszystkich miast są takie same. Wspomniał Detroit. Matkę. Stała przy kuchni, piekąc dla niego ciastka z jabłkami. Niemal czuł jej cudowny, kobiecy zapach zmieszany z wonią jabłek duszonych na maśle. Mówiła: Bóg chce, abyś został sławny.

Stał sam jeden na ogromnej scenie, oślepiiony światłem reflektora, usiłując przypomnieć sobie słowa tekstu. Próbował mówić, lecz nie mógł wydobyć głosu. Czuł, jak narasta w nim panika. Na widowni rozległ się rumor i Toby poprzez oślepiające światło dostrzegł, że widzowie zrywają się ze swych miejsc i pędzą ku niemu, aby go zaatakować, aby go zabić. Ich miłość przerodziła się w nienawiść. Otoczyli go ze wszystkich stron, szarpali i krzyczeli: „Toby! Toby! Toby!”

Obudził się nagle, usta miał suche z przerażenia. Alice Tanner, pochylona, potrzęsała nim.

– Toby! Telefon. Dzwoni Clifton Lawrence.

Biuro Cliftona Lawrence’a znajdowało się w niewielkim eleganckim budynku przy Beverly Drive, na południe od Wilshire. Na zdobionej rzeźbami boazerii wisiły dzieła francuskich impresjonistów, przed kominkiem z ciemnozielonego marmuru stała sofa i kilka antycznych foteli otaczających wykwintny stolik do herbaty. Toby w życiu czegoś takiego nie widział.

Zgrabna, czerwonowłosa sekretarka nalewała herbatę.

– Jaką herbatę pan pije, panie Temple?

Pan Temple!

– Proszę jedną kostkę.

– Proszę – uśmiechnęła się i już jej nie było.

Toby nie zdawał sobie sprawy, że chodzi o gatunek herbaty specjalnie importowany od Fortnuma i Masona ani że parzono ją w specjalny sposób, za to wiedział, iż smakuje wybornie. Co prawda wszystko w tym gabinecie było cudowne, zwłaszcza drobny, elegancki, siedzący w fotelu mężczyzna, który bacznie mu się przyglądał. Clifton Lawrence był niższy, niż Toby oczekiwał, lecz emanowało z niego poczucie władzy i potęgi.

– Nie umiem wyrazić, jak bardzo cenię sobie to spotkanie powiedział Toby. – Przykro mi, że wmanewrowałem pana...

Clifton Lawrence odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Wmanewrowałeś? Jadłem wczoraj lunch z Goldwynem, Poszedłem na to przedstawienie, bo chciałem się przekonać, czy w tym przypadku talent dorównuje tupetowi. Dorównuje.

– Ale przecież pan wyszedł... – wykrzyknął Toby.

– Drogi chłopcze, nie trzeba zjeść całego słoika kawioru, aby przekonać się, że jest dobry, prawda? W minutę zorientowałem się, co jesteś wart.

Toby czuł, jak narasta w nim euforia. Po czarnej desperacji zeszłej nocy zostać wyniesionym na takie wyżyny, otrzymać z powrotem swoje życie...

– Mam przecucia co do ciebie, Temple – powiedział Lawrence. – Budowanie od podstaw kariery młodego człowieka musi być fascynujące. Postanowiłem wciągnąć cię na listę klientowi...

Radość rozsadzała Toby'ego. Chciało mu się wstać i głośno krzyknąć. Clifton Lawrence będzie moim agentem!

– .. prowadzić pod jednym warunkiem – ciągnął impresario. – Będziesz robił dokładnie to, co ci każę. Nie znoszę fanaberii. Jeden wyskok i z nami koniec. Rozumiesz?

Toby pospiesznie skinął głową.

– Tak, proszę pana, rozumiem.

– Po pierwsze, musisz poznać prawdę. – Uśmiechnął się do Toby'ego. – Grasz bardzo źle. Tak źle, że gorzej nie można.

Jakby dostał kopa w żołądek. Najwyraźniej Lawrence ściągnął go tutaj, aby ukarać za ten głupi telefon; nie będzie go prowadził. On...

– Wczoraj było przedstawienie amatorskie i tym właśnie jesteś: amatorem – kontynuował mały impresario. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. – Powiem ci, czym dysponujesz, a także co jest niezbędne, aby zostać gwiazdą.

Toby siedział nieporuszony.

– Najpierw materiał – mówił Clifton. – Nadaje się wyłącznie nie do powieszenia w ustronnym miejscu.

– Tak, proszę pana, niektóre teksty mogą być nieco chropawe, ale...

– Dalej. Brak ci własnego stylu.

Toby poczuł, że dłonie zwijają mu się w pięści.

- Sądziłem, że publiczność...
- Następnie, nie umiesz się ruszać, przypominasz śniętą rybę.

Toby milczał.

Mały agent podszedł do siedzącego, popatrzył nań z góry i powiedział miękko, jakby czytając w myślach chłopaka:

– Jeżeli jesteś taki zły, to co właściwie tutaj robisz? Jesteś tu, ponieważ masz coś, czego nie kupi się za żadne pieniądze. Gdy stoisz na scenie, publiczność miałaby ochotę cię zjeść. Kochają cię. Czy masz pojęcie, ile to warte?

Toby wciągnął powietrze i usiadł wygodniej.

– Słucham?

– Więcej niż mógłbyś sobie wyobrazić. Mając dobre teksty i przygotowanie, możesz zostać gwiazdą.

Toby siedział, pławiąc się w ciepłe słów Lawrence'a. Miał uczucie, że wszystko, co w życiu zrobił, wiodło do tego momentu, jakby już osiągnął cel, już był gwiazdą. Tak jak obiecała mu matka.

– Kluczem do sukcesu w rozrywce jest osobowość wykonawcy – ciągnął impresario. – Nie da się tego ani kupić, ani naśladować. Trzeba się z tym urodzić. Należysz do tych szczęśliwców, drogi chłopcze. – Zerknął na złotego piageta na ręku.

– Zaaranżowałem ci spotkanie o drugiej z O'Hanlonem i Raingerem. To najlepsi autorzy w branży rozrywkowej. Pracują dla czołowych aktorów estradowych.

– Chyba nie będę miał dosyć pie... – odparł Toby nerwowo.

Agent uczynił bagatelizujący gest.

– Nie musisz się o to martwić, chłopcze. Oddasz mi później.

Jeszcze długo po wyjściu Toby'ego Clifton Lawrence siedział, dumając o nim. Uśmiechał się na wspomnienie niewinnej twarzy o szeroko rozstawionych fiołkowych oczach i ich szczerym, ufnym spojrzeniu. Od wielu lat nie zdarzyło się, by agent reprezentował kogoś nieznanego. Jego klienci należeli do czołówki, wytwornie ubiegały się o ich usługi. Z życia Lawrence'a dawno zniknęło podniecenie. Minione dni były zabawniejsze, bardziej stymulujące. Wziąć tego surowego chłopaka i przerobić na mistrza – to dopiero zadanie. Clifton czuł, że ten eksperyment da mu dużo zadowolenia. Toby mu się spodobał. Naprawdę, bardzo się spodobał.

Spotkanie odbyło się w wytwórni Twentieth Century-Fox przy Pico Boulevard w zachodnim Los Angeles, gdzie O'Hanlon i Rainger mieli swoje biura. Toby oczekiwał czegoś luksusowego, czegoś w rodzaju gabinetu Lawrence'a, lecz pokoje pisarzy były szare i brudne. Mieściły siew niewielkim, drewnianym baraku na terenie wytwórni.

Niechlujna sekretarka w średnim wieku wpuściła Toby'ego do gabinetu. Ściany były pomalowane na kolor brudnozielony, a jedyną ozdobę stanowiła wyszczerbiona tabliczka z napisem „DO WYKONANIA”, w którym ostatnie litery były mocno ściśnięte. Połamane żaluzje przepuszczały część promieni słonecznych, które kładły się na brudnym, brązowym dywanie wytartym aż do osnowy. W pomieszczeniu stały dwa zniszczone biurka zestawione plecami. Wszędzie piętrzyły się stosy papierów, ołówków i kartonowe kubki częściowo wypełnione wystygłą kawą.

– Cześć, Toby. Wybacz ten bałagan, sprzątaczką ma dzisiaj wolne – powitał go O’Hanlon. – Jestem O’Hanlon. – Wskazał swego partnera. – A to jest... eee...

– Rainger.

– A tak, to jest Rainger.

O’Hanlon był duży i gruby, nosił okulary w rogowej oprawie. Rainger był drobny i szczupły. Obaj byli niewiele po trzydziestce i jako para autorska odnosili sukcesy od dziesięciu lat. Jak długo Toby pracował z nimi, nigdy w myślach nie nazywał ich inaczej jak „chłopcy”.

– Rozumiem, że wy dwaj macie napisać dla mnie parę dowcipów – powiedział Toby.

O’Hanlon i Rainger wymienili spojrzenia. Rainger odezwał się:

– Cliff Lawrence sądzi, że mógłbyś stać się nowym seksualnym symbolem Ameryki. Zobaczmy, co umiesz. Możesz coś zagrać?

– Jasne – odparł Toby. Nagle przypomniał sobie opinię Lawrence’a i stracił pewność siebie.

Obaj autorzy siedli na kanapie i skrzyżowali ramiona.

– Zabaw nas – rzekł O’Hanlon Toby spojrzał na nich.

– Ot tak, po prostu?

– A co byś chciał? – spytał Rainger. – Uwertury odegranej przez orkiestrę symfoniczną? – Zwrócił się do O’Hanlona. – Dzwon do działu muzycznego.

Ty chuju, pomyślał Toby, masz u mnie krechę, obaj macie. Wiedział, do czego zmierzali. Chcieli, żeby się zbłaźnił. Mogliby wówczas pójść do Lawrence’a i powiedzieć: Nie możemy mu pomóc. Z niego się nie da niczego wykrzesać. Nie miał zamiaru pozwolić im wyłgać się w ten sposób. Zmusił się do uśmiechu i przystąpił do wykonywania numeru Abbotta i Costello.

– Hej, Lou, powinieneś się wstydzić. Stajesz się żebrakiem. Dlaczego nie wyjdiesz poszukać sobie pracy?

– Mam już pracę.

– Jaką?

– Szukam pracy.

– To nazywasz pracą?

– Oczywiście. Jestem cały dzień zajęty, zawsze w tych samych godzinach, a na obiad wracam do domu...

Tamci dwaj przyglądali się Toby’emu uważnie, ważąc i analizując każdy gest. Lecz w połowie skeczu zaczęli rozmawiać, jakby aktora nie było w pokoju.

– Nie umie stać.

– Macha rękoma, jakby drwa rąbał. Może napisać dla niego coś o drwału.

– Za bardzo szarżuje, – Jezus! A ty byś nie szarżował przy takim tekście?

Toby tracił humor z każdą chwilą. Nie musi przecież tu stać i dać się obrażać przez dwóch wariatów. I tak napiszą dla niego jakiś wszawy tekst.

Wreszcie nie wytrzymał. Przerwał.

– Nie potrzebuję was, bękarty! – Głos drżał mu z wściekłości. – Dziękuję za gościnność. – Skierował się do drzwi.

Rainger wstał szczerze zdumiony.

– Hej! Co z tobą?
Toby odwrócił się pełen furii.
– A jak, kurwa, myślisz? Ty... ty... – był tak sfrustrowany, że z trudem powstrzymywał łzy.
Rainger, zmieszany, zwrócił się do O’Hanlona.
– Chyba zraniliśmy jego uczucia.
– Orany.
Toby zaczerpnął powietrza.
– Posłuchajcie, wy dwaj, w nosie mam, że mnie nie lubicie, ale...
– Ależ my cię kochamy! – wykrzyknął O’Hanlon.
– Bardzo cię lubimy – zawtórował Rainger.
Toby spoglądał to na jednego, to na drugiego w kompletnym oszołomieniu.
– Cooo? Zachowywaliście się tak...
– Wiesz, na czym polega twój problem, Toby? Czujesz się niepewny. Odpręż się. Jasne, wiele jeszcze musisz się nauczyć. Z drugiej strony, gdybyś był Bobem Hope’em, nie przyszedłbyś tutaj.
– A wiesz dlaczego? – dodał O’Hanlon. – Bob pojechał dziś do Carmelu.
– Gra w golfa. A ty grasz? – spytał Rainger.
– Nie.
Dwaj pisarze popatrzyli na siebie z przestraszaniem.
– Diabli wzięli wszystkie dowcipy o golfie. Cholera! O’Hanlon podniósł słuchawkę telefonu.
– Zsa Zsa, przynieś trochę kawy, dobrze? Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Toby’ego.
– Czy wiesz, ilu potencjalnych humorystów jest w tej jakże dziwnej i uroczej branży, w której tkwimy?
Toby potrząsnął głową.
– Mogę ci powiedzieć dokładnie. Trzy miliardy siedemset dwadzieścia osiem milionów, dane z szóstej wczorajszego wieczoru. Nie obejmują również braci Milтона Berle’a. Przy pełni księżyca wszyscy oni wypelzają z drewnianych ścian domów.
Ale naprawdę dobrych humorystów jest zaledwie kilku. Reszta się nie przebiję. Komedia jest najpoważniejszą branżą na świecie. Bycie śmiesznym to diabelnie ciężka praca, zarówno dla komika, jak i dla humorysty.
– Co za różnica?
– Ogromna. Humorysta otwiera drzwi do krainy śmiechu.
Komik śmiesznie otwiera drzwi.
– Czy zastanawiałeś się kiedyś, co sprawia, że jeden komik staje się objawieniem, a drugi – nieporozumieniem? – spytał Rainger.
– Tekst – odparł Toby, chcąc im pochlebić.
– Gównno tam. Arystofanes był ostatnim, który wymyślił no wy dowcip. Wszystkie są do siebie zasadniczo podobne. George Burns może opowiadać te same kawały, które przed chwilą opowiedział kto inny, i ludzie będą się bardziej śmiali. Wiesz dlaczego? Osobowość.
To samo mówił Clifton Lawrence.

– Bez niej jesteś zerem, nikim. Na niej budujesz swój styl.

Weź takiego Hope'a. Gdyby wyszedł na scenę i wygłosił mono log Jacka Benny'ego, świat by się chyba zawalił. Dlaczego? Bo stworzył swój styl i tego oczekuje publiczność. Gdy pojawia się Hope, chcą słyszeć jego błyskotliwe dowcipy. To taka sympatyczna, cwana gapa, facet z dużego miasta, który nic, tylko zbiera guzy. Jack Benny stanowi jego przeciwieństwo. Nie wiedział by, co zrobić z tekstem Boba Hope'a, ale może dwie minuty pomilczeć, a widownia będzie aż piszczeć z uciechy. Każdy z braci Marx ma odrębny styl; Fred Allen jest indywidualnością.

Tym sposobem doszliśmy do ciebie. Wiesz, jaki jest kłopot z tobą, Toby? Jesteś po trosze każdym z nich. Naśladujesz wszystkich wielkich. W porządku, jeżeli chcesz ich odgrywać do końca życia; lecz jeśli chcesz pójść w górę, musisz stworzyć własny styl. Żeby publiczność wiedziała, że widzi na scenie Toby'ego Temple'a, zanim usta zdążysz otworzyć. Chwytasz?

– Tak.

Odezwał się O'Hanlon.

– Wiesz, czym dysponujesz, Toby? Masz przemiłą, kochaną twarz. Gdybym nie był już zaręczony z Clarkiem Gable'em, zwariowałbym na twoim punkcie. Jest wokół ciebie atmosfera słodkiej naiwności. Trzeba to tylko dobrze opakować i całość będzie warta pieprzoną fortunę.

– Żeby nie wspomnieć o szczęściu w pieprzeniu – dorzucił Rainger.

– Możesz sobie pozwolić na rzeczy, które innym nie ujdą.

Podobna jest sytuacja, gdy mały chłopiec użyje czteroliterowego słowa – ludzie śmieją się, gdyż nie wierzą, że on naprawdę rozumie, co mówi. Gdy tu wszedłeś, spytałeś, czy jesteśmy facetami, którzy będą ci pisać dowcipy. Odpowiedź brzmi: nie.

To nie sklep z dowcipami. Naszym zadaniem jest pokazać ci, co masz i jak tego używać. Mamy zamiar wykroić dla ciebie twój styl. No, i co ty na to?

Toby przeniósł wzrok z jednego na drugiego, uśmiechnął się uszczęśliwiony i powiedział:

– No to zakasujmy rękawy i do roboty.

Od tej pory Toby codziennie jadał lunch z O'Hanlonem i Raingerem w Twentieth Century-Fox. Kantyna wytwórni była ogromnym pomieszczeniem, w którym wprost roiło się od gwiazd. Niemal codziennie Toby widywał Tyrone'a Powera, Lorette Young, Betty Gracie, Dona Ameche'a, Alice Faye, Richarda Widmarka, Victora Mature'a, braci Ritz i wielu, wielu innych. Niektórzy siadali przy stolikach w sali ogólnej, inni woleli jeść tuż obok, w małej jadalni przeznaczonej dla zarządu. Toby uwielbiał ich obserwować. Już wkrótce zostanie jednym z nich, ludzie będą go prosić o autograf. Znajdował się na najlepszej drodze i niedługo przerośnie ich wszystkich.

Alice Tanner była zachwycona sytuacją Toby'ego.

– Wiem, że odniesiesz sukces, kochanie. Dumna jestem z ciebie.

Toby tylko uśmiechał się do niej i nie odpowiadał.

Toby, O'Hanlon i Rainger prowadzili długie dyskusje nad postacią, którą aktor miał wykreować.

– Powinien sobie wyobrażać, że jest wyrafinowanym, światowym człowiekiem – mówił O’Hanlon. – Lecz gdy się już do czegoś zabiera, zawodzi na całej linii.

– Czym się trudni? – spytał Rainger. – Grą pólówek?

– Taki ktoś powinien mieszkać z matką. Kocha pewną dziewczynę, ale boi się z nią ożenić ze strachu przed opuszczeniem domu. Już od pięciu lat są zaręczeni.

– Od dziesięciu – będzie śmieszniej.

– Racja. Zrobimy dziesięć. Najgorszemu wrogowi nie życzę takiej matki. Ilekroć Toby chce się żenić, ona zapada na zdrowiu. Co tydzień studiuje nowinki medyczne w magazynie Time.

Toby, zafascynowany, przysłuchiwał się błyskotliwemu dialogowi. Nigdy przedtem nie pracował z profesjonalistami. Był w siódmym niebie, zwłaszcza że znajdował się w centrum uwagi. Pisanie scenariusza zajęło O’Hanlonowi i Raingerowi trzy tygodnie. Gdy wreszcie pokazali go Toby’emu, był zachwycony. Było to dobre. Pod wpływem jego sugestii kilka linijek dorzucono, kilka wykreślono i był gotów. Clifton Lawrence go wezwał.

– Debiutujesz w Bowling Bali w sobotę wieczór.

Toby tylko się gapił. Oczekiwał, że wystąpi w Ciro czy Trocadero.

– Co... co to jest Bowling Bal!?

– Mały klub na południowym krańcu Western Avenue.

Toby’emu zrzęda mina.

– Nigdy o takim nie słyszałem.

– A oni nigdy nie słyszeli o tobie, i o to chodzi, drogi chłopcze. Jeśli tam zrobisz klapę, nikt się nigdy o tym nie dowie.

Z wyjątkiem Cliftona Lawrence’a.

Bowling Bali okazało się rudera. Nie dałoby się inaczej tego określić. Stanowiło wierną kopię dziesiątków tysięcy małych barów rozsianych po całym kraju, dziurę, w której życiowi pechowcy mogą do woli tankować. Toby grywał w takich miejscach w różnych miastach tysiące razy. Ich klientelę stanowili niemal wyłącznie mężczyźni w średnim wieku, wypełniający rytuał spotykania się z kolegami, zaczepiania zmęczonych kelnerek w mini spódniczkach i wydekoltowanych bluzkach, wymieniania niewybrednych dowcipów nad kieliszkiem nie rozcieńczonej whisky lub kuflem piwa. Występy odbywały się na niewielkiej wolnej powierzchni w najdalszym krańcu sali. Grało tam trzech znudzonych muzyków. Przedstawienie otworzył piosenkarz – homoseksualista; jako drugi wystąpił odziany w trykoty tancerz – akrobata; następna była striptizerka pracująca z senną kobrą.

Toby siedział na zapleczu w towarzystwie Cliftona Lawrence’a, O’Hanlona i Raingera. Obserwował przedstawienie, wsłuchiwał się w reakcje publiczności, starając się ocenić panujący nastrój.

– Żłopiąca piwo hołota – odezwał się Toby pogardliwie.

Clifton chciał już coś odpowiedzieć, lecz powstrzymał się, widząc jego twarz. Chłopak był przerażony. Agent wiedział, że Toby grywał już w takich miejscach wielokrotnie, lecz ten występ miał inny charakter. Stanowił egzamin. Clifton powiedział łagodnie:

– Jeżeli uda ci się podbić tę hołotę, to zdobycie elity będzie jak zjedzenie bułki z masłem. Ci ludzie całymi dniami ciężko pracują, Toby. Gdy już wieczorem wychodzą, chcą za swoje grosze coś dostać. Jeżeli ich zdołasz rozśmieszyć, potrafisz rozśmieszyć każdego.

W tym momencie znudzony konferansjer zaanonsował Toby'ego.

– Spraw, żeby tarzali się ze śmiechu, zdobywco! – powiedział O'Hanlon.

Toby wszedł na salę.

Stał na scenie, czujny i napięty, taksując publiczność niczym dzikie zwierzę, wietrzące, czy znikąd nie zbliża się niebezpieczeństwo.

Publiczność stanowiła bestię o stu głowach, każdej innej; miał skłonić tę bestię do śmiechu. Zacerpnął powietrza. Kochajcie mnie, błagał w duchu. Rozpoczął swój numer.

Nikt go nie słuchał. Nikt się nie śmiał. Toby czuł, że na czoło występują mu krople potu. Nie szło. Z uśmiechem przyklejonym do warg kontynuował, przekrzykując szum panujący na sali. Nie umiał ściągnąć ich uwagi na siebie. Woleliby dalej patrzeć na gołe cyce. Zbyt często mieli do czynienia z żałosnymi w swym beztalenciu komikami. Toby mówił do obojętnej ściany. Kontynuował, ponieważ nic innego nie pozostawało mu do zrobienia. Zerknął w kierunku Lawrence'a i chłopców. Obserwowali go z wyrazem troski na twarzach.

Toby mówił dalej. Na sali nie było publiczności; byli po prostu ludzie rozmawiający o swoich sprawach i problemach. Jak dla nich, aktor mógł się znajdować tysiąc kilometrów dalej. Równie dobrze mógł umrzeć. Gardło miał zupełnie suche ze strachu, z coraz większym trudem wydobywał słowa. Kątem oka dostrzegł kierownika zmierzającego w kierunku muzyków. Zamierzał dać znak do następnego numeru. Wszystko się skończyło. Dłonie Toby'ego były zupełnie mokre, jelita również zaczęły się buntować. Poczuł, że po nodze ścieka mu strużka gorącego moczu. Ze zdenerwowania kilka razy pomylił tekst. Nie śmiał spojrzeć na impresaria czy tekściarzy. Przepęłniał go wstyd. Kierownik był już przy muzykach, coś do nich mówił; zerknęli na Toby'ego i skinęli głowami. A on desperacko kontynuował, marząc, aby już było po wszystkim, aby stamtąd uciec i gdzieś się schować.

Kobieta w średnim wieku siedząca przy stoliku na wprost Toby'ego zachichotała nagle, słysząc jeden z jego dowcipów. Jej towarzysz przerwał rozmowę, aby posłuchać. Toby gorączkowo mówił dalej. Teraz przysłuchiwali się także inni przy tym stoliku, śmiali się. Po chwili śmiano się przy następnym.

I jeszcze następnym. Powoli rozmowy ucichały. Teraz już go słuchano. Tu i ówdzie rozlegał się chichot. Wybuchy śmiechu stawały się coraz dłuższe, coraz głośniejsze, i narastały. Narastały. Ludzie na sali przemienili się w publiczność. Miał ich. Zdobył tę pieprzoną widownię! Nieważne, że przedstawienie odbywało się w tanim barze wypełnionym pijącą piwo hołotą. Liczył się ich śmiech, ich sympatia, które docierały do Toby'ego falami. Najpierw zmusił ich do śmiechu, potem – do wrzasku. Nigdy w życiu nie słyszeli kogoś takiego, jak Toby, ani w tym nędznym barze, ani nigdzie indziej. Krzyczeli i bili brawo, omal nie roznieśli baru na strzępy, zanim przedstawienie dobiegło końca. Byli świadkami narodzin nowego zjawiska. Oczywiście nie mogli o tym wiedzieć. Ale Clifton Lawrence wiedział. A także obaj pisarze. Wiedział również Toby Temple.

Bóg nareszcie spełnił swoje obietnice.

Wielebny Damian skierował światło latarki w twarz Josephine i zawołał:

– Wszchemocny Boże! Wypal zło w tym grzesznym dziecku!

– Amen! – chórem odkrzyknęli zebrani.

Josephine czuła ciepło i światło liżące ją po twarzy, a wielbny Damian wykrzykiwał:

– Boże, pozwól tej grzesznej uwolnić się od Diabła. Będzie my się o to modlić; wodą i ogniem zmusimy go, aby ją opuścił.

Czyjeś ręce chwyciły Josephine, wepchnięto jej nagle głowę do beczki z zimną wodą. Trzymano ją tak, podczas gdy liczne głosy wyśpiewywały w nocne niebo, błagając Wszchemogącego o pomoc, a Josephine walczyła o swobodę ruchów i o powietrze. Gdy wreszcie wyciągnięto ją, prawie nieprzytomną, wielbny Damian oznajmił:

– Dziękujemy Ci, słodki Jezu, za Twą łaskę. Jest uratowana! Uratowana!

Nastąpiła radość, wszyscy poczuli się podniesieni na duchu. Z wyjątkiem Josephine, której bóle głowy znacznie się od tego czasu nasiliły.

Rozdział X

– Mam dla ciebie kontrakt w Las Vegas – oznajmił Clinton Lawrence Toby’emu. – Prosiłem Dicka Landry’ego, żeby trochę nad tobą popracował. Jest najlepszym reżyserem w nocnych klubach.

– Fantastycznie! Który hotel? Flamingo? Thunderbird?

– Oasis.

– Oasis? – Toby popatrzył na Cliffa, aby sprawdzić, czy agent nie żartuje. – Nigdy...

– Wiem – Lawrence uśmiechnął się. – Nigdy o nim nie słyszałeś. I wzajemnie. Oni nigdy nie słyszeli o tobie. W rzeczywistości podpisali ten kontrakt nie z tobą, lecz ze mną. Uwierz mi na słowo, jesteś dobry.

– Niech się pan nie martwi, będę dobry – obiecał Toby.

Toby powiadomił Alice Tanner o kontrakcie tuż przed swoim odjazdem.

– Wiem, że zostaniesz wielką gwiazdą – powiedziała. Nadszedł już czas. Będą cię uwielbiać, kochanie. – Objęła go i spytała: – Kiedy wyjeżdżasz i co mam włożyć dla uczczenia debiutu młodego geniusza komediowego?

Potrząsnął smutnie głową.

– Chciałbym cię wziąć, Alice. Kłopot w tym, że będę pracować dzień i noc nad nowym materiałem.

Starła się ukryć swoje rozczarowanie.

– Rozumiem. – Przygarnęła go mocniej. – Jak długo cię nie będzie?

– Jeszcze nie wiem. Widzisz, to rodzaj otwartego kontraktu.

Poczuła nagły skurcz niepokoju, lecz wytłumaczyła sobie, że to z jej strony czysta głupota.

– Dzwon do mnie, gdy będziesz mógł – powiedziała. Toby pocałował ją na pożegnanie i tanecznym krokiem opuścił pokój.

Zdawało się, że Las Vegas w Newadzie zostało stworzone wyłącznie dla jego przyjemności. Odniósł to wrażenie, gdy tylko zobaczył miasto. Posiadało ogromną energię kinetyczną odpowiadającą jego własnej, wibrującą moc, która korespondowała z mocą ukrytą w jego wnętrzu. Toby leciał wraz z O’Hanlonem i Raingerem. Na lotnisku już czekała na nich limuzyna z hotelu Oasis. Dało to Toby’emu przedsmak cudownego świata, który wkrótce miał się stać jego światem. Cieszyła go możliwość rozpierania się w przestronnym samochodzie i uprzejme pytanie szofera:

– Miał pan przyjemną podróż, panie Temple?

Zwykli ludzie potrafią wyczuć sukces, zanim jeszcze naprawdę nastąpił, myślał Toby.

– Nudną jak zwykle – odpowiedział beztrasko. Dostrzegł, jak O’Hanlon i Rainger wymieniają uśmiechy, i także się do nich uśmiechnął. Czuł się z nimi bardzo blisko związany. Stanowili zespół, i to cholernie dobry, najlepszy zespół w branży rozrywkowej.

Oasis był położony z dala od rozjarzonego światłami Stripu, od słynnych hoteli tego miasta. Gdy limuzyna podjechała, Toby dostrzegł, iż nie był ani tak duży, ani tak wspaniały jak Flamingo czy Thunderbird, lecz miał jedną niepowtarzalną zaletę. Front hotelu zdobiła gigantycznych rozmiarów markiza, na której widniał napis:

PREMIERA 4 WRZEŚNIA ULI WALLACE TOBY TEMPLE Nazwisko Toby'ego było wypisane błyszczącymi literami, które zdawały się mieć kilka metrów wysokości. Nie było piękniejszego widoku na całym przekłętym świecie.

– Spójrzcie na to! – powiedział ze zbożnym podziwem.

– Taa. A co z tym? Wallace! – odparł O'Hanlon, zerknąwszy na napis. Roześmiał się.

– Nie martw się, Toby. Po premierze znajdziesz się nad nią.

Kierownik Oasis, mężczyzna w średnim wieku, o żółtawej cerze, nazwiskiem Parker, powitał Toby'ego i osobiście zaprowadził do przeznaczonego dlań apartamentu, nie przestając mu przez całą drogę nadskakiwać:

– Nie umiem wprost wyrazić, jak czujemy się zaszczytzeni, że pan do nas przyjechał, panie Temple. Gdyby pan czegokolwiek potrzebował – czegokolwiek – proszę mi dać znać.

Powitanie, Toby zdawał sobie z tego sprawę, przeznaczone było dla Cliftona Lawrence'a. Po raz pierwszy słynny impresario zniżył się do podpisania, w imieniu klienta, kontraktu z tym hotelem. Parker żywił nadzieję, że także w przyszłości jego placówka będzie dostawać wielkie gwiazdy Lawrence'a.

Apartament był ogromny. Składał się z trzech sypialni, wielkiego salonu, kuchni, baru i tarasu. Na stole w salonie ustawiono butelki przeróżnych alkoholi, kwiaty oraz paterekę wypełnioną świeżymi owocami i serami – ukłon od kierownictwa.

– Mam nadzieję, że będzie się pan czuł zadowolony, panie Temple – rzucił Parker.

Toby rozejrzał się i pomyślał o brudnych, zapchlonych i zakaruszonych pokojach hotelowych, w których dotychczas mieszkał.

– Taa, w porządku.

– Pan Landry przyjechał godzinę temu. Poleciłem, żeby o trzeciej zwolnić Salę Iluzji dla panów na próby.

– Dzięki.

– I proszę pamiętać, jeżeli czegokolwiek będzie pan potrzebować.. – kierownik wyszedł, kłaniając się raz po raz.

Toby napawał się otoczeniem. Zawsze już będzie mieszkał w takich apartamentach. Będzie miał wszystko: kobiety, pieniądze, uznanie. Przede wszystkim uznanie. Ludzie na widowni, śmiejący się, bijący brawo, uwielbiający go – to jego pożywienie. Nie potrzebował już niczego więcej.

Dick Landry dobiegał trzydziestki, wąty, szczupły mężczyzna z łysą głową i długimi, zgrabnymi nogami. Rozpoczął na Broadwayu jako tancerz w zespole cygańskim. Awansował potem kolejno na solistę, choreografa i wreszcie – reżysera. Miał dobry smak i ogromne wyczucie gustów publiczności. Nie mógł ze złej sztuki zrobić dobrej, ale mógł sprawić, że wydawała się dobra; a gdy już dostał dobry tekst, czynił ze spektaklu przebój. Jeszcze dziesięć dni temu nic nie wiedział o istnieniu Toby'ego Temple'a. Wyłącznie na prośbę Cliftona Lawrence'a wykroił w swoim pękającym w szwach harmonogramie kilka dni i przyjechał do Las Vegas, aby nadać występowi Toby'ego odpowiedni kształt sceniczny. Swego czasu Clifton Lawrence ułatwił start jemu samemu.

W piętnaście minut od spotkania obu panów Landry wiedział, że pracuje z geniuszem. Słuchając monologu, śmiał się głośno, choć zwykle czynił to niezmiernie rzadko. Bawiły go nie tyle dowcipy, co sposób ich podawania: marzycielski i tak żałośnie szczery, że wręcz

pękało serce. Toby był cudownym Tchórzliwym Kurczątkiem pełnym strachu, że lada chwila niebo spadnie mu na głowę. Aż podrywało, żeby podbiec do niego, objąć i zapewnić, że nie ma się czego lękać.

Gdy Toby skończył, Landry z trudem powstrzymał się od klaskania. Podeszedł do estrady, na której stał Toby.

– Jesteś dobry – wyrzucił entuzjastycznie. – Naprawdę dobry.

– Dzięki – odparł Toby zadowolony. – Cliff twierdzi, że możesz mi pokazać, jak być wspaniałym.

– Zamierzam spróbować – powiedział Landry. – Po pierwsze, musisz nauczyć się urozmaicać nieco swój występ. Jak długo umiesz tylko stać i opowiadać dowcipy, nigdy nie wyjdiesz na czoło. Zaśpiewaj coś.

Toby uśmiechnął się ironicznie, – Wynajmij sobie kanarka. Nie umiem śpiewać.

– Spróbuj.

Toby zaśpiewał, Landry był zadowolony.

– Nie masz dobrego głosu – orzekł – ale niezły słuch. Przy odpowiednim doborze piosenek możesz sprawić, że wszyscy uznają cię za Sinatrę. Trzeba będzie zamówić u autorów specjalny materiał dla ciebie. Nie chcę, żebyś śpiewał te same piosenki co inni. Zobaczmy, jak się ruszasz.

Toby zrobił kilka tanecznych kroków. Landry bacznie mu się przyglądał.

– Ujdzie, ujdzie. Nigdy nie będziesz tancerzem, ale nauczę cię ruszać się tak, abyś sprawiał odpowiednie wrażenie.

– Dlaczego? – spytał Toby. – Takich, co tańczą i śpiewają, jest na pęczki.

– Komików tyle samo – odparował Landry. – A ty masz być gwiazdą rozrywki.

– W takim razie zakasujmy rękawy i do roboty.

Zabrali się do pracy. O’Hanlon i Rainger uczestniczyli we wszystkich próbach. Obserwując, jak Landry prowadzi Toby’ego, dopisywali fragmenty tekstu lub nowe skecze. Plan pracy był bardzo męczący. Toby odbywał próby aż do bólu wszystkich mięśni. Schudł około trzech kilogramów, nabrał tężyzny. Lekcje śpiewu odbywały się codziennie, a potem powtarzał piosenki tak długo, że nucił je nawet przez sen. Pracował z chłopcami nad nowym materiałem, przerywał, aby nauczyć się piosenek napisanych specjalnie dla niego, i już nadchodziła pora na kolejną próbę.

Niemal codziennie Toby dostawał wiadomość, że dzwoniła Alice Tanner. Stawało mu wówczas w pamięci, że usiłowała go powstrzymać. Nie jesteś jeszcze gotów. Dobra, teraz już był gotów i osiągnął to pomimo jej obiekcji. Do diabła z nią. Wyrzucał wiadomości do kosza na śmieci. Wreszcie telefony się urwały, lecz próby trwały dalej.

Nieoczekiwanie nadszedł dzień premiery. Pojawieniu się nowej gwiazdy towarzyszy zawsze mistyczna atmosfera. Zupełnie jakby informacje rozchodziły się drogą telepatyczną do wszystkich zakątków świata rozrywki. Dzięki jakiejś magicznej alchemii wielka nowina dociera do Londynu, Paryża, Nowego Jorku czy Sydney, wszędzie, gdzie tylko istnieje teatr.

W pięć minut po wyjściu Toby’ego na scenę hotelu Oasis, świat obiegła wiadomość, że na horyzoncie weszła nowa gwiazda.

Clifton Lawrence przyleciał na premierę i został również na wieczornym przedstawieniu. Pochlebilo to Toby'emu. Impresario zanieczywał dla niego innych klientów. Gdy młody aktor był już wolny, obaj udali się do otwartej całą noc kawiarni hotelowej.

– Widziałeś te wszystkie sławy? – pytał Toby. – Kiedy przy szli do mojej garderoby, to, niech mnie diabli, myślałem, że skonom.

Lawrence uśmiechał się, słysząc entuzjazm w jego głosie. Stanowił miłą odmianę po innych, zblazowanych klientach. Był maskotką. Słodką, niebieskooką maskotką.

– Na pierwszy rzut oka rozpoznają wybitny talent – odparł Clifton. – Także w Oasis. Chcą podpisać z tobą nowy kontrakt i podnieść ci gażę z sześciuset pięćdziesięciu na tysiąc tygodniowo.

Toby'emu łyżeczka wypadła z ręki.

– Tysiąc tygodniowo? To fantastycznie, Cliff!

– Thunderbird i hotel El Rancho już przysłali swoich przedstawicieli na wstępne rozmowy.

– Już? – spytał Toby rozradowany.

– Tylko nie zsikaj się z wrażenia. Do zabawiania gości w poczekalni – uśmiechnął się.

– Wiesz, jak to jest. Moim zdaniem doszedłeś już do czołówki, ty też tak uważasz; lecz co sądzą o tym ci z pierwszej linii? – Wstał. – Muszę złapać samolot do Nowego Jorku. Lecę jutro do Londynu.

– Do Londynu? Kiedy wracasz?

– Za kilka tygodni. – Lawrence pochylił się do przodu. Posłuchaj mnie, chłopcze. Będiesz tu jeszcze dwa tygodnie, potraktuj je jako szkolenie. Ilekroć będziesz na scenie, myśl o tym, co by tu poprawić, jak stać się jeszcze lepszym. Namówiłem O'Hanlona i Raingera, by jeszcze nie wyjeżdżali. Gotowi są pracować z tobą choćby w nocy. Wykorzystaj ich. Landry będzie tu przyjeżdżał co weekend, aby wszystkiego dopilnować.

– Dobrze – rzekł Toby. – Dzięki, Cliff.

– Och, niemal zapomniałem – rzucił Lawrence od niechcienia. Wyciągnął z kieszeni mały pakiecik i wręczył go Toby'emu.

Wewnątrz znajdowała się para diamentowych spinek do mankietów. Miały kształt gwiazd.

Każdą wolną chwilę Toby spędzał nad dużym basenem na tyłach hotelu. W przedstawieniu brało udział dwadzieścia pięć dziewczyn i zawsze blisko połowa z nich zażywała w tym czasie kąpeli słonecznych. W gorącym, południowym słońcu przypominały późno rozkwitłe kwiaty, jedna piękniejsza od drugiej. Toby nigdy nie miał kłopotów z poderwaniem dziewczyny, lecz obecna sytuacja była dlań całkiem nowym doświadczeniem. Dla tych dziewcząt Toby dotychczas nie istniał, ale teraz jego nazwisko widniało, jasno oświetlone, na markizie hotelowej. To wystarczało. Był Gwiazdą, więc walczyły między sobą o przywilej pójścia z nim do łóżka.

Następne dwa tygodnie upłynęły wręcz cudownie. Wstawał około południa. Na śniadanie schodził do jadalni, gdzie mnóstwo ludzi zwracało się doń z prośbą o autograf. Dwie do trzech godzin spędzał na próbach. Następnie wybierał jedną lub dwie z długonogich piękności zgromadzonych wokół basenu i zabierał do swojego apartamentu na popołudniowe igraszki.

Toby nauczył się czegoś nowego. Skape kostiumy sceniczne zmuszały dziewczęta do pozbycia się większości włosów łonowych, a resztę układały w ten sposób, iż pozostawał tylko kędzierzawy pasek biegnący przez środek wzgóрка, przez co dostęp do nich był łatwiejszy.

– To działa jak środek pobudzający – zwierzyła się Toby’emu jedna z dziewcząt. – Kilka godzin w opiętych majtkach i z kobiety robi się wiecznie napalona nimfomanka.

Nie fatygował się poznawaniem ich imion. Każda była „skarbem” lub „dziecinką” i wszystkie składały się na cudowny, podniecający kalejdoskop bioder, warg i chętnych ciał.

W ostatnim tygodniu jego pracy w Oasis odwiedził go gość. Toby właśnie zakończył popołudniowy spektakl i siedział w swojej garderobie zajęty zmywaniem charakteryzacji, gdy drzwi się otworzyły i główny kelner powiedział przyciszonym głosem:

– Pan Al Caruso zaprasza pana do swojego stolika. Al Caruso był jedną z wielkich postaci Las Vegas. Oficjalnie był właścicielem jednego hotelu, lecz plotki głosiły, że posiadał udziały także w innych. Szeptano również o jego powiązaniach z podziemiem, ale to Toby’ego nie obchodziło. Ważne było co innego: gdyby Caruso go polubił, miałyby do końca życia zapewnione kontrakty w Las Vegas. Pospiesznie dokończył ubierania i poszedł do restauracji.

Al Caruso był niskim mężczyzną, około pięćdziesiątki, o siwych włosach, błyszczących, brązowych oczach i nieznacznie wystającym brzuchu. Kojarzył się Toby’emu z miniaturowym Świętym Mikołajem. Gdy podszedł do stolika, Caruso wstał, wyciągnął rękę i rzekł z ciepłym uśmiechem:

– Al Caruso. Chciałem tylko powiedzieć, co o tobie sędzę, Toby. Weź krzesło.

Przy stole siedziało jeszcze dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn ubranych w czarne garnitury. Sączyli coca-colę i nie odezwali się ani jednym słowem w trakcie całego spotkania. Toby nigdy nie poznał ich nazwisk. Zwykle jadał obiad po pierwszym przedstawieniu i teraz był głodny, lecz Caruso najwyraźniej właśnie skończył posiłek, a Toby nie chciał mu okazać, że bardziej interesuje się jedzeniem niż swoim rozmówcą, – Zrobiłeś na mnie wrażenie, dziecko – powiedział tamten.

– Naprawdę duże. – Strzelił w Toby’ego swymi złośliwie figlarnymi oczyma.

– Dziękuję, panie Caruso – odrzekł Toby uszczęśliwiony. To wiele dla mnie znaczy.

– Mów do mnie Al.

– Tak, proszę... Al.

– Masz przed sobą przyszłość, Toby. Obserwuję, jak pojawiają się i znikają, a dłużej trwają tylko ci, którzy są obdarzeni talentem. Ty masz talent.

Toby poczuł miłe ciepło rozlewające się po całym ciele. Przelotnie rozważał nawet, czy nie powiedzieć tamtemu, żeby w sprawie kontraktu zgłosił się do Cliftona Lawrence’a; wreszcie zdecydował, że będzie lepiej, jeśli załatwi to osobiście. Jeżeli Caruso jest tak mną zachwycony, myślał, uzyskam lepsze warunki niż Cliff. Postanowił, że poczeka, aż tamten uczyni mu propozycję, i dopiero potem będzie się targował.

– O mało co, a posikałbym się ze śmiechu – powiedział Caruso. – Twój numer o małpie to najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu słyzałem.

– W pańskich ustach to prawdziwy komplement – odparł szczerze Toby.

Oczy malutkiego Świętego Mikołaja załzawiły się ze śmiechu. Wyjął białą jedwabną chusteczkę i otarł twarz. Zwrócił się do swojej eskorty:

– Czy nie mówiłem, że to zabawny człowiek?

Obydwaj skinęli głowami.

Al Caruso ponownie zwrócił się do Toby'ego.

– Powiem ci, dlaczego zgłosiłem się do ciebie, Toby.

Oto nadszedł ten magiczny moment, wstęp do wielkiego świata. Clifton Lawrence był gdzieś w Europie, zawierając kontrakty dla innych, a powinien być tutaj i pracować nad tym jednym. Agenta po powrocie czeka prawdziwa niespodzianka. Toby pochylił się do przodu i rzekł z zachęcającym uśmiechem:

– Słucham cię, Al.

– Millie cię kocha.

Toby zamrugnął powiekami, pewny, że coś mu umknęło. Tamten przyglądał mu się uważnie błyszczącymi oczyma.

– Bar... bardzo przepraszam – wyrzekł Toby zmieszany. Co powiedziałaś?

Al Caruso uśmiechnął się ciepło.

– Millie cię kocha. Wyznała mi to.

Millie? Żona Caruso? A może córka? Toby chciał coś powiedzieć, ale tamten mu przerwał.

– To wspaniała dziewczyna. Trzymałem ją jakieś trzy, cztery lata. – Zwrócił się do dwóch mężczyzn. – Cztery lata?

Skinęli głowami. I znów do Toby'ego:

– Kocham tę dziewczynę. Zupełnie oszalałem na jej punkcie.

Toby poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

– Panie Caruso...

– Mamy z Millie umowę. Ja jej nie zdradzam z nikim poza żoną; ona nie zdradza mnie, chyba że mi o tym powie. – Rozpromienił się i tym razem Toby dostrzegł, iż za uśmiechem cherubina kryje się coś, co mrozi krew w żyłach.

– Panie Caruso...

– Wiesz co, Toby? Jesteś pierwszym facetem, z którym mnie zdradziła. – Zwrócił się do dwóch mężczyzn przy stole. Czy to nie święta prawda?

Obaj skinęli głowami.

Gdy Toby odezwał się, głos mu drżał.

– Ja... ja przysięgam na rany Chrystusa... nie wiedziałem, że Millie jest pana przyjaciółką. Nie tknąłbym jej, gdyby mi to chociaż we śnie przyszło do głowy. Trzymałbym się od niej na kilometr, panie Caruso...

Święty Mikołaj ponownie się rozpromienił.

– Al, – Al. Mów do mnie Al.

Brzmiało to jak krakanie, Toby czuł, że pot strumieniami spływa mu po wewnętrznej stronie ramion. – Posłuchaj, Al. Już... już nigdy się z nią nie zobaczę. Nigdy. Wierz mija... Caruso przyglądał mu się bacznie.

– Hola! Chyba nie słuchałeś mnie uważnie.

Toby przełknął.

– Ależ tak, słuchałem. Słyszałem każde słowo. I nie musisz się więcej martwić o...

– Powiedziałem, że ta mała cię kocha. Jeśli ona cię chce, to ja chcę, żeby cię miała. Chcę, żeby była szczęśliwa. Rozumiesz?

– Ja... – Myśli wirowały w głowie aktora. Przez jeden szalony moment rzeczywiście przypuszczał, że mężczyzna siedzący naprzeciwko szuka odwetu. Tymczasem Al Caruso oferował mu swoją kochankę. Toby niemal roześmiał się głośno z doznanej ulgi.

– Jezu, Al – powiedział. – Jasne. Co tylko zechcesz.

– Co tylko Millie zechce.

– Taa. Co tylko Millie zechce.

– Wiedziałem, że okażesz się miłym facetem – powiedział Caruso i zwrócił się do tamtych dwóch: – Czy nie mówiłem, że Toby Temple jest miłym facetem?

Skinęli głowami i dalej bez słowa sączyli colę. Al Caruso wstał, dwaj mężczyźni natychmiast zerwali się i stanęli u obu jego boków.

– Wesele zorganizuję na własny koszt. Wynajmiemy wielką salę bankietową w hotelu Morocco. O nic nie musisz się martwić. Sam się wszystkim zajmę.

Słowa docierały do Toby'ego jakby z dużej odległości. Umysł jego zarejestrował je, ale i tak nie miały sensu.

– Poczekaj chwilę – zaprotestował Toby. – Nie mogę...

Caruso położył potężną dłoń na ramieniu Toby'ego.

– Szczęśliwiec z ciebie – powiedział. – Gdyby Millie nie przekonała mnie, że się kochacie, gdybym przypuszczał, że po traktowałeś ją jak zwykłą kurwę za dwa dolary, cała sprawa inaczej by się skończyła. Chwytasz?

Toby przyłapał się na tym że mimowolnie obserwuje dwóch mężczyzn w czerni; obaj potakiwali głowami – Kończysz tutaj w sobotę wieczorem – dodał Caruso Wesele zrobimy w niedzielę.

Toby'emu ponownie zaschło w gardle.

– Ja. chodzi o to, że mam następne kontrakty. Bardzo mi przykro.

– Mogą poczekać. – Twarz cherubina zajaśniała uśmiechem – Sam wybiorę suknię ślubną dla Millie. Branoc Toby.

Toby pozostał na miejscu i długo gapił się w drzwi, za którymi zniknęły trzy postacie.

Nie miał zielonego pojęcia, kim jest Millie. ale era uległości dawno się skończyła. Nikt nie mógł go zmusić do ślubu z osobą, z którą nie miał ochoty się zenić. W końcu Al Caruso nie był pospolitym nożownikiem, lecz godnym szacunku właścicielem hotelu. Im dłużej myślał o całej sytuacji, tym wydawała mu się zabawniejsza. Upiększał ją w myśli, wydobywał akcenty humorystyczne. W rzeczywistości Caruso wcale go nie przestraszył, ale opowie tę historyjkę tak, jakby był śmiertelnie przerażony. Podchodzę do tego stolika, a tam siedzi Caruso z sześcioma goryłami, kapujecie? Wyraźnie widać u każdego miejsce, gdzie trzyma broń. O tak, stwórz z tego wspaniałą historię. Być może nawet skecz, z którego ludzie będą boki zrywać.

Do następnego ranka Toby pozbył się wszystkich lęków.

Do końca tygodnia Toby trzymał się z daleka od basenu kąpielowego od kasyna, zdecydowanie unikał dziewcząt. Nie bał się Ala Caruso, ale po co niepotrzebnie ryzykować? Początkowo miał opuścić Vegas Samolotem w niedzielę w południe. Zamiast tego zażądał, by

wynajęty samochód dostarczono na parking na tyłach hotelu w sobotę wieczorem i ustawiono ostatnie przedstawienie, tak że był gotów do odjazdu do Los Angeles natychmiast po zakończeniu spektaklu. Przez jakiś czas będzie się trzymał z dala od Las Vegas. Gdyby Al Caruso wciąż się upierał, Clifton Lawrence jakoś to odkręci.

Ostatnie przedstawienie było triumfem Toby'ego. Po raz pierwszy publiczność urządziła mu owację na stojąco. Czuł, jak miłość nadpływająca falami z widowni otacza go ciepłym, miękkim blaskiem. Wykonał jeden numer na bis, uklonił się i popędził do swego pokoju. To były najwspanialsze trzy tygodnie w jego życiu. W krótkim czasie przebył drogę od sypiającego z kelnerkami i kalekami „nikogo” do Gwiazdora, który zerznął kochankę samego Ala Caruso. Piękne dziewczyny napraszały mu się do łóżka, publiczność uwielbiała go, a wielkie hotele proponowały mu swoje sceny. Już osiągnął sukces, a wiedział, że to dopiero początek. Wyjął klucz. Gdy otwierał drzwi, usłyszał znajomy głos:

– Wejdz, wejdz, dziecko.

Powoli Toby wkroczył do pokoju. Al Caruso i jego dwaj towarzysze byli w środku. Dreszcz niepokoju przeszedł mu po krzyżu. Lecz wszystko wydawało się w porządku. Caruso, rozpromieniony, mówił:

– Byłeś wspaniały dziś wieczór, Toby, naprawdę wspaniały.

Toby powoli się odprężył.

– Miałem dobrą publiczność – odparł.

Piwnie oczy Caruso błysnęły, gdy mówił:

– To ty zrobiłeś z nich dobrą publiczność, Toby. Powiedziałem ci już – masz talent.

– Dziękuję ci, Al. – Marzył, aby już sobie poszli. Mógłby zaraz wyjechać.

– Ciężko pracujesz – kontynuował Caruso i zwrócił się do swoich adiutantów: – Czy nie mówiłem, że jeszcze nikt nie pracował tak ciężko, jak on?

Dwaj mężczyźni skinęli głowami. Caruso spojrzał na Toby'ego.

– Hej, Millie jest nieco przygnębiona, że do niej nie za dzwoniłeś. Powiedziałem jej, że to dlatego, że ciężko pracujesz.

– Tak jest – odparł Toby pospiesznie. – Cieszę się, że mnie rozumiesz, Al.

Al uśmiechnął się dobrotliwie.

– Oczywiście. Jednego tylko nie rozumiem. Nie zadzwoniłeś, żeby się dowiedzieć, o której jest ślub.

– Miałem zamiar dzwonić rano.

Caruso zaśmiał się i spytał, jakby napominając:

– Z Los Angeles?

Toby poczuł lekki niepokój.

– O czym ty mówisz, Al?

Caruso popatrzył nań z wyrzutem.

– Walizki stoją tam, spakowane. – Żartobliwie uszczypnął Toby'ego w policzek. – Powiedziałem ci, że zabiję każdego, kto skrzywdzi Millie.

– Poczekaj chwilę! Przysięgam przed Bogiem, że...

– Jesteś dobrym chłopcem, Toby, tylko głupim. Myślę, że to cecha każdego geniusza, hę?

Toby gapił się w pyzata, szeroko roześmianą twarz, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Powinieneś mi wierzyć – ciepło powiedział Caruso. – Jestem twoim przyjacielem. Chcę mieć pewność, że nic złego ci się nie przytrafi. Dla dobra Millie. Lecz co mogę zrobić, jeśli nie chcesz mnie słuchać? Wiesz, jak można zmusić muła do posłuszeństwa?

Aktor bez słowa potrząsnął głową.

– Najpierw wali się go przez łeb grubą pałą.

Toby poczuł narastającą mu w gardle panikę.

– Którą rękę masz lepszą? – spytał Caruso.

– Chy... ba... prawą – wymamrotał Toby.

Caruso łagodnie skinął głową i zwracając się do swojej obstawy, rozkazał:

– Złamać ją!

Nie wiadomo skąd pojawił się w rękach jednego z mężczyzn klucz do kół. Zaczęli się powoli zbliżać do Toby'ego. Zalała go fala przerażenia; trząsał się na całym ciele.

– Na rany Chrystusa! – Toby usłyszał własny głos. – Nie możecie tego zrobić!

Jeden z mężczyzn uderzył go mocno w żołądek. W następnej sekundzie Toby poczuł przeraźliwy ból, gdy klucz do kół trafił go w prawe ramię, łamiąc kości. Upadł na podłogę, skręcając się w boleściach nie do zniesienia. Próbował krzyczeć, lecz nie mógł złapać tchu. Uniósł w górę wypełnione łzami oczy i ujrzał Ala Caruso, który pochylał się nad nim z uśmiechem.

– Czy teraz już będziesz posłuszny?

Udręczony potaknął.

– To dobrze. – Zwrócił się do jednego z mężczyzn. – Rozepnij mu spodnie.

Tamten pochylał się i rozpiął Toby'emu rozporek. Ujął ponownie klucz w rękę i wyciągnął członek.

Caruso stał przez chwilę, przyglądając mu się w skupieniu.

– Szczęśliwy z ciebie człowiek, Toby. Fujara po kolana, musisz być niezłym kochasiem.

Toby'ego wypełniała trwoga, jakiej jeszcze w życiu nie zaznał.

– O Boże... proszę... nie... nie róbcie mi tego – błagał ochryplym głosem.

– Nie chcę ci zrobić nic złego – powiedział Caruso. – Jak długo będziesz dobry dla Millie, będziemy przyjaciółmi. Jeżeli mi powie, że ją w jakikolwiek sposób skrzywdziłeś... jakikolwiek.. rozumiesz? – Czubkiem buta trącił złamaną rękę, Toby wrzasnął. – Cieszę się, że się wzajemnie rozumiemy. – Rozpromienił się. – Ślub jest o pierwszej.

Głos Caruso przybliżał się i oddalał, w miarę jak Toby tracił przytomność. Jednakże wiedział, że musi się trzymać.

– Nie mogę – wystękał. – Moja ręka...

– Nic się nie martw – odparł Caruso. – Lekarz już jedzie.

Zajmie się tobą. Zestawi ci rękę i da jakiś środek, żebyś nie czuł bólu. Chłopcy przyjadą tu jutro po ciebie. Będziesz gotów, no nie?

Toby leżał, przeżywając katusze, i gapił się na uśmiechniętą twarz Świętego Mikołaja; nie mógł uwierzyć, że to wszystko działo się naprawdę. Dostrzegł, że stopa Caruso przybliża się do jego złamanej ręki.

– J... jasne – jęknął. – Będę gotów... Stracił przytomność.

Rozdział XI

Ślub i wesele, impreza urządzona z niezwykłym rozmachem, odbyły się w sali balowej hotelu Morocco. Zeszła się tam chyba połowa Las Vegas. Aktorzy estradowi, tancerki rewiiowe i właściciele hoteli, a pośród nich – Al Caruso i kilkunastu jego przyjaciół: spokojnych, nobliwie ubranych mężczyzn, z których większość w ogóle nie piła. Wspaniałe kompozycje kwiatowe, orkiestra, więcej niż obficie zaopatrzone bufet, dwie fontanny, z których tryskał szampan – Al Caruso zadbał o wszystko.

Powszechnie żałowano pana młodego z powodu ręki złamanej w wyniku nieszczęśliwego upadku ze schodów. Wyrażano opinię, że nowożeńcy stanowią niezwykle przystojną parę, a wesele jest wprost wspaniałe.

Toby'emu zaaplikowano taką ilość środków znieczulających i uspokajających, że uczestniczył w ceremonii nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Gdy kojący wpływ leków zaczął zanikać, powrócił ból; wypełniła go ponownie fala wściekłości i nienawiści. Miał ochotę wykrzyknąć przed pełną salą, do jakiego niewyobrażalnego upokorzenia został zmuszony.

Skierował wzrok na pannę młodą. Już ją sobie przypominał. Millie była ładną dziewczyną po dwudziestce o złotomiodowych włosach i zgrabnej figurze. Toby pamiętał, że śmiała się z jego historyjek głośniejsz niż inne i wszędzie za nim chodziła. Przypomniało mu się jeszcze coś. Była jedną z nielicznych, które odmówiły pójścia z nim do łóżka, co tylko zaostrzyło jego apetyt. Niczego więcej nie zdołał wydobyć z pamięci.

– Oszalałem na twoim punkcie – powiedział wtedy. – Nie lubisz mnie?

– Oczywiście, że lubię – odparła. – Ale mam przyjaciela.

Dlaczego jej nie słuchał! Przeciwnie, zaprosił ją do swego pokoju na drinka i zaczął opowiadać zabawne dykteryjki. Millie tak się śmiała, że nie zwracała na nic uwagi, dopóki rozebrana nie znalazła się w łóżku.

– Proszę cię, Toby – błagała. – Zostaw. Mój przyjaciel będzie zły.

– Zapomnij o nim. Zajmę się tym bubkiem później – od rzekł. – Teraz chcę się zająć tobą.

Spędzili szaloną noc. Gdy rano się obudził, Millie płakała, leżąc obok niego. Życzliwie nastrojony wziął ją w ramiona i powiedział:

– Hej! O co chodzi, dziecinko? Nie byłaś zadowolona?

– Wiesz, że tak. Ale...

– No, już, przestań płakać – rzucił. – Kocham cię.

Uniosła się na łokciach, zajrzała mu w oczy i spytała:

– Naprawdę, Toby? Czy naprawdę?

– Niech mnie diabli, jeśli nie.

Wszystko, czego potrzebowała, dostała właśnie teraz. Pociecha okazała się skuteczna.

Obserwowała go, gdy wrócił spod prysznic i wycierał mokre włosy, nucąc fragmenty swych piosenek. Szczęśliwa, uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

– Myślę, że pokochałam cię, gdy tylko cię ujrzałam, Toby.

– Hej, to świetnie. Zamówmy śniadanie.

I taki był koniec... aż do teraz. Z powodu głupiej dziwki, z którą pieprzył się tylko jedną noc, całe jego życie zostało wywrócone do góry nogami.

A teraz przyglądając się, jak Millie uśmiechnięta szła ku niemu w długiej, białej sukni ślubnej, Toby przeklinał siebie i swego drąga, przeklinał dzień, w którym się narodził.

Mężczyzna siedzący na przednim siedzeniu limuzyny odezwał się z podziwem:

– Świetnie pan to rozegrał, szefie. Biedny dureń do końca nie pojął się, o co chodzi.

Caruso uśmiechnął się łagodnie. Wszystko zagrało. Od czasu, gdy jego żona, kobieta o wojowniczym temperamencie, dowiedziała się o jego romansie z Millie, Caruso wiedział, że będzie musiał pozbyć się złotowłosej tancereczki.

– Przypomnij mi, abym sprawdził, czy on dobrze traktuje Millie – powiedział miękko.

Toby i Millie wprowadzili się do niewielkiego domu w Benedict Canyon. Początkowo Toby całymi godzinami przemyślał nad sposobami uwolnienia się od tego małżeństwa. Dokuczy Millie tak, że będzie błagała o rozwód. Lub podsunie jej innego faceta i sam zażąda rozwodu. Albo ją po prostu porzuci i zmusi Caruso, aby coś z tym zrobił. Zmienił jednak zdanie po rozmowie z Dickiem Landrym.

Jedli właśnie lunch w hotelu Bel Air. Od ślubu upłynęło już kilka tygodni. Landry spytał:

– Jak dobrze znasz Ala Caruso?

Toby spojrzał na niego.

– Dlaczego pytasz?

– Nie zadzieraj z nim, Toby. To morderca. Powiem ci coś, co jest pewne. Jego młodszy brat poślubił dziesięcioletnią dziewczynę, prosto z klasztoru.

Rok później przyłapał ją w łóżku z jakimś facetem. Opowiedział o wszystkim Ałowi.

Toby słuchał uważnie, oczy wbił w Landry'ego.

– No i co się stało?

– Oprawcy Caruso odcięli facetowi chuja tasakiem do mięsa, oblali benzyną i na jego oczach podpalili. Potem zostawili gościa, aby wykrwawił się na śmierć.

Toby'emu zabrzmiały w uszach słowa Caruso: Rozepnij mu spodnie, wspomniatł twarą rękę grzebiącą przy rozporoku i oblał się zimnym potem. Poczłł mdłości. Wiedział już, z przerażliwą pewnością, że nie ma dla niego ucieczki.

Josephine odkryła drogę ucieczki, gdy miała dziesięć lat. Odnalazła furtkę do innego świata, gdzie mogła skryć się przed karami matki i ustawicznie prześladowującym ją strachem przed Ogniem Piekielnym i Potępieniem. Był to świat pełen magii i piękna. Całe godziny spędzała w ciemnej sali kinowej i obserwowała wspaniałych ludzi na ekranie. Wszyscy mieszkali w pięknych domach, mieli ładne ubrania i byli bardzo szczęśliwi. Josephine marzyła, że któregoś dnia ona także pojedzie do Hollywood i będzie żyć w ten sposób. Miała nadzieję, że matka to zrozumie.

Matka jednak uważała filmy za dzieło szatana. Josephine musiała wymykać się do kina. Bilety kupowała za pieniądze, które zarabiała, opiekując się dziećmi. Tego dnia wyświetlano historię miłosną i dziewczynka pochyliła się do przodu w radosnym oczekiwaniu. Najpierw pojawiła się czołówka, która głosiła: Producent – Sam Winters.

Rozdział XII

Bywały dni, gdy Samowi Wintersowi zdawało się, że kieruje nie wytwórnią filmową, ale domem wariatów, w którym na dokładkę wszyscy pensjonariusze sprzysięgli się przeciw niemu. Był właśnie taki dzień – kłopoty sypały się jeden za drugim. Ubiegłej nocy wybuchł w wytwórni kolejny pożar – już czwarty z rzędu; sponsor serialu My Man Friday obraził się na głównego wykonawcę i zgłosił zamiar wycofania się; Bert Firestone, reżyser, genialne dziecko wytwórni, przerwał pracę w trakcie kręcenia filmu za pięć milionów dolarów; Tessie Brand zaczęła „wierzczać” na kilka dni przed rozpoczęciem zdjęć do swego nowego filmu.

Komendant straży ogniowej i dyrektor ekonomiczny wytwórni znajdowali się w gabinecie Wintersa.

– Jak duże są straty po wczorajszym pożarze? – spytał Sam.

– Dekoracje są kompletnie zniszczone, panie Winters. Halę piętnastą trzeba będzie zbudować od nowa. Szesnasta lepiej wygląda, ale reperacje potrważą ze trzy miesiące – odparł dyrektor ekonomiczny.

– Nie mamy trzech miesięcy – warknął Sam. – Do telefonu i niech pan wynajmie trochę miejsca u Goldwyna. Już w ten weekend trzeba zorganizować ekipę do budowy nowych deko racji. Niech się wszyscy biorą do roboty.

Zwrócił się do komendanta straży, mężczyzny nazwiskiem Reilly, który przypominał Samowi aktora George’a Bancrofta.

– Jasne jak słońce, że ktoś pana nie lubi, panie Winters powiedział Reilly. – Ostatnie pożary były wynikiem oczywiste go podpalenia. Czy pan sprawdził pochrząkiwaczy?

Pochrząkiwaczami byli niezadowoleni, zgłaszający pretensje pracownicy bądź ludzie ostatnio wydaleny z wytwórni.

– Dwukrotnie już przejrzelśmy akta personalne – odparł Sam. – Niczego nie odkryliśmy.

– Kimkolwiek jest ten chłopiec z zapalnikami, świetnie wie, co robi. Używa urządzenia zegarowego połączonego z bombą zapalającą domowej produkcji. Może być elektrykiem lub mechanikiem.

– Dzięki – odparł Sam. – Przekażę to.

– Roger Tapp dzwoni z Tahiti.

– Przełącz go – rzekł Sam.

Tapp był producentem serialu telewizyjnego My Man Friday, w którym główną rolę kreował Tony Fletcher. Zdjęcia kręcono na Tahiti.

– Jakie masz kłopoty? – spytał.

– Nie będziesz chciał, kurwa, wierzyć, Sam. Philip Heller, przewodniczący grupy sponsorów tego serialu, przyjechał tu z rodziną. Wczoraj po południu przyszli na plan; akurat leciała scena z Tonym Fletcherem, który przerwał grę i obraził ich.

– Co im nagadał?

– Powiedział, żeby wynieśli się z jego wyspy.

– Jezus Maria!

– Jak widzisz, we łbie mu się całkiem przewróciło. Heller jest tak wściekły, że chce się wycofać.

– Połącz się z Hellerem i przeproś go. Zrób to od razu. Po wiedz mu, że Tony Fletcher nie panuje ostatnio nad nerwami.

Poślij pani Heller kwiaty, zaproś ich na obiad. Z Fletcherem sam porozmawiam.

Konwersacja trwała trzydzieści minut. Sam rozpoczął ją słowami: „Posłuchaj, ty głupi, złamany chuju...” i zakończył: „Też cię kocham, dziecinko. Przylecę do was, jak tylko będę mógł się stąd wyrwać. I, na litość boską, Tony, nie zerznij pani Heller!”

Następny problem stanowił Bert Firestone, cudowne dziecko, reżyser, który rujnował Pan-Pacific Studios. Jego obraz *There's Always Tomorrow* kręcono już sto dziesięć dni i przekroczono budżet o ponad milion. A teraz Bert przerwał zdjęcia, co znaczyło, że oprócz gwiazd stu pięćdziesięciu statystów siedziało na tyłku i nie robiło nic. Bert Firestone. Nieodpowiedzialny jak dziecko, trzydziestoletni czarodziej, który przedtem zdobywał nagrody za seriale kręcone dla telewizji chicagowskiej, a teraz zabrał się za reżyserowanie filmów w Hollywood. Pierwsze trzy obrazy osiągnęły mierny sukces, za to czwarty przeszedł najśmielsze oczekiwania, był niczym kura znosząca złote jaja. Stał się faworytem. Sam Winters pamiętał pierwsze spotkanie z nim. Firestone wyglądał jak piętnastolatek, który jeszcze nie zaczął się golić; blady, nieśmiały mężczyzna w czarnych, rogowych okularach, za którymi ukrywały się małe, różowe oczy krótkowidza. Samowi żal się zrobiło dzieciaka. Firestone nie znał nikogo w Hollywood. Zabrał go więc na obiad i dopilnował, aby go zapraszano na przyjęcia. Gdy po raz pierwszy poruszono temat *There's Always Tomorrow*, Firestone był pełen uszanowania. Wyznał Samowi, iż chętnie będzie uczył się nowych dla niego rzeczy. Niemal zawisł wzrokiem na ustach Sama, zgadzał się z nim we wszystkim. Jeżeli podpiszą z nim kontrakt, powiedział, będzie korzystał na każdym kroku z doświadczeń Sama.

Tak było, zanim podpisano umowę, bo potem zmienił się nie do poznania, zupełnie jakby Albert Schweitzer przedzierzgnął się w Adolfa Hitlera. W ciągu jednej nocy mały, rumiany dzieciak przeistoczył się w wampira. Przeciął wszelką łączność. Całkowicie zignorował sugestie Sama dotyczące obsady filmu, upierał się przy daleko idących zmianach świetnego, już przyjętego scenariusza, odrzucił większość, uprzednio zatwierdzonych, miejsc, w których miano kręcić film. Sam chciał go wyrzucić, lecz biuro w Nowym Jorku zaleciło cierpliwość. Rudolph Hergershorn, prezes towarzystwa, był wręcz zahipnotyzowany ogromem zysków, jakie przyniósł ostatni film Firestone'a. Tak więc Sam zmuszony był siedzieć cicho i nie interweniować. Zdawało mu się, że arogancja reżysera rośnie z dnia na dzień.

Firestone zwykle nic nie mówił na zebraniach produkcyjnych i czekał, aż wypowiedzą się doświadczeni szefowie poszczególnych działów. Dopiero potem mieszał ich z błotem. Sam tylko zgrzytał zębami. W krótkim czasie Firestone zyskał sobie przezwisko: Imperator, a jego współpracownicy używali go na zmianę z drugim: Chujek z Chicago. Ktoś powiedział:

– To hermafrodyta. Przypuszczalnie mógłby jebać sam siebie i wydać na świat dwugłowego potwora.

A teraz, w połowie produkcji, Firestone zaprzestał pracy. Sam udał się do kierownika działu plastycznego, Devlina Kelly'ego.

– Gadaj, tylko krótko.

– Dobra. Chujek kazał...

– Skończ z tym. On się nazywa Firestone.

– Przepraszam. Więc pan Firestone prosił, żeby mu zbudować makietę zamku. Sam zrobił projekt i rysunki. Parafowałeś to.

– Dobre były. Co się stało?

– Stało się, że zrobiliśmy dokładnie to, co ten... co sobie życzył, ale gdy wczoraj obejrzał dekorację, powiedział, że już jej nie chce. Pół miliona doków w...

– Porozmawiam z nim – powiedział Sam.

Bert Firestone był na zewnątrz, na tyłach hali dwudziestej trzeciej. Grał z innymi w koszykówkę na prowizorycznym boisku, które sami przygotowali – namalowali linie i ustawili dwa kosze.

Sam obserwował ich przez chwilę. Ta gra kosztowała wytwórnię dwa tysiące dolarów za godzinę.

– Bert!

Firestone odwrócił się, zobaczył Sama, uśmiechnął się i zamachał do niego. Akurat nadeszła piłka. Pokoźlował chwilę, zamarkował atak i umieścił piłkę w koszu, po czym podszedł do mężczyzny, – Jak leci?

Jakby nic się nie stało.

Winters przyglądał się uśmiechniętej, chłopięcej twarzy i nagle uświadomił sobie, że Firestone musi być nienormalny. Utalentowany, może nawet genialny, ale z całą pewnością wariat. I trzymał w ręku pięć milionów dolarów należących do wytwórni.

– Słyszałem, że masz jakiś problem z nową dekoracją – po wiedział Sam. – Wyjašnjmy to.

Reżyser uśmiechnął się leniwie i odrzekł:

– Nie ma tu nic do wyjaśniania. Dekoracja się nie nadaje.

Sam eksplodował.

– O czym ty, do cholery, mówisz? Dostałeś dokładnie to, co zamówiłeś. Sam robiłeś rysunki. Natychmiast mi powiedz, co ci się nie podoba!

Firestone spojrział na niego i zamrugał.

– Dlaczego? Dekoracja jest w zupełnym porządku. Chodzi oto, że zmieniłem zdanie. Nie chcę już zamku. Stwierdziłem, że to nie jest odpowiednie otoczenie. Wiesz, co mam na myśli?

To ma być scena pożegnania między Ellen i Mike'em. Chciał bym, żeby Ellen przyszła do Mike'a na pokład statku w momencie, gdy ten gotów jest do odpłynięcia.

Sam utkwiał w nim wzrok.

– Nie mamy atrapy statku, Bert.

Bert Firestone rozpostarł ramiona, leniwie się uśmiechnął i powiedział:

– To ją dla mnie zbuduj, Sam.

– Jasne, mnie to też wścieka – powiedział Rudolph Hergershorn w zamiejscowej rozmowie telefonicznej – lecz nie możesz go nikim zastąpić, Sam. Za daleko zabrnęliśmy. W tym filmie nie ma gwiazd. Bert Firestone jest naszą jedyną gwiazdą.

– Czy ty wiesz, o ile on przekroczył budżet?

– Wiem. I, cytując Goldwyna, „nigdy więcej nie zaangażuję tego sukinsyna, chyba że będzie potrzebny”. A my go potrzebujemy – musi skończyć film.

- Myślę, że to błąd – sprzeciwił się Sam. – Nie powinno mu to ująć na sucho.
- Sam, czy podoba ci się to, co on już nakręcił?
- Wspaniale – uczciwie przyznał Sam.
- Daj mu ten statek.

Dekoracje były gotowe w dziesięć dni i Bert Firestone wznowił produkcję *There's Always Tomorrow*. Obraz okazał się najbardziej kasowym filmem roku.

Tessie Brand była kolejnym problemem. Należała do najbardziej wziętych śpiewaczek w przemyśle rozrywkowym. Podpisanie przez nią kontraktu na udział w trzech filmach wytwórni Pan-Pacific było wielkim osiągnięciem Sama Wintersa. Podczas gdy inne wytwórnie prowadziły negocjacje z agentami Tessie, Sam spokojnie poleciał do Nowego Jorku, obejrzał jej występ i zaprosił artystkę po spektaklu na kolację. Trwała ona aż do siódmej rano dnia następnego.

Tessie Brand była jedną z najbrzydszych dziewczyn, jakie zdarzyło się Samowi oglądać, i prawdopodobnie najbardziej utalentowaną. Talent zwyciężył. Jako córka krawca z Brooklynu nigdy w życiu nie uczyła się śpiewu. Lecz gdy wyszła na scenę i zaczęła śpiewać pełnym głosem, od którego drżały krokwie w dachu, publiczność oszalała. Tessie była wówczas „rezerwą” w kiepskim musicalu, który utrzymał się na scenie tylko sześć tygodni. Ostatniego wieczoru jedna z solistek zadzwoniła, że jest chora i nie przyjdzie. I wtedy właśnie Tessie Brand zadebiutowała, wkładając całą duszę w śpiewanie dla nielicznych słuchaczy. Wśród publiczności przypadkowo znalazł się Paul Varrick, producent z Broadwayu. Powierzył Tessie główną rolę w przygotowywanym przez siebie spektaklu. Dzięki niej zupełnie przeciętny musical zmienił się w absolutny przebój. Krytykom zabrakło słów, gdy próbowali opisać nieprawdopodobnie brzydką dziewczynę i jej cudowny głos. Nagrała swego pierwszego singla, który błyskawicznie wyszedł na czoło listy przebojów. Pierwszy longplay szedł jak woda – sprzedano dwa miliony płyt w ciągu miesiąca. Była Królową Midas – czegokolwiek dotknęła, zmieniało się w złoto. Producenci z Broadwayu i wydawnictwa płytowe robili na niej majątek. Wreszcie i Hollywood wyciągnął po nią rękę. Entuzjazm filmowców nieco ostygł, gdy ujrzeli jej twarz, lecz dzięki osiągnięciom kasowym Tessie dopatrzono się w niej nieodpartego piękna.

Po pięciu minutach spędzonych w jej towarzystwie Sam wiedział, jak ma z nią postępować.

– Deprymuje mnie – zwierzyła się Samowi zaraz pierwsze go wieczoru – myśl, jak będę wyglądać na wielkim ekranie. Jestem dostatecznie brzydka w naturalnych rozmiarach, prawda?

Wszystkie wytwórnie obiecują, że mnie przerobią na piękność, ale to pewnie kupa łgarstw.

– Bo to jest kupa łgarstw – odparł Sam. Tessie zerknęła na niego zdumiona. – Nie pozwól nikomu przerabiać się, Tessie.

Zniszczą cię.

– Taak?

– Gdy MGM podpisała kontrakt z Dannym Thomasem, Louie Mayer chciał mu zrobić operację plastyczną nosa. Danny zerwał kontrakt. Wiedział, że ma do sprzedania tylko

samego siebie. Tak samo ty – masz do sprzedania Tessie Brand, a nie jakąś nieznajomą z plastiku.

– Ty jeden grasz ze mną uczciwie – powiedziała. – Jesteś prawdziwy Mensch. Żonaty?

– Nie – odrzekł Sam.

– Lubisz przygody?

Sam roześmiał się.

– Nie ze śpiewaczkami – nie mam słuchu.

– Słuch nie jest potrzebny – powiedziała Tessie. – Lubię cię.

– Czy lubisz mnie na tyle, by nakręcić dla mnie kilka filmów?

Spojrzała na niego i odparła:

– Taa.

– Cudownie. Opracuję kontrakt z twoim impresario.

Pogłaskała go po rękę i spytała:

– Jesteś pewien, że nie lubisz przygód?

Pierwsze dwa filmy Tessie Brand stały się przebojami kasowymi. Za jeden dostała nominację Akademii, za drugi – złotego Oscara. Na całym świecie ludzie ustawiali się pod kinami w długie kolejki, aby tylko ją zobaczyć Tessie i usłyszeć jej niezwykły głos. Została sownie obdarzona: była zabawna, potrafiła śpiewać i umiała grać. Jej brzydota okazała się atutem, ponieważ widzowie identyfikowali się z nią. Stała się surogatem dla wszystkich nieatrakcyjnych, niekochanych, niechcianych.

Tessie poślubiła odtwórcę głównej roli w pierwszym filmie, rozwiodła się z nim po zakończeniu zdjęć i wyszła za mąż za swego partnera z drugiego filmu. Do Sama dochodziły plotki, że również ten związek jest zagrożony; nie zwracał na to uwagi, ponieważ Hollywood zawsze było wylegarnią i siedliskiem plotek. Ostatecznie, nie była to jego sprawa.

Później się okazało, jak bardzo się mylił.

Sam rozmawiał przez telefon z Barrym Hermanem, agentem Tessie.

– O co chodzi, Barry?

– O nowy film Tessie. Nie jest zadowolona.

Sam poczuł, że wzbiera w nim złość.

– Chwileczkę! Tessie zaaprobowała producenta, reżysera i scenariusz. Zbudowaliśmy dekoracje, wszystko jest przygotowane do zdjęć. Nie może się teraz wycofać. Ja...

– Ona wcale nie chce się wycofać.

Sam osłupiał.

– To czego, do cholery, chce?

– Chce innego producenta.

Sam wrzasnął do słuchawki:

– Co takiego?

– Ralph Dastin jej nie rozumie.

– Dastin jest jednym z lepszych producentów w tym interesie. Ma szczęście, że trafiła na niego.

– Całkowicie się z tobą zgadzam, Sam. Ale to nie matematyka. Ona nie chce z nim pracować.

– Podpisała kontrakt.

– Wiem o tym, mój drogi. I, możesz mi wierzyć, Tessie ma szczerzy zamiar go dotrzymać. Jak długo jest fizycznie do tego zdolna. A co, jeśli załamie się nerwowo i nie będzie mogła spamiętać tekstu?

– Oddzwonię – powiedział Sam ze złością i trzasnął słuchawką.

Przekłęta suka. Nie było najmniejszego powodu, aby odebrać Dastinowi ten film. Prawdopodobnie odmówił pójścia z nią do łóżka lub zdarzyło się coś równie bezsensownego. Zwrócił się do Lucille:

– Poproś Ralpa Dastina, żeby tu przyszedł.

Ralph Dastin był sympatycznym mężczyzną po pięćdziesiątce. Zaczynał jako pisarz, dopiero potem został producentem. Jego filmy odznaczały się wdziękiem i dobrym smakiem.

– Ralph – zaczął Sam – nawet nie wiem, jak...

Dastin uniósł rękę w górę.

– Nic nie musisz mówić, Sam. Właśnie tu szedłem, żeby ci powiedzieć, że to rzucam.

– Co się dzieje, u diabła? – zapytał Sam.

Dastin wzruszył ramionami.

– Nasza gwiazda ma śwędzonkę. Tyle że kto inny będzie ją drapał.

– Czy to znaczy, że już znalazła kogoś na twoje miejsce?

– O Jezu! Gdzieś ty był? Na Marsie? Nie czytujesz kolumny towarzyskiej?

– Nie, o ile mogę tego uniknąć. Kim on jest?

– To nie jest on.

Sam powoli osunął się na krzesło.

– Cooooo?

– Jest projektantką kostiumów do tego filmu. Nazywa się Barbara Carter – jak te pigułki na wątrobę.

– Czy jesteś tego pewien? – dopytywał się Sam.

– Jesteś jedynym człowiekiem na Zachodniej Półkuli, który jeszcze tego nie wie.

Sam potrząsnął głową.

– Zawsze uważałem Tessie za normalną.

– Sam, życie niesie mnóstwo różnorodnych możliwości, a Tessie jest nienasycona.

– Dobra, ale nie mam najmniejszego zamiaru powierzać fil mu za cztery tysiące dolarów jakiejś przekłętej projektantce kostiumów.

Dastin uśmiechnął się z przekąsem.

– Powiedziałeś coś bardzo niewłaściwego.

– Co masz na myśli?

– Znaczący to tyle, że Tessie, między innymi, doszła do wniosku, iż kobiety w tym interesie nie mają równych szans. Twoja mała gwiazdka stała się feministką.

– Nie zrobię tego – upierał się Sam.

– Jak sobie życzysz. Ale poradzę ci coś za friko. Jest to jedyny sposób, jeżeli chcesz, aby ten film w ogóle powstał.

Sam zadzwonił do Barry’ego Hermana.

– Powiedz Tessie, że Ralpa Dastina nie będzie w tym filmie – obwieścił.

– Ucieszy ją ta wiadomość.

Sam zazgrzytał zębami i spytał:

– Czy ona kogoś sobie upatrzyła na producenta filmu?

– Jeżeli o to idzie, to tak – odparł gładko Herman. – Tessie odkryła bardzo utalentowaną młodą dziewczynę, która, jej zdaniem, może się tego podjąć. Oczywiście, pod kierunkiem kogoś tak wybitnego jak ty...

– Oduść sobie te grzeczności – rzucił Sam. – Czy to ostatnie słowo?

– Boję się, że tak, Sam. Przykro mi.

Barbara Carter miała ładną twarz i dobrą figurę i, o ile Sam mógł stwierdzić, była od stóp do głów kobieca. Obserwował ją, gdy siadała na skórzanej kanapie w jego gabinecie, z wdziękiem krzyżując długie, zgrabne nogi. Gdy się odezwała, głos jej był lekko schrypnięty, lecz mogło to być spowodowane uporczywym wzrokiem Sama. Przyjrzała mu się bacznie łagodnymi, szarymi oczami i powiedziała:

– Znalazłam się w okropnej sytuacji, panie Winters. Nie miałam najmniejszego zamiaru pozbawiać kogokolwiek pracy.

A jednak... – uniosła ręce w geście bezradności. – Panna Brand mówi, że nakręci ten film pod warunkiem, że ja będę producentem. Co, pana zdaniem, powinnam zrobić?

Przez chwilę Sama kusiło, żeby odpowiedzieć. Zamiast tego zapytał:

– Czy ma pani jakieś doświadczenia w przemyśle rozrywkowym, oprócz projektowania kostiumów?

– Byłam bileterką i obejrzałam mnóstwo filmów.

– Wprost cudownie! A dlaczego panna Brand przypuszcza, że pani potrafi robić filmy?

Zupełnie jakby dotknął ukrytej sprężyny. Barbara Carter nagle się ożywiła.

– Wiele rozmawialiśmy z Tessie o tym filmie. – Koniec z panną Brand, zauważył Sam. – Mam wrażenie, że w scenariuszu jest mnóstwo błędów, a gdy zwróciłam jej na to uwagę, zgodziła się ze mną.

– Czy uważa pani, że umie pani pisać scenariusze lepiej niż zdobywca nagrody Akademii, który ma już w dorobku kilka dobrych filmów i sztuk teatralnych?

– Ależ skąd! Uważam tylko, że więcej wiem o kobietach, panie Winters. – Szare oczy stwardniały, głos nabrał szorstkości. – Nie sądzi pan, że to śmieszne, że mężczyźni zawsze piszą role dla kobiet. Tylko my naprawdę znamy siebie. Czy nie przekonuje to pana?

Sam miał dosyć tej zabawy. Wiedział, że podpisze z nią kontrakt i czuł do siebie obrzydzenie z tego powodu, lecz kierował wytwórnią i do jego obowiązków należało stworzenie takich warunków, aby filmy powstawały. Gdyby Tessie uparła się, żeby producentem została jej ukochana wiewiórka, zamówiłby orzechy. Filmy z Tessie Brand z łatwością przynosiły dwadzieścia do trzydziestu milionów dolarów zysku. Zresztą, Barbara Carter nie mogła już temu obrazowi wiele zaszkodzić. Już nie. Prace były zbyt zaawansowane, by mogła wprowadzić istotne zmiany.

– Przekonała mnie pani – odparł ironicznie. – Dostaje pani tę pracę. Moje gratulacje.

Następnego dnia Hollywood Reporter i Variety doniosły na pierwszych stronach, że Barbara Carter została producentem najnowszego filmu Tessie Brand. Gdy Sam wyrzucał gazety do kosza, wzrok jego padł na tytuł niewielkiego artykułu: TOBY TEMPLE PODPISAŁ KONTRAKT Z HOTELEM TAHOE.

Toby Temple. Sam przypomniał sobie młodego komika w mundurze i to wspomnienie wywołało uśmiech na jego twarzy. Postanowił w duchu pójść na jego występ, jeżeli Toby w przyszłości przyjedzie do miasta.

Zastanawiał się, dlaczego on nigdy się z nim nie skontaktował.

...

Rozdział XIII

W przedziwny sposób właśnie Millie przyczyniła się do pełnego rozkwitu kariery Toby'ego Temple'a. Przed ślubem był po prostu jednym z wielu młodych aktorów estradowych. W momencie zawarcia związku małżeńskiego pojawił się nowy czynnik: nienawiść. Toby został zmuszony do poślubienia dziewczyny, którą gardził, i miotła nim taka wściekłość, że mógłby ją własnoręcznie zabić.

Mimo iż nie zdawał sobie z tego sprawy, Millie była wspaniałą, pełną poświęcenia żoną. Uwielbiała go, robiła wszystko, aby mu sprawić przyjemność. Urządziła dom w Benedict Canyon i zrobiła to przepięknie. Lecz im bardziej się starała, tym gorsze przekleństwa Toby miotał w duchu na jej głowę. Był dla niej zawsze uprzedzająco grzeczny, baczył, by nie uczynić ani nie powiedzieć niczego, co by jej mogło pójść nie w smak, żeby tylko nie wpadła na pomysł zatelefonowania do Ala Caruso. Do końca życia nie zdołał zapomnieć przeraźliwego bólu łamanej ręki i wyrazu twarzy Ala Caruso, gdy mówił: „Jeżeli kiedykolwiek skrzywdzisz Millie...”

Ponieważ Toby nie mógł wyładować swojej złości na żonie, skierował ją na publiczność. Każdy, kto zabrzęczał sztućcami, wstał, żeby pójść do toalety, czy ośmielił się rozmawiać podczas występu Toby'ego, stawał się natychmiast obiektem zacieklej tyrady. Wygłaszał ją z naiwnym wdziękiem i wyrazem niewinności w szeroko otwartych oczach, a gdy wdeptywał nieszczęsną ofiarę w ziemię, ludzie zaśmiewali się do łez. Kombinacji szczerzej, niewinnej twarzy i zabawnego, lecz arcyzłośliwego komentarza nikt nie mógł się oprzeć. Toby znieważał ludzi i uchodziło mu to na sucho. Taką „słowną chłostę” traktowano wręcz jak wyróżnienie. Jego ofiarom nigdy nie postało w głowie, że aktor naprawdę myśli to, co mówi. O ile przedtem był obiecującym, młodym komikiem, teraz awansował na główny temat rozmów w świątku rozrywki.

Gdy Clifton Lawrence powrócił z Europy, zdumiała go wiadomość o małżeństwie Temple'a z tancerką rewiową, tak dalece nie pasowało to do charakteru Toby'ego. Kiedy agent spytał o to, Toby spojrzął mu w oczy i odparł:

– Nie ma o czym mówić, Cliff. Spotkałem Millie, zakochałem się i to wszystko.

Lawrence nie bardzo w to uwierzył. I jeszcze coś go zaintrygowało. Któregoś dnia w swoim biurze powiedział:

– Stajesz się naprawdę wzięty. Podpisałem ci czterotygodniowy kontrakt w hotelu Thunderbird. Dwa tysiące na ty dzień.

– A co z tamtym tournee?

– Zapomnij o tym. Las Vegas płaci dziesięć razy tyle i więcej ludzi cię obejrzy.

– Odwołaj Vegas. Załatw mi tournee.

Lawrence spojrzął na niego zdumiony.

– Przecież Las Vegas...

– Załatw mi tournae. – W głosie mężczyzny pojawiła się nuta, której impresario nigdy przedtem nie słyszał. Nie arogancja i nie temperament. Coś znacznie głębszego – kontrolowany gniew.

A co gorsza, emanował on z przemilej chłopięcej twarzy Toby'ego.

Od tej chwili Toby był bez przerwy w rozjazdach. Tylko w ten sposób mógł uciec z małżeńskiego więzienia. Grywał w nocnych klubach, teatrach, salach koncertowych, a gdy te kontrakty się skończyły, wiercił agentowi dziurę w brzuchu o załatwienie mu występów na wyższych uczelniach. Gdziekolwiek, byle jak najdalej od Millie.

Nie brakowało atrakcyjnych kobiet chętnych, by pójść z nim do łóżka. W każdym mieście było to samo. Wysiadywały w jego garderobie przed i po spektaklu, czatowały na niego w hotelu.

Toby nie skorzystał z ani jednej okazji. Myślał o odrąbanym i podpalonym członku, a słowa Ala Caruso dzwięczały mu w uszach: Musisz być niezłym kochasiem... Nie skrzywdzę, cię. Jesteś moim przyjacielem. Jak długo będziesz dobry dla Millie... I Toby odmawiał.

– Kocham moją żonę – wyznawał wstydliwie. Wierzyły mu i jeszcze goręcej uwielbiały. I szeroko, zgodnie z jego życzeniem, rozchodziła się fama: Toby Temple nie szuka przygód; jest naprawdę wierny swojej żonie.

Lecz młode, piękne dziewczyny w dalszym ciągu narzucały mu się, a im bardziej je odpychał, tym więcej go pragnęły. Toby aż do fizycznego bólu spragniony był kobiety. W pachwinach tak go ciągnęło, że niekiedy przeszkadzało mu to pracować. Zaczął się ponownie onanizować. A ilekroć to robił, myślał o tych wszystkich pięknych dziewczynach, które tylko czekały na jego znak. Wówczas buntował się i przeklinał swój los.

Ponieważ zmuszony był żyć w czystości, myślał niemal wyłącznie o seksie. Gdy powracał do domu, Millie już czekała na niego, kochająca i pełna pożądania, lecz na sam jej widok przycichały w nim wszelkie pragnienia. Była wrogiem; Toby gardził nią za wszystko, co mu zrobiła. Zmuszał się do spółkowania z nią, lecz chodziło mu wyłącznie o zaspokojenie Ala Caruso. Brał ją tak brutalnie, że aż jęczała z bólu, a on udawał, iż poczytuje te dźwięki za oznaki przeżywanej przez nią rozkoszy; wbijał się w nią coraz mocniej i mocniej, aż furia szczytowała w nim, powodując wytrysk zatrutego nasienia. Nie uprawiał miłości.

Uprawiał nienawiść.

W czerwcu 1950 roku armia Korei Północnej przekroczyła trzydziesty ósmy równoleżnik i zaatakowała Koreę Południową. Prezydent Truman skierował do walki oddziały Stanów Zjednoczonych. Bez względu na to, co sądziła reszta świata, dla Toby'ego wybuch wojny koreańskiej był ze wszech miar szczęśliwym wydarzeniem.

W początkach grudnia Daily Variety zamieściło ogłoszenie, że Bob Hope przygotowuje z okazji Świąt program rozrywkowy dla oddziałów w Seulu. Nie minęło nawet trzydzieści sekund od przeczytania anonsu, gdy Toby wisiał już na telefonie.

– Załatw mi udział w tym, Cliff.

– Po co? Masz prawie trzydzieści lat. Uwierz mi, drogi chłopcze, to nie jest zabawa. Ja...

– Nic mnie nie obchodzi, czy to zabawa, czy nie – krzyczał Toby do słuchawki. – Ci żołnierze ryzykują życiem. Jedyne, co mogę dla nich zrobić, to dać im odrobinę śmiechu.

Oczom Lawrence'a ukazało się całkiem nowe oblicze Toby'ego. Ucieszyło go i wzruszyło.

– W porządku. Jeśli ci na tym tak bardzo zależy, zobaczę, co się da zrobić – obiecał.

Godzinę później oddzwonił.

– Rozmawiałem z Bobem. Jest zachwycony twoją propozycją. Gdybyś jednak zmienił zdanie...

– Wykluczone – odparł Toby i odwiesił słuchawkę.

Clifton Lawrence długo siedział, rozmyślając o Tobym. Był z niego dumny. Toby był cudownym człowiekiem i Lawrence odczuwał zadowolenie, że mógł być jego agentem, że pomagał w kształtowaniu jego stale rozwijającej się kariery.

Toby grał w różnych miastach – Taegu, Pusanie, Chonju; śmiech żołnierzy stanowił dlań pociechę. Millie stała się odległym wspomnieniem.

Święta minęły. Zamiast odlecieć do domu, udał się na Guam. Tamtejsi chłopcy uwielbiali go. Pojechał nawet do Tokio, żeby rozerwać rannych w szpitalu wojskowym.

W końcu trzeba było wrócić.

W kwietniu, gdy Toby wracał z dziesięcioletniego tournée po Środkowym Zachodzie, Millie wyjechała po niego na lotnisko. Jej pierwsze słowa brzmiały:

– Kochanie, spodziewam się dziecka!

Oniemiały gapił się na nią. Poczytała to za przejaw uszcześliwienia.

– Czyż to nie cudownie? – wykrzyknęła. – Teraz, gdy często wyjeżdżasz, będę miała dziecko – dotrzyma mi towarzystwa. Mam nadzieję, że to będzie chłopiec, będziesz go zabierał na mecze baseballu i...

Toby nie słuchał dalej tych głupot. Zdawało mu się, że jej słowa docierają z bardzo daleka. Gdzieś w głębi serca Toby pieścił nadzieję, że któregoś dnia, nie wiadomo jak, ale znajdzie się dla niego droga ucieczki. Byli małżeństwem dwa lata, które jemu zdawały się wiecznością. A teraz jeszcze to. Millie nigdy nie pozwoli mu odejść.

Nigdy.

Dziecko miało przyjść na świat około Bożego Narodzenia. Toby ponownie zgłosił się do zespołu jadącego do Korei, lecz nie miał pojęcia, czy Al Caruso zaaprobuje jego wyjazd na czas porodu. Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Zadzwoił do Las Vegas.

Niemal natychmiast usłyszał znajomy, radosny głos Caruso.

– Witaj, chłopcze. Miło słyszeć twój głos.

– Miło ciebie słyszeć, Al.

– Podobno zostaniesz ojcem. To musi być naprawdę podniecające.

– Podniecające nie jest właściwym słowem – powiedział Toby szczerze. Pozwolił, by w jego głosie zdrzały nutki niepokoju. – Dlatego dzwonię do ciebie, Al. Dziecko przyjdzie na świat około Bożego Narodzenia i... – należało zachować ostrożność. – nie wiem, co robić. Chcę być tutaj z Millie, gdy będzie rodzić, lecz proszono mnie o wzięcie udziału w przedstawieniach dla żołnierzy w Korei.

Zapadła cisza.

– Niełatwa sytuacja.

– Nie chcę opuścić naszych chłopców, nie chcę również opuścić Millie.

– Taa. – Kolejna przerwa, a potem: – Powiem, co o tym my ślę, dziecko. Jesteśmy dobrymi Amerykanami, nie? Tamci chłopcy walczą za nas, nie?

Toby odczuł ulgę.

– Pewnie, ale nie chcę...

– Millie nic się nie stanie – powiedział Caruso. – Kobiety rodzą dzieci cholera wie od jak dawna. Jedź do Korei.

Sześć tygodni później, gdy Toby, żegnany grzmiącymi oklaskami, schodził ze sceny w koszarach w Pusanie, wręczono mu telegram informujący, że Millie zmarła, wydając na świat nieżywego syna.

Był wolny.

Rozdział XIV

Czternastego sierpnia 1952 roku wypadały trzynaste urodziny Josephine Czinski. Została zaproszona na przyjęcie do Mary Lou Kenyon urodzonej tego samego dnia. Matka nie pozwoliła jej pójść.

– To są źli ludzie – tłumaczyła córce pani Czinski. – Będzie lepiej dla ciebie, gdy zostaniesz w domu studiować Biblię.

Lecz Josephine nie miała zamiaru pozostać w domu. Jej przyjaciele wcale nie byli źli. Jakże pragnęła, by matka to zrozumiała. Gdy tylko pani Czinski wyszła, Josephine wzięła zarobione przy dzieciach pięć dolarów i udała się do miasta, gdzie kupiła sobie śliczny, biały kostium kąpielowy. Następnie skierowała się do domu Mary Lou. Miała przecucie, że wspaniale spędzi ten dzień.

Dom, w którym mieszkała Mary Lou Kenyon, był najpiękniejszą spośród rezydencji należących do Naftowych Ludzi. Wypełniały go antyki, bezcenne dywany i piękne obrazy. Na terenie posiadłości znajdował się pawilon dla gości, stajnie, kort tenisowy, prywatny pas startowy i dwa baseny: jeden ogromny dla rodziny i gości, drugi, mniejszy, położony na tyłach domu, dla służby.

Mary Lou miała starszego brata, Davida, a Josephine od czasu do czasu podchwytowała jego spojrzenia. Uważała go za najprzystojniejszego chłopca, jakiego kiedykolwiek widziała. Miał chyba ze trzy metry wzrostu, szerokie bary piłkarza i przekorne, szare oczy. Grał jako łącznik w drużynie ogóln amerykańskiej i dostał stypendium Rhodesa. Mary Lou miała także starszą siostrę, Beth, która jednak zmarła, gdy Josephine była jeszcze małą dziewczynką.

Podczas przyjęcia Josephine cały czas rozglądała się za Davidem, ale nigdzie go nie dostrzegła. W przeszłości zdarzało się wielokrotnie, że chłopak zatrzymywał się, aby z nią porozmawiać, lecz ona wówczas tylko się rumieniła, niezdolna wykrztusić ani słowa.

Przyjęcie było bardzo udane. Czternaścioro chłopców i dziewcząt zjadło ogromny lunch złożony z pieczonej na ruszcie wołowiny i kurcząt oraz sałatki z kartofli i chilli. Lokaje w liberiach podali na tarasie lemoniadę. Następnie jubilatki otworzyły paczki z prezentami, a reszta stała wokół i dzieliła się uwagami. W końcu Mary Lou zaproponowała: – Chodźmy popływać.

Wszyscy pospieszyli do przebieralni rozmieszczonych po obu stronach basenu. Josephine włożyła swój nowy kostium i pomyślała, że jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa. Spędziła cudowny dzień z przyjaciółmi. Była jedną z nich, dzieliła z nimi otaczające ich zewsząd piękno. Nie było w tym nic złego. Pragnęła zatrzymać czas w biegu, zamrozić ten dzień, aby się nigdy nie skończył.

Josephine wyszła na słońce. Idąc w stronę basenu, dostrzegła, że wszyscy bacznie się jej przyglądają – dziewczęta z wyraźną zawiścią, chłopcy nieśmiało, spod oka. W ciągu ostatnich kilku miesięcy jej ciało gwałtownie się rozwinęło. Piersi, duże i jędrne, rozpychały kostium kąpielowy, biodra nabrały kobiecej krągłości. Josephine zanurkowała i dołączyła do pozostałych.

– Zagrajmy w „Marco Polo” – zaproponował ktoś.

Dziewczynka lubiła tę grę. Poruszanie się w ciepłej wodzie z mocno zamkniętymi oczami sprawiało jej przyjemność. Wykrzykiwała „Marco!”, reszta zaś odpowiadała „Polo!”. Kierując się tylko głosem należało szybko zanurkować i nim zdążyli się rozproszyć, dotknąć kogoś; wówczas ten ktoś stawał się „berkiem”.

Zabawa się rozpoczęła. „Berkiem” była Cissy Topping. Początkowo goniła ulubionego chłopca, Boba Jacksona, lecz nie mogąc go dostać, klepnęła Josephine. Teraz dziewczynka zacisnęła powieki i przez chwilę wsłuchiwała się w wiele mówiące odgłosy chlapania.

– Marco! – wykrzyknęła.

– Polo! – odpowiedział chór. Josephine zanurkowała w kierunku najbliższego głosu, pomacała wokół siebie, lecz nie było tam nikogo.

– Marco! – zawołała.

– Polo! – ponownie odkrzyknął chór. Na ślepo wyciągnęła ramiona, lecz złapała tylko wodę. Nie przeszkadzało jej, że tamci byli szybsi; chciała, by ta gra trwała bez końca, tak jak pragnęła, by ten dzień przeciągnął się w wieczność.

Stała nieruchomo, wsłuchując się w pluski, chichoty, szepty. Z zamkniętymi oczami i rozłożonymi ramionami ruszyła wokół basenu, aż dotarła do schodków. Wspięła się o kilka stopni i poczekała, aż uciszą się odgłosy jej własnych ruchów.

– Marco! – zawołała.

Nie było odpowiedzi. Stała dalej nieruchomo.

– Marco!

Cisza. Zupełnie, jakby przebywała sama jedna w ciepłym, mokrym i bezludnym świecie. Robili jej jakiś kawał. Pewnie umówili się, że nikt jej nie będzie odpowiadał. Josephine uśmiechnęła się i otworzyła oczy.

Stała samotnie na stopniach basenu. Coś zmusiło ją do popatrzenia w dół. Jej kostium w dolnej części zabarwiony był na czerwono, a krew cieniutką strużką wyciekała spomiędzy ud. Wszystkie dzieci stały na krawędzi basenu i gapiły się na nią. Josephine, jak porażona, spojrzała na nich.

– Ja... – urwała, nie wiedząc, co powiedzieć. Szybko zeszła tych kilka stopni w dół, aby w wodzie ukryć swój wstyd.

– My nie robimy tego w basenie kąpielowym – powiedziała Mary Lou.

– Polacy widać robią. – Ktoś zachichotał.

– Hej! Chodźmy pod prysznic.

– Jasne. Aż mnie mdli.

– Kto chciałby pływać w czymś takim?

Josephine ponownie zamknęła oczy. Słyszała, jak odchodzą, zostawiając ją samą. Stała z mocno zaciśniętymi powiekami, zwierając uda w nadziei, że powstrzyma to wstydlive krwawienie. Jeszcze nie miesiączkowała; ta pierwsza miesiączka przyszła zupełnie nieoczekiwanie. Tamci wszyscy wrócą za chwilę i powiedzą jej, że tylko żartowali, że dalej będą się z nią przyjaźnić, że szczęście nigdy się nie skończy. Wrócą i oświadczą, że to tylko taka gra. Może już wrócili gotowi do zabawy. Nie otwierając oczu, wyszeptwała: „Marco”, lecz jej głos zginął w popołudniowej ciszy. Nie miała pojęcia, jak długo stała w wodzie z zamkniętymi oczami.

My nie robimy tego w basenie kąpielowym.

Polacy widać robią.

Głowa zaczęła się jej gwałtownie kiwać. Poczowała mdłości. Lecz wiedziała, że musi stać z zaciśniętymi powiekami, dopóki tamci nie wrócą i nie powiedzą, że to był tylko żart.

Usłyszała nad głową czyjeś kroki, jakieś szuranie i pomyślała sobie, że teraz wszystko już będzie w porządku. Wrócili. Otworzyła oczy i spojrzała w górę.

Nad brzegiem basenu stał David, starszy brat Mary Lou. Trzymał w ręku włochaty szlafrok.

– Przepraszam cię za nich – powiedział stłumionym głosem. Podał jej szlafrok. – Proszę, wyjdź z wody i załóż to.

Lecz Josephine przymknęła znowu oczy i stała dalej nieporuszona. Pragnęła natychmiastowej śmierci.

Rozdział XV

Był to jeden z dobrych dni Sama Wintersa. Produkcja filmu z Tessie Brand gładko postępowała do przodu. Działo się tak po części dlatego, iż aktorka ogromnie się spieszyła, by pokazać, jak słuszne były jej uprzednie żądania. Niezależnie jednak od tego było jasne, że Barbara Carter zostanie producentem roku. Zapowiadał się ciężki okres dla projektantów kostiumów.

Seriale telewizyjne kręcone przez Pan-Pacific cieszyły się dużą popularnością, lecz najlepszy okazał się My Man Friday. Sieć telewizyjna wyraziła chęć podpisania kontraktu na następne pięć lat.

Sam akurat wybierał się na lunch, gdy wpadła Lucille.

– Właśnie złapali faceta, który usiłował podpalić rekwizytornię. Zaraz tu będą.

Mężczyzna siedział w fotelu, na wprost Sama. Milczał. Jego oczy błyszczały przewrotnością. Dwaj strażnicy wytwórni stali tuż obok. Sam nie otrząsnął się jeszcze z szoku.

– Dlaczego? – spytał. – Na litość boską, dlaczego?

– Bo nie chciałem twojej pieprzonej dobroczynności – odparł Dallas Burke. – Nienawidzę ciebie i tej wytwórni, i całego tego parszywego interesu. To ja stworzyłem ten interes, ty sukinsynu. Z moich pieniędzy powstała połowa wytwórni w tym wszawym mieście. Wszyscy się na mnie wzbogacili. Dlaczego nie dałeś mi filmu do zrobienia, zamiast udawać, że kupujesz ode mnie kupę ukradzionych, pierdolonych bajeczek? Kupiłbyś ode mnie nawet książkę telefoniczną. Nie chciałem twojej łaski, Sam – chciałem mieć robotę. Przez ciebie umrę jako nieudacznik, ty chuju. Nigdy ci tego nie wybaczę.

Dallasa Burkea wyprowadzono, a Sam długo jeszcze siedział i myślał o nim, o tym, czego zdołał dokonać, o wspaniałych filmach, które nakręcił. W każdej innej dziedzinie Dallas byłby bohaterem, przewodniczącym jakiejś rady lub, syty chwały, odszedłby z tłustą emeryturą.

Taki był cudowny świat przemysłu rozrywkowego.

Rozdział XVI

Na początku lat pięćdziesiątych sukcesy Toby'ego Temple'a stale rosły. Grał w czołowych klubach nocnych: Chez Paree w Chicago, Latin Casino w Filadelfii, Copacabana w Nowym Jorku. Brał również udział w akcjach dobroczynnych na rzecz na przykład szpitali dziecięcych – grałby dla każdego, wszędzie i zawsze. Potrzebował publiczności jak powietrza do oddychania. Potrzebował aplauzu i miłości. Żył wyłącznie swoją pracą. Na świecie działy się różne rzeczy, lecz dla Toby'ego stanowiły wyłącznie materiał do przedstawienia.

W roku 1951 usunięto generała MacArthura. Powiedział on wówczas: „Starzy żołnierze nie umierają – oni po prostu płowieją i nikną”. Toby skomentował to po swojemu:

– Jezuńku! Widocznie armię oddali do pralni chemicznej.

Gdy w roku 1952 przeprowadzono próbną eksplozję bomby wodorowej, komentarz komika brzmiał:

– To nic takiego. Trzeba było widzieć moje premierowe przedstawienie w Atlancie.

Gdy Nixon wygłosił przemówienie, które od imienia jego psa, Checkersa, znane jest jako „Checkers'speech”, Toby stwierdził:

– Głosowałbym na niego bez wahania. Nie na Nixona, na Checkersa.

Eisenhower został prezydentem; umarł Stalin; młoda Ameryka przywdziała futrzane czapki Davy'ego Crocketta; bojownicy o równouprawnienie Murzynów zorganizowali bojkot autobusów w Montgomery.

A on wygłaszał swoje „kawalki” z wyrazem zdumionej niewinności w szeroko otwartych oczach; publiczność wyła z zachwytu. Całe życie Toby'ego składało się z następujących fraz:

– więc on powiedział: „Zaczekaj chwilę. Tylko wezmę kapelusz i idę z tobą...”

– ...żeby powiedzieć prawdę, rzecz wyglądała tak smakowicie, że sam zjadłem wszystko!

– to sklep ze słodyczami, ale nazywają mnie...

– ...wówczas byłbym Shamusem...

– ...mamcie, lecz brakuje statku...

– Szczęściarz ze mnie. Mam rolę, która zjada...

I tak dalej, i temu podobne, a publiczność śmiała się z tego do łez. Uwielbiano go. On zaś karmił się tą miłością, tuczył i wspinał coraz wyżej.

Lecz głęboko w Tobym tkwił jakiś niepokój, który gnał go bez wytchnienia, zmuszał do szukania czegoś więcej. Toby nie umiał się cieszyć, ustawicznie dręczyła go obawa, że być może ominęło go wytworniejsze przyjęcie, że mógłby grać dla lepszej publiczności albo całować piękniejszą dziewczynę. Dziewczyny zmieniał równie często jak koszule. Po doświadczeniach z Millie bał się mocniej związać z którąkolwiek. Pamiętał, że gdy jeszcze grał w Obwodzie Toaletowym, zazdrościł znanym aktorom wielkich limuzyn i pięknych kobiet. Teraz sam był znanym aktorem, lecz pozostał równie samotny jak dawniej. Kto to powiedział: „Kiedy się tam dostaniesz, okaże się, że nie ma żadnego tam...”?

Był zdecydowany zostać Numerem Pierwszym i wiedział, że zdoła tego dokonać. Żałował tylko, iż jego matka nie zobaczy, jak jej przepowiednie stają się rzeczywistością.

Z przeszłości pozostał mu już tylko ojciec.

Dom starców w Detroit mieścił się w dziewiętnastowiecznym brzydkim budynku z cegły. Jego ściany przechowywały słodkawy odór starości, chorób i śmierci.

Pan Temple senior przeszedł wylew i jego życie było niemal wyłącznie wegetacją. Obojętny i apatyczny, ożywał się trochę tylko podczas wizyt syna. Toby przystanął w ciemnym holu wyłożonym zielonym chodnikiem w domu, który stał się schronieniem ojca. Pielęgniarki i pensjonariusze kręcili się wokół niego pełni adoracji.

– Widziałem cię w zeszłym tygodniu w składance Harolda Hobsona, Toby. Uważam, że byłeś wspaniały. Jak ci się udaje wymyślać coraz to nowe zabawne rzeczy?

– Moi autorzy o tym myślą – odparł, a tamci śmiali się z jego skromności.

Nadszedł pielęgniarz, pchając wózek z ojcem Toby'ego. Starszy pan był świeżo ogolony i uczesany. Pozwolił nawet przebrać się w garnitur dla uczczenia wizyty syna.

– Hej, to jest Beau Brummel! – wykrzyknął Toby, a wszyscy spojrzeli na pana Temple'a z zazdrością, że to nie oni mają takiego wspaniałego, sławnego syna, który im składa wizyty.

Toby podszedł do ojca, pochylił się i uściskał go.

– Kogo chcesz nabrać? – spytał, a wskazując pielęgniarza, dodał: – Mógłbyś jego wozić, tatusiu.

Wszyscy się roześmieli. Każdy starał się zanotować w pamięci dowcipne powiedzonka, aby móc przytoczyć znajomym, słyszane na własne uszy słowa komika. Byłem w towarzystwie Toby'ego Temple'a któregoś dnia i on powiedział... Stałem przy nim tak blisko, jak teraz przy tobie, i słyszałem, jak mówił...

Stał pośród nich, zabawiał ich, trochę obrażał, a oni go uwielbiali. Plótł im o ich życiu seksualnym, o ich zdrowiu, o dzieciach, tak że przez krótką chwilę byli w stanie śmiać się z własnych problemów. Wreszcie Toby mówił ze skruchą:

– Niechętnie się z wami żegnam, od lat nie miałem tak wspaniałej publiczności jak wy – to także starannie zapamiętywali – ale muszę spędzić trochę czasu sam na sam z tatą. Obiecał mi kilka nowych dowcipów.

Śmiali się i ubóstwiali go.

Toby był sam z ojcem w małym pokoju dla odwiedzających. Nawet tu czuć było zapach śmierci. W końcu, myślał, po to wymyślono takie domy. Śmierć? Pełno tu było zużytych, stojących nad grobem matek i ojców. Stawali się kłopotliwi, gdy przychodzili goście, więc usuwano ich najpierw z jadalni i salonów do małych pokoików na tyłach domu, a potem dzieci czy siostrzeńcy oddawali ich do domu starców. Wierz mi, matko, ojcze, wujku George'u czy ciociu Bess, to dla twego własnego dobra. Będziesz wśród miłych ludzi w twoim wieku. Będziesz miał cały czas towarzystwo. Wiesz, co mam na myśli? A naprawdę mieli na myśli: Posyłam cię tam, byś umarł wraz z innymi bezużytecznymi starymi ludźmi. Mam powyżej uszu twojego ślinienia się przy stole, powtarzania bez końca wciąż tych samych historii, gnębienia dzieci i moczenia się w łóżku. Eskimosi są w tej sprawie uczciwsi. Wysyłają swoich starych ludzi na mróz i tam zostawiają.

– Bardzo się cieszę, że przyjechałeś – powiedział ojciec.

Mówił powoli. – Chciałem z tobą porozmawiać. Mam dobrą wiadomość. Stary Art Riley, ten, co mieszkał w sąsiednim pokoju, umarł wczoraj.

Toby wytrzeszczył oczy.

– To jest dobra wiadomość?

– To znaczy, że mogę się przeprowadzić do jego pokoju – wyjaśnił ojciec. – To pojedyńka.

Oto, co znaczy starość: przeżyć, zdobyć wygody, które jeszcze są dostępne. Toby widywał tu ludzi, dla których naprawdę lepiej by było umrzeć, którzy jednak kurczowo czepiali się życia.

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, panie Dorset. Jak się pan czuje w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat... Gdy pomyślę o tym, że mogłoby mnie nie być, czuję się wprost wspaniale. Nadszedł wreszcie czas odjazdu.

– Przyjadę, jak tylko będę mógł – obiecał syn. Wręczył ojcu trochę pieniędzy, rozdał sute napiwki pielęgniarce i salowym.

– Opiekujcie się nim dobrze. Potrzebuję starszego pana, że by grać.

Toby wyjechał. Ledwo przekroczył próg, zapomniał o nich wszystkich. Myślało swym wieczornym przedstawieniu.

Całymi tygodniami jego wizyta stanowiła niewyczerpany temat rozmów w domu starców.

Rozdział XVII

Siedemnastoletnia Josephine Czinski była najpiękniejszą dziewczyną w Odessie, w stanie Teksas. Cerę miała złotawą z lekką opalenizną, w długich, czarnych włosach pojawiały się w słońcu rudawe refleksy, a w ciemnobrązowych oczach widniały złote cętki. Figurę miała wystrzałową: pełne, sterczące piersi, wąską talię, która przechodziła w łagodnie zaokrąglone biodra, i długie, kształtne nogi.

Josephine nie przyjaźniła się już z Naftowymi Ludźmi, obracała się wśród Innych. Po szkole pracowała jako kelnerka w Golden Derrick, popularnej restauracji, w której można było zjeść, nie wysiadając z samochodu. Mary Lou, Cissy Topping i inni znajomi często umawiali się tam na randki. Josephine zawsze grzecznie ich pozdrawiała, lecz teraz wszystko było inne.

Dreńczył ją niepokój, tęskniła za czymś nieznanym. To coś nie miało nazwy, jednakże istniało. Chciała porzucić to brzydkie miasto, ale nie wiedziała, dokąd jechać ani co robić. Zbyt długie rozmyślenia na ten temat wywoływały bóle głowy.

Umawiała się z kilkunastoma chłopakami i mężczyznami. Ulubieńcem matki był Warren Hoffman.

– Warren będzie dobrym mężem. Regularnie chodzi do kościoła, nieźle zarabia jako hydraulik i prawie stracił głowę na twoim punkcie.

– Ma dwadzieścia pięć lat i jest gruby.

Matka przyjrzała się jej uważnie.

– Biedne polskie dziewczęta nie spotykają rycerzy w lśniącej zbroi. Nie w Teksasie. Gdzie indziej też nie. Przestań się oszukiwać.

Josephine pozwalała Warrenowi raz na tydzień zabierać się do kina. Trzymając jej rękę w swych wielkich, spoconych, pokrytych bliznami dłoniach i ścisnął lekko podczas seansu. Dziewczyna ledwie zwracała na to uwagę. Całkowicie pochłaniało ją to, co działo się na ekranie. Było to jakby przedłużenie świata pięknych ludzi i rzeczy, świata, który poznała w dzieciństwie, tyle że ten na ekranie był jeszcze wspanialszy i bardziej podniecający. Gdzieś w głębi duszy Josephine czuła, że Hollywood mógłby jej dać wszystko, czego pragnęła: piękno, radość, śmiech, szczęście. Poza poślubieniem bogatego mężczyzny nie widziała żadnej drogi do osiągnięcia celu. A bogaci chłopcy byli rozchwytywani przez bogate dziewczyny.

Z jednym wyjątkiem.

David Kenyon. Josephine często o nim myślała. Dawno temu ukradła jego zdjęcie z domu Mary Lou. Trzymała je ukryte w szafie. Ilekroć czuła się nieszczęśliwa, wyjmowała je i oglądała. Przywoływało wspomnienie Davida stojącego na brzegu basenu i jego słowa: Przepraszam cię za nich wszystkich. Poczucie krzywdy powoli zanikało, a na to miejsce pojawiało się wrażenie ciepła. Od tamtego strasznego dnia, kiedy to David przyniósł jej szlafrok, widziała go tylko raz. Siedział wtedy w samochodzie wraz z całą rodziną i Josephine później dowiedziała się, że odprowadzali go na dworzec. Wybierał się do Oxfordu w Anglii. Było to cztery lata temu, w roku 1952. David przyjeżdżał potem na wakacje i Boże Narodzenie, ale nigdy się nie spotkali.

Josephine często słyszała, gdy inne dziewczęta o nim rozprawiły. Oprócz posiadłości, którą odziedziczył po ojcu, dostał także po babce pięć milionów dolarów. Prawdziwa zdobycz. Ale nie dla córki polskiej krawcowej.

Josephine nie wiedziała, że David wrócił już z Europy. Był późny, sobotni wieczór czerwcowy i, jak zwykle, była zajęta w Golden Derrick. Miała wrażenie, iż co najmniej połowa Odessy zjechała, by pokonać upał całymi furami lodów, litrami lemoniady i wody sodowej. Ruch był taki, że nie mogła marzyć o chwili przerwy.

Oświetlony neonówkami podjazd był ciasno otoczony pierścieniem samochodów niczym surrealistyczna sadzawka, do której ściągają zewsząd metalowe zwierzęta. Josephine podała tackę samochodową z milionowym już chyba zamówieniem cheeseburgerów i coca-coli, zabrała kartę dań i skierowała się do białego, sportowego samochodu, który właśnie nadjechał.

– Dobry wieczór – powitała pogodnie gości. – Zechcą państwo spojrzeć na menu?

– Witaj, nieznajoma.

Serce Josephine zaczęło mocno bić na dźwięk głosu Davida Kenyona. Wyglądał tak, jak go zapamiętała, tylko wydał jej się jeszcze przystojniejszy. Pobyt za granicą przydał mu dojrzałości i pewności siebie. Obok niego siedziała Cissy Topping. Wyglądała pięknie w kosztownej, jedwabnej spódnicy i bluzce. Powiedziała:

– Cześć, Josie. Nie powinnaś pracować w taki gorący wieczór, kochana.

Zupełnie, jakby Josephine przedłożyła pracę nad wyjście do klimatyzowanego teatru lub przejażdżkę sportowym wozem u boku Davida Kenyona.

Josephine odparła gładko:

– To mnie trzyma z dala od ulicy. – Spozrzęła, że David uśmiecha się do niej. Wiedziała, że zrozumiał.

Myślała o nim jeszcze długo po odjeździe tamtych. Przetrawiała każde jego słowo: – Witaj, nieznajoma... Proszę świniekę w ubranku i piwo korzenne... Proszę kawę. Zimne napoje są niezdrowe w tak gorącą noc... Jak ci się podoba praca tutaj?... Proszę rachunek... Zatrzymaj resztę... Miło było zobaczyć cię znowu, Josephine. Szukała ukrytego sensu, podtekstów, które mogła przecież przeoczyć. Rzecz jasna, niewiele mógł powiedzieć z Cissy przy boku, lecz prawdą było, że nie miał jej nic do powiedzenia. Zdumiała ją, że zapamiętał jej imię.

Stała przed zlewem w niewielkiej kuchni restauracyjnej, pogrążona w myślach, gdy Paco, młody kucharz, Meksykanin, podszedł do niej z tyłu i powiedział:

– Quepasa, Josita? Masz dżywny wyraz w oczach.

Lubiła Paco. Dobiał trzydziestki, był szczupły, ciemnooki, zawsze skory do uśmiechu i pełen lekkich dowcipów, zwłaszcza gdy narastało napięcie i wszyscy byli zdenerwowani.

– Kto to jest?

Josephine uśmiechnęła się.

– Nikt, Paco.

– Bueno. Zwłaszcza że szeszcz głodnych samochodów tam wariuje. Vamos!

Zatelefonował następnego dnia rano. Josephine wiedziała, kto dzwoni, zanim jeszcze podniosła słuchawkę. Nie była w stanie przestać o nim myśleć przez całą noc. Ten telefon wydał jej się dalszym ciągiem marzeń.

Jego pierwsze słowa brzmiały:

– Jesteś cliché. Podczas mojej nieobecności wyrosłaś na piękność.

Omam nie umarła ze szczęścia.

Tego wieczoru zabrał ją na obiad. Spodziewała się jakiejś niewielkiej, położonej na uboczu restauracji, gdzie szansa natknięcia się na kogoś z jego znajomych była mała. Tymczasem poszli do jego klubu, gdzie wszyscy po kolei zatrzymywali się przy ich stoliku, by się przywitać. David nie tylko nie wstydził się towarzystwa Josephine, był wręcz z niej dumny. Kochała go za to i za sto innych rzeczy. Jego wygląd, łagodność, zrozumienie sprawiały, że bycie z nim stanowiło dla niej czystą radość. Nigdy nie przypuszczała, że może istnieć ktoś tak wspaniały, jak David Kenyon.

Spotykali się codziennie, gdy Josephine kończyła pracę. Dziewczyna musiała się oganiać od mężczyzn, odkąd skończyła czternaście lat, otaczała ją bowiem aura seksualności, którą panowie traktowali jak wyzwanie. Mężczyźni zawsze wyciągali ku niej łapy – łapali za piersi lub wsuwali jej pod spódnicę – przekonani, że to ją podnieci. Nie wiedzieli, że budzą wyłącznie wstręt.

David Kenyon był inny. Niekiedy obejmował ją ramieniem lub dotykał przypadkowo, a wówczas reagowało całe ciało Josephine. Było to dla niej zupełnie nowe doznanie. Nawet gdy nie widziała go, nie była w stanie myśleć o niczym innym.

Stała w obliczu faktu, że kocha Davida. W miarę, jak tygodnie płynęły, a oni spędzali razem coraz więcej czasu, Josephine zrozumiała, że stał się cud: David ją pokochał.

Dyskutował o swoich problemach, opowiadał o trudnościach z rodziną.

– Matka chce, bym przejął interesy – powiedział – ale ja jeszcze nie zdecydowałem, jak ułożę sobie dalsze życie.

Interesy Kenyonów obejmowały szyby i rafinerie nafty, hodowlę bydła, jedną z największych na Południowym Zachodzie, cały szereg hoteli, niektóre banki i wielkie towarzystwo ubezpieczeniowe.

– A nie możesz po prostu powiedzieć jej „nie”, Davidzie?

Westchnął.

– Nie znasz mojej matki.

Josephine spotkała kiedyś matkę Davida. Była drobniutką kobietą (wydawało się niemożliwe, że wyszedł kiedyś z jej chudego ciała), która urodziła troje dzieci. Ciężko chorowała podczas każdej ciąży i porodu, a ostatni poród skończył się atakiem serca. Przez całe lata ustawicznie przypisywała swoje cierpienia dzieciom, które wyrastały w przekonaniu, że ich matka świadomie podejmowała ryzyko śmierci, aby tylko każdemu z nich dać życie. Dawało jej to ogromną władzę nad dziećmi i wykorzystywała ją w bezwzględny sposób.

– Chcę żyć po swojemu – zwierzał się David – ale nie mogę zrobić nic takiego, co by zraniło mamę. Co prawda, doktor Young nie przypuszcza, żeby długo jeszcze była pośród nas.

Któregoś wieczoru Josephine opowiedziała Davidowi o swoich marzeniach o wyjeździe do Hollywood i aktorstwie. Popatrzył na nią i odrzekł spokojnie: Nie puszczę cię.

Poczuła, że serce bije jej jak oszalałe. Przy każdym spotkaniu rosło w nich poczucie zażyłości. Pochodzenie Josephine nic dla Davida nie znaczyło. Nie miał w sobie cienia snobizmu. Incydent, który się zdarzył któregoś wieczoru, był więc tym bardziej szokujący.

Restauracja była już zamknięta. David czekał na Josephine w zaparkowanym samochodzie. Dziewczyna była jeszcze w kuchni z Paco, pośpiesznie odkładając na miejsce ostatnie tacki.

– Masz randkę, co?

– Skąd wiesz?

– Bo wyglądasz jak choinka. Twoja szliczna buzia wręcz jaśniej. Powiedz mi ode mnie, że jest szczęściarzem!

Josephine uśmiechnęła się i odparła:

– Powiem.

Pod wpływem impulsu przechyliła się i cmoknęła Paco w policzek. Chwilę potem usłyszała ryk silnika i pisk opon. Odwróciła się i zdążyła jeszcze zobaczyć, jak biały sportowy wóz Davida uderzył w zderzak sąsiedniego samochodu i wyprysnął z podjazdu. Nie wierząc własnym oczom, śledziła tylne światła znikające w mroku.

O trzeciej nad ranem Josephine przewracała się jeszcze na łóżku, nie mogąc zasnąć. Nagle usłyszała, jak pod oknami jej sypialni hamuje samochód. Podbiegła do okna i wyjrzała. Za kierownicą siedział David. Był bardzo pijany. Pośpiesznie narzuciła szlafrok na koszulę nocną i wyszła na dwór.

– Wsiadaj – rozkazał.

Josephine otworzyła drzwi i wślizgnęła się na miejsce obok niego. Zapadło długie, przytłaczające milczenie. Gdy David się wreszcie odezwał, głos miał stłumiony, lecz nie był to wyłącznie efekt wypitej whisky. Wrzała w nim wściekłość. W dzikiej furii wyrzucał z siebie słowa, jakby eksplodował.

– Nie jesteś moją własnością – rzucił. – Wolno ci robić, co ci się podoba. Ale jak długo chodzisz ze mną, mam prawo oczekiwać, że nie będziesz całowała żadnych przeklętych Meksykanów. Rozumiesz?

Bezradnie spojrzała na niego, a potem odrzekła:

– Pocałowałam Paco, bo... powiedział coś, co mi sprawiło przyjemność. Jest moim przyjacielem.

David zaczerpnął powietrza, usiłując opanować kotłujące się w nim uczucia.

– Powiem ci coś, czego nigdy nikomu nie mówiłem.

Josephine czekała, zastanawiając się, co za chwilę usłyszy.

– Mam starszą siostrę – rzekł David. – Beth. Ja... uwielbiam ją.

Josephine z trudem przypomniała sobie Beth, jasnowłosą piękność o mlecznej cerze. Widywała ją, gdy chodziła tam bawić się z Mary Lou. Josephine miała osiem lat, gdy Beth zmarła, David musiał mieć około piętnastu.

– Pamiętam, kiedy umarła – powiedziała Josephine.

To, co usłyszała, stanowiło dla niej szok.

– Beth żyje.

Wlepiała w niego oczy.

– Ale, ja... wszyscy uważali...

– Jest w zakładzie dla psychicznie chorych. – Odwrócił do niej twarz i ciągnął dalej martwym głosem – Została zgwałcona przez jednego z naszych meksykańskich ogrodników. Sypialnia Beth była naprzeciwko mojej, po drugiej stronie holu. Usłyszałem krzyki

i popędziłem do jej pokoju. Zerwał już z niej koszulę nocną i leżał na niej, i... – Głos mu się załamał pod wpływem tego wspomnienia. – Walczyłem z nim, dopóki nie nadbiegła matka i nie wezwała policji. W końcu przyjechali i zabrali go do więzienia. W nocy w celi popełnił samobójstwo. Ale Beth postradała rozum. Nigdy nie opuści zakładu. Nigdy. Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo ją kocham, Josie. Tak cholernie mi jej brak. Od tamtej pory nie... nie mogę... znieść...

Położyła rękę na jego dłoni i powiedziała:

– Tak mi przykro, Davidzie. Rozumiem i cieszę się, że mi o tym opowiedziałeś.

W przedziwny sposób ów incydent zbliżył ich jeszcze do siebie. Rozmawiali na tematy, których przedtem nigdy nie poruszali. David uśmiechał się, gdy Josephine opowiadała mu o religijnym fanatyzmie swej matki.

– Kiedyś miałem takiego wujka. Całkiem jak ona – rzucił. – Wy wędrował do jakiegoś klasztoru w Tybecie.

– W przyszłym miesiącu kończę dwadzieścia cztery lata powiedział David któregoś dnia. – Stara tradycja rodzinna chce, żeby Kenyonowie żenili się przed osiągnięciem tego wieku.

Serce Josephine zaczęło trzepotać.

Następnego wieczoru wybierali się do teatru Globe. David podjechał po Josephine i powiedział:

– Zapomnijmy o teatrze. Musimy porozmawiać o naszej przyszłości.

Ledwie padły te słowa, Josephine wiedziała, że wszystko, o co się tak gorąco modliła, stanie się rzeczywistością. Mogła to wyczytać z oczu Davida. Pełne były miłości i pożądania.

– Pojedźmy nad jezioro Dewey – odparła.

Pragnęła, aby to były najromantyczniejsze oświadczenia na świecie, tak by powstała z tego historia, którą będzie mogła opowiadać i powtarzać swoim dzieciom. Chciała zapamiętać każdy nawet najdrobniejszy szczegół tej nocy.

Jezioro Dewey było niewielkim zbiornikiem wodnym położonym jakieś trzydzieści kilometrów od Odessy. Noc była piękna, niebo wygwieżdżone, księżyc zbliżał się do pełni. Gwiazdy tańczyły na wodzie, a powietrze wypełniały tajemnicze dźwięki tajemniczego świata, mikrokosmosu, w którym miliony malusieńkich, niewidocznych stworzeń kopulowały, polowały lub ginęły upolowane przez inne stworzenia.

Siedzieli w samochodzie; milczeli wsłuchani w odgłosy nocy. Josephine patrzyła na Davida, na jego energiczną i poważną twarz. Nigdy przedtem nie kochała go tak jak w tej chwili. Pragnęła uczynić dla niego coś wspaniałego, dać mu coś, aby mu okazać, jak bardzo jej na nim zależy. Wtem przyszło jej do głowy, co zrobi.

– Chodźmy popływać – zaproponowała.

– Nie wzięliśmy kostiumów.

– Mniejsza o to.

Odwrócił ku niej głowę, chcąc coś powiedzieć, lecz Josephine już biegła w kierunku jeziora. Rozbierając się słyszała jego kroki. Wskoczyła do wody. W chwilę potem David był obok niej.

– Josie...

Odwróciła się do niego, mocno pocałowała; całe ciało aż ją bolało z podniecenia, łaknęła go. Objęli się w wodzie i poczuła męską twardość napierającą na nią.

– Nie możemy, Josie. – Głos był stłumiony pożądaniem.

Sięgnęła w dół po niego i odrzekła:

– Tak. Och, tak, Davidzie.

Byli znów na brzegu i on był na niej, potem w niej, stopił się z nią w jedność, a oboje stali się częścią ziemi, wygwieżdzonego nieba i tej aksamitnej nocy.

Leżeli razem spleceni uściskiem. Dopiero długo potem, gdy odwiózł ją do domu, Josephine przypomniała sobie, że się jej nie oświadczył. Nie miało to jednak znaczenia. To, co wspólnie przeżyli, wiązało silniej niż jakakolwiek ceremonia ślubna. Oświadczy się jutro.

Josephine spała aż do południa. Obudziła się z uśmiechem na ustach. Jeszcze się uśmiechała, gdy jej matka weszła do sypialni, niosąc prześliczną, starą suknię ślubną.

– Idź do sklepu Brubakera i kup dwanaście metrów tiulu, ale zaraz. Pani Topping właśnie mi przyniosła swoją ślubną suknię. Muszę do soboty przerobić ją na Cissy. Wychodzi za Davida Kenyona.

David Kenyon poszedł porozmawiać z matką zaraz po odwiezieniu Josephine do domu. Starsza pani leżała już w łóżku, drobna, delikatna kobieta, która kiedyś musiała być bardzo piękna.

Otworzyła oczy, gdy David wszedł do oświetlonej małą lampką sypialni. Uśmiechnęła się, ujrawszy, kto przyszedł.

– Witaj, synu. Długo dziś jesteś na nogach.

– Byłem z Josephine, mammo.

Nie odpowiedziała, obserwowała go szarymi, inteligentnymi oczyma.

– Mam zamiar ożenić się z nią – powiedział.

Wolno pokręciła głową.

– Nie mogę ci pozwolić na popełnienie takiego błędu, Davidzie.

– Nie znasz jej. Ona jest...

– Jestem pewna, że to przemiała dziewczyna, ale nie nadaje się na żonę Kenyona. Cissy Topping da ci szczęście. A jeśli ją poślubisz, ja będę szczęśliwa.

Ujął jej delikatną dłoń i powiedział:

– Bardzo cię kocham, mammo, ale stać mnie na podejmowanie własnych decyzji.

– Czy rzeczywiście? – spytała słodko. – Czy zawsze podejmujesz słuszne decyzje?

Patrzył na nią bez słowa.

– Czy zawsze można ci ufać, że postąpisz właściwie, Davidzie? Nie stracisz głowy? Nie zrobisz straszego...

Cofnął rękę.

– Czy zawsze wiesz, co robisz, synu? – jej głos brzmiał bar dziej słodko.

– Mammo, na litość boską!

– Dość już zrobiłeś dla rodziny, Davidzie. Nie przydawaj mi zmartwień. Nie sądzę, bym je zniosła.

Zbladł jak ściana.

– Wiesz, że nie... że nic nie mogłem poradzić...

– Jesteś już zbyt dorosły, żeby cię dokądś wysyłać. Jesteś mężczyzną. Chcę, żebyś się odpowiednio zachowywał.

Ko... Kocham ją... – w jego głosie brzmiała udreka.

Chwycił ją atak i David wezwał lekarza. Odbyli później rozmowę.

– Obawiam się, że już długo nie pociągnie, Davidzie.

Tak więc decyzja została podjęta za niego.

Udał się na rozmowę z Cissy Topping.

– Kocham kogoś innego – powiedział. – Moja matka zawsze myślała, że ty i ja...

– Ja też tak sądziłam, kochanie.

– Wiem, że to okropna prośba, ale... czy zechciałabyś zostać moją żoną, aż do śmierci matki, a potem dać mi rozwód?

Cissy spojrzała na niego i odparła miękko:

– Jeśli tego chcesz, Davidzie.

Poczuł, że zdjęto mu z pleców ciężar nie do zniesienia.

– Dziękuję ci, Cissy. Nawet nie wiesz, jak bardzo...

Uśmiechnęła się.

– A od czego są starzy przyjaciele?

Ledwie David wyszedł, Cissy zatelefonowała do pani Kenyon. Powiedziała tylko:

– Wszystko załatwione.

Jednej rzeczy David nie przewidział: że Josephine dowie się o nadchodzącym ślubie, zanim zdoła jej wszystko wytłumaczyć. Gdy pojawił się w jej domu, przy drzwiach powitała go pani Czinski.

– Chciałbym zobaczyć się z Josephine.

Popatrzyła nań wzrokiem pełnym złośliwego triumfu.

– Pan Jezus pokona i porazi wszystkich Jego wrogów. Żli będą potępieni na wieki.

– Chciałbym porozmawiać z Josephine – powtórzył cierpliwie David.

– Nie ma jej – odparła pani Czinski. – Wyjechała!

Rozdział XVIII

Zakurzony autobus Greyhounda kursujący na trasie: Odessa – El Paso – San Bernardino – Los Angeles zjechał o siódmej rano do zajezdni przy Vine Street w Hollywood. Gdzieś, podczas tej dwudniowej podróży na dystansie tysiąca pięciuset mil, Josephine Czinski przedzierzgnęła się w Jill Castle. Na zewnątrz wyglądała tak samo. Zmieniła się wewnątrz. Coś od niej odeszło. Zniknął śmiech.

Gdy tylko dotarła do niej wiadomość o ślubie, Josephine uświadomiła sobie, że musi uciekać. Zaczęła bezmyślnie wrzucać swoje rzeczy do walizki. Nie miała pojęcia, dokąd jechać ani co będzie robiła tam, gdzie dojedzie. Wiedziała tylko, że musi natychmiast wydostać się z tego miejsca.

Podjęła decyzję, gdy jej spojrzenie padło na portrety gwiazd filmowych rozwieszane na ścianach sypialni. Dwie godziny później siedziała już w autobusie jadącym do Hollywood. Odessa i wszyscy mieszkańcy zatarli się w jej umyśle; ich obraz płówał coraz szybciej, w miarę jak autobus wiozł ją ku jej przeznaczeniu. Usiłowała zapomnieć o wściekłym bólu głowy. Może powinna była zgłosić się do lekarza. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Migreny były częścią przeszłości; była przekonana, że teraz znikną same. Od tej pory będzie miała cudowne życie. Josephine Czinski nie żyła.

Niech żyje Jill Castle!

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział XIX

Toby Temple został supergwiazdą dzięki nieprawdopodobnemu zbiegowi okoliczności: swoją karierę zawdzięczał jednemu procesowi o ojcostwo, jednemu perforowanemu wyrostkowi i prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Washington Press Club wydawał doroczny obiad; gościem honorowym miał być sam prezydent. Impreza należała do prestiżowych, wybierali się na nią: wiceprezydent, senatorowie, członkowie gabinetu, sędziowie Sądu Najwyższego i kto tylko mógł kupić, pożyczyć lub ukraść bilet wstępu. Ponieważ imprezie zawsze towarzyszyło zainteresowanie prasy międzynarodowej, funkcja mistrza ceremonii stała się niezwykle cenionym kąskiem. Tego roku rolę konferansjera części rozrywkowej powierzono jednemu z czołowych amerykańskich aktorów estradowych. Wybraniec propozycję przyjął, lecz tydzień później został pozwany w sprawie o uwiedzenie piętnastoletniej dziewczynki. Idąc za radą swego adwokata, natychmiast opuścił kraj i udał się na bezterminowe wakacje. Komitet organizacyjny zwrócił się zatem do człowieka zajmującego na liście drugie miejsce – popularnego gwiazdora filmowego i telewizyjnego, który przybył do Waszyngtonu w wieczór poprzedzający bankiet. Następnego dnia jego agent zadzwonił z wiadomością, iż aktor został przyjęty na ostry dyżur do szpitala i skierowany na operację z powodu pękniętego wyrostka.

Do obiadu zostało tylko sześć godzin. Organizatorzy gorączkowo przepatrywali listę celem znalezienia odpowiedniego zastępcy. Najlepsi byli zajęci przy kręceniu filmów lub też znajdowali się zbyt daleko, by zdążyć na czas do Waszyngtonu. Skreślano więc kolejnych kandydatów, aż wreszcie blisko końca listy członkowie komitetu znaleźli nazwisko Toby'ego Temple Kręceno jednak głowami.

– To aktor z nocnych klubów. Jest zbyt ostry. Strach takiego wypuścić na prezydenta.

– Byłby niezły, gdyby zechciał stonować nieco swoje teksty.

Przewodniczący komitetu powiódł wzrokiem dookoła i rzekł:

– Powiem wam, panowie, jaką on ma zaletę: przebywa obecnie w New York City i za godzinę może tu być. Ten przeklęty bankiet jest przecież dziś wieczór!

W ten oto sposób wybrano Toby'ego Temple'a.

Toby, patrząc na zatłoczoną salę bankietową, pomyślał sobie, że gdyby jakaś bomba spadła tam tego wieczoru, to rząd federalny Stanów Zjednoczonych zostałby bez przywódców.

Prezydent siedział w samym środku stołu prezydialnego na podwyższeniu. Z pół tuzina ludzi z Secret Service stało tuż za nim. W zamieszaniu ostatnich przygotowań zapomniano mu przedstawić mistrza ceremonii, lecz Toby'emu to nie przeszkadzało. Już prezydent mnie popamięta, myślał. Wspomniał swoje spotkanie z Downeyem, przewodniczącym komitetu organizacyjnego, który powiedział:

– Lubimy twój humor, Toby. Jesteś bardzo śmieszny, gdy atakujesz ludzi. Jednakże – urwał, żeby odchrząknąć – ta... eee... grupa ludzi jest szczególnego rodzaju. Nie zrozum mnie źle. Nie o to chodzi, że z nich nie wolno sobie trochę pożartować, lecz każde słowo wypowiedziane podczas bankietu zostanie powtórzone przez środki masowego przekazu na całym świecie. A, naturalnie, nikt z nas nie życzy sobie, żeby ośmieszać prezydenta czy

członków Kongresu. Innymi słowy, chce my, żebyś był śmieszny, nie rozwścieczając przy tym nikogo.

– Możecie mi zaufać – odparł Toby.

Uprzątnięto talerze. Przed mikrofonem stanął Downey.

– Panie prezydencie, szanowni goście, mam przyjemność przedstawić państwu naszego mistrza ceremonii, jednego z najzdolniejszych młodych aktorów estradowych, pana Toby’ego Temple’a!

Rozległy się grzecznościowe oklaski, gdy Toby wstał i podszedł do mikrofonu. Powiódł wzrokiem po publiczności, następnie zwrócił się do głowy państwa.

Prezydent był prostym, niemal „siermiężnym” człowiekiem. Nie wierzył w coś, co sam określał jako „dyplomację w cylindrze na głowie”. „Jak człowiek z człowiekiem” – powiedział w orędziu do narodu – „oto, czego potrzebujemy. Musimy odrzucić naszą zależność od komputerów i zawierzyć ponownie naszym instynktom. Gdy siadam do rozmów z głowami obcych mocarstw, chciałbym móc zdać się na instynkt, improwizować”. Ostatnie zdanie zyskało sobie dużą popularność.

Teraz Toby, spoglądając na prezydenta Stanów Zjednoczonych, powiedział głosem stłumionym od przepelniającego go uczucia dumy:

– Panie prezydencie, nie umiem wprost wyrazić wzruszenia, jakie mnie ogarniana myśl, że zostałem wyniesiony na jedno podium z człowiekiem, który byle pierdnięciem może zniszczyć cały świat.

Dłuższą chwilę słyhać było tylko szmer oburzenia, wreszcie prezydent uśmiechnął się, po czym ryknął śmiechem. W tym momencie sala eksplodowała wesołością i oklaskami. Od tej chwili Toby mógł sobie pozwolić na wszystko. Atakował obecnych na bankiecie senatorów, Sąd Najwyższy, prasę. Publiczność była wniebowzięta. Piszczala i wyła z uciechy, wiedziano przecież, że Toby nie traktował poważnie ani jednego swojego słowa. Obelgi padające z chłopięcych, niewinnych ust były śmieszne aż do bólu. Na sali znajdowali się ambasadorowie obcych państw. Toby zwracał się do każdego z nich angielszczyzną rojącą się od błędów charakterystycznych dla poszczególnych nacji, a brzmiało to tak realistycznie, że kiwali potakująco głowami. Był napuszonym mędrcom–idiotą, który nawijał płynnie, chwalił ich bądź ganił, a znaczenie tego dzikiego, wielojęzycznego bełkotu było dla każdego na sali całkowicie zrozumiałe.

Zgotowano mu owację na stojąco. Prezydent podszedł do Toby’ego i powiedział:

– To było cudowne, absolutnie cudowne. Wydajemy lekką kolację w Białym Domu w poniedziałek wieczorem, Toby, i byłbym zachwycony...

Następnego dnia wszystkie gazety rozpisywały się o triumfie Toby’ego Temple’a. Cytowano jego powiedzonka. Został zaproszony na przedstawienie do Białego Domu, gdzie wywołał jeszcze większą sensację. Zewsząd zaczęły napływać dla niego wspaniałe oferty. Grał w londyńskim Palladium, dał specjalne przedstawienie dla królowej; proszono go, by dyrygował orkiestrą symfoniczną na koncercie dobroczynnym, i zaproszono do Międzynarodowego Komitetu Sztuki. Często grywał w golfa z prezydentem, co i rusz dostawał zaproszenie na obiad do Białego Domu. Spotykał tam prawników, gubernatorów, szefów największych amerykańskich korporacji. Obrażał ich wszystkich, a im bardziej atakował, w tym większy wpadali zachwyty. Prześcigano się w zaproszeniach; uwielbiano, gdy

ostrzył swój zgryźliwy dowcip na innych gościach. Przyjaźń z Tobym stała się wśród braminów symbolem prestiżu.

Oferty, które napływały do niego, były wręcz fenomenalne. Clifton Lawrence podniecał się nimi na równi z Tobym, z tym, że podniecenie agenta nie miało nic wspólnego z interesami czy pieniędzmi. Toby Temple był najwspanialszą rzeczą, jaka mu się przydarzyła w ciągu wielu lat; miał wrażenie, że zyskał syna. Poświęcił jego karierze więcej czasu niż osiągnięciom pozostałych klientów, lecz warto było. Toby ciężko pracował, szlifował swój talent, aż zajaśniał jak prawdziwy diament. Był przy tym wdzięczny i wielkoduszny, cechy dość rzadkie w tym interesie.

– Najlepsze hotele w Vegas polują na ciebie – powiedział Clifton. – Pieniądze nie grają roli. Chcą ciebie. Na moim biurku leżą scenariusze z Foxa, Uniwersalu i Pan–Pacific – same główne role. Możesz zrobić tournee po Europie, wszędzie cię przyjmą z otwartymi ramionami. Możesz też mieć własny, rewiowy serial telewizyjny w dowolnej sieci. To by ci dało czas na Vegas i jeden film rocznie.

– Ile mogę wyciągnąć z własnego serialu, Cliff?

– Myślę, że mógłbym z nich wydusić dziesięć tysięcy tygodniowo za godzinną składankę. Musieliby dać nam gwarancję na dwa lata, może trzy. Jeśli im naprawdę na tobie zależy, to pójdą na to.

Toby, uradowany, rozparł się wygodnie na kanapie. Dziesięć tysięcy za program, ze czterdzieści programów rocznie. W ciągu trzech lat przekroczy milion za mówienie całemu światu, co naprawdę o nim myśli!

Popatrzył na Cliftona. Mały impresario starał się zachować chłodną obojętność, lecz Toby dostrzegł jego podniecenie. Zależało mu wyraźnie na owym kontrakcie telewizyjnym. Dlaczego nie? Lawrence dostałby wówczas sto dwadzieścia tysięcy prowizji za talent i pot Toby'ego. Czy Clifton naprawdę zasłużył sobie na takie pieniądze? Nie musiał przecież nigdy wypruć z siebie żył w brudnych, małych klubach wobec pijanych widzów, którzy rzucali pustymi butelkami po piwie; nie musiał leczyć trypra u chciwych konowałów po jakichś zakazanych miasteczkach, a wszystko dlatego, że jedynymi dostępnymi dziewczynami były uróżowane kurwy z Obwodu Toaletowego. Co Clifton Lawrence mógł wiedzieć o pokojach pełnych karaluchów, o zjełczałym żarciu i nie kończących się nocnych podróży autobusem od jednej dziury, gdzie diabeł mówi dobranoc, do następnej? Nawet by tego nie zrozumiał. Jeden z krytyków nazwał kiedyś Toby'ego gwiazdką na jedną noc. Toby śmiał się wtedy głośno. Teraz, siedząc w biurze agenta, powiedział:

– Chcę mieć własny program telewizyjny.

Sześć tygodni później podpisał kontrakt z Consolidated Broadcasting.

– Sieć chce, żeby wytwórnia częściowo to finansowała oznajmił Clifton. – Podoba mi się ten pomysł, można przy okazji pogadać o kontrakcie na film.

– Która?

– Pan–Pacific.

Toby zmarszczył się.

– SamWinters?

– Zgadza się. Stawiam całą moją forszę, że to najlepszy aktualnie szef wytwórni. Poza tym posiada coś, co chciałbym mieć dla ciebie: The Kid Goes West.

– Byłem w wojsku z Wintersem – rzekł Toby. – Okay. Jest mi coś niecoś winien. Zresztą, do diabła z nim]

Clifton Lawrence i Sam Winters rozmawiali w łaźni tureckiej przy kompleksie wypoczynkowym Pan-Pacific Studios, wdychając ciepłe powietrze przesycone wonią eukaliptusa.

– To jest życie – westchnął impresario. – Komu potrzebne są pieniądze?

Sam uśmiechnął się.

– Dlaczego nie mówisz w ten sposób podczas negocjacji, Cliff?

– Bo nie chcę cię zepsuć, drogi chłopcze.

– Słyszałem, że sfinalizowałeś dla Toby'ego Temple'a kontrakt z Consolidated Broadcasting.

– Taa. Największy, jaki kiedykolwiek podpisali.

– A gdzie chcesz zdobyć brakujące fundusze?

– Dlaczego pytasz, Sam?

– Może bylibyśmy zainteresowani. Może nawet puściłbym się na kontrakt filmowy. Właśnie kupiłem komedię The Kid Goes West. Jeszcze tego nie ogłoszono. Sądzę, że Toby idealnie by do niej pasował.

Agent ściągnął brwi.

– Cholera! Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałem.

Wdałem się w rozmowy z MGM.

– Zakończyłeś już je?

– Praktycznie tak. Dałem im słowo...

Dwadzieścia minut później Clifton Lawrence negocjował niezmiernie korzystny dla Toby'ego kontrakt, w myśl którego Pan-Pacific Studios dofinansuje jego serial rewiowy oraz powierzy mu główną rolę w filmie The Kid Goes West.

Negocjacje mogłyby potrwać jeszcze długo, lecz w pomieszczeniu zrobiło się nieznośnie gorąco.

Jednym z punktów kontraktu, który Toby sobie zawarował, była zgoda na jego nieobecność podczas prób. Skecze i numery taneczne przygotowywano z udziałem jego dublera, a Toby zjawiał się osobiście na próbę generalną i nagrywanie. Dzięki temu jego rola pozostawała dlań świeża i inspirująca.

We wrześniu 1956 roku, w godzinach popołudniowych, w dniu premiery serialu Toby zjawiał się w teatrze przy Vine Street, gdzie program miał być nagrany, i usiadł, obserwując przebieg przedstawienia. Po skończonej próbie zajął swoje miejsce na estradzie. Teatr wypełnił się nagle elektrycznością. Spektakl nabrał życia, werwy, zaiskrzył się humorem. Nagrano go i tego wieczoru puszczono w eter, a czterdzieści milionów ludzi zasiadło przed telewizorami, by go obejrzeć. Można było odnieść wrażenie, że telewizję skonstruowano wyłącznie ku chwale Toby'ego Temple'a. Zdobył uwielbienie widzów i każdy chętnie zaprosiłby go do siebie, do domu. Program odniósł natychmiastowy sukces. Skoczył na pierwszą pozycję w klasyfikacji Nielsena i długo się na niej utrzymał. Toby Temple nie był już gwiazdą.

Został supergwiazdą.

Rozdział XX

Hollywood okazało się bardziej podniecające, niż Jill Castle sobie wymarzyła. Oglądała rezydencje gwiazd wraz z innymi uczestnikami wycieczek obwożonych po mieście i okolicach. Wiedziała, że któregoś dnia ona też zamieszka w pięknym domu w Bel–Air lub Beverly Hills. Tymczasem mieszkała w brzydkim, dwupiętrowym, drewnianym budynku, który został przerobiony na pensjonat; mieścił w sobie dwanaście małych pokoi do wynajęcia. Lokal był niedrogi, co znaczyło, iż jej dwieście dolarów starczy na nieco dłużej. Dom stał w Bronson, kilka minut od serca Hollywood, Vine Street, z wygodnym dojazdem do wytwórni filmowych.

Mieszkanie tam miało jeszcze jedną zaletę, która ostatecznie skusiła Jill. Spośród dwunastu współlokatorów jedni usiłowali się dostać do filmu, inni statystowali lub grywali role epizodyczne, a pozostali wycofali się już z interesu. Weterani snuli się po domu w żółkłych szlafrokach i lokówkach bądź w znoszonych garniturach i butach, które na zawsze straciły połysk. Sprawiali wrażenie nie tyle starych, co zużytych. Wieczorami zbierali się wszyscy w saloniku, gdzie wśród spaczonych, zdezelowanych mebli wymieniano plotki. Obsypano Jill radami, które często nawzajem się wykluczały.

– Najlepszym sposobem dostania się do filmu, kochanie, jest znalezienie sobie takiego DR, który cię lubi – orzekła kobieta o kwaśnej minie, którą ostatnio wylano z serialu telewizyjnego.

– Co to jest DR? – spytała Jill.

– Drugi reżyser. – Głos zdradzał współczucie dla jej ignorancji, – To on angażuje supy.

Jill była zbyt zażenowana, aby spytać, co to są „supy”.

– Jeśli chcesz mojej rady, to znajdź sobie jurnego dyrektora do spraw obsady. DR może cię obsadzić tylko w swoim filmie, a taki dyrektor może cię wkręcić wszędzie – powiedziała bez zębna kobieta, która musiała już przekroczyć osiemdziesiątkę.

– Taa? Większość z nich to pedały – dorzucił łysiejący aktor charakterystyczny.

– A co za różnica? Jeśli tylko daje możliwość startu? wtrącił energiczny młodzieniec w okularach, który aż się palił, by zostać pisarzem.

– Czy nie lepiej zacząć jako statysta? – spytała Jill. – Centralna lista...

– Zapomnij o tym. Centralna lista jest zamknięta. Nie zarejestrują cię, chyba że jesteś specjalą.

– Bar... bardzo przepraszam. Co to jest specjal?

– Jakbyś na przykład była kaleką. Dostałabyś wtedy trzydzieści trzy pięćdziesiąt osiem zamiast zwykłych dwudziestu jeden pięćdziesiąt. Albo gdybyś posiadała stroje wieczorowe lub jeździła konno – za to płacą dwadzieścia osiem trzydzieści trzy. Jeśli umiesz rozdawać karty lub posługiwać się kijkiem przy stoliku do gry w kości – także dwadzieścia osiem trzydzieści trzy. Jeżeli grasz w futbol czy baseball – dostajesz trzydzieści trzy pięćdziesiąt osiem, tyle co za kalestwo. Jeśli umiesz jeździć na wielbłądzie lub na słoniu – dostaniesz pięćdziesiąt pięć dziewięćdziesiąt cztery. Przyjmij moją radę, zapomnij o statystowaniu. Nastaw się na małe role.

– Nie bardzo widzę różnicę – wyznała Jill.

– Odtwórca małej roli ma do powiedzenia przynajmniej jedno zdanie. Statystom nie wolno mówić, poza tymi „od wszystkiego”.

– Co to?

– Ci od wszystkiego – tacy, którzy tworzą tło dźwiękowe.

– Po pierwsze, musisz znaleźć sobie agenta.

– Jak się do tego zabrać?

– Jest cały wykaz w Screen Actor. To taki magazyn wydawany przez Związek Aktorów Filmowych. Mam egzemplarz w pokoju. Przyniosę.

Wszyscy wraz z Jill przejrzyli listę agentów i zawężili ją do kilkunastu pomniejszych. Zgodnie zaopiniowano, że dziewczyna nie ma szans w większej agencji.

Uzbrojona w listę rozpoczęła wędrówki. Pierwszych sześciu nie chciało jej nawet zobaczyć. Na siódmego wpadła w drzwiach – właśnie wychodził.

– Przepraszam – powiedziała Jill. – Szukam agenta.

Zmierzył ją wzrokiem i rzekł:

– Obejrzyjmy pani teczkę.

Gapła się na niego bezmyślnie.

– Moje co?

– Chyba dopiero co wysiadła pani z autobusu. W tym mieście trzeba mieć komplet zdjęć. Niech pani sobie zrobi. W różnych pozach. Piersi i tyłek.

Jill znalazła fotografa w Culver City niedaleko wytwórni Davida Selznicka, który zrobił jej komplet zdjęć za trzydzieści pięć dolarów. Odebrała fotografie tydzień później i była z nich bardzo zadowolona. Wyglądała pięknie. Kamera uchwyciła różne nastroje i wyrazy twarzy. Była zamyślona... zła... kochająca... podniecona seksualnie. Fotograf oprowił wszystkie zdjęcia w książeczkę wraz z celofanowymi przekładkami.

– Na sam front, tutaj – wyjaśnił – wkłada pani zawodowe referencje.

Referencje. Stanowiły następny etap.

W ciągu następnych dwóch tygodni Jill dotarła, lub przynajmniej usiłowała, do wszystkich agentów ze swej listy. Żaden z nich nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany. Jeden z nich stwierdził:

– Byłaś tu wczoraj, koteczku.

Potrząsnęła głową.

– Nie, nie byłam.

– Zatem tamta wyglądała dokładnie tak samo. Na tym polega problem. Wszystkie wyglądacie jak Elizabeth Taylor, Lana Turner czy Ava Gardner. W każdym innym mieście, w każdej innej pracy zaangażowano by was natychmiast. Jesteście piękne, wyglądacie ponętnie, macie wspaniałe figury. Lecz w Hollywood uroda nie jest pokupnym towarem. Piękne dziewczyny zjeżdżają tutaj z całego świata. Jedna grała główną rolę w zespole amatorskim, druga wygrała konkurs piękności, innej chłopak powiedział, że powinna iść do filmu – i bach! Płaczą się tu stadami, są ich tysiące, a wszystkie jednakowe. Uwierz mi, koteczku, byłaś tu wczoraj.

Współmieszkańcy pomogli Jill zrobić następną listę agentów – mieli mniejsze biura w gorszych dzielnicach, ale rezultaty były te same.

– Przyjdź do nas, dziecinko, gdy będziesz miała jakieś do świadczenie zawodowe. Wyglądasz ekstra, a z tego, co wiem, mogłabyś zostać największą gwiazdą po Garbo, ale nie będę tracić czasu, żeby to sprawdzić. Zdobądź jakieś doświadczenie, a wówczas zostanę twoim agentem.

– Jak mam zdobyć doświadczenie, skoro nikt nie chce mnie zatrudnić?

Skinął głową.

– Mhm. To jest problem. Życzę szczęścia.

Na liście Jill została już tylko jedna agencja, zarekomendowana przez dziewczynę, która siedziała obok niej w kawiarni Mayflower przy Hollywood Boulevard. Agencja Dunning mieściła się w niewielkim jednopiętrowym budynku w dzielnicy mieszkalnej w pobliżu La Cienega. Dziewczyna zadzwoniła, żeby się umówić i kobiecie głos powiedział, żeby przyszła o szóstej.

Jill znalazła się w małym gabinecie, który kiedyś był czyimś salonikiem. Stało tam stare, zniszczone biurko zasłane papierami, kanapa ze sztucznej skóry, reperowana białą taśmą chirurgiczną i trzy wyplatane krzesła, każde w innym miejscu. Wysoka, masywnie zbudowana kobieta ze śladami ospy na twarzy wyszła z sąsiedniego pokoju i powiedziała:

– Hello. Czym mogę służyć?

– Jestem Jill Castle. Mam umówione spotkanie z panem Dunningiem.

– Z panną Dunning – odrzekła kobieta. – To ja.

– Och – rzekła Jill zaskoczona. – Przepraszam, sądziłam...

Śmiech kobiety był ciepły i przyjacielski.

– To nie ma znaczenia.

Ale oczywiście, że ma znaczenie, myślała Jill pełna nagłego podniecenia. Dlaczego wcześniej nie wpadło jej to do głowy? Kobieta agent! Ktoś, kto to wszystko już przeszedł i rozumie, ile taki początek kosztuje młodą dziewczynę. Będzie bardziej współczuć niż wszyscy mężczyźni razem wzięci.

– Widzę, że przyniosłaś swoją teczkę – rzekła panna Dunning. – Mogę obejrzeć?

– Oczywiście – odparła Jill i wręczyła jej zdjęcia.

Kobieta usiadła i zaczęła przerzucać kartki, kiwając z aprobatą głową.

– Obiektyw cię lubi.

Jill nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Dziękuję.

Agentka studiowała jej zdjęcia w kostiumie kąpielowym.

– Masz dobrą figurę. To ważne. Skąd jesteś?

– Teksas. Odessa.

– Jak dawno jesteś w Hollywood?

– Około dwóch miesięcy.

– U ilu agentów byłaś?

Przez chwilę kusilo Jill, by skłamać, lecz wzrok kobiety wyrażał współczucie i zrozumienie.

– Około trzydziestu, nie jestem pewna.

Agentka roześmiała się. mają pracę

– Więc w końcu zniżyłaś się do Rosę Dunning. Mogłaś trafić gorzej. Nie jestem MCA ani William Morris, ale moi ludzie mają prace – Nie mam żadnego doświadczenia aktorskiego.

Kobieta skinęła głową. Nie była zdziwiona.

– Gdybyś miała, zająłby się tobą MCA lub Morris. Jestem czymś w rodzaju stacji przesiadkowej. Wprowadzam do filmu utalentowanych młodych ludzi, a potem wielkie agencje porywają mi ich.

Po raz pierwszy od wielu tygodni Jill zyskała cień nadziei.

– Czy... czy pani mnie przyjmie? – spytała.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Moje klientki pracują, a nie są ani w połowie tak ładne jak ty. Myślę, że znajdę ci pracę. W końcu, to jedyna droga, żebyś zdobyła doświadczenie, no nie?

Jill zalała falą wdzięczności.

– Kłopot w tym cholernym mieście polega na tym, że nie daje szansy takim dzieciakom, jak ty. Wszystkie wytwórnie ustawicznie narzekają na brak młodych talentów, ale otaczają się murem i nikogo nie dopuszczają. Damy sobie jakoś z nimi radę. Przychodzą mi do głowy trzy rzeczy, do których byś się nadawała: przedpołudniowe spektakle o życiu codziennym rodziny, kawałek w serialu Toby'ego Temple'a i rola w nowym filmie Tessie Brand.

Jill doznała zawrotu głowy.

– Ale czy oni..

– Z moją rekomendacją przyjmą cię. Nigdy nie posyłam im złych klientów. Rzecz jasna, będą to małe rólki, sama rozumiesz, ale to wystarczy na początek.

– Nie umiem wprost wyrazić mojej wdzięczności.

– Chyba mam tutaj scenopis takiego przedpołudniowego programu. – Rosę Dunning ciężko dźwignęła się na nogi i ruszyła do sąsiedniego pokoju, wzywając gestem Jill za sobą.

Pokój okazał się sypialnią z podwójnym łóżkiem stojącym w kącie pod oknem i metalową szafką na dokumenty ustawioną w przeciwległym rogu. Rosę Dunning podeszła do szafki, otworzyła szufladę i wyciągnęła plik kartek.

– Jest. Człowiek, który kompletuje do tego obsadę, jest moim dobrym przyjacielem i jeśli na tym nie polegiesz, będziesz miała zajęcie.

– Nie polegnę – obiecała Jill z zapalem.

Kobieta uśmiechnęła się i rzekła:

– Rzecz jasna, nie mogę im posłać kota w worku. Zechciej mi kawałek przeczytać.

– Ależ proszę.

Agentka otworzyła scenopis i usiadła na łóżku.

– Przeczytaj tę scenkę.

Jill przysiadła na łóżku obok niej i spojrzała w tekst.

– Twoją postacią jest Natalie. To bogata dziewczyna, która poślubiła słabeusza. Postanowiła się rozwieść, ale on się nie zgadza. Zaczynasz w tym miejscu.

Dziewczyna szybko przejrzała całą scenkę. Wolałaby mieć noc na zapoznanie się z całością tekstu albo chociaż godzinę. Tak bardzo jej zależało na zrobieniu dobrego wrażenia.

– Gotowa?

– Myślę... że tak – odparła Jill. Przymknęła oczy, starając się wczuć w sposób myślenia Natalie. Bogata kobieta. Jak matki dzieci, z którymi wyrastała; tacy, którzy mieli w życiu wszystko, czego zapragnęli, i uważali to za rzecz najzupełniej oczywistą; tacy, których zdaniem inni ludzie zostali stworzeni wyłącznie dla ich wygody. Różne Cissy Topping tego świata.

Otworzyła oczy, spojrzała w tekst i zaczęła czytać.

– Peter, chcę z tobą porozmawiać.

– Nie możesz z tym poczekać? – Rose Dunning zastępowała drugą postać ze scenki.

– Nie. I tak za długo już z tym zwlekam. Lecę dziś po południu do Reno.

– Ot tak, po prostu? polecę.

– Nie. Wybieram się tam już od pięciu lat, Peter. Tym razem leczę.

Jill poczuła, że Rose Dunning poklepuje ją po udzie.

– Bardzo dobrze – pochwaliła agentka. – Czytaj dalej, Nie zabrała ręki.

– Kłopot w tym, że jeszcze nie wydorostałeś. Tylko byś się bawił. Od tej chwili jednak będziesz bawił się sam.

Ręka Rose wciąż głaskała Jill po udzie. Rozpraszało ją to okropnie.

– Świetnie. Dalej – zachęcała agentka.

– Nie... nie chcę, żebyś się ze mną kontaktował w przyszłości. Czy to jasne?

Głaskanie było coraz szybsze, coraz bliżej pachwiny. Jill opuściła maszynopis w dół i spojrzała na Rose Dunning. Kobieta miała twarz w paskach, oczy szklane.

– Czytaj dalej – powiedziała ochryple.

– Nie... nie mogę – wyjąkała Jill. – Jeżeli...

Ręka agentki zaczęła poruszać się szybciej.

– Chcę cię wprawić w odpowiedni nastrój, kochanie. Widzisz, tu chodzi o walkę pomiędzy płciami. Chcę wyczuć w tobie seks. – Zwiększyła nacisk, wsuwając rękę pomiędzy uda Jill.

– Nie! – Dziewczyna zerwała się na nogi dygocząc.

Z kącika ust agentki ściekała ślina.

– Bądź dla mnie miła – będę dla ciebie dobra. – Głos był proszący. – Chodź tutaj, dziecinko. – Wyciągnęła ramiona, chcąc złapać Jill, lecz ta uciekła z biura.

Na ulicy zwymiotowała. Nawet wtedy, gdy gwałtowne skurcze ustały i żołądek się nieco uspokoił, nie poczuła się ani trochę lepiej. Chwytał ją dawny ból głowy.

To nie fair. Migreny należały do Josephine Czinski, jej nie powinny nawiedzać.

W ciągu następnych piętnastu miesięcy Jill Castle stała się w pełni doświadczonym członkiem grupy „Kombatantów”, gatunku ludzi żyjących na obrzeżach przemysłu rozrywkowego, którzy przez lata, a niekiedy całe życie, ponawiają wysiłki, by dostać się do Interesu. Inne zajęcia podejmują wyłącznie czasowo. Fakt, że owe dorywcze prace trwają czasem po dziesięć czy piętnaście lat, nikogo nie zniechęca.

I, jak członkowie pierwotnych plemion, którzy przed wiekami zbierali się wokół ognisk, by śpiewać sagi o bohaterskich czynach, tak Kombatanci obsiadali stoliki w Schwab's Drugstore, by opowiadać sobie i powtarzać legendy ze świata rozrywki; pieścąc w dłoniach filizanki z wystygłą kawą, karmili się nawzajem strzępami najświeższych plotek. Byli poza

Interesem, lecz jednocześnie, w jakiś cudowny sposób znajdowali się w samym jego centrum, trzymali rękę na pulsie, wiedzieli o najlżejszym nawet drgnieniu jego „serca”. Potrafili powiedzieć, która gwiazda zostanie zastąpiona inną, który producent został przyłapany w łóżku ze swym reżyserem, który szef sieci dostanie kopa w górę. Zнали te szczegóły wcześniej niż inni, posługując się jakimś własnym systemem sygnalizacji, niezbędnym w dżungli. Bo Interes był dżunglą. Nie mieli co do tego żadnych złudzeń.

Ich iluzje dotyczyły czego innego: wierzyli, że znajdą kiedyś drogę do wytwórni, że przebiją się przez otaczające ją mury. Byli artystami, należeli do WYBRANYCH. Hollywood było ich Jerychem i Jozue zagrzmi któregoś dnia w złote trąby, a wówczas potężne bramy rozsypią się przed nimi, ich wrogowie zostaną unicestwieni i, och, na jeden ruch magicznej laski Sama Wintersa zostaną Gwiazdami Ekranu, odzieją się w jedwabie, a wdzięczna publiczność będzie ich ubóstwiać po wsze czasy, amen. Kawa w Schwab's Drugstore odurzała ich jak ciężkie wino, lecz oni byli apostołami przyszłości, wspierali się nawzajem, ogrzewali, podtrzymywali w swych marzeniach, że lada moment, a dopną celu. Powoływali się na asystenta reżysera, który stwierdził, na producenta, który powiedział, na drugiego reżysera, który obiecał, i wierzyli, że jeszcze chwila i przyszłość będzie w ich rękach.

Tymczasem pracowali w supermarketach i warsztatach, w salonach piękności i w myjniach samochodowych. Żyli ze sobą, żenili się i rozwodzili, i nie dostrzegali, że ich największym wrogiem jest czas. Nie zauważali nowych zmarszczek na twarzy, siwiejących na skroniach włosów i faktu, że poranny makijaż trwa o pół godziny dłużej niż dawniej. Rdzewieli od samego czekania, wiedli jak owoc, który nie zdążył prawdziwie dojrzeć i nabrać słodczy. Byli za starzy, by rozpocząć karierę w fabryce tworzyw sztucznych, za starzy na dzieci, za starzy nawet do ról wspañiałych amantów, o których tak marzyli.

Stali się obecnie aktorami charakterystycznymi. Ale nie przestawali śnić.

Co młodsze i ładniejsze dziewczyny ratowały się „pieniędzmi z materaca”, jak same to określały.

– Po co łamać sobie krzyż przy jakiejś źle płatnej robocie, skoro wystarczy poleżeć kilka minut na plecach i zgarnąć dwadzieścia dolców? Po prostu do czasu, gdy zadzwoni agent.

Jill w to nie wchodziła. Jej zainteresowania skupiły się wyłącznie na jednym – na karierze. Uboga polska dziewczyna nie miała co marzyć o poślubieniu Davida Kenyona. Wiedziała o tym dokładnie. Lecz Jill Castle, gwiazda filmowa, mogłaby mieć każdego i wszystko, czego by tylko zapragnęła. Gdyby nie udało jej się tego osiągnąć, miała zamiar przedzierzgnąć się na powrót w Josephine Czinski.

Postanowiła jednak dołożyć starań, by do tego nie doszło.

Pierwszą rolę dostała Jill dzięki Harriet Marcus, jednej z Kombatantek, której kuzyn w trzeciej linii miał eks-szwagra, będącego asystentem reżysera w telewizyjnym serialu medycznym, kręconym w Universal Studios. Zgodził się dać Jill szansę. Rola zawierała jedno zdanie, za które miała otrzymać pięćdziesiąt siedem dolarów minus potrącenia na opiekę socjalną, podatki i fundusz na Dom Aktora-Rencisty. Miała grać pielęgniarkę. Zgodnie ze scenariuszem, stała przy łóżku chorego i mierzyła pacjentowi puls; na to wchodzi lekarz.

„Lekarz: – Jak on się ma, siostrze?”

Pielęgniarka: – Obawiam się, że niezbyt dobrze, panie doktorze”.

To było wszystko.

Jill dostała powielaczową odbitkę jednej strony scenopisu i w poniedziałek po południu. Kazano jej zgłosić się do charakteryzacji o szóstej rano następnego dnia. Powtarzała swoją rolę chyba ze sto razy. Jak mogli oczekiwać, że uda jej się ocenić charakter postaci na podstawie jednej strony? Usiłowała wyobrazić sobie, jaką kobietą mogła być pielęgniarka. Czy była mężatką? Panną? A może potajemnie kochała się w lekarzu? Może mieli ze sobą romans, który już się skończył? Jaki był jej stosunek do pacjenta? Czy nienawidziła myśli o jego śmierci? A może śmierć byłaby wybawieniem?

– Obawiam się, że niezbyt dobrze, panie doktorze. – Starła się, by w jej głosie brzmiała troska.

Spróbowała jeszcze raz.

– Obawiam się, że niezbyt dobrze, panie doktorze. – Nagła co. Pacjent lada chwila umrze.

– Obawiam się, że niezbyt dobrze, panie doktorze. – Oskarżycielsko. Pacjent czuje się źle z winy lekarza. Gdyby nie wy szedł ze swoją kochanką...

Jill pracowała nad rolą przez całą noc. Była zanadto rozkręcona, by zasnąć. Mimo to rano zgłosiła się do wytwórni pełna radości i życia. Było jeszcze ciemno, gdy pożyczonym od Harriet samochodem podjechała pod strzeżoną bramę wytwórni, tuż koło Lankershim Boulevard. Jill podała nazwisko; strażnik, sprawdziwszy, że figuruje na liście, machnął, żeby wjeżdżała.

– Hala siódma – poinformował. – Proszę skrócić w prawo za tymi dwoma blokami.

Jej nazwisko było na liście. Universal Studios czekało na nią. Wszystko było jak w cudownym śnie. W drodze na miejsce Jill podjęła decyzję: przedyskutuje swoją rolę z reżyserem, da mu do zrozumienia, że zdolna jest zinterpretować ją w dowolny sposób, zgodnie z jego życzeniem. Zostawiła samochód na dużym parkingu i weszła na halę.

Na miejscu kręciło się mnóstwo ludzi. Przesławiali reflektory, przynosili jakieś urządzenia elektryczne, ustawiali kamery. Polecenia wydawano w obcym języku, którego nie rozumiała.

– Przynieś murzynka!... Daj tę kalandrówkę!... Dopal z czwórki!... Daj kontrę z lewej!...

Jill przyglądała się wszystkiemu; wchłaniała w siebie obrazy, zapachy, dźwięki przemysłu rozrywkowego. To był jej świat, jej przyszłość. Już znajdzie sposób na zaimponowanie reżyserowi, przekona go, że jest kimś niezwykłym, nie jakąś tam aktoreczką.

Asystent reżysera zagonił ją i kilkanaście innych dziewczyn do garderoby. Tam wręczono Jill uniform pielęgniarki i posłano na tyły sceny, gdzie nałożono jej i innym odtwórcom ról epizodycznych odpowiednią charakteryzację. Ledwie skończono, asystent reżysera wywołał jej nazwisko. Pospieszyła przed kamerę ustawioną w dekoracji sali szpitalnej. Tuż obok kamery stał reżyser i rozmawiał z odtwórcą głównej roli serialu. Gwiazdor nazywał się Rod Hanson i kreował postać mądrego, pełnego zrozumienia dla pacjentów chirurga. Gdy Jill podeszła, Hanson akurat mówił:

– Mój niemiecki pastuch potrafiłby spłodzić dialogi lepsze niż to gówno. Dlaczego, na miłość boską, autorzy scenariusza nie mogą mi przydać nieco charakteru?

– Rod, od pięciu lat jesteśmy na antenie. Nie poprawiaj przeboju. Telewidzowie lubią cię właśnie takiego.

Podszedł operator i oznajmił:

– Wszystko gotowe, szefie.

– Dzięki, Hal – rzucił reżyser i ponownie zwrócił się do Hansona. – Możemy to zrobić, dziecinko? Przelóżmy dyskusję na potem.

– Któregoś dnia podetrę się waszym kontraktem – prychnął Hanson i odmaszerował.

Przy reżyserze chwilowo nie było nikogo i Jill zwróciła się do niego. Miała właśnie okazję, by omówić sposób interpretacji swej roli, okazać zrozumienie dla jego problemów i chęć pomocy w wykreowaniu wręcz mistrzowskiego ujęcia. Posłała mu ciepły i przyjacielski uśmiech.

– Jestem Jill Castle – powiedziała. – Gram pielęgniarkę.

Myślę, że to może być naprawdę interesująca postać, i mam kilka pomysłów w związku...

Kiwnął głową nie słuchając i rzucił:

– Tam, przy łóżku. – Odszedł, by porozmawiać z operatorem.

Jill wciąż się na niego gapiła. Ani drgnęła. Asystent reżysera, a eks-szwagier kuzyna Harriet w trzeciej linii szybko do niej podszedł i cicho powiedział:

– Na miłość boską, nie słyszałaś? Stań przy łóżku!

– Chciałam go spytać...

– Nie popsuj wszystkiego! – wyszeptał dziko. – Idź tam!

Jill podeszła do łóżka pacjenta.

– W porządku. Wszyscy cisza. – Asystent reżysera zerknął na zwierzchnika. – Będzie próba, szefie?

– Do tego? Lecimy na żywca. Daj dzwonek.

– Uwaga, cisza!

– Kamera!

– Poszła!

Usłyszawszy dzwonek, Jill nie wierzyła własnym uszom.

Gorączkowo zerknęła na reżysera; chciała go spytać o sposób interpretacji swej roli, o stosunek pielęgniarki do umierającego pacjenta, o...

Jakiś głos zawołał:

– Gramy!

Wszyscy patrzyli na dziewczynę wyczekująco. Zastanawiała się, czy mogłaby zatrzymać kamery tylko na chwileczkę, żeby przedyskutować...

Reżyser wrzasnął:

– Jezus, Maria! Siostry! To nie jest kostnica – to szpital.

Zbadaj mu ten przeklęty puls zanim umrze ze starości!

Jill popatrzyła niespokojnie na otaczające ją kręgiem jaskrawe światła. Zaczerpnęła tchu i uniosła rękę pacjenta, aby zbadać puls. Jeśli nie chcą jej pomóc, zmuszona będzie zinterpretować rolę samodzielnie. Pacjent jest ojcem lekarza. Pokłócili się.

Ojciec miał wypadek i lekarza właśnie powiadomiono. Jill uniosła oczy i ujrzała zbliżającego się Roda Hansona. Podszedł do niej i spytał:

– Jak on się ma, siostrze?

Jill spojrzała lekarzowi w oczy i dostrzegła w nich troskę. Chciała powiedzieć mu prawdę – że jego ojciec umierał, że już za późno na pogodzenie się. Należało to jednak zrobić ostrożnie, by lekarz się nie załamał i...

Reżyser znowu wrzeszczał:

– Kamera stop! Ta przekłeta idiotka ma tylko jedno zdanie, a i tego nie może spamiętać. Jakżeście ją znaleźli, przy pomocy książki telefonicznej?

Jill, czerwona ze wstydu, odwróciła się w kierunku głosu dobiegającego z ciemności.

– Ja... ja znam swój tekst – powiedziała drżącym głosem. Chciałam tylko...

– No, jeśli go znasz, to, na litość boską, może go zechcesz powiedzieć? Człowiek zdąży posiwieć, nim doczeka się twojej kwestii. Kiedy ci zada to pieprzone pytanie, odpowiedz na nie.

Okay?

– Ja się tylko zastanawiałam, czy...

– Zaczynamy od nowa. Daj dzwonek.

– Po dzwonku. Cisza!

– Kamera!

– Poszła!

– Gramy!

Jill trzęsły się nogi. Wyglądało na to, że nikomu poza nią nie zależało na tym ujęciu. Przecież chciała tylko stworzyć coś pięknego. Od gorąca i świateł kręciło się jej w głowie, czuła pot spływający po rękach i niszczący jej wykrochmalony uniform.

– Gramy! Siostrze!

Jill stała nad pacjentem i trzymała jego rękę za nadgarstek. Jeżeli teraz coś zepsuje, nigdy więcej nie dadzą jej szansy. Myślała o Harriet, o swych przyjaciółkach–współmieszkańcach i o tym, co oni powiedzą.

Zjawił się lekarz i podszedł do niej.

– Jak on się ma, siostrze?

Nie będzie już jedną z nich. Stanie się pośmiewiskiem. Hollywood jest małym miastem. Szybko wypowiedziała:

– Obawiam się, że niezbyt dobrze, panie doktorze.

Żadna inna wytwórnia nie wpuści jej za próg. To będzie jej ostatnia praca. Koniec wszystkiego, całego jej świata.

– Proszę natychmiast przewieźć pacjenta na oddział intensywnej opieki – polecił lekarz.

– Dobrze!– krzyknął reżyser. – Kopiujemy.

Jill z trudem uświadamiała sobie, że wokół niej kręcą się ludzie, rozmontowują dekorację, aby za chwilę ustawić w tym miejscu inną. Nagrywała swoją pierwszą w życiu scenę – i myślała o czymś innym. Nie mogła uwierzyć, że już po wszystkim. Zastanawiała się, czy nie odszukać reżysera i nie podziękować mu, lecz był po drugiej stronie sceny i mówił coś do dużej grupy ludzi. Asystent reżysera podszedł do niej i ścisnął za ramię.

– Dobrze ci poszło, mała. Tylko następnym razem naucz się tekstu – powiedział.

Była w filmie; zdobyła pierwsze doświadczenie. Od teraz, myślała Jill, będę pracować bez przerwy.

Następna praca na planie trafiła się Jill po roku z okładem – nakręciła wówczas jakiś epizod dla wytwórni MGM. Wykonywała szereg cywilnych prac. Chodziła po domach z kosmetykami firmy Avon, sprzedawała wodę sodową, a nawet, choć krótko, była kierowcą taksówki.

Wobec niewielkich dochodów Jill postanowiła przyjąć do mieszkania współlokatorkę, Harriet Marcus. W apartamencie były dwie sypialnie, a pokój Harriet zarabiał na siebie nawet po godzinach. Panna Marcus pracowała jako modelka w dużym domu towarowym, w centrum miasta. Była bardzo atrakcyjną dziewczyną. Miała krótkie, ciemne włosy, czarne oczy, chłopięcą figurę modelki i poczucie humoru.

– Gdy się pochodzi z Hoboken – mawiała – lepiej mieć po czucie humoru.

Na początku ich znajomości Jill lękała się nieco chłodnej samowystarczalności Harriet. Z czasem zorientowała się, że za tą starannie wypracowaną fasadą kryje się przestraszone, spragnione ciepła dziecko. Harriet była bez ustanku zakochana. Podczas ich pierwszego spotkania powiedziała:

– Chcę, żebyś poznała Ralpa. W przyszłym miesiącu bierzemy ślub.

Tydzień później Ralph oddalił się w nieznanym kierunku, zabierając ze sobą samochód Harriet.

Kilka dni po wyjeździe Ralpa dziewczyna poznała Tony’ego. Pracował w handlu zagranicznym i Harriet zakochała się w nim po uszy.

– Jest ważną figurą – zwierzyła się Jill. Najwyraźniej ktoś był innego zdania, gdyż miesiąc później znaleziono jego ciało spływające rzeką Los Angeles z jabłkiem wepchniętym w usta.

Kolejną miłością modelki był Alex.

– Jest najprzystojniejszym chłopem, jakiego w życiu widziałam – wyznała.

Alex rzeczywiście był przystojny. Nosił drogie ubrania, jeździł błyszczącym samochodem z otwieranym dachem i spędzał dużo czasu na torach wyścigowych. Romans trwał, dopóki dziewczyna miała pieniądze. Złościło Jill, że Harriet tak zupełnie nie zna się na mężczyznach.

– Nic na to nie poradzę – wyznała Harriet. – Pociągają mnie faceci, którzy mają kłopoty. Myślę, że to instynkt macierzyński.

– Uśmiechnęła się i dodała: – Moja matka była idiotką.

Jill obserwowała, jak kolejni narzeczeni Harriet pojawiają się i znikają. Był Nick i Bobby, i John, i Raymond, i... W końcu Jill nie była już w stanie ich spamiętać.

Mieszkały razem już kilka miesięcy, gdy Harriet oznajmiła, że jest w ciąży.

– Myślę, że to Leonard – zażartowała – ale, sama rozumiesz, po ciemku wszyscy są jednakowi.

– A gdzie on jest teraz?

– Omaha lub Okinawa. Nigdy nie byłam mocna w geografii.

– Co zamierzasz zrobić?

– Urodzić dziecko.

Z powodu szczupłej figury ciąża Harriet stała się wkrótce widoczna i dziewczyna musiała zrezygnować z pracy modelki. Jill dostała zajęcie w supermarkecie, tak że starczało dla nich obu.

Któregoś popołudnia, wróciwszy z pracy do domu, znalazła list. Harriet pisała: „Zawsze chciałam urodzić dziecko w Hoboken. Wracam do domu, do rodziny. Założę się, że czeka tam na mnie jakiś miły facet. Dzięki za wszystko”. Podpisano: „Harriet, zakonnica”.

Jill poczuła się raptem bardzo samotna w swym mieszkaniu.

Rozdział XXI

Sukcesy Toby'ego mogły zawrócić w głowie każdemu. Miał czterdzieści dwa lata i świat u swoich stóp. Żartował z królami, grywał w golfa z prezydentami, a miliony wielbicieli spośród zwykłych zjadaczy chleba pozostały mu wierne. Wierzyli, że Toby jest jednym z nich. Był ich rycerzem – doił najświętsze krowy, ośmieszał możnych tego świata, wstrząsał establishmentem. Kochali Toby'ego i byli pewni, że on darzy ich podobnym uczuciem.

We wszystkich wywiadach gwiazdor wspominał matkę, która w miarę upływu czasu coraz bardziej przypominała świętą. Tylko w ten sposób mógł dzielić z nią swoje sukcesy.

Toby nabył piękną posiadłość w Bel-Air. Dom był w stylu Tudorów, miał osiem sypialni, obszerną klatkę schodową i ręcznie rzeźbione balustrady prosto z Anglii; mieścił w sobie salę kinową, pokój do gier i piwnicę na wina. Na zewnątrz znajdował się duży basen kąpielowy, domek gospodyni i dwa pawilony dla gości. Toby kupił ponadto luksusowy dom w Palm Springs, kilka koni wyścigowych i trzech fagasów. Wołał na każdego z nich „Mac”, a oni go uwielbiali. Biegali na posyłki, szoferowali, zdobywali mu dziewczyny o każdej porze dnia czy nocy, jeździli z nim na wycieczki, robili masaże. Trio Maców było zawsze pod ręką, by spełnić najmniejsze nawet życzenie pana i władcy. Byli błaznami na służbie u Narodowego Błazna. Toby zatrudniał cztery sekretarki, z których dwie zajmowały się wyłącznie odpowiadaniem na listy wielbicieli. Jego prywatna sekretarka, imieniem Sherry, była piękną dwudziestojednoletnią dziewczyną o włosach koloru miodu. Jej ciało musiało być zaprojektowane przez maniaka seksualnego; Toby [upierał się, by nosiła mini i nic pod spodem. Oszczędzało to im obojgu mnóstwo czasu.

Pierwszy film Toby'ego Temple'a został przyjęty nadzwyczaj dobrze. Sam Winters i Clifton Lawrence byli w kinie na premierze. Po projekcji poszli we trójkę do Chasena, aby podyskutować o filmie.

Toby cieszył się bardzo na pierwsze spotkanie z Samem po podpisaniu kontraktu.

– Byłoby taniej, gdybyś odpowiedział na moje telefony rzucił i opowiedział Samowi o swoich próbach skontaktowania się z nim.

– Takie moje zezowate szczęście – odparł Sam ze skrucą.

Teraz, gdy siedzieli u Chasena, Sam zwrócił się do Lawrence'a:

– Jeśli nie obedrzesz mnie ze szczętem ze skóry, to chętnie bym podpisał z Tobym kontrakt na następne trzy filmy.

– Zedrę z ciebie tylko trochę. Zadzwoń do ciebie jutro rano – odparł impresario. Rzucił okiem na zegarek. – Teraz muszę lecieć.

– Dokąd idziesz? – spytał Toby.

– Mam spotkanie z innym klientem. Czasem miewam innych klientów, drogi chłopcze.

Toby spojrzął na niego z dziwnym wyrazem twarzy i mruknął:

– Jasne.

Doniesienia z premiery, które pojawiły się w prasie następnego dnia, pełne były zachwyty i uniesień. Przepowiadano Toby'emu wspaniałą przyszłość w filmie, dorównującą jego osiągnięciom w telewizji.

Toby przeczytał wszystko i zadzwonił do Cliftona Lawrence'a.

Moje gratulacje, drogi chłopcze – rzekł impresario. – Widziałeś artykuły w Reporter i Variety? To już niemal wyznania miłosne.

– Taa. Świat jest jak smaczny ser, a ja jestem wielkim, tłustym szczurem. Czy człowiek mógłby mieć więcej uciechy?

– Przepowiedziałem ci, że będziesz miał świat u swoich stóp, no i masz. Należy w całości do ciebie. – W głosie agenta brzmiała głęboka satysfakcja.

– Cliff, chciałbym z tobą pogadać. Mógłbyś wpaść?

– Oczywiście. Będę wolny o piątej i...

– Miałem na myśli teraz.

Po chwili wahania impresario rzekł:

– Mam umówione spotkania, chyba...

– Och, jeżeli jesteś tak bardzo zajęty, to zapomnij o wszystkim. – Toby odwiesił słuchawkę.

Minutę później zadzwoniła sekretarka Lawrence'a i powiedziała:

– Pan Lawrence jest w drodze do pana, panie Temple.

Clifton Lawrence siedział na kanapie u Toby'ego.

– Na miłość boską, Toby, sam wiesz, że zawsze mam dla ciebie czas. Nie przypuszczałem, że zechcesz mnie dzisiaj widzieć; gdybyś tylko napomknął o tym, umówiłbym się inaczej.

Aktor wpatrywał się w niego, czekając, aż agent wyrzuci z siebie wszystko. Clifton odchrząknął i rzekł:

– No, przestań się już dąsać! Jesteś moim ulubionym klientem. Nie wiedziałeś o tym? to prawda, myślał Lawrence. Sam go zrobiłem. Jest moim dziełem. Na równi z nim cieszę się jego sukcesami. Toby uśmiechnął się.

– Naprawdę, Cliff? – Obserwował, jak napięcie opada w niewielkim, zgrabnym ciele agenta. – Bo już zaczynałem się zastanawiać.

– Nie rozumiem.

– Masz tylu klientów, iż niekiedy odnoszę wrażenie, że nie poświęcasz mi dostatecznie dużo uwagi.

– To nieprawda. Spędzam więcej czasu...

– Chcę, żebyś zajmował się wyłącznie mną, Cliff.

Agent uśmiechnął się.

– Żartujesz.

– Ani trochę. Mówię poważnie. – Obserwował, jak uśmiech znika z twarzy Lawrence'a. – Chyba jestem dość ważny, żeby mieć własnego agenta. A gdy mówię „własnego”, nie mam na myśli kogoś, kto nie ma dla mnie czasu, bo jest zajęty tuzinem innych ludzi, o których musi zadbać. To przypomina pieprzenie się w grupie, Cliff. Zawsze ktoś zostaje ze stojącym fiutem.

Lawrence przyglądał mu się uważnie przez chwilę, po czym rzekł:

– Nalej mnie i sobie.

Gdy Toby odszedł w stronę baru, Clifton się zadumał. Wiedział, na czym polega jego problem. Nie chodziło tu ani o ego, ani o przerost poczucia własnej ważności.

Chodziło o samotność. Toby był najsamotniejszym człowiekiem, jakiego Clifton kiedykolwiek znał. Widział, jak gwiazdor kupuje kobiety na pęczki i jak usiłuje kupić sobie przyjaciół, nie oszczędzając hojnych podarków. W obecności Toby'ego nikt nie mógł choćby dotknąć książeczki czekowej. Lawrence usłyszał kiedyś słowa jakiegoś muzyka: „Nie musisz kupować miłości, Toby. I tak wszyscy cię kochają”. Aktor zamrużył wówczas powiekami i odparł: „Nie chcę ryzykować”.

Ów muzyk nigdy więcej nie wystąpił w serialu Toby'ego.

Toby od każdego żądał wszystkiego. Miał taką potrzebę, a im więcej uzyskiwał, tym potrzeba stawała się silniejsza.

Lawrence słyszał, że brał sobie do łóżka po kilka dziewczyn naraz, starając się uciszyć tkwiące w nim nie zaspokojone pragnienie. Rzecz jasna, nic mu to nie dawało. Toby potrzebował jednej dziewczyny, lecz nie udało mu się jej znaleźć. Usiłował to zrekompensować ilością.

Tkwiała w nim rozpaczliwa potrzeba, by bez przerwy otaczać się ludźmi.

Samotność. Nie prześladowała go tylko w momentach, gdy stał przed publicznością, słyszał aplauz, czuł miłość płynącą z widowni. Jakże to wszystko proste, myślał Lawrence. Gdy Toby nie był na scenie, zawsze miał wokół siebie publiczność; zawsze otoczony był muzykami, tancerkami, fagasami, aktorami, pisarzami i tymi wszystkimi, których zdołał wciągnąć na swoją orbitę.

A teraz żądał Cliftona Lawrence'a. W całości.

Impresario prowadził kilkunastu innych klientów. Ich łączny dochód niewiele przewyższał wpływy Toby'ego z nocnych klubów, filmów i telewizji, ponieważ agentowi udało się załatwić dla niego kontrakty wręcz fenomenalne. Niemniej Clifton nie podjął swej decyzji, kierując się wyłącznie względami finansowymi. Zdecydował się, gdyż kochał Toby'ego Temple'a, a Toby go potrzebował. Zresztą z wzajemnością. Lawrence przypomniał sobie, jak puste było jego życie, dopóki nie wkroczył w nie Toby. Żadnego ryzyka, żadnego wyzwania, żadnej nowości przez całe lata. Jechał wyłącznie na dawnych sukcesach. Myślał o atmosferze entuzjazmu i zapału, jaka zawsze otaczała Toby'ego, o radości i śmiechu w jego towarzystwie, i o ugruntowanym koleżeństwie, które ich łączyło.

Gdy Toby wrócił i wręczył mu drinka, Clifton wznosił toast:

– Za nas dwóch, drogi chłopcze.

Był to sezon sukcesów, zabaw i przyjęć i Toby był zawsze „w gotowości”. Oczekiwano, że będzie zabawny. Aktor dramatyczny może ukryć się za słowami Szekspira, Shawa czy Molira; śpiewak może zawsze liczyć na pomoc Gershwin, Rodgersa, Harta czy Cole'a Portera. Lecz komik pozostaje nagi. Jego jedyną bronią jest dowcip.

Improwizacje Toby'ego wkrótce stały się sławne w Hollywood. Na przyjęciu dla zaawansowanych wiekiem założycieli wytwórni ktoś zadał mu pytanie:

– Czy to prawda, że on ma dziewięćdziesiąt jeden lat?

Na co Toby:

– Taak. Gdy dojdzie do setki, krzyknie „bingo” i zarobi kupę forsy.

Na proszonym obiedzie któregoś wieczoru sławny lekarz, mający pieczę nad wieloma gwiazdami, opowiadał przydługi i skomplikowany kawał grupie tekściarzy komediowych.

– Doktorze – błagał Toby – litości! Ty nas zszywaj – nie rozrywaj!

Pewnego dnia wytwórnia zamówiła do filmu lwy. Gdy aktor ujrzał je na ciężarówkach, wrzasnął:

– Chrześcijanie – jeszcze dziesięć minut!

Do legendy przeszły figle płatanie przez Toby’ego. Jego znajomy, katolik, leżał w szpitalu z powodu drobnego zabiegu operacyjnego. Gdy już odzyskiwał siły, podeszła do jego łóżka piękna, młoda zakonnica i pogłaskała go po czole.

– Przyjemnie chłodne. Jaka miękka skóra.

– Dziękuję, siostrze.

Pochyliła się nad nim, aby poprawić mu poduszki. Piersiami muskała go po twarzy. Biedny człowiek, wbrew sobie, poczuł erekcję. Podczas poprawiania kocy i prześcieradeł siostra dotknęła członka. Udręka faceta nie miała granic.

– Dobry Boże! – wykrzyknęła zakonnica. – A cóż to jest? Ściągnęła z niego koce, odsłaniając twarde jak skała prącie.

– Bardzo przepraszam, siostrze – wyjąkał. – Ja...

– Nie ma za co przepraszać. Co za wspianiały kutas! – rzekła siostra i dosiadła go.

Minęło pół roku, nim ów znajomy dowiedział się, że Toby podesłał mu prostytutkę.

Pewnego dnia, wysiadając z windy, Toby odezwał się do nadętego przedstawiciela sieci:

– Tak między nami, Will, jak ci się udało wygrzebać z oskarżenia o obrazę moralności?

Drzwi zatrzasnęły się i zapytany pozostał w windzie wśród osób, które przyglądały mu się podejrzliwie.

Gdy doszło do podpisywania nowego kontraktu, Toby zamówił tresowaną panterę. Miała być dostarczona wprost do wytwórni. Toby otworzył drzwi do gabinetu Sama Wintersa w trakcie zebrania.

– Mój agent chce z tobą mówić – oznajmił. Wepchnął pan terę do gabinetu i zamknął ponownie drzwi.

Relacjonował potem tę historię:

– Trzech facetów w tym gabinecie omal nie dostało ataku serca. Miesiąc zajęło pozbywanie się zapachu szczywny.

Na Toby’ego pracował zespół dziesięciu autorów, z O’Hanlonem i Raingerem na czele. Aktor ustawicznie narzekał na materiał, który mu dostarczali. Któregoś razu awansował prostytutkę na członka zespołu. Gdy okazało się, że autorzy większość czasu spędzali w sypialni, zmuszony był ją wyrzucić. Innym razem sprowadził na naradę scenariuszową kataryniarza i jego tresowaną małpkę. Było to poniżające, lecz O’Hanlon, Rainger i inni przełknęli upokorzenie, gdyż Toby zamieniał ich teksty w szczerze złoto. Był najlepszy w branży.

Hojność Toby’ego graniczyła z nieprzyzwoitością. Pracownikom i znajomym rozdawał złote zegarki i zapalniczki, ubierał ich i fundował wycieczki do Europy. Nosił przy sobie ogromne sumy pieniędzy; za wszystko, nie wyłączając dwóch rolls-royce’ów, płacił gotówką. Miał miękkie serce. Co piątek tuzin pasożytów z Interesu schodził się doń po „datki”. Toby odezwał się kiedyś do jednego z regularnie przychodzących:

– Hej, co tu robisz dzisiaj? Wyczytałem w Variety, że dostałeś pracę w filmie.

Tamten spojrzał na aktora i odparł:

– U diabła, czy nie przysługuje mi dwutygodniowe wypowiedzenie?

O Tobym krążyło nieskończenie wiele anegdot, z których większość była prawdziwa. Pewnego razu jeden z tekściarzy popełnił grzech niewybaczalny – spóźnił się na naradę scenariuszową.

– Przepraszam za spóźnienie – usprawiedliwił się. – Mój syn wpadł dziś rano pod samochód.

Toby zerknął nań obojętnie i spytał:

– Czy przyniosłeś swój materiał?

Zaszokował wszystkich. Po spotkaniu ktoś powiedział do O’Hanlona:

– To najbardziej bezduszny sukinsyn, jakiego ziemia nosiła.

Gdybyś płonął żywcem, usiłowałby sprzedać ci wodę.

Toby ściągnął samolotem najlepszego neurochirurga do rannego chłopca i wziął na siebie wszystkie rachunki szpitalne. A ojcu zapowiedział:

– Jeśli wspomnisz o tym komukolwiek, wylecisz z roboty na zbity pysk.

Praca była jedyną rzeczą, która pozwalała zapomnieć o samotności; sprawiała mu prawdziwą radość. Gdy przedstawienie szło dobrze, Toby był najwspanialszym kompanem pod słońcem, gdy coś nie wychodziło – stawał się istnym demonem atakującym każdy cel znajdujący się w zasięgu jego zjadliwego dowcipu.

Był zaborczy. Kiedyś, podczas dyskusji nad scenariuszem, ujął w dłonie głowę Raingera i obwieścił wszem i wobec:

– To jest moje. Należy do mnie.

Jednocześnie narastała w nim nienawiść do autorów tekstów. Potrzebował ich, a chciał być całkowicie samowystarczalny, więc odnosił się do nich z pogardą. W dniach wypłaty Toby z czeków z ich poborami robił papierowe strzały i rzucał nimi w powietrze. Wyrzucał ich z pracy za najmniejsze przewinienie. Któryś z pisarzy zjawił się na konferencji opalony. Toby natychmiast go zwolnił.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał O’Hanlon. – Jest jednym z najlepszych.

– Gdyby uczciwie pracował, nie miałby czasu na opalanie się.

Świeżo zaangażowany do zespołu tekściarz przyniósł dowcip o matce i natychmiast musiał odejść.

Jeżeli zdarzyło się, że gościnnie występujący aktor dostał duże brawa w trakcie przedstawienia, Toby wykrzykiwał:

– Jesteś wspaniały! Chcę, żebyś co tydzień występował w moim programie. – Po czym zwracał się do producenta. Słyszysz? – Producent już wiedział, że w tym serialu aktor nie może się więcej pojawić.

W Tobym tkwiło mnóstwo sprzeczności. Był zazdrosny o sukcesy innych aktorów, a jednak zdarzyła się rzecz następująca. Któregoś razu, schodząc po próbie ze sceny, Toby minął garderobę niegdysiejszej gwiazdy komedii, Vinnie’ego Turkela, którego sława dawno już wygasła. Tym razem Turkela zaangażowano do jego pierwszej roli dramatycznej w granej na żywo sztuce telewizyjnej. Aktor karmił się nadzieją, że wywalczy sobie tą drogą powrót na scenę. Gdy Toby zerknął do garderoby, ujrzał Vinnie’ego na kanapie, kompletnie pijanego. Przechodzący akurat reżyser spektaklu powiedział:

– Zostaw go, Toby. Jest skończony.

– Bo co się stało?

– Jak wiesz, znakiem firmowym Vinnie’ego był jego wysoki, drżący głos. Zaczęliśmy próby, lecz ilekroć Vinnie się odzywał, wywoływał salwy śmiechu, choć starał się mówić poważnie. Rozłożyło to faceta kompletnie.

– Bardzo liczył na tę rolę, nie?

Reżyser wzruszył ramionami.

– Każdy aktor liczy na każdą rolę.

Toby zabrał Turkela ze sobą do domu i starał się doprowadzić starego gwiazdora komediowego do stanu trzeźwości.

– To najlepsza rola, jaką miałeś w życiu. Zamierzasz wszystko spaścić?

Nieszczęśnik potrząsał tylko głową.

– Już spaściłem. Nie przeskoczę tego.

– Kto tak twierdzi? – dopytywał się Toby. – Dasz sobie radę lepiej niż ktokolwiek inny.

Stary znów trząsał głową.

– Śmiali się ze mnie.

– Jasne, że tak. A wiesz dlaczego? Przez całe życie tylko ich rozśmieszałeś. Teraz też oczekiwali, że będziesz zabawny. Tyl ko śmiało naprzód, a zwyciężysz. Pokonasz ich wszystkich.

Toby spędził resztę popołudnia na umacnianiu Turkela w zaufaniu do samego siebie. Wieczorem zadzwonił do reżysera do domu.

– Turkel jest w porządku. Nie musisz się o nic martwić.

– Wiem, że nie muszę – odparł tamten. – Już go zastąpiłem.

– Zastąpiłeś? – powtórzył Toby. – Musisz dać mu szansę.

– Nie mogę ryzykować, Toby. Znów się upije i...

– Umówmy się tak – zaproponował Toby. – Zatrzymasz go.

Jeśli po próbie generalnej w dalszym ciągu nie będziesz go chciał, zagram jego rolę za darmo.

Zapadło milczenie, wreszcie reżyser odezwał się:

– Hej! Mówisz to poważnie?

– Załóż się, o co chcesz.

– To ci umowa – powiedział reżyser szybko. – Powiedz Vinnie’emu, że próba jest jutro rano o dziewiątej.

Po transmisji okazało się, że przedstawienie stało się przebojem sezonu. Krytycy szczególnie wychwalali grę Vinnie’ego Turkela. Zebrał wszystkie możliwe nagrody, rozpoczynając karierę aktora dramatycznego. Przesłał Toby’emu kosztowny podarek w dowód wdzięczności, lecz komik odesłał go z powrotem z adnotacją: „To nie ja osiągnąłem sukces, lecz ty”. Taki był Toby Temple.

Kilka miesięcy później Toby wybrał Vinnie’ego Turkela do udziału w swoim programie. Vinnie przekroczył dopuszczalne granice śmiechu publiczności i od tej pory Toby zaczął mu dyskretnie przeszkadzać w grze, wyśmiewać jego dowcipy, upokarzać go na oczach czterdziestomilionowej publiczności. To również był Toby Temple.

Ktoś kiedyś spytał O'Hanlona, jaki naprawdę jest ten człowiek. Odpowiedź brzmiała:

– Pamiętasz taki film, w którym Charlie Chaplin spotyka milionera? Po pijanemu milioner jest najlepszym kumplem Chaplina; na trzeźwo – kopie go w tyłek. Taki jest Toby, tyle że bez alkoholu.

Pewnego dnia odbyło się spotkanie z szefami sieci telewizyjnej, podczas którego jeden z młodszych uczestników prawie nie zabierał głosu. Po zebraniu Toby odezwał się do Lawrence'a:

– Myślę, że on mnie nie lubi.

– Kto?

– Ten smarkacz z zebrania.

– Co cię to obchodzi? Jest trzydziestym drugim asystentem Nikogo.

– Słowem się do mnie nie odezwał – przeżywał dalej Toby.

– Naprawdę mnie nie lubi.

Był tak urażony, że Lawrence poczuł się zmuszony odnaleźć chłopaka. Zadzwoił w środku nocy i, ku zdumieniu faceta, spytał:

– Czy masz coś przeciwko Toby'emu Temple'owi?

– Kto? Ja? Myślę, że to najzabawniejszy człowiek pod słońcem.

– W takim razie, czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę, drogi chłopcze? Zadzwoń do niego i powiedz mu to.

– Co?

– Zadzwoń do Toby'ego i powiedz mu, że go lubisz.

– Dobrze. Oczywiście. Zadzwonię do niego z samego rana.

– Zadzwoń teraz.

– Jest trzecia nad ranem!

– Nie szkodzi. On czeka na twój telefon.

Chłopak zadzwonił i ktoś odebrał telefon. W słuchawce rozległ się głos aktora:

– Cześć.

Przedstawiciel sieci telewizyjnej przełknął ślinę i rzekł:

– Ja... chciałem po prostu powiedzieć, że jesteś wspaniała.

Dzięki, chłopie – odparł Toby i odwiesił słuchawkę.

Jego orszak powiększał się. Niekiedy Toby budził się w środku nocy i telefonicznie zapraszał znajomych na karty lub wrywał ze snu O'Hanlona i Raingera i wzywał ich na dyskusję nad scenariuszem. Często całe noce spędzał, oglądając filmy we własnym domu, w towarzystwie trzech Maców, Cliftona Lawrence'a i kilku innych przypadkowych gości.

A im więcej ludzi kręciło się wokół niego, tym bardziej czuł się samotny.

Rozdział XXII

Był listopad 1963 roku, jesienne słońce oświetlało świat, lecz nie dawało ciepła. Poranki były mgliste i chłodne, zbliżała się pora zimowych deszczów.

Jill Castle co rano zachodziła do Schwab's Drugstore. Odnosiła wrażenie, że rozmowy nic a nic się nie zmieniają. Kombatanci rozprawiali o tym, kto stracił rolę i dlaczego. Napawali się każdą wiadomością o czyimś niepowodzeniu, która do nich docierała; wieści o sukcesach puszczali mimo uszu. Były to pienia nieudaczników i Jill zastanawiała się, czy już upodobniła się do reszty. Ciągle jeszcze była przekonana, że zostanie Kimś, lecz gdy przyglądała się znajomym twarzom, uświadamiała sobie, że tamci również żyli w tym przekonaniu w odniesieniu do siebie. Czy było możliwe, żeby wszyscy stracili kontakt z rzeczywistością, że wszyscy usiłowali realizować sen, który nigdy się nie spełni? Nie mogła znieść tej myśli.

Stała się powierniczką całej grupy. Przychodzili do niej ze swymi problemami, a ona wysłuchiwała ich i starała się każdemu pomóc; radą, kilkoma dolarami lub miejscem do spania na jeden czy dwa tygodnie. Rzadko umawiała się na randki, zanadto absorbowwała ją sprawa własnej kariery, zresztą nie spotkała nikogo, kto by ją zainteresował.

Ilekcóż Jill była w stanie odłożyć trochę pieniędzy, posyłała je matce wraz z długim listem, w którym donosiła, jak wspaniale jej się powodzi. Początkowo pani Czinski, odpowiadając na te listy, namawiała córkę do skruchy i poświęcenia się Bogu. w miarę jak Jill coraz częściej grywała epizody i posyłała większe sumy, matka zaczęła odczuwać niechętną dumę z jej kariery. Nie miała już nic przeciwko córce–aktorce, tylko nalegała na jej udział w filmach o charakterze religijnym.

– Jestem pewna, że pan DeMille da ci rolę, jeżeli mu wytłumaczysz, jakie wychowanie odebrałaś – pisała.

Odessa jest małym miastem. Pani Czinski nadal pracowała dla Naftowych Ludzi. Jill wiedziała, że matka będzie o niej mówić, że wcześniej czy później David Kenyon dowie się o jej sukcesach. W swych listach wymyślała więc historyjki o gwiazdach, z którymi jakoby pracowała, pilnie dbając, by używać ich imion. Nauczyła się starej sztuczki, znanej wśród odtwórców ról epizodycznych, w wyniku której na zdjęciu znajdowała się w bezpośredniej bliskości znanej gwiazdy ekranu. Fotograf zwykle robił jej dwie odbitki, z których jedną wysyłała matce, drugą zatrzymywała sobie. Z jej listów wynikało, że od pełnego sukcesu dzieli ją już tylko jeden krok.

W Południowej Kaliforni, gdzie nigdy nie pada śnieg, utarł się zwyczaj parady Świętego Mikołaja. Pochód idzie wzdłuż Hollywood Boulevard trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem, a potem każdego wieczoru aż do Wigilii tę samą trasę przemierza platforma z figurą Świętego Mikołaja. Mieszkańcy Hollywood celebryją narodziny Dzieciątka równie sumiennie, jak ich sąsiedzi z chłodniejszych okolic. Nie można ich winić za to, że „Chwała Panu na wysokości” czy „Cicha noc”, dobywające się z wszystkich głośników w domach i samochodach, spada na głowy znużone trzydziestostopniowym upałem. Tęsknią do tradycyjnych, białych Świąt równie serdecznie, co reszta Amerykanów–patriotów o gorącej krwi; ponieważ jednak wiedzą, że Bóg nie zamierza zaspokoić ich tęsknoty, nauczyli się obywać tym, co mają. Ulice zdobi się bożonarodzeniowymi lampami i choinkami z plastiku;

figurę Świętego Mikołaja i jego sanie zaprzężone w renifera wykonuje z papieru. Gwiazdorzy i aktorzy charakterystyczni rywalizują o przywilej uczestniczenia w paradzie, bynajmniej nie w trosce o to, by nieść świąteczną radość tysiącom dzieci i dorosłych zebranych wzdłuż trasy pochodu, lecz dlatego, że paradzie towarzyszą kamery telewizyjne i zbliżenie twarzy ujrzą wszyscy, jak Ameryka długa i szeroka.

Jill Castle stała samotnie na rogu, przyglądając się długiemu pochodowi i słynnym aktorom powiewającym z wysokości platform tłumom wielbicieli. W tym roku Wielkim Marszałkiem był Toby Temple. Zachwycone tłumy wrzeszczały dziko, gdy je mijał. Jill zdołała dostrzec jego rozpromienioną, szczerą twarz i już go nie było.

Maszerował, grając, zespół muzyczny wyższej uczelni z Hollywood, w ślad za nim jechała platforma Łoży Masońskiej i postępowała orkiestra dęta korpusu marynarki, jeźdźcy w strojach kowbojów, orkiestra Armii Zbawienia, a za nią Shrinersi. W pochodzie szły rozśpiewane grupy z flagami i proporcami, jechała platforma Knott's Berry Farm wioząca zrobione z kwiatów figury zwierząt i ptaków, wozy straży pożarnej, clowni i orkiestry jazzowe. Może nie wszystko było bożonarodzeniowe z ducha, lecz stanowiło najczystszej wody hollywoodzki spektakl.

Jill pomogła kilku aktorom charakterystycznym przygotować platformy, teraz jeden z nich zamachał do niej i krzyknął:

– Cześć, Jill! Jak leci?!

Ludzie z tłumu obrzucili ją zawistnymi spojrzeniami, co dało jej rozkoszne poczucie własnej ważności: wiadano, że należy do Interesu. Głęboki, dźwięczny głos odezwał się za nią:

– Proszę mi wybaczyć – czy pani jest aktorką?

Odwróciła się. Ujrzała wysokiego, dwudziestoparoletniego przystojnego blondyna. Twarz miał opaloną, zęby białe i równe. Ubrany był w stare dzinsy i niebieską, tweedową marynarkę z naszytymi na łokciach skórzanymi łatami.

– Tak.

– Ja też. To znaczy, jestem aktorem. – Uśmiechnął się i do dał: – W fazie usiłowań.

Jill wskazała ręką na siebie i rzekła:

– W fazie usiłowań.

Roześmiał się.

– Czy mogę cię zaprosić na kawę?

Nazywał się Alan Preston, pochodził z Salt Lake City, gdzie jego ojciec był przełożonym w Kościele Mormonów.

– Wyrosłem w atmosferze nadmiernie religijnej, za to po zbawionej radości – zwierzył się Jill.

To niemal prorocze, pomyślała dziewczyna. Odebraliśmy takie samo wychowanie.

– Jestem dobrym aktorem – rzekł Alan ze smutkiem – ale to miasto jest okrutne. Tam, w domu, każdy chce człowiekowi po moc. Tutaj, mam wrażenie, wszyscy chcą przeszkodzić.

Gawędzili aż do zamknięcia kawiarni; zdążyli się do tego czasu zaprzyjaźnić. Gdy Alan spytał, czy zechce pójść do niego, Jill wahała się tylko chwilę i odpowiedziała:

– Dobrze.

Alan Preston mieszkał w pensjonacie, w bocznej uliczce tuż obok Highland Avenue, dwa bloki od Hollywood Bowl. Zajmował niewielki pokój na tyłach domu.

– To miejsce powinno się nazywać „Męty” – powiedział Jill. – Warto zobaczyć dziwadła, które tu mieszkają. Wszyscy liczą na wspaniały sukces w przemyśle rozrywkowym.

Zupełnie jak my, pomyślała.

Umeblowanie pokoju składało się z łóżka, biurka, krzesła i chwiejącego się niewielkiego stołu.

– Tylko czekam, żeby się przeprowadzić – wyjaśnił Alan.

Jill zaśmiała się.

– To samo ze mną.

Gdy próbował wziąć ją w ramiona, zeszywniała.

– Zostaw mnie, proszę.

Przyglądał się jej przez chwilę i łagodnie odpowiedział:

– Okay.

Zmieszała się. Co właściwie robiła w pokoju tego mężczyzny? Znała odpowiedź na to pytanie. Czowała się rozpaczliwie samotna. Tęskniła za kimś, z kim mogłaby porozmawiać, tęskniła za mężczyzną, który by objął ją ramionami, przytulił, uspokoił i zapewnił, że wszystko będzie cudownie. To już tak dawno. Wspomniała Davida Kenyona, lecz on należał do innego życia, innego świata. Pragnęła go aż do bólu. Chwilę później, gdy Alan ponownie objął ją ramieniem, Jill przymknęła oczy i zdawało się jej, że to David całuje ją, rozbiera i pieści.

Spędziła tę noc z Alanem, a po kilku dniach zamieszkali razem w jej mieszkaniu.

Alan Preston był najbardziej prostodusznym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała. Zgodnego usposobienia, rozluźniony, przyjmował rzeczy takimi, jakie były, nigdy nie martwił się o jutro. Gdy Jill chciała przedyskutować z nim swój styl życia, odpowiadał:

– Pamiętasz Appointment in Samarra? Co ma się zdarzyć, zdarzy się. Przeznaczenie na pewno cię dogoni. Nie musisz go szukać.

Alan wylegiwał się w łóżku jeszcze długo po wyjściu dziewczyny, udającej się na poszukiwanie pracy. Po powrocie do domu zastawała go nieodmiennie w fotelu, z książką lub przy piwie z przyjaciółmi. Nie dawał pieniędzy na dom.

– Głupia jesteś – oświadczyła jej jedna z przyjaciółek. Korzysta z twojego łóżka, żyje wyłącznie na twój koszt.

Pozbądź się go.

Lecz Jill nie usłuchała.

Po raz pierwszy w życiu zrozumiała Harriet, zrozumiała inne dziewczyny, które czepiały się mężczyzn, mimo że ich nie kochały, a czasem nienawidziły.

Bała się zostać sama.

Jill była bez pracy. Zbliżały się Święta, pozostało jej zaledwie kilka dolarów, a musiała jeszcze posłać matce prezent na Gwiazdkę. Problem rozwiązał Alan. Któregoś ranka wyszedł z domu wcześniej, nie mówiąc ani słowa. Po powrocie oświadczył:

– Dostaliśmy pracę.

– Jaką?

– W filmie, oczywiście. Jesteśmy aktorami czy nie?

Jill spojrzała na niego, przepelniła ją nadzieja.

– Mówisz poważnie?

– Naturalnie. Nadziałem się na przyjaciela – jest reżyserem.

Jutro zaczyna kręcić. Dla obojga znajdują się role. Po sto dolarów na łeb za każdy dzień.

– Jak wspaniale! – wykrzyknęła Jill. – Sto dolarów!

Mając tyle pieniędzy, mogła kupić dla matki kupon dobrej angielskiej wełny na palto zimowe i jeszcze jej zostanie na elegancką skórzaną torebkę dla siebie.

– To mała grupa niezależnych. Będą kręcić na tyłach czyjegoś garażu.

– Co to nas obchodzi? Mamy role.

Garaż był położony na południu Los Angeles w dzielnicy, która, ongiś elegancka, w ciągu jednego pokolenia zmieniła się w ruinę.

W progu powitał ich niski, śniady mężczyzna. Wymienił z Alanem uścisk dłoni i rzekł:

– Dopiąłeś swego, chłopie. Wspaniale.

Odwrócił się do Jill i gwizdnął z uznaniem.

– Mówiłeś prawdę, stary. Jest na czym oko zawiesić.

Odezwał się Alan:

– Jill, to jest Peter Terraglio. Jill Castle. – Dokonano prezentacji.

– Dzień dobry panu! – powiedziała.

– Pete jest reżyserem – objaśnił ją Alan.

– Reżyserem, producentem, głównym pomywaczem, wszystkim po trosze.

Wchodźcie.

Poprowadził ich przez pusty garaż i przejście, które kiedyś prowadziło do pomieszczeń dla służby. Z korytarza wchodziło się do dwóch sypialni, drzwi do jednej były otwarte. Dobiały stamtąd głosy. Jill podeszła, zajrzała do środka i stanęła jak wryta, nie wierzyła własnym oczom. Na środku pokoju, na łóżku leżało czworo nagich ludzi; Murzyn, Meksykanin i dwie dziewczyny, biała i czarna. Operator oświetlał całą scenę, podczas gdy jedna z dziewczyn ćwiczyła minetę na Meksykaninie. Przerwała na chwilę dla zaczerpnięcia tchu i wykrzyknęła:

– No, dalej, fiucie! Stawaj!

Jill zrobiło się słabo. Okręciła się na pięcie, aby wyjść tą samą drogą, i poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Alan otoczył ją ramieniem i podtrzymał.

– Źle się czujesz?

Nie była w stanie odpowiedzieć. W głowie jej trzeszczało, czuła się tak, jakby jej żołądek wypełnił się ostrymi nożami.

– Zaczekaj tu – rozkazał Alan.

Po minucie wrócił, niosąc fiolkę czerwonych pigułek i pół litra wódki. Wysypał dwie pastylki i podał Jill.

– Po tym poczujesz się lepiej.

Jill włożyła je do ust, głowa jej się trzęsła.

– Popij tym – polecił jej Alan.

Zrobiła, co kazał.

– Trzymaj. – Podał jej kolejną tabletkę. Popiła wódkę. – Po łóż się na chwilę.

Zaprowadził ją do pustej sypialni. Jill położyła się na łóżku, poruszała się bardzo powoli. Proszki zaczęły działać, poczuła się nieco lepiej. Żółć przestała podchodzić jej do gardła.

Po kwadransie ból głowy zelżał. Alan podał jej następną pastylkę. Połknęła, nie myśląc o tym, co robi. Popiła kolejną porcję wódki. Ustąpienie bólu odczuła jak błogosławieństwo. Tylko Alan zachowywał się dziwnie, ciągle krążył wokół łóżka.

– Siedź spokojnie – zażądała.

– Przecież siedzę.

Jill uznała, że to bardzo zabawne i zaczęła się śmiać. Śmiała się tak długo, aż łzy pociekły po twarzy.

– Co... co to za pastylki?

– Na ból głowy, kochanie.

Terraglio zajął do pokoju.

– Jak się mamy? Wszyscy są zadowoleni?

– Wszy... scy sssą za... dowoleni – wybełkotała Jill.

Terraglio popatrzył na Alana i skinął głową.

– Pięć minut – rzucił i wybiegł.

Alan pochylał się nad dziewczyną, głaskał jej piersi i uda. Podniósł spódniczkę i wsunął palce między jej nogi. Było to cudownie podniecające i Jill nagle zapragnęła mieć go w sobie.

– Posłuchaj, kochanie – rzekł Alan. – Nigdy nie prosiłbym cię o zrobienie czegoś złego. Będiesz kochać się ze mną. I tak to zrobimy, tylko tym razem zapłacą nam za to. Dwieście dolców. Będą twoje.

Potrząsnęła głową; zdawało jej się, że przekręcenie głowy z jednej strony na drugą trwa całe wieki.

– Nie mmogę te... tego zrobić – wybełkotała.

– Dlaczego nie?

Musiła się skupić, aby sobie przypomnieć.

– Bo będę gwiazdą. Nie mogę robić filmów porno.

– A chciałabyś się teraz ze mną kochać?

– O, tak! Bardzo cię chcę, Davidzie.

Alan zamierzał coś powiedzieć, lecz tylko się uśmiechnął.

– Jasne, dziecinko. Ja też cię pragnę. Chodź. – Ujął Jill za rękę i podniósł z łóżka. Zdawało się jej, że leci w powietrzu.

Niósł ją korytarzem, weszli do drugiej sypialni.

– Okay – powiedział Terraglio na ich widok. – Te same dekoracje. Zdobyliśmy nieco świeżej krwi.

– Chcesz, żeby zmienić prześcieradło? – zapytał ktoś z obecnych.

– Sądzisz, że kim my, kurwa, jesteśmy, MGM?

Jill przywarła do Alana.

– David, tu są ludzie.

– Wszyscy sobie pójdą – zapewnił ją. – Trzymaj. – Podał jej następną tabletkę i przytknął do warg butelkę wódki, aby mogła ją popić. Od tej chwili wszystko widziała jak przez mgłę. David rozebrał ją, szepcząc czule słowa. Była razem z nim na łóżku.

Przysunął nagie ciało całkiem blisko. Wystrzeliło ostre światło i oślepiło ją.

– Weź go do ust – powiedział, a był to głos Davida.

– Och, tak. – Czule pieściła członek i już miała go wziąć między wargi, gdy ktoś powiedział coś, czego nie dosłyszała.

David odsunął się nieco, zmuszając Jill do odwrócenia twarzy do światła i przymrużenia oczu. Ktoś pchnął ją na plecy i oto David był już w niej, a jednocześnie trzymała jego prącie w ustach. Tak bardzo go kochała. Przeszkadzało jej światło i jakieś ściszone głosy. Chciała powiedzieć Davidowi, żeby je uciszył, lecz nie mogła, była w ekstazie, w delirium. Przeżywała orgazm za orgazmem, przypuszczała, że jej ciało za chwilę samo rozleci się na kawałki. David kochał ją, nie Cissy, wrócił do niej, pobrali się. Właśnie spędzali cudowny miodowy miesiąc.

– David... – powiedziała.

Otworzyła oczy i ujrzała na sobie Meksykanina; wodził językiem wzdłuż jej ciała, coraz niżej i niżej. Próbowała go spytać, gdzie jest David, ale nie mogła wydobyć głosu. Zamknęła oczy, a mężczyzna robił z jej ciałem cudowne rzeczy. Gdy spojrzała ponownie, mężczyzna zmienił się jakoś w dziewczynę o długich, rudych włosach i dużych piersiach, które muskały Jill po brzuchu. Kobieta zaczęła robić coś językiem, lecz Jill zamknęła oczy i straciła przytomność.

Dwaj mężczyźni spoglądali na leżącą na łóżku postać.

– Wyjdzie z tego? – spytał Terraglio.

– Jasne – zapewnił go Alan.

– Na tych dziewczynach naprawdę się dorobisz – rzucił Terraglio z podziwem. – Ta jest wspaniała. Najlepsza z dotychczasowych.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Wyciągnął rękę.

Terraglio wyjął z kieszeni gruby plik banknotów i odliczył dwa. – Masz. Nie wpadłbyś na mały, świąteczny obiadek? Stella będzie zachwycona.

– Nie mogę – odparł Alan. – Spędzam Święta z żoną i dziećmi. Lecę najbliższym samolotem na Florydę.

– Będziemy mieli piekielnie dobry film. – Terraglio kiwnął głową w kierunku nieprzytomnej dziewczyny. – A co damy w czołówce?

Alan uśmiechnął się.

– Czemu nie użyć jej prawdziwego nazwiska? Josephine Czinski. Gdy film dojdzie do Odessy, jej znajomi przeżyją nie byle co.

Rozdział XXIII

Wszyscy kłamali. Czas nie był sprzymierzeńcem, który goi rany; był bezwzględny wrogiem, który zabija młodość. Mijały lata, a każdy rok przynosił świeże dostawy towaru do Hollywood. Rywalki ściągały autostopem, motorami, pociągami, samolotami. Miały po osiemnaście lat, jak swego czasu Jill. Były gibkie i długonogie, miały młode, świeże, pełne zapału twarze i promienny uśmiech, który odsłaniał równe, nie wymagające koronek zęby. A z każdą nową dostawą Jill stawała się o rok starsza. Któregoś dnia spojrzała w lustro – był rok 1964; skończyła już dwadzieścia pięć lat.

Początkowo udział w filmie pornograficznym przeraził ją. Żyła w ustawicznym strachu, że ktoś ważny to zauważy i wciągnie ją na czarną listę. Minęły tygodnie, potem miesiące i Jill stopniowo zapomniała o lęku. Zmieniała się. Każdy rok zostawiał na niej swoje ślady, patynę twardości niczym coroczny pierścień na pniu drzewa. Znienawidziła ludzi, którzy nie dopuszczali jej do gry, ludzi, którzy nie dotrzymywali swych, jakże licznych obietnic.

Miała za sobą nie kończącą się serię nudnych, niewdzięcznych prac. Była już sekretarką, recepcjonistką, kucharką, opiekunką do dzieci, modelką, kelnerką, telefonistką i sprzedawczynią. Tylko na krótki czas, na chwilę, póki nie zadzwoni telefon.

Telefon nigdy nie zadzwonił. W Jill narastało rozgoryczenie. Od czasu do czasu statystowała w filmach, niekiedy dostawała małe rólki, lecz nie wiodło to do niczego. Patrzyła w lustro i czytała w nim napomnienie czasu: pospiesz się! Patrząc na swoje odbicie, miała wrażenie, że spogląda w przeszłość ułożoną warstwami. Zachowała jeszcze na twarzy ślady świeżej, młodej dziewczyny, która przyjechała do Hollywood siedem długich lat temu. Lecz ta młoda, świeża dziewczyna miała już delikatne kurze łapki w kącikach oczu i wyostrome linie, które biegły od krańców nosa do podbródka – sygnały ostrzegawcze, znaki upływającego czasu i nie osiągniętego sukcesu, pamiątki po niezliczonych, niewielkich, gorzkich porażkach. Pospiesz się, Jill, pospiesz.

Tak więc, gdy Fred Kapper, osiemnastoletni asystent reżysera u Foxa, powiedział, że da jej rolę, jeśli pójdzie z nim do łóżka, Jill uznała, że nadszedł czas, aby powiedzieć tak.

Spotkała się z Kapperem w wytwórni w czasie przerwy na lunch.

– Mam tylko pół godziny – powiedział. – Niech no pomyślę, gdzie możemy mieć trochę spokoju. – Chwilę stał nieruchomo, marszcząc brwi w głębokim namyśle, wreszcie się rozjaśnił. – Sala postsynchronów. Chodź.

Było to małe, dźwiękoszczelne pomieszczenie projekcyjne, gdzie wszystkie zapisy dźwiękowe miksowano i łączono w jedną ścieżkę.

Fred Kapper rozejrzał się po nagim pokoju i zaklął: – Cholera! Kiedyś tu stała kanapa. – Zerknął na zegarek. – Musi nam wystarczyć. Rozbierz się, moja słodka. Dźwiękowcy wrócą za dwadzieścia minut.

Jill wlepiła w niego oczy. Czowała się jak ostatnia dziwka. Ogarnęło ją obrzydzenie, lecz nie dała tego po sobie poznać. Wypróbowała wszystkie sposoby, które przyszły jej na myśl – i przegrała. Teraz zamierzała skorzystać z drogi proponowanej przez nich. Zdjęła sukienkę i majtki. Kapper nie zwracał sobie głowy rozbieraniem. Rozpiął tylko suwak i wyjął obrzmiały członek. Popatrzył na Jill i rzekł z uśmiechem:

– To śliczny tyłeczek. Pochyl się. konsola na kółkach, wypełniona taśmami z nagranyymi wybuchami śmiechu, sterowana za pomocą guzików znajdujących się na zewnątrz obudowy.

Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu czegoś, o co mogłaby się oprzeć. Przed nią stało urządzenie do wytwarzania śmiechu, Po chwili wahania dziewczyna pochyliła się do przodu i oparła na rękach. Kapper zaszedł ją od tyłu i poczuła, że palcami rozchyła jej pośladki. Po chwili uczuła nacisk członka na odbytnicę.

– Zaczekaj! – krzyknęła. – Nie tam! Ja... ja nie mogę...

– Krzycz dla mnie, dziecinko! – Wepchnął w nią prącie, rozrywając ją boleśnie. Z każdym krzykiem wchodził głębiej i brutalniej. Jak oszalała próbowała się uwolnić, lecz schwycił ją za biodra i mocno trzymając, suwał się w przód i w tył. Straciła równowagę. Sięgnęła ręką, chcąc się czegoś złapać, nie chcąc nacisnąć guzik na konsoli i pokój wypełnił się przeraźliwym śmiechem. Jill skręcała się z piekącego bólu, waliła rękoma w maszynę, a w pokoju słychać było chichot kobiety, rzenie tłumu, śmiech dziecka – gromada ludzi krztusiła się i za nosiła śmiechem, jakby opowiadano im w sekrecie obsceniczne dowcipy. Dźwięki wirowały, odbijając się echem od ścian, gdy dziewczyna krzyczała z bólu.

Nagle poczuła serię szybkich pchnięć i po chwili ów kawałek obcego ciała został z niej wyjęty, śmiech przycichł. Jill stała nieruchomo, walcząc z bólem. Kiedy była wreszcie w stanie wyprostować się i odwrócić, Fred Kapper zapinał rozporek.

– Byłaś rewelacyjna, kochanie. Takie krzyki naprawdę mnie podkręcają.

Jill zastanawiała się, jakim rodzajem zwierzęcia okaże się Kapper, gdy skończy dziewiętnaście lat. Zobaczył, że dziewczyna krwawi.

– Doprowadź się do porządku i idź na halę dwunastą. Zaczynasz pracę dziś po południu.

Po tym pierwszym doświadczeniu reszta poszła gładko. Jill pracowała regularnie we wszystkich wytwórniach: Warner Brothers, Paramount, MGM, Universal, Columbia, Fox; wszędzie, z wyjątkiem wytwórni Disneya, gdzie seks nie istniał.

Rola, jaką Jill zbudowała sobie do łóżka, była pełna fantazji. Odgrywała ją zręcznie, przygotowując się do niej jak do pracy na planie. Naczytała się książek o erotyce wschodu, zakupiła napoje miłosne i rozmaite stymulatory w sex-shopie na Santa Monica Boulevard. Znajoma stewardesa przywiozła jej ze wschodu płyn do nacierania, zawierający nieznaczne ilości mięty pieprzowej. Robiła swym kochankom masaż, powolny i zmysłowy.

– Leż spokojnie i myśl o tym, co odczuwa twoje ciało – szeptała, wcierając płyn w męską pierś, brzuch, pachwiny, delikatnymi, okrężnymi ruchami. – Zamknij oczy i wczuj się.

Jej palce, lekkie jak skrzydła motyla, przesuwają się pieszczotliwie w dół ciała. Gdy zaczynał się wzwód, Jill głaskała delikatnie rosnący członek, wodząc jednocześnie językiem między nogami mężczyzny, powoli w dół, aż do palców i z powrotem, póki facet nie wił się z rozkoszy. Potem odwracała go na brzuch i zaczynała wszystko od nowa. Gdy członek pozostawał wiotki, wkładała jego czubek w wejście do pochwy i powoli wciągała do wnętrza, czując jak twardnieje i sztywnieje. Uczyla mężczyzn prawdziwej kaskady: wspinania się na szczyt i zatrzymywania tuż przed orgazmem, wspinania i zatrzymywania, aby, gdy już dojdzie do wytrysku, było to wyładowanie pełne najwyższej rozkoszy. Zaspokajali swoje

potrzeby, ubierali się i wychodzili. Żaden z nich nie został nawet chwilę dłużej, nie dał jej tych najpiękniejszych pięciu minut seksu – możliwości przytulenia się po stosunku, znalezienia oazy spokoju w ramionach kochanka.

Role w filmach były śmiesznie niską ceną za przyjemność, którą Jill dawała dyrektorom do spraw obsady, asystentom reżyserów, reżyserom i producentom. Stała się znana jako „najgorętsza dupa” w mieście, każdy tylko czekał na swoją kolej. A ona nie odmawiała. Tylko po każdym razie malała jej sympatia do ludzi i szacunek dla siebie, narastała gorycz i nienawiść.

Nie umiała przewidzieć ani jak, ani kiedy, ale wiedziała na pewno, że któregoś dnia to miasto zapłaci za wszystko, co jej zrobiło.

W ciągu następnych pięciu lat wystąpiła w kilkunastu filmach, programach telewizyjnych i reklamach. Była sekretarką, która mówiła: „Dzień dobry, panie Stevens”; opiekunką do dzieci, która zapewniała: „Proszę się nie martwić, położę dzieci spać. Życzę państwu miłego wieczoru; operatorką windy, która oznajmiała: „Szóste piętro”, czy dziewczyną w narciarskim stroju, która zwierzała się: „Wszystkie moje przyjaciółki używają Dainties”. Lecz nic poza tym się nie wydarzyło. Była bezimienną postacią w tłumie. Niby była w Interesie, lecz jakby jej nie było. Nie mogła znieść myśli, że nic się nie zmieni do końca jej życia.

W roku 1969 zmarła jej matka i Jill pojechała do Odessy na pogrzeb. Na mszy było zaledwie kilka osób. Nie przyszła żadna z kobiet, dla których pani Czinski przez tyle lat pracowała. Ot, kilka współwyznawczyń z sekty odrodzenia religijnego, wiecznie grożących dniem Sądu Ostatecznego. Jill przypomniała sobie, jak bardzo bała się tych spotkań swego czasu, lecz matka musiała znajdować jakąś pociechę w egzorcyzmowaniu złych duchów, które ją tak męczyły.

Znajomy głos odezwał się;

– Witaj, Josephine.

Odwróciła się. Stał tuż obok. Spojrzała mu w oczy i ogarnęło ją przemożne uczucie, że nigdy się nie rozstali, że ciągle należeli do siebie. Lata wycisnęły piętno dojrzałości na jego twarzy, zaznaczyły się nieznaczna siwizną na skroniach, lecz poza tym nie zmienił się. Był Davidem, jej Davidem. A jednak byli sobie obcy.

– Bardzo ci współczuję z powodu śmierci matki – powie dział.

– Dziękuję, Davidzie.

Jakby recytowali role.

– Muszę z tobą porozmawiać. Możemy spotkać się dziś wieczorem? – W jego głosie brzmiało gorączkowe naleganie.

Wróciła myślą do ich ostatniego spotkania, do jego pożądanego, swoich marzeń i snów. Powiedziała tylko:

– Dobrze, Davidzie.

– Nad jeziorem? Masz samochód?

Skinęła głową.

– Będę tam za godzinę.

Cissy, całkiem naga, stała przed lustrem. Szykowała się akurat na przyjęcie, gdy David wrócił do domu. Wszedł do sypialni i przez chwilę ją obserwował. Mógł oceniać żonę

całkowicie beznamiętnie, nie budziła w nim absolutnie żadnych uczuć. Była piękna. Dbała o swoje ciało, za pomocą diety i gimnastyki starała się zachować zgrabną figurę. Uroda stanowiła jej największą zaletę i David miał powody do przypuszczeń, że hojnie dzieliła się nią z innymi – trenerem golfa, instruktorem narciarskim czy nauczycielem pilotażu. Nie mógł mieć o to pretensji. Od dawna już z nią nie sypiał.

Początkowo naprawdę wierzył, że Cissy da mu rozwód po śmierci matki, lecz pani Kenyon ciągle żyła i miała się dobrze. David nie miał jak sprawdzić, czy wciągnięto go w pułapkę, czy może stał się cud. W rok po ślubie zakomunikował Cissy, że nadeszła pora na wszczęcie kroków rozwodowych.

– Jaki rozwód? – spytała Cissy i roześmiała się, widząc zdumienie na jego twarzy. – Odpowiada mi bycie panią Davidową Kenyon, kochanie. Czy naprawdę sądziłeś, że zrezygnuję z ciebie na rzecz tej polskiej dziwki? Uderzył ją w twarz.

Następnego dnia udał się do adwokata. Gdy skończył relacjonować fakty, prawnik powiedział:

– Rozwód mogę ci załatwić, lecz jeśli Cissy jest zdecydowana cię zatrzymać, będzie cię to słono kosztowało.

– Załatw mi rozwód.

Kiedy wręczono Cissy pozew rozwodowy, zamknęła się w łazience męża i zażyła zbyt dużą dawkę środków nasennych. David z pomocą dwóch służących wyważył ciężkie drzwi. Przez dwa dni Cissy walczyła ze śmiercią w prywatnej klinice. Mąż odwiedził ją.

– Przepraszam cię, Davidzie – powiedziała. – Nie chcę żyć bez ciebie. To takie proste.

Następnego dnia rano David wycofał wniosek o rozwód.

Od tego wydarzenia upłynęło prawie dziesięć lat. Ich małżeństwo przetrwało w stanie zawieszenia broni. David przejął imperium Kenyonów i całą swą energię poświęcał interesom. Fizyczną pociechę znajdował u dziewcząt, których całe roje utrzymywał tam, gdzie gnały go interesy, ale nigdy nie zapomniał Josephine.

Nie wiedział, co Josephine o nim myśli. Marzył o tym, by się dowiedzieć, a jednocześnie bał się tego. Miała wszelkie powody, aby go nienawidzić. Na pogrzeb poszedł tylko dla niej. Ledwie rzucił na nią okiem, uświadomił sobie, że nic się nie zmieniło. Przynajmniej jeśli chodziło o niego. W jednej chwili zniknęły z pamięci ostatnie lata i był, jak dawniej, zakochany w niej po uszy.

Muszę z tobą pomówić... spotkać dziś wieczór.

Dobrze, Davidzie.

Nad jeziorem.

Cissy odwróciła się i spostrzegła, że David obserwuje ją w lustrze.

– Musisz się przebrać, Davidzie. I pospiesz się, bo inaczej się spóźnimy.

– Idę na spotkanie z Josephine. Jeżeli mnie zechce, ożenię się z nią. Najwyższy czas zakończyć tę farsę, nie uważasz?

Gapła się na męża, nagie ciało odbijało się w lustrze.

– Pozwól mi się ubrać – odparła.

Kiwnął głową i opuścił sypialnię. Udał się do wielkiego salonu. Przemierzał pokój tam i z powrotem, przygotowując się do konfrontacji. Z pewnością po tylu latach Cissy nie będzie upierać się przy małżeństwie, które było tylko pustą formą. Da jej wszystko, czego...

Postyszał dźwięk silnika samochodu Cissy i pisk opon, gdy zawracała na podjeździe. Pobiegł do 209 frontowych drzwi i wyjrzał. Maserati Cissy pędziło w kierunku autostrady. David natychmiast wskoczył do auta, uruchomił silnik i pognął za nią.

Gdy dotarł do autostrady, jej wóz zniknął już w oddali. Mocno przydepnął pedał gazu. Maserati było szybsze niż jego rolls. Docisnął gaz do dechy: 110... 130... 150. Wozu Cissy nie było już widać.

170... 180... ciągle ani śladu.

Dotarł na szczyt niewielkiego wzniesienia i dostrzegł maserati. Z tej odległości wyglądało jak zabawka. Cissy właśnie brała zakręt. Siła odśrodkowa ściągała wóz na jedną stronę, opony ledwie, ledwie trzymały się drogi. Samochód wpadł w poślizg i przeleciał w poprzek autostrady. Wreszcie, już za zakrętem, wyrównał. Nagle uderzył w krawężnik, jak wyrzucony z katapulty wyleciał w powietrze i pokoziołkował w pole.

David wyciągnął nieprzytomną Cissy tuż przed eksplozją paliwa.

Dopiero o szóstej rano naczelny chirurg opuścił salę operacyjną i zakomunikował:

– Będzie żyła.

Jill przyjechała nad jezioro o zachodzie słońca. Podjechała nad samą wodę. Wyłączyła silnik i zasłuchała się w szum wiatru. Nie wiem, kiedy czułam się tak szczęśliwa, pomyślała. I natychmiast się poprawiła. Ależ wiem. Tutaj. Z Davidem. Przypomniała sobie swoje doznania, gdy na niej leżał i słabość ją ogarniała z podniecenia. Znikło to, co zniszczyło ich szczęście, cokolwiek to było. Wiedziała o tym, gdy tylko ujrzała Davida. Nadal ją kochał. Czują to.

Patrzyła, jak krwistoczerwone słońce powoli znika w wodzie na horyzoncie. Zapadała ciemność. Pragnęła, by David się pospieszył.

Minęła godzina, potem dwie. Ochłodziło się. Siedziała bez ruchu w samochodzie. Obserwowała, jak wielki i blady niczym śmierć księżyc wypływa na niebiosa. Słuchała rozlegających się wokół niej nocnych dźwięków i powtarzała sobie: David już jedzie.

Przesiedziała tak całą noc. Dopiero rano, gdy wschodzące słońce zabarwiło horyzont, włączyła silnik i odjechała do Hollywood.

Rozdział XXIV

Jill siedziała przy toalecie i bacznie przyglądała się odbiciu swej twarzy w lustrze. Wypatrzywszy kilka ledwie dostrzegalnych zmarszczek wokół oczu, ściągnęła brwi. To nie fair, myślała. Mężczyzna może sobie na wszystko pozwolić. Może mieć siwe włosy, obwisły brzuch i twarz niczym mapa drogowa, a nikt nie przywiązuje do tego wagi. Niech no jednak kobieta ma choćby jedną zmarszczkę...

Zaczęła się malować. Bob Schiffer, czołowy charakteryzator w Hollywood, nauczył ją niejednego ze swoich sekretów. Nałożyła specjalny podkład teatralny zamiast pudru, którego kiedyś używała. Puder nadmiernie wysusza skórę, podczas gdy podkład utrzymuje jej wilgotność. Następnie skoncentrowała się na oczach. Poniżej dolnych powiek podkład był o trzy, cztery tony jaśniejszy, co pozwalało zamaskować sińce pod oczyma. W górne powieki wtarła nieco kolorowych cieni, aby pogłębić kolor oczu, i bardzo starannie przykleiła sztuczne rzęsy, tuż nad własnymi, wyginając ich końce pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Szczoteczką nałożyła nieco kleju „Duo” na własne rzęsy i skleiła je ze sztucznymi – przez co oczy zdawały się być większe. Dla lepszego efektu domalowała cieniutkie kreski na dolnych powiekach, pod rzęsami. Umalowała wargi, przypudrowała je i nałożyła kolejną warstwę szminki. Nałożyła róż na policzki i przypudrowała twarz, omijając okolice oczu, żeby puder nie uwydatnił zmarszczek. Odchyliła się do tyłu i krytycznie oceniła rezultat. Wyglądała prześlicznie.

Któregoś dnia będzie zmuszona uciec się do taśmy klejącej, ale z tym, dzięki Bogu, śmiało mogła jeszcze parę lat poczekać. Jill wiedziała, że starsze aktorki stosowały tę sztuczkę. Przylepiały do skóry, tuż pod linią włosów, małe kawałeczki skocza. Do taśmy przyklejone były nitki, którymi obwiązywały głowę i wszystko razem ukrywały pod włosami. Celem tych zabiegów było naciągnięcie zwiotczącej skóry i ukrycie zmarszczek, bez kosztów i bólu zabiegu chirurgicznego. Pewną wariacją tej sztuczki było podtrzymywanie opadającego biustu. Kawałek taśmy przyklejony jednym końcem do piersi, a drugim do ciała na wysokości mostka czasowo rozwiązywał problem. Piersi Jill nadal były jędrne.

Skończyła szczerkowanie miękkich, czarnych włosów, ostatni raz rzuciła okiem w lustro, zerknęła na zegarek i zrozumiała, że musi się pospieszyć.

Szła na rozmowę wstępną w sprawie swojego udziału w rewii Toby'ego Temple'a.

Rozdział XXV

Eddie Berrigan, szef obsady w rewii Toby'ego, był człowiekiem żonatym. Zawarł umowę z jednym ze znajomych, na mocy której korzystał z mieszkania tamtego trzy razy w tygodniu w godzinach popołudniowych. Jedno popołudnie było zarezerwowane dla stałej kochanki, dwa pozostałe przeznaczył dla, jak to sam określał, „starych talentów” i „nowych talentów”

Jill Castle była nowym talentem. Koledzy wielokrotnie opowiadali Eddie'emu, jak fantastyczną „podróż dookoła świata” można odbyć przy jej pomocy i jak lekką ma się potem głowę. Eddie aż rwał się, żeby ją wypróbować. Właśnie trafiła mu się rola w jakimś skeczu – akurat jak dla niej. Miała wyglądać seksownie, powiedzieć parę zdań i zniknąć.

Jill przeczytała swoją rolę na próbę i Eddie był zadowolony. Nie była, rzecz jasna, Kate Hepburn, ale też rola tego nie wymagała.

– Dostałaś ją – powiedział.

– Dziękuję ci, Eddie..

– Masz tu tekst. Próby zaczynają się jutro, punktualnie o dziesiątej. Masz się nie spóźnić i znać tekst na pamięć.

– Oczywiście. – Czekala.

– Eee... czy mógłbym cię zaprosić na kawę dziś po południu?

Skinęła głową.

– Mój przyjaciel ma mieszkanie przy Argyle dziewięćdziesiąt pięć trzynastie. Allerton.

– Wiem, gdzie to jest.

– Mieszkanie 6D. O trzeciej.

Próby przebiegały bez zakłóceń. Wszystko wskazywało na to, że spektakl będzie udany. Atrakcjami tygodnia miał być zespół taneczny z Argentyny, popularna grupa rockandrollowa, sztukmistrz, który sprawiał, że rozmaite przedmioty znikają, oraz znakomita wokalistka. Brakowało tylko Toby'ego Temple Jill spytała nawet Eddie'ego, czy przypadkiem Toby nie jest chory.

Eddie prychnął.

– Jest zdrowy jak koń. Hołota musi odrabiać pańszczyznę, a wielki Toby przyjedzie jak na bal. Objawi się w sobotę, gdy będziemy nagrywać, a potem zniknie.

Toby Temple pojawił się w studiu w sobotę rano niczym król. Z boku sceny Jill obserwowała jego wejście. Towarzyszyło mu trzech fagasów, Clifton Lawrence i jeszcze paru starych komików.

Przepełniło to Jill pogardą. Wiele słyszała o Tobym Temple'u. Był zarozumiałcem do kwadratu, który, jak wieść niosła, chepił się tym, że spał ze wszystkimi ładniejszymi aktorkami w Hollywood. Żadna mu nigdy nie odmówiła. O, tak, Jill wiedziała, co sądzić o Wielkim Tobym Temple'u.

Reżyser, niski nerwowy mężczyzna, nazwiskiem Harry Durkin, przedstawił gwiazdorowi cały zespół. Toby z większością już kiedyś pracował. Hollywood jest małym grajdołem, gdzie szybko się wszystkich poznaje. Tylko Jill Castle nie spotkał nigdy przedtem. Ślicznie wyglądała w beżowej, lnianej sukience, chłodno i elegancko.

– Co robisz, skarbie? – spytał.

– Gram w skeczu o astronautach, panie Temple.

Posłał jej ciepły uśmiech i rzekł:

– Przyjaciele mówią mi po imieniu.

Zabrano się do pracy. Próba przebiegała nadspodziewanie dobrze i Durkin szybko zorientował się dlaczego. Toby popisywał się przed Jill. Przeleciał już wszystkie dziewczyny z zespołu, tylko Jill miała dlań urok nowości.

Skecz z jej udziałem stał się szczytowym numerem rewii.

Toby dołożył jej kilka linijek tekstu i dorzucił zabawną scenkę. Po próbie zwrócił się do niej:

– Co byś powiedziała na drinka w mojej garderobie?

– Dziękuję, nie piję – odparła, uśmiechnęła się i odeszła.

Miała umówioną randkę z dyrektorem do spraw obsady. To było o wiele ważniejsze. Toby był na jeden raz, tamten mógł zapewnić jej pracę na stałe.

Gdy wieczorem nagrano rewię, okazała się ogromnym sukcesem, jednym z większych w karierze gwiazdora.

– Kolejne zwycięstwo – powiedział Clifton. – Ten skecz o astronautach był wyśmienity.

Toby uśmiechnął się.

– Taa. Podoba mi się ta mała. Ma w sobie coś.

– Jest ładna – rzucił Clifton.

Co tydzień była inna dziewczyna. Każda miała coś w sobie. Toby brał ją do łóżka i przestawał o niej mówić.

– Załatw, żeby poszła z nami na kolację, Cliff.

To nie była prośba. To był rozkaz. Jeszcze kilka lat temu Lawrence poradziłby Toby'emu, żeby sam to sobie załatwił. Lecz teraz jego polecenia były wykonywane bez szemrania. Został królem, to było jego królestwo. Ci, którzy nie chcieli iść w odstawkę, spełniali życzenia aktora.

– Oczywiście, Toby – zapewnił Clifton. – Załatwię to.

Lawrence udał się korytarzem do garderoby przeznaczonej dla tancerek i aktorek. Zapukał i wszedł. W pokoju było kilkanaście dziewcząt roznegliżowanych w różnym stopniu. Powitały go wesołymi okrzykami, poza tym nie zwracały na niego uwagi. Jill była już rozmalowana; wkładała właśnie swoje „cywilne” ubranie. Lawrence podszedł do niej.

– Byłaś bardzo dobra – rzekł.

Bez zainteresowania spojrzała na jego odbicie w lustrze.

– Dzięki.

Był czas, że oddałaby wszystko, aby znaleźć się tak blisko Cliftona Lawrence'a. Mógł otworzyć przed nią wszystkie drzwi w Hollywood. Dziś, jak powszechnie wiadomo, był marionetką Toby'ego Temple'a.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Pan Temple zaprasza cię na kolację.

Jill końcami palców poprawiła fryzurę i odparła:

– Proszę mu powiedzieć, że jestem zmęczona. Idę spać. I wyszła.

Tego wieczoru kolacja przebiegła w nader smętnej atmosferze. Toby, Clifton Lawrence i Durkin siedzieli w LaRue's. Durkin zaproponował, by zaprosić parę tancerek rewiowych, ale Toby ze wściekłością odrzucił ten projekt.

– Czy mogę przyjąć zamówienie, panie Temple? – spytał kelner.

– Taa – rzucił Toby i gestem wskazując Lawrence'a, dodał:

– Przynieś temu idiocie ozór na medal.

Clifton roześmiał się wraz z innymi, udając, że przyjmuje słowa komika jak zwykły, niewinny żart. Toby warknął:

– Prosiłem cię o najprostszą rzecz pod słońcem – o zaproszenie dziewczyny na obiad. Nikt ci nie kazał jej płoszyć.

– Była zmęczona – wyjaśnił Lawrence. – Powiedziała...

– Dziewczyny nigdy nie bywają zbyt zmęczone, aby zjeść ze mną obiad. Musiałeś jej powiedzieć coś takiego, że się zmyła. – Przy ostatnich słowach podniósł głos. Towarzystwo przy sąsiednim stoliku skierowało wzrok w ich stronę. Toby posłał im chłopięcy uśmiech i oznajmił: – To pożegnalny obiad, proszę państwa. – Wskazał Cliftona. – Podarował swój mózg ogrodowi zoologicznemu.

Przy kilku stolikach rozległy się śmiechy. Lawrence zmusił się do uśmiechu, lecz pod stołem jego dłonie zacisnęły się w pięści.

– A chcecie wiedzieć, jaki z niego dureń? – spytał Toby na pół restauracji. – W Polsce opowiadają sobie o nim dowcipy.

Śmiechu było coraz więcej. Lawrence miał ochotę wstać i wyjść, lecz nie śmiał. Durkina krępowała ta sytuacja, ale przezornie się nie wtrącał. Toby skupił na sobie uwagę wielu gości. Ponownie podniósł głos, obdarzając wszystkich czarującym uśmiechem.

– Głupota Lawrence'a, tego tutaj, jest ze wszech miar zrozumiała. Gdy się urodził, rodzice stoczyli nad nim walkę. Jego matka przysięgała, że to nie jest jej dziecko.

Wreszcie wieczór się skończył. Nazajutrz anegdota z Lawrence'em w roli głównej obiegła całe miasto.

Clifton spędził bezsenną noc. Zapytywał sam siebie, dlaczego pozwolił tak się upokorzyć. Odpowiedź była prosta: pieniądze. Dochody Toby'ego przynosiły mu ponad ćwierć miliona dolarów rocznie. Żył na szerokiej stopie, z rozmachem, nie miał odłożonego ani centa. Od momentu, gdy pozbył się innych klientów, Toby stał mu się niezbędny. Na tym polegał problem. Toby o tym wiedział i znęcanie się nad agentem stało się jego ulubionym sportem. Clifton postanowił, że dołoży starań, aby się z tego wyrwać, zanim będzie za późno.

Zdawał sobie jednak sprawę, że już jest za późno.

Został wmanewrowany w sytuację bez wyjścia, do czego przyczyniły się jego uczucia: naprawdę przywiązał się do tego faceta. Obserwował, jak Toby niszczy innych – kobiety, które go pokochały, komików, którzy ośmielili się z nim rywalizować, recenzentów, którzy mieli czelność go skrytykować. Lecz wtedy chodziło o innych. Clifton nie przypuszczał, że Toby kiedykolwiek zwróci się przeciw niemu. Byli sobie przecież tacy bliscy. Toby tyle mu zawdzięczał.

Bał się myśleć, co przyniesie przyszłość.

W normalnych warunkach Toby nie spojrzalby na Jill Castle po raz drugi, lecz nie był przyzwyczajony do odmowy. Odrzucenie zaproszenia na kolację przez Jill podziałało nań jak

czerwona płachta na byka. Zaprosił ją powtórnie, a gdy odmówiła, wzruszył ramionami jakby z politowaniem dla głupiej gry, którą uprawiała. Postanowił zapomnieć o niej. Ironia losu polegała na tym, że nie była to gra. Jill nigdy w życiu nie dałaby rady oszukać Toby'ego, zbyt dobrze znał kobiety. Nie, Toby czuł, że Jill rzeczywiście nie chce się z nim umówić i na tę myśl wątroba się w nim przewracała. Nie był w stanie o niej zapomnieć.

Od niechcenia wspomniawszy Eddie'emu Berriganowi, że dobrze by było wziąć Jill Castle do kolejnej rewii. Na propozycję odpowiedziała, że akurat kręci epizod w westernie. Gdy Eddie powtórzył jej słowa, Toby wpadł w furję.

– Powiedz jej, żeby z tamtego zrezygnowała, bez względu na to, co to jest. Zapłacimy jej więcej. Na litość boską, przecież to najlepsza rewia na antenie. Co ta głupia dziwka sobie myśli?

Eddie ponownie zatelefonował do Jill i opowiedział wszystko.

– Jemu naprawdę zależy, żebyś znowu zagrała w tej rewii, Jill. Co ty na to?

– Przykro mi – odrzekła. – Kręcę teraz dla Uniwersalu. Nie mogę się wycofać.

Nawet nie próbowała. Żadna aktorka nie zajdzie daleko w Hollywood, jeśli wypnie się na wytwórnię. Toby Temple nie znaczył dla niej nic, najwyżej jeden dzień pracy. Następnego wieczoru Wielki Człowiek zadzwonił osobiście. Jego głos brzmiał ciepło i uwodzicielsko.

– Jill? Mówi twój dawny współpartner, Toby.

– Dobry wieczór, panie Temple.

– Ależ, co znowu! Co miał znaczyć ten „pan”? – Nie było odpowiedzi. – Lubisz baseball? Mam dwa miejsca...

– Nie, nie lubię.

– Ja też nie – roześmiał się. – Chciałem cię wypróbować.

Posłuchaj, czy pójdziesz ze mną na obiad w sobotę wieczór?

Ukradłem szefa kuchni z Maxima w Paryżu. On...

– Przykro mi. Jestem już umówiona, panie Temple. – W jej głosie nie pojawił się nawet cień zainteresowania.

Toby poczuł, że jego ręka zaciska się na słuchawce.

– Kiedy masz czas?

– Jestem ciężko pracującą dziewczyną. Niewiele wychodzę. Ale dziękuję za zaproszenie.

Na linii zapadła cisza. Ta suka odwiesiła słuchawkę – pierdolona aktoreczka ośmieliła się odwiesić słuchawkę! Toby nigdy jeszcze nie spotkał kobiety, która nie byłaby gotowa oddać roku życia za jedną noc z nim – a ta głupia cipa odprawiła go! Ogarnęła go wściekłość, którą wyładowywał na całym otoczeniu. Wszystko było źle: scenariusz do kitu, muzyka okropna, aktorzy do niczego, a reżyser był skończonym idiotą. Wezwał Eddie'ego Berrigana, odpowiedzialnego za obsadę w rewii, do swojej garderoby.

– Gadaj, co wiesz o Jill Castle – zażądał Toby.

– Nic – bez namysłu odparł Eddie. Nie był głupcem. Tak jak i inni orientował się, co jest grane. I bez względu na to, w którą stronę konflikt miał się rozwinąć, nie życzył sobie znaleźć się w jego centrum.

– Puszczaj się?

– Nie, proszę pana – zaprzeczył stanowczo. – Wiedziałbym o tym.

– Chcę, żebyś ją sprawdził – rozkazał Toby. – Dowiedz się, czy ma przyjaciela, gdzie bywa, co robi – wiesz, o co mi chodzi.

– Tak, proszę pana – odparł Eddie z powagą.

O trzeciej w nocy obudził go telefon przy łóżku.

– Czego się dowiedziałeś? – spytał głos.

Eddie usiadł na łóżku, zamrugał, żeby wybudzić się ze snu.

– Kto, u diabła.. – Uświadomił sobie nagle, kto był na drugim końcu linii. – Sprawdziłem – rzucił pospiesznie. Zdrowiusieńka.

– Nie pytałem cię, kurwa, ojej świadectwo zdrowia – warknął Toby. – Z kim się rżnie?

– Z nikim, proszę pana. Przepytałem znajomków na mieście. Lubią ją i biorą do filmu, bo to dobra aktorka. – Mówił te raz szybciej, chcąc przekonać mężczyznę po drugiej stronie.

Gdyby tamten dowiedział się, że Jill spała z nim – przedłożyła takiego Eddie’ego nad samego Toby’ego Temple’a! – mógłby się pożegnać z pracą w tym mieście. Rozmawiał już z innymi, wszyscy byli w tej samej sytuacji, co on. Postanowiono konspiracyjnie milczeć, nikt nie chciał mieć wroga w Tobym Temple’u. – Ona nie sypia z nikim. Głos rozmówcy zmiękł.

– Rozumiem. Wygląda na to, że to po prostu zwariowany dzieciak, co?

– Myślę, że tak – odparł Eddie z ulgą.

– Hej! Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

– Nie, nie. Wszystko w porządku, panie Temple.

Eddie długo jeszcze leżał bezsennie – dumiał, co się z nim stanie, jeśli prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw.

Bowiem Hollywood było miastem Toby’ego Temple’a.

Toby i Clifton Lawrence jedli lunch w Hillcrest Country Club. Hillcrest założono, ponieważ większość podmiejskich klubów sportowych wokół Los Angeles nie wpuszczała Żydów. Przestrzegano tego bardzo skrupulatnie. Dziesięcioletnią córkę Groucho Marxa, Melinę, wyproszono któregoś dnia z basenu pływackiego w klubie, do którego zaprosili ją jej aryjscy przyjaciele. Gdy Groucho dowiedział się o tym, zadzwonił do kierownika klubu.

– Proszę posłuchać – moja córka jest tylko pół-Żydówką.

Może pozwoli jej pan wejść do wody tylko do pasa.

Takie i podobne wydarzenia sprowokowały niektórych wpływowych Żydów – zwolenników golfa, tenisa, kanasty i zwalczania antysemityzmu – do założenia własnego klubu. Udziały sprzedawano wyłącznie Żydom. Hillcrest zbudowano w prześlicznym parku, kilka kilometrów od centrum Beverly Hills. Szybko zyskał dobrą markę dzięki najlepszemu, jakoby, bufetowi i najciekawszym, najsilniej inspirującym konwersacjom w całym mieście. Aryjczycy zaapelowali o prawo wstępu. W geście tolerancji zarząd przyjął niektórych nie-Żydów w poczet członków.

Toby najchętniej siadywał przy stole satyryków, przy którym zbierali się najdowcipniejsi z Hollywood, by pokpić z siebie nawzajem. Dzisiaj jednak miał co innego na głowie. Wybrał stolik w samym rogu.

– Potrzebuję twojej rady, Cliff – powiedział.

Mały impresario spojrział na niego zdumiony. Od dawna już Toby nie prosił go o rady.

– Oczywiście, drogi chłopcze.

– Chodzi o tę dziewczynę – zaczął Toby, a Clifton natychmiast zorientował się, co będzie dalej. Pół miasta znało już tę historię. Stała się dowcipem roku. Jeden z felietonistów opisał ją nawet, oczywiście bez wymieniania nazwisk. Toby przeczytał i skomentował:

– Ciekawe, kim jest ten chuj.

Wielkiego Casanovę opętała miłość do dziewczyny, z którą spało pół miasta, a pikanterii historyjce dodawał fakt, że dziewczyna go odpała. Tę sprawę można było załatwić w jeden tylko sposób.

– Jill Castle – ciągnął Toby. – Pamiętasz ją? Tę małą z rewii?

– A, tak, bardzo atrakcyjna dziewczyna. W czym problem?

– Niech mnie diabli, jeśli wiem – przyznał Toby. – Nie lubi mnie czy co. Spławia mnie, ilekroć próbuję się z nią umówić.

Czuję się trochę jak parobek do przerzucania gnoju.

Clifton podjął ryzyko.

– To przestań ją prosić.

– Głupia sprawa, stary. Nie mogę. Tak między nami i moim fiutem – na żadną dupę nie miałem tak wielkiej ochoty, jak na nią. Nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Wiem, że to wariactwo. Z niejednego pieca chleb jadłeś, Cliff. Powiedz, co ja mam robić?

Przez krótki moment kusiło Lawrence'a, by nie bacząc na konsekwencje, powiedzieć Toby'emu prawdę: że ta jego wyśniona dziewczyna szła do łóżka z każdym, kto jej zapewnił choć jeden dzień pracy na planie. Nie mógł jednak tego zrobić, jeśli chciał zachować istniejący układ.

– Mam pomysł – podsunął Clifton. – Czy ona serio traktuje swoją pracę?

– Tak. Jest ambitna.

– W porządku. Zatem wystosuj zaproszenie, które będzie musiała przyjąć.

– Co masz na myśli?

– Wydaj u siebie przyjęcie.

– Przecież ci powiedziałem, że ona nie...

– Daj mi skończyć. Zaproś dyrektorów wytwórni, producentów, reżyserów – osoby, od których dużo zależy. Jeśli ona rzeczywiście chce być aktorką, z pewnością uzna, że jej się opłaci zawrzeć takie znajomości.

Toby wykręcił numer.

– Cześć, Jill.

– A kto mówi? – spytała.

Wszyscy w kraju rozpoznawali jego głos, a ta pyta, kto mówi!

– Toby. Toby Temple.

– Och. – Ten dźwięk mógł znaczyć wszystko i nic.

– Posłuchaj, Jill. Wydaję w przyszłą środę, wieczorem, u siebie w domu niewielkie przyjęcie i... – słysząc, że ma za miar mu odmówić, pospiesznie ciągnął dalej: – Zaprosiłem Sama Wintersa, szefa Pan-Pacific, i kilku innych dyrektorów wytwórni, paru producentów i reżyserów. Pomyślałem, że powinnaś się z nimi spotkać. Znajdziesz trochę czasu?

Po chwili milczenia Jill odezwała się;

– Środa wieczór? Tak, mam czas. Dziękuję, Toby.

Na tarasie grała orkiestra. Kelnerzy w liberiach roznosili tace z zakąskami i szampanem.

Gdy Jill zjawiała się spóźniona o czterdzieści pięć minut, Toby pospieszył do drzwi, by ją powitać. Miała na sobie prostą sukienkę z białego jedwabiu. Jej czarne włosy miękko opadały na ramiona. Wyglądała porywająco. Nie mógł oczu od niej oderwać. Jill wiedziała, że wygląda pięknie. Bardzo starannie umyła i ułożyła włosy, wiele czasu poświęciła makijażowi.

– Jest tu mnóstwo ludzi, których powinnaś poznać.

Toby ujął ją pod ramię i poprzez wielki hol recepcyjny powiódł do salonu. Jill przystanąła w progu i przyjrzała się gościom. Znała niemal wszystkie twarze. Z ekranu i z okładek czasopism takich jak Time, Life, Newsweek czy Paris Match. Stanowiły prawdziwy Hollywood. To ci ludzie tworzyli filmy. Jill setki razy wyobrażała sobie ten moment – jest wśród nich, rozmawia z nimi. Teraz, gdy marzenie się ziściło, było jej trudno uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Toby wręczył jej kieliszek szampana i podprowadził do mężczyzny otoczonego grupą ludzi.

– Sam, chciałbym, żebyś poznał Jill Castle.

Winters odwrócił się.

– Cześć, Jill Castle – powiedział uprzejmie.

– Jill, to jest Sam Winters, wódz Czerwonoskórych w PanPacific Studios.

– Wiem, kim jest pan Winters – odrzekła.

– Jill jest aktorką, Sam. I to cholernie dobrze. Mógłbyś skorzystać z jej talentu i podnieść poziom swojej wytwórni.

– Będę to miał na uwadze – grzecznie odparł Sam.

Toby chwycił dziewczynę za rękę.

– Chodź, złotko, chcę cię wszystkim przedstawić.

Nim wieczór upłynął, Jill poznała dyrektorów trzech wytwórni, kilku liczących się producentów, trzech reżyserów, paru scenarzystów, kilku dziennikarzy z prasy i telewizji i kilkanaście gwiazd. Podczas obiadu siedziała po prawej ręce Toby'ego. Słuchała rozmów i, po raz pierwszy w życiu, rozkoszowała się uczuciem bycia Wewnątrz.

– ...kłopot z wielkimi eposami polega na tym, że gdy taki robi klapę, wykańcza całą wytwórnię. Fox wisi na włosku wszystko teraz zależy od Cleopatry.

– widziałeś ostatni obraz Billy'ego Wildera? Rewelacyjny!

– Hmm? Woląłem go, gdy współpracował z Brackettern.

Ten dopiero ma klasę.

– Billy ma talent.

– ...więc posłałem Peckowi w zeszłym tygodniu scena riusz, szalenie mu się spodobał. Powiedział, że da mi odpowiedź w ciągu dwóch dni.

– dostałem zaproszenie, żeby poznać nowego guru, Krishi Pramananadę. I, mój drogi, okazało się, że już go kiedyś po znałem. Byłem na jego bar miewa.

– problem z ustaleniem budżetu na dwa polega na tym, że zanim wszystko zostanie zatwierdzone, inflacja i te przekłete związki windują go na trzy do czterech.

Miliony, myślała podniecona Jill. Trzy do czterech milionów. Przypomniały jej się rozmowy za centa w Schwab's Drugstore, gdzie Kombatanci chciwie wymieniali się okruchami informacji dotyczących działalności wytwórni. No, osoby zebrane tego wieczoru przy stole były najprawdziwszymi kombatantami; Hollywood bez nich nie istniałoby.

Ci sami ludzie bronili jej wstępu do filmu, nie dali cienia szansy. Każdy z obecnych przy tym stole mógł jej pomóc, mógł zmienić jej życie, ale nikt nie poświęcił jej nawet pięciu minut. Popatrzyła na producenta, który piął się w górę, kręcąc wielki film muzyczny. Odmówił jej nawet rozmowy wstępnej.

Na przeciwległym końcu stołu słynny reżyser komediowy był pochłonięty ożywioną rozmową z aktorem kreującym główną rolę w jego najnowszym filmie. Nie chciał jej widzieć.

Sam Winters rozmawiał z szefem innej wytwórni. Jill posłała mu telegram z prośbą, by obejrzał jej występ w telewizji. Nawet nie zadał sobie trudu na odpowiedź.

Zapłacą jej za lekceważenie i obraźliwe traktowanie. I ci, i wszyscy inni w tym mieście. Jak na razie nic nie znaczyła dla osób przy stole, ale będzie. O, tak. Któregoś dnia będzie.

Jedzenie było znakomite, lecz Jill, zbyt zajęta swymi myślami, nie zauważyła, co je. Gdy obiad się skończył, Toby wstał i rzekł:

– Hej! Pospieszmy się lepiej, bo zaczną bez nas.

Trzymając Jill pod ramię, zaprowadził ją do wielkiej sali projekcyjnej, gdzie mieli oglądać film.

Pokój urządzono tak, że sześćdziesiąt osób mogło wygodnie obserwować ekran, siedząc na kanapach i fotelach. Otwarta szafka ze słodyczami stała tuż przy wejściu, maszyna do prażenia kukurydzy znajdowała się po drugiej stronie pomieszczenia.

Toby zajął miejsce przy Jill. Zdawała sobie sprawę, że więcej patrzy na nią niż na ekran. Gdy film się skończył i zapalono światła, podano kawę i tort. Pół godziny później towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Większość gości musiała rano stawić się w wytwórni.

Toby stał przy drzwiach, żegnając Sama Wintersa, gdy podeszła Jill; była już w płaszczu.

– Dokąd idziesz? – spytał. – Zamierzałem odwiedzić cię do domu.

– Mam tu swój samochód – słodko odparła Jill. – Dziękuję za przemiły wieczór – dorzuciła i wyszła.

Toby z niedowierzaniem obserwował jej odjazd. Poczynił ekscytujące plany na resztę wieczoru. Zamierzał zabrać dziewczynę na górę, do sypialni; wybrał nawet taśmy, których mieli słuchać!

Każda kobieta z obecnych dzisiaj ochoczo i z wdzięcznością wskoczyłaby mi do łóżka, myślał Toby. I były to gwiazdy, nie jakaś zakichana aktoreczka. Jill Castle była za głupia, by właściwie ocenić, co odrzuciła. Jeśli idzie o niego, sprawa jest już zamknięta. Jest pojętnym uczniem.

Nigdy więcej nie odezwie się do niej.

Toby zadzwonił do Jill nazajutrz o dziewiątej rano. Usłyszał nagrany na taśmie instrukcję:

– Mówi Jill Castle. Przykro mi, ale nie ma mnie w domu.

Proszę zostawić nazwisko i numer telefonu, oddzwonię po powrocie. Proszę czekać na sygnał. Dziękuję. – Odezwał się przenikliwy dźwięk.

Ścisnął przez chwilę słuchawkę w rękę, po czym cisnął ją na widelki bez pozostawienia wiadomości. Niech go cholera, jeśli będzie rozmawiał z automatyczną sekretarką. Po chwili ponownie wykręcił numer. Wysłuchał nagrania jeszcze raz i odezwał się:

– Masz najbardziej czarujący głos w całym mieście. Powinnaś go dobrze schować. Zwykle nie dzwonię więcej do dziewczyn, które uciekają po obiedzie, lecz w twoim przypadku po stanowiłem zrobić wyjątek. Co robisz wie...

Zapadła głucha cisza. Mówił za długo i ta przeklęta taśma się skończyła. Zamarł, nie wiedząc, co robić, poczuł się jak głupiec. Do szału doprowadzała go konieczność ponownego dzwonienia, lecz wykręcił numer po raz trzeci i powiedział:

– Krasnoludki mi przerwały. Czy pójdziesz dziś na obiad?

Czekam na odpowiedź. – Zostawił swój numer i odwiesił słuchawkę.

Toby przez cały dzień niecierpliwie wyczekiwał na telefon, lecz Jill nie odezwała się. O siódmej pomyślał: Do diabła z tobą. Zmarnowałaś swoją ostatnią szansę, dziecinko. To był ostatni raz. Wziął swój notes z telefonami i zaczął przeglądać. Nie zainteresował go nikt.

Rozdział XXVI

To była najwspanialsza rola w życiu Jill.

Nie wiedziała, dlaczego Toby'emu tak bardzo na niej zależało, skoro mógł mieć dowolną dziewczynę w Hollywood. Ewentualna przyczyna nie miała większego znaczenia. Istotne było, że mu zależało. Całymi dniami Jill nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak o przyjęciu i o tym, że wszyscy goście – tacy wpływowi ludzie – nadszkwali Toby'emu. Uczyniliby wszystko dla niego. Trzeba więc wymyślić jakiś sposób, aby on uczynił wszystko dla niej. Wiedziała, że musi być bardzo sprytna. Fama głosiła, że gdy Toby już weźmie dziewczynę do łóżka, traci dla niej wszelkie zainteresowanie. Bawiła go sama pogoń, wyzwanie. Jill wiele czasu spędziła, myśląc o Tobym i rozważając, jak najlepiej rozegrać tę partię.

Wydzwaniał codziennie, lecz dopiero po tygodniu zgodziła się przyjąć jego zaproszenie na obiad. Wpadł w taką euforię, że wywołał komentarze współwykonawców i obsługi technicznej.

– Gdyby istniało takie zwierzę jak miłość – wyznał Toby Cliftonowi – powiedziałbym, że się zakochałem. Staje mi, ile razy pomyślę o Jill. – Uśmiechnął się i dodał: – A jak już stanie, stary, to jakbym wystawił ogromny słup ogłoszeniowy na Hollywood Boulevard.

W wieczór ich pierwszej randki Toby zabrał Jill spod jej domu i rzekł:

– Mamy stolik u Chasena. – Był pewien, że sprawi jej tym cudowną niespodziankę.

– Och? – w głosie dziewczyny zabrzmiała nuta rozczarowania.

Zamrugął.

– Wolalabyś pójść gdzie indziej? – Był, co prawda, sobotni wieczór, lecz wiedział, że dostanie miejsce wszędzie: Perrino, Ambassador, Derby. – Powiedz, gdzie.

Jill zawahała się, w końcu rzekła:

– Będiesz się śmiać.

– Nie, nie będę.

– Do Tommy'ego.

Jeden z Maców masował właśnie Toby'ego nad basenem, gdy zajrzał Lawrence.

– Nigdy w to nie uwierzysz – entuzjasmował się Toby. – Dwadzieścia minut staliśmy w kolejce do kiosku z hamburgerami.

Czy wiesz, gdzie jest ten cholerny Tommy? Na przedmieściach Los Angeles. Chodzą tam tylko nielegalni imigranci. Ona ma fioła. Gotów jestem postawić ekstra obiad z francuskim szampanem, wydać na nią sto dolców, a tu wieczór mnie kosztuje dwa dolary i czterdzieści centów. Chciałem ją zabrać potem do Pipa. A wiesz, co robiliśmy? Spacerowaliśmy po plaży w Santa Monica. W butach miałem pełno piachu. Nikt nie chodzi po plaży po nocy. Można w łeb dostać. – Pokręcił głową z podziwem. – Jill Castle. Wierzysz jej?

– Nie – sucho odparł Lawrence.

– Nie chciała wstąpić do mnie na drinka przed snem, więc wymyśliłem sobie, że równie dobrze możemy się przespać u niej, no nie?

– Jasne.

– Otóż nie. Nie wpuściła mnie za próg. Pocałowała w policzek i musiałem wracać do domu. Sam. Co za wspaniałe wyjście w miasto dla Toby’ego—supergwiazdy!

– Zamierzasz spotkać się z nią znowu?

– Cierpisz na demencję? Możesz się założyć o swój słodki tyłek, że tak!

Od tej chwili spędzali razem niemal każdy wieczór. Gdy Jill mówiła, że nie może się z nim zobaczyć, bo jest zajęta lub musi wcześniej rano wstać, Toby wpadał w rozpacz. Dzwonił do niej po kilkanaście razy dziennie.

Zabierał ją do najwytworniejszych restauracji i najbardziej ekskluzywnych prywatnych klubów w mieście. Z kolei ona prowadziła go na stare trakty spacerowe w Santa Monica, do staroświeckich gospod i francuskich restauracyjek typu Taix czy Papa DeCarlos oraz innych leżących na uboczu miejsc, z którymi zapoznają się początkujące aktorki bez pieniędzy. Toby’emu było obojętne, dokąd chodził, byleby Jill była przy nim.

Sprawiła, że po raz pierwszy w życiu opuściło go poczucie samotności.

Toby niemal bał się pójść z Jill do łóżka – obawiał się, że zniknie wówczas cała magia. Jednocześnie pragnął jej silniej niż jakiegokolwiek innej kobiety w życiu. Pewnego razu, gdy cmoknęła go na dobranoc, Toby sięgnął między jej nogi.

– Boże, Jill, zwariuję, jeśli nie będę cię miał.

Odepchnęła go i zimno odparła:

– Jeśli tylko o to ci chodzi, możesz to kupić za dwadzieścia dolarów gdziekolwiek na mieście. – Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Oparła się o nie z drugiej strony cała drżąca.

Ogarniał ją lęk, że posunęła się za daleko. Martwiła się, leżąc bezsennie całą noc.

Następnego dnia Toby przysłał jej bransoletkę z diamentów, wiedziała więc, że wszystko w porządku. Przesyłkę zwróciła wraz ze starannie przemyślaną notką: „Dziękuję w każdym razie. Dzięki tobie czuję się bardzo piękną kobietą”.

– Kosztowała trzy tysiące – rzekł Toby z dumą – a ona to odesłała! – Niedowierzająco potrząsnął głową. – Co sądzisz o takiej dziewczynie?

Clifton mógłby powiedzieć dokładnie, co o niej myśli, lecz rzucił tylko:

– Z pewnością jest niezwykła, drogi chłopcze.

– Niezwykła! – wykrzyknął Toby. – Każda dupa w tym mieście zagarnia wszystko, na czym tylko zdoła położyć chciwe łapki. Jill jest pierwsza, która nie dba ani trochę o rzeczy materialne. Masz mi za złe, że zwariowałem na jej punkcie?

– Nie – odparł Clifton. Zaczął się jednak martwić. Wiedział o niej wszystko i zastanawiał się, czy nie należało wcześniej wyjawić Toby’emu prawdy.

– Nie będę protestował, jeśli zajmiesz się jej interesami. Założę się, że zostanie wielką aktorką.

– Dzięki, Toby, ale nie. – Clifton odmówił grzecznie, lecz stanowczo. – Starczy mi, że mam jedną gwiazdę na głowie. Roześmiał się.

Tego wieczoru Toby powtórzył Jill uwagę agenta.

Po nieudanej próbie zdobycia dziewczyny, Toby starannie unikał jakichkolwiek wzmianek o wspólnym pójściu do łóżka. W głębi duszy dumny był z Jill za tę odmowę. Inne dziewczyny traktował jak ścierki do podłogi, lecz nie ją. Gdy Toby uczynił coś, co, jej zdaniem, było nie na miejscu, mówiła mu o tym. Pewnego wieczoru Toby wziął na język faceta, który naprzykrzał mu się o autograf. Jill powiedziała później:

– Twój sarkazm na scenie jest bardzo śmieszny, Toby, lecz tego faceta boleśnie dotknąłeś.

Toby zerwał się i poszedł go przeprosić.

Napomknęła, że nie służą mu takie ilości alkoholu, jakie wypija. Toby natychmiast zaczął mniej pić. Zmienił krawca, gdy mimochodem skrytykowała jego ubrania. Pozwalał jej na uwagi, jakich nie tolerowałby u nikogo innego. Nikt nigdy nie ośmielił się rządzić nim albo krytykować go.

Z wyjątkiem, oczywiście, matki.

Jill odmawiała przyjmowania pieniędzy czy kosztownych prezentów. Toby zdawał sobie sprawę, że nie była zamożna; jej dumna postawa budziła w nim tym większe uznanie. Pewnego wieczoru, gdy szykowała się do wyjścia, a Toby czekał na nią u niej w salonie, wzrok jego padł na plik rachunków. Wsunął je do kieszeni i następnego dnia polecił Cliftonowi uregulować je.

Poczuł się jak zwycięzca. Ale tego było mało. Chciał uczynić dla Jill coś wielkiego, coś naprawdę ważnego.

I nagle przyszło mu do głowy, co by to mogło być.

– Sam – mam zamiar wyświadczyć ci naprawdę wielką przysługę!

Wystrzegaj się gwiazd składających ci dary, pomyślał Winters z przekąsem.

– Wariowałaś, żeby znaleźć dziewczynę do filmu Kellera, prawda? – spytał Toby. – No więc, mam taką dla ciebie.

– Ktoś, kogo znam? – dopytywał się Sam.

– Spotkałeś ją u mnie. Jill Castle.

Sam pamiętał Jill. Piękna twarz i figura, czarne włosy. Za stara do roli nastolatki w filmie Kellera. Lecz jeśli Toby'emu Temple'owi zależało, żeby przeszła przez próbne zdjęcia do tej roli, Sam gotów był się zgodzić.

– Niech przyjdzie do mnie dziś po południu – odparł.

Winters dopilnował, żeby próbne zdjęcia Jill wykonano starannie. Dostała jednego z najlepszych operatorów, a Keller osobiście kierował próbą.

Sam obejrzał te ujęcia następnego dnia. Tak jak przypuszczał, była zbyt dojrzała do roli młodzieńczej dziewczyny. Poza tym nie wypadła źle. Brakowało jej jednak charyzmy, magii, która powinna bić z ekranu.

Zadzwoił do Toby'ego Temple'a.

– Obejrzałem ją w próbnym ujęciu dziś rano. Jest fotogeniczna i dobrze podaje tekst, lecz nigdy nie zostanie wielką damą filmu. Zarobi na wygodne życie, grając role drugoplanowe, lecz jeśli marzy o zostaniu gwiazdą, to lepiej niech zmieni za wód.

Toby podjechał po Jill, aby ją zabrać na obiad wydawany na cześć angielskiego reżysera, który właśnie przybył do Hollywood. Dziewczyna bardzo się na to cieszyła.

Otworzyła Toby'emu drzwi. Ledwie przekroczył próg, zorientowała się, że coś wisi w powietrzu.

– Słyszałeś coś o moich próbnym zdjęciach? – spytała.

Niechętnie skinął głową.

– Rozmawiałem z Wintersem – rzekł i przytoczył opinię tam tego, starając się złagodzić cios.

Jill słuchała bez słowa. Była pewna swego, gdyż tak dobrze się czuła w tej roli. Nie wiadomo skąd pojawiło się wspomnienie złotego pucharu w oknie wystawowym. Mała dziewczynka cierpiała z powodu pragnienia i doznanego rozczarowania; teraz ogarnęła ją taka sama rozpacz jak wówczas.

– Posłuchaj, kochanie, nie martw się tak bardzo. Winters sam nie wie, co mówi.

Wie! Musi wiedzieć! Nigdy nie osiągnie sukcesu. Jej cierpienia, ból i nadzieje okazały się daremne. Matka musiała mieć rację i mściwy Bóg karał ją, sama nie wiedziała, za co. Niemal słyszała owego kaznodzieję, który krzyczał: Widzicie tę dziewczynkę? Będzie się smażyć za grzechy w ogniu piekielnym, jeśli się nie ugnie przed Bogiem i nie pokaja. Przybyła do Hollywood pełna życzliwości i marzeń, a to miasto ją zniszczyło.

Przytłaczał ją bezbrzeżny smutek; zorientowała się, że szłocha, dopiero wtedy, gdy Toby otoczył ją ramieniem.

– Cii! Już dobrze – powiedział, a jego łagodność pobudziła ją do jeszcze gwałtowniejszego płaczu.

Trzymał ją w ramionach, a ona opowiadała mu o śmierci ojca w momencie jej przyjścia na świat, o złotym pucharze, o Świętym Zgromadzeniu, o bólach głowy i nocach wypełnionych przerażeniem, gdy czekała na śmierć z rąk Boga. Opowiadała o nie kończących się, jałowych pracach, które podejmowała, próbując zostać aktorką, i o swoich porażkach. Jakiś głęboki instynkt ostrzegał ją, by nie wspominała mężczyzn w swoim życiu. Mimo że rozpoczęła z Tobym grę, w tej chwili nie udawała. I właśnie w tym momencie, gdy obnażyła przed nim całą swoją słabość, zdobyła Toby'ego. Poruszyła w nim ukrytą strunę, której nikt przedtem nie potrafił.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł jej łzy.

– Hej, jeśli sądzisz, że tylko ty miałaś ciężko – powiedział – to posłuchaj. Mój stary był rzeźnikiem...

Gadali do trzeciej nad ranem. Po raz pierwszy w życiu Toby rozmawiał z dziewczyną jak z istotą ludzką. Rozumiał ją. Nie mogło być inaczej; była nim.

Żadne z nich nie wiedziało, kto uczynił pierwszy krok. Łagodne, pełne zrozumienia wzajemne pocieszanie przedzierzgnęło się w zmysłowe, zwierzęce pożądanie. Całowali się łapczywie spleceni mocnym uściskiem. Czuła nacisk wzwiedzionego członka. Potrzebowała go. Rozbierał ją, pomagała mu w tym. Po chwili on także był nagi, obok niej, w ciemności. Gwałtowna potrzeba ogarnęła oboje. Położyli się na podłodze. Toby wszedł w nią, a Jill aż jęknęła, czując jego rozmiary. Zaczął się wycofywać, ale przyciągnęła go do siebie i kurczowo przytrzymała. Począł wykonywać ruchy kopulacyjne, wypełniał ją, uzupełniał, sprawił, że jej ciało stało się całością. Ruchy były łagodne i pełne czułości; powoli stawały się gwałtowne, wymagające i nagle wspięli się jeszcze wyżej. Była ekstaza, uniesienie ponad wytrzymałość, jakieś pierwotne zwierzęce parzenie się. Jill krzyczała:

– Kochaj mnie, Toby! Kochaj! Kochaj!

Jego podrygujące ciało było na niej, w niej, było jej częścią, stali się jednością.

Kochali się całą noc, śmiali się, rozmawiali, jakby zawsze do siebie należeli.

Toby przedtem kochał Jill, teraz zwariował na jej punkcie z kretesem. Leżeli w łóżku. Otoczył ją opiekuńczo ramieniem i rozmyślał, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia: więc to

jest miłość. Obrócił się, by na nią spojrzeć. Była rozpalona, rozczochrana i oszałamiająco piękna, a on nigdy nikogo tak bardzo nie kochał.

– Chcę się z tobą ożenić – powiedział.

Była to najoczywistsza rzecz pod słońcem.

Objęła go mocno i odrzekła:

– Och, tak, Toby.

Kochała go i miała zamiar poślubić.

Upłynęło wiele godzin, zanim Jill przypomniała sobie od czego wszystko się zaczęło. Potrzebowała potęgi Toby'ego. Chciała odplącić wszystkim tym, którzy ją wykorzystali, skrzywdzili, którzy nią poniewierali. Pragnęła pomsty.

Teraz będzie ją miała.

Rozdział XXVII

Clifton Lawrence był w kłopotcie. W pewnym sensie – tak sądził – z własnej winy. Dopuszczał, aby sprawy zaszły tak daleko. Siedział przy barze u Toby'ego, gdy tamten oznajmił:

– Oświadczyłem się jej dziś rano, a ona zgodziła się. Czuję się jak szesnastolatek.

Clifton zapanował nad twarzą i nie ujawnił wstrząsu. Teraz musiał być szczególnie ostrożny. Jednego tylko był pewien: nie mógł dopuścić do ślubu. Z chwilą ogłoszenia zaręczyn wszystkie samce wypełzną z ukrycia i obwieszczą pełnym głosem, że posiadli ją wcześniej. Zakrawało na cud, że Toby nie odkrył dotychczas prawdy o Jill, ale przecież faktów nie da się zataić przed nim na zawsze. Kiedy dowie się prawdy, będzie niebezpieczny. Zaatakuje wszystkich ze swego otoczenia, a zwłaszcza tych, którzy pozwolili, by mu się to przydarzyło; zaś w pierwszej kolejności swój gniew skieruje na Cliftona Lawrence'a. Nie, Clifton nie mógł dopuścić do tego małżeństwa. Kusiło go, żeby wytknąć Toby'emu, że był o dwadzieścia lat starszy od Jill, lecz się pohamował. Podniósł na niego wzrok i powiedział oględnie:

– Pośpiech sprzyja omyłkom. Trzeba dużo czasu, aby kogoś dobrze poznać. Możesz jeszcze zmienić...

Toby puścił to mimo uszu.

– Będziesz moim drużbą. Jak sądzisz, lepiej brać ślub tutaj czy w Vegas?

Clifton doszedł do wniosku, że szkoda śliny. Był tylko jeden sposób na uniknięcie nieszczęścia. Należało powstrzymać Jill.

Tego samego popołudnia mały impresario zatelefonował do Jill i zaprosił ją do swego biura. Przybyła z godzinnym opóźnieniem, podsunęła policzek do pocałowania, usiadła na brzegu kanapy i powiedziała:

– Mam niewiele czasu. Umówiłam się z Tobym.

– To nie potrwa długo.

Badał ją oczyma. Miał przed sobą inną kobietę. W niczym prawie nie przypominała dziewczyny, którą poznał kilka miesięcy temu. Wiało teraz od niej zadufaniem, pewnością siebie, której przedtem jej brakowało. Miewał już z takimi dziewczynami do czynienia.

– Jill, mam zamiar powiedzieć to wprost – rzekł. – Nie na dajesz się dla Toby'ego. Chcę, żebyś wyjechała z Hollywood. Wyjął z szuflady białą kopertę. – Tu jest pięć tysięcy dolarów gotówką. Wystarczy ci na podróż w dowolne miejsce.

Na moment wlepiła w niego wzrok z wyrazem zdumienia na twarzy, po czym oparła się wygodnie i roześmiała.

– Nie żartuję – powiedział Lawrence. – Sądzisz, że Toby ze chciałby cię poślubić, gdyby wiedział, że sypiałaś ze wszystkimi mężczyznami w tym mieście?

Dłuższą chwilę mierzyła go wzrokiem. Miała ochotę powiedzieć mu, że to on był odpowiedzialny za wszystko, co ją spotkało. On i jemu podobni – gdyż nie chcieli dać jej szansy. Zmusili ją do płacenia za wszystko ciałem, dumą, własną duszą, lecz wiedziała, że nigdy w życiu nie zdoła mu tego wytłumaczyć. Usiłował się jej pozbyć. Najwidoczniej nie śmiał wyjawić Toby'emu prawdy o niej; byłoby to słowo Lawrence'a przeciw jej słowu.

Podniosła się i wyszła z gabinetu.

Godzinę później zadzwonił Toby.

Clifton jeszcze nie słyszał go tak podnieconego.

– Nie wiem, co jej powiedziałaś, stary, lecz mam ci przekazać, że ona nie może czekać. Właśnie lecimy do Las Vegas, aby się pobrać!

Mały odrzutowiec był około pięćdziesięciu kilometrów od międzynarodowego lotniska w Los Angeles. Leciał z szybkością 250 mil na godzinę. David Kenyon skontaktował się z kontrolą zbliżania LAX i podał swoją pozycję.

Był rozradowany i ożywiony – leciał do Jill.

Cissy odzyskała zdrowie po wypadku samochodowym, lecz na jej twarzy zostały brzydkie blizny. David posłał ją do najlepszego specjalisty chirurgii plastycznej praktykującego w Brazylii. Nie było jej sześć tygodni. Pisała listy pełne uniesień i zachwytów dla lekarza.

Przed dwudziestoma czterema godzinami zadzwoniła do niego, oznajmiając, że już nie wróci. Zakochała się.

Ledwie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

– To... to cudownie – Wyjąkał z trudem. – Mam nadzieję, że będziesz z tym lekarzem szczęśliwa.

– Och, to wcale nie ten lekarz – odparła Cissy. – To właściciel niewielkiej plantacji. Jest zupełnie do ciebie podobny, Davidzie. Jedyna różnica polega na tym, że on mnie kocha.

Trzaski w radiodbiorniku przerwały jego rozmyślenia.

– Lear trzy alfa papa, tu kontrola zbliżania Los Angeles.

Zezwalam na podejście do lądowania. Kurs 250. Za tobą leci United 707. Po lądowaniu kołuj do rampy z prawej.

– Zrozumiałem. – David zaczął przygotowywać się do zejścia w dół. Serce waliło mu jak młotem. Odnajdzie Jill, powie jej, że nadal ją kocha, poprosi ją o rękę.

Przechodząc przez halę dworca lotniczego, minął stoisko z gazetami. Rzucił mu się w oczy tytuł: TOBY TEMPLE POŚLUBIA AKTORKE. Dwukrotnie przeczytał artykuł, po czym odwrócił się i wszedł do baru.

Wytrzeźwiał po trzech dniach i odleciał z powrotem do Teksasu.

Rozdział XXVIII

Ich podróż poślubna była jak z bajki. Toby i Jill polecili prywatnym odrzutowcem do Las Hadas, gdzie byli gośćmi Patinosów w ich baśniowej rezydencji postawionej na terenach wydartych plaży i meksykańskiej dżungli. Nowożeńcom oddano do dyspozycji willę otoczoną kaktusami, hibiskusami i jaskrawokolorowymi krzewami bugenwili. Egzotyczne ptaki wyśpiewywały im po całych nocach swe serenady. Dziesięć dni zwiedzali okolice, żeglowali i chadzali na przyjęcia. Jadali znakomite posiłki przygotowywane przez najwytrawniejszych kucharzy i pływali w jeziorach. Jill robiła sprawunki w ekskluzywnych butikach przy Plaża.

Z Meksyku polecili do Biarritz. Zatrzymali się w l'Hotel du Palais – efektownym, przykuwającym wzrok pałacu, który Napoleon III wzniósł dla cesarzowej Eugenie. Młoda para grywała w kasynach, oglądała walki byków, wędkowała i kochała się po całych nocach.

Z Cote Basque pojechali na wschód do Gstaad, położonego w Alpach Szwajcarskich, jakieś 1200 metrów nad poziomem morza. Latali samolotem turystycznym pomiędzy szczytami, muskając niemal Mont Blanc i Matterhorn. Zjeżdżali na nartach po oślepiająco białych zboczach, podróżowali psim zaprzęgiem, bywali na przyjęciach i tańczyli. Toby jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy. Znalazł kobietę, która zdołała wypełnić mu życie.

Nie był już samotny.

Toby gotów był kontynuować podróż poślubną bez końca, lecz Jill niecierpliwie wyczekiwała powrotu do domu. Nie interesowały jej poznawane miejsca, nie obchodzili ludzie. Czuła się jak królowa, którą niedawno ukoronowano, lecz trzymano z dala od kraju. Aż się paliła do powrotu do Hollywood. Pani Toby Temple miała tam rachunki do wyrównania.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział XXIX

Porażka ma specyficzną woń. Jak cuchnące opary oblepia ze wszystkich stron, nie sposób się jej pozbyć. Ludzie potrafią ją zwęszyć, podobnie jak pies, który wyczuwa zapach lęku w obcym człowieku. Nieomylnie rozpoznają każdego, kto zjeżdża po równi pochyłej.

Zwłaszcza w Hollywood.

Każdy w Interesie wiedział, że Clifton Lawrence jest skończony, i to znacznie wcześniej, niż on sam to sobie uświadomił. Wyczuwało się to w powietrzu, w atmosferze wokół niego.

Tydzień już minął od powrotu Toby'ego i Jill z podróży poślubnej, a do Cliftona nie odezwali się ani razu. Posłał im kosztowny prezent i trzykrotnie zostawiał wiadomość automatycznej sekretarce, lecz zostało to zignorowane.

Jill. Zdołała w jakiś sposób nastawić Toby'ego przeciwko niemu. Clifton wiedział, że musi doprowadzić do zawieszenia broni. On i Toby znaczyli dla siebie zbyt wiele, by ktokolwiek miał wejść między nich.

Clifton podjechał pod ich dom rankiem; wiedział, że Toby będzie w wytwórni. Jill widziała, jak idzie podjazdem, i otworzyła mu drzwi. Wyglądała nadzwyczaj pięknie; powiedział jej to. Odnosiła się do niego przyjaźnie. Siedzieli w ogrodzie, pili kawę i Jill opowiadała o ich podróży i miejscach, które zwiedzili.

– Przykro mi, że Toby nie oddzwonił do ciebie, Cliff. Nie uwierzysz, w jaki zamęt wpadliśmy – powiedziała i uśmiechnęła się przepraszająco, a Clifton doszedł do wniosku, że źle ją oceniał. Nie była wrogiem.

– Chciałbym, żebyśmy zaczęli od nowa i zostali przyjaciół mi – rzekł.

– Dziękuję, Cliff. Ja też bym tego chciała.

Lawrence odczuł niewymowną ulgę.

– Chciałbym wydać przyjęcie na waszą cześć. Wynajmę salę w Bistro. W przyszłą sobotę. Odpowiada wam?

– Cudownie. Toby będzie zachwycony.

Jill odczekała aż do dnia przyjęcia, aby wymówić się przez telefon:

– Tak mi przykro, Cliff, ale chyba nie będę mogła przyjść na twoje przyjęcie. Jestem trochę zmęczona. Toby uważa, że powinnam zostać w domu i wypocząć.

Lawrence zdołał zapanować nad swymi uczuciami.

– Żałuję, Jill, ale rozumiem. Toby przyjdzie, prawda?

Z drugiego końca linii dobiegło westchnienie.

– Obawiam się, że nie. Nigdzie nie ruszy się beze mnie. Ale życzę ci udanego przyjęcia – powiedziała i odwiesiła słuchawkę.

Było już za późno na odwołanie uroczystości. Rachunek wyniósł trzy tysiące dolarów, lecz rzeczywiste koszty były o wiele wyższe. Zawiódł go honorowy gość – jego jedyny klient. A pozostali: szefowie wytwórni, aktorzy, reżyserzy, wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia w Hollywood – byli tego świadomi. Lawrence usiłował zatuszować sprawę, mówiąc, że Toby nie czuje się dobrze. To jeszcze pogorszyło sytuację. Następnego dnia popołudniówka Herald Examiner zamieściła zdjęcia państwa Temple'ów zrobione poprzedniego wieczoru na stadionie baseballowym w Los Angeles.

Lawrence wiedział już, że walczy o życie. Jeśli Toby go porzuci, nic i nikt go nie uratuje. Żadna z wielkich agencji nie przyjmie go, ponieważ nie „wnosi” ani jednego klienta; przerażała go myśl o zaczynaniu wszystkiego od nowa na własną rękę. Na to zresztą było już za późno. Musiał znaleźć jakiś sposób na zawarcie pokoju z Jill. Zadzwoił do niej i powiedział, że chciałby do niej wpaść i porozmawiać.

– Oczywiście – odparła. – Nie dalej jak wczoraj napomknęłam Toby’emu, że tak mało cię widujemy.

– Będę za piętnaście minut – rzucił.

Podszedł do szafy z trunkami i nalał sobie podwójną szkocką. Ostatnio pił za dużo. Picie podczas godzin pracy uważał za szkodliwe przyzwyczajenie, lecz komu właściwie chciał zamydląć oczy? Podczas jakiej pracy? Codziennie otrzymywał ważne oferty dla Toby’ego, lecz nie był w stanie zmusić wielkiego człowieka choćby do zapoznania się z nimi. Był czas, gdy omawiali wszystko. Pamiętał cudowne, razem przeżyte chwile: wspólne wycieczki, przyjęcia, żarty i dziewczyny. Byli ze sobą zżyci jak bliźniaki. Toby go potrzebował, liczył na niego. A teraz. Clifton nalał sobie jeszcze jedną porcję i odczuł zadowolenie, widząc, że ręce mniej mu się trzęsą.

Gdy przyjechał do domu Temple’ów, Jill siedziała z kawą na tarasie. Spojrzała i uśmiechnęła się do niego na powitanie. Jesteś sprzedawcą, powtarzał sobie Clifton. Sprzedaj jej siebie.

– Miło cię widzieć, Cliff. Siadaj.

– Dzięki, Jill.

Usiadł po drugiej stronie wielkiego stołu z kutego żelaza i przyjrzał się jej uważnie. Miała na sobie białą, letnią sukienkę, a kontrast z czarnymi włosami i złotawą opalenizną był wręcz oszałamiający. Wyglądała młodziej i – żadne inne określenie nie przyszło mu do głowy – niewinniej. Obserwowała go ciepłymi, przyjaznymi oczyma.

– Masz chęć na śniadanie, Cliff?

– Nie, dziękuję. Jadłem wcześniej.

– Toby’ego nie ma w domu.

– Wiem. Chciałem porozmawiać tylko z tobą.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Przyjąć moje przeprosiny – nalegał. Nigdy nikogo o nic w życiu nie błagał, a teraz zniżył się do tego. – My... źle postąpiłem na początku. Być może była to moja wina. Prawdopodobnie tak. Toby jest moim klientem i przyjacielem od tak dawna, że... że chciałem go chronić. Czy możesz to zrozumieć?

Skinęła głową, ciemne oczy były w nim utkwione.

– Oczywiście, Cliff – powiedziała.

Zaczerpnął tchu.

– Nie wiem, czy on kiedykolwiek opowiadał ci o tym, lecz to ja pomogłem mu wystartować. Od pierwszego spojrzenia wiedziałem, że zostanie wielką gwiazdą. – Spozrzegł, że słucha go z pełną uwagą. – Miałem wówczas wielu świetnych klientów, Jill. Pozbyłem się ich, aby móc skoncentrować się na karierze Toby’ego.

– Toby mówił mi, ile dla niego zrobiłeś – rzuciła.

– Mówił? – Brzydziła go skwapliwość brzmiąca w jego własnym głosie.

Jill uśmiechnęła się.

– Opowiadał mi o dniu, kiedy udawał, że dzwoni Sam Goldwyn, i jak ty, mimo wszystko, poszedłeś go zobaczyć. To było miłe.

Clifton pochylił się do przodu.

– Nie chcę, żeby moje stosunki z Tobym się popsuly. Potrzebuję ciebie po swojej stronie. Proszę, byś zapomniała o słowach, które między nami padły. Przepraszam, że nie zaakceptowałem cię od razu. Sądziłem, że w ten sposób go chronię. No więc – byłem w błędzie. Myślę, że będziesz dla niego wspaniałą żoną.

– Pragnę nią zostać. Bardzo chcę.

– Jeśli Toby mnie rzuci, to... mnie zabije. Nie mówię teraz wyłącznie o interesach. On i ja... jest dla mnie jak syn. Kocham go. – Gardził sobą za to, lecz znów zaczął błagać. – Proszę cię, Jill, na litość boską... – urwał, głos mu się załamał.

Dłuższą chwilę patrzyła na niego ciemnymi, głębokimi oczyma, po czym wyciągnęła do niego rękę.

– Nie zwykłam chować uraz – powiedziała. – Czy możesz przyjść na obiad jutro wieczorem?

Clifton wciągnął głęboko powietrze i uśmiechnął się uszczęśliwiony.

– Dzięki. – Poczuł, że oczy mu zwilgotniały. – Nigdy... nigdy tego nie zapomnę.

Następnego dnia rano, gdy zjawił się w biurze, znalazł tam list polecony, stwierdzający, że rozwiązuje się z nim umowę i że nie ma więcej prawa występować jako impresario Toby'ego Temple'a.

Rozdział XXX

Jill Castle Temple stała się największą atrakcją Hollywood od czasu wprowadzenia cinemascope'u. W środowisku, w którym wszyscy uprawiali grę „podziwiamy szaty cesarza”, Jill cięła językiem jak nożem. W mieście, gdzie pochlebstwo stało się monetą obiegową, nieodłącznym składnikiem konwersacji, Jill spokojnie mówiła, co myśli. Za nią stał Toby, a ona używała całej jego potęgi jak tarana, atakując co ważniejszych przedstawicieli wytwórni. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie doświadczyli. Nie śmieli jej obrazić, gdyż nie chcieli zrazić sobie Toby'ego, najbardziej kasowej gwiazdy Hollywood – był niezastąpiony, potrzebowali go.

Powodzenie Toby'ego było większe niż kiedykolwiek. Jego serial rewiowy co tydzień zdobywał pierwsze miejsce w klasyfikacji Nielsena, filmy przynosiły niewiarygodne wprost dochody, a podczas jego występów w Las Vegas kasyna podwajały zyski. Rozrywano go. Chciano, by grał gościnnie, nagrywał płyty, pojawiał się osobiście, występował podczas went dobroczynnych, w reklamie i w filmie – chciano, chciano, chciano.

Najważniejsi ludzie w mieście nieomal wyskakiwali ze skóry, by zrobić mu przyjemność. Szybko pojęli, że najlepszym sposobem jest zrobienie przyjemności Jill. Wzięła na siebie rolę jego sekretarki, zapisywała spotkania, organizowała mu życie w taki sposób, że nie było w nim miejsca dla tych, których nie lubiła. Wniosła wokół niego jakby twierdzą, do której przedostać się mogli tylko najbogatsi, najślawniejsi i najpotężniejsi. Była „strażniczką płomienia”. Biedna polska dziewczyna z Odessy w stanie Teksas przyjmowała i była przyjmowana przez gubernatorów, ambasadorów, artystów o światowej sławie i prezydenta Stanów Zjednoczonych. To miasto skrzywdziło ją bardzo, lecz teraz to się już nie powtórzy. Przynajmniej tak długo, jak długo będzie miała Toby'ego Temple'a.

Ci, którzy znaleźli się na czarnej liście Jill, popadali w prawdziwe kłopoty.

Oddawała się zmysłowo Toby'emu. Gdy leżał zrelaksowany i zaspokojony, wtulała się w niego i mówiła:

– Kochanie, czy opowiadałam ci, jak szukałam agenta dla siebie i poszłam do tej kobiety – jakże się ona nazywała? Już mam! Rosę Dunning. Powiedziała, że będzie miała dla mnie rolę, i usiadła na łóżku, aby ją ze mną przeczytać.

Obrócił się w jej stronę, oczy mu się zwężyły.

– I co się stało?

Jill uśmiechnęła się.

– Byłam wtedy naiwną gęsią. Podczas czytania poczułam, jak jej ręka pełźnie mi coraz wyżej po udzie. – Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. – Omal nie zwariowałam ze strachu.

Nigdy w życiu tak nie uciekałam.

Dziesięć dni później Miejski Urząd do spraw koncesji odebrał Rosę Dunning na zawsze zezwolenie na prowadzenie agencji.

Następny weekend Toby i Jill spędzili w swoim domu w Palm Springs. Toby wyciągnął się jak długi na ustawionym na patio stole do masażu. Spoczywał na puszystym ręczniku kąpielowym, a Jill robiła mu długi, rozluźniający masaż, stosując półpłynny,

delikatny krem. Leżał na plecach, płatki gazy chroniły jego oczy przed palącymi promieniami słońca. Jill pracowała na stojąco.

– Dopiero ty otworzyłaś mi oczy na Cliffa – odezwał się. Okazał się zwykłym pasożytem, krwio pijcą. Słyszałem, że chodzi po mieście i próbuje wejść z kimś do spółki. Nikt go nie chce. Beze mnie do niczego się nie nadaje.

Jill odczekała chwilę i rzekła:

– Żal mi go.

– To twoja cholerna wada, kochanie. Częściej myślisz sercem niż głową. Musisz się nauczyć być nieco twardszą.

Uśmiechnęła się ze spokojem.

– Nic na to nie poradzę. Już taka jestem.

Zaczęła mu teraz masować nogi. Jej ręce lekko i zmysłowo przesuwały się w kierunku ud, wywołując u niego początek erekcji.

– O Jezu – jęknął.

Ręce przesunęły się wyżej, do pachwin – członek twardniał. Wsunęła mu ręce między uda, pod pośladki i wepchnęła w niego nakremowany palec. Ogromne prącie Toby'ego było już twarde jak skała.

– Szybko, dziecino – powiedział. – Wskakuj na mnie.

Znajdowali się na pokładzie Jill, wielkiej łodzi motorowej, którą Toby kupił dla żony. Stali w przystani jachtowej. Nazajutrz miał nagrywać pierwszy w tym sezonie odcinek swojej rewii.

– Najwspanialsze wakacje, jakie w życiu miałem – powie dział Toby. – Nie chce mi się wracać do pracy.

– Twoja rewia jest cudowna. – odparła Jill. – Udział w niej sprawiał mi ogromną przyjemność. Wszyscy byli tacy mili. Urwała na moment, potem lekko dorzuciła: – No, prawie wszy scy.

– Co masz na myśli? – spytał ostro. – Kto był dla ciebie nie miły?

– Nikt, kochanie. Nie powinnam była o tym wspominać.

W końcu pozwoliła to z siebie wyciągnąć i już nazajutrz Eddie Berrigan, szef obsady, został zwolniony z pracy.

W następnych miesiącach Jill opowiadała Toby'emu zmyślane historyjki o innych dyrektorach do spraw obsady ze swej listy. Znikali, jeden po drugim. Każdy, kto kiedykolwiek ją wykorzystał, będzie musiał zapłacić. Przypomina to, myślała, taniec weselny z królową pszczół. Trutnie zaznały przyjemności, teraz należało je wytępić.

Zawzięła się na Sama Wintersa, który swego czasu stwierdził, że brak jej talentu. Nigdy nie powiedziała o nim złego słowa; przeciwnie, głośno go chwaliła. Lecz innych dyrektorów chwaliła zawsze trochę bardziej... Inne wytwórnie byłyby dla Toby'ego odpowiedniejsze... a ich dyrektorzy naprawdę lepiej go rozumieli. Napomykała mimochodem, iż nigdy nie mogła się oprzeć uczuciu, że Sam Winters nie docenia należycie talentu Toby'ego. Nie trwało długo, a Toby zaczął podzielać jej opinię. Gdy zabrakło Clifftona Lawrence'a, była jedyną osobą, z którą Toby mógł porozmawiać, której mógł zaufać. Gdy podjął decyzję o kręceniu filmów w innej wytwórni, był przekonany, że jest to jego własny pomysł. Lecz Jill zadbała, by Sam Winters poznał prawdę.

Zasłużona kara.

Byli tacy, którzy przypuszczali, że Jill nie utrzyma się długo, że jest tylko chwilowym intruzem, przemijającą pasją. Tolerowali ją lub traktowali z zawołaną pogardą. Był to z ich strony błąd. Jill eliminowała ich po kolei. Nie chciała mieć w pobliżu nikogo, kto odegrał w życiu Toby'ego istotną rolę i mógłby użyć swych wpływów przeciw niej. Dopilnowała, by mąż zmienił swego doradcę prawnego i firmę zajmującą się kontaktami z publicznością. Wynajmowała ludzi według własnego uznania. Pozbyła się trzech Maco w i całej świty Toby'ego. Wymieniła całą służbę. To był teraz jej dom; ona była tu panią.

Zaproszenie na przyjęcie u Temple'ów stało się najwyżej cenionym w Hollywood biletem wstępu. Bywał tam każdy, kto się choć trochę liczył: aktorzy, osoby z najlepszego towarzystwa, gubernatorzy i szefowie wielkich korporacji. Prasa zawsze była reprezentowana w pełnej sile, co stanowiło dodatkową premię dla szczęśliwych wybrańców. Nie tylko byli u Temple'ów i świetnie się bawili, lecz cały świat dowiadywał się, że byli u Temple'ów i świetnie się bawili.

Gdy Temple'owie nie urządzali przyjęcia u siebie, byli gośćmi. Sypała się na nich lawina zaproszeń: na premiery, wenty dobroczynne, imprezy polityczne, uroczystości otwarcia restauracji czy hoteli.

Toby wolałby czasem zostać w domu, sam na sam z Jill, lecz ona lubiła „wyjścia”. Zdarzały się wieczory, kiedy mieli w planach trzy lub cztery imprezy i Jill ciągnęła Toby'ego z jednej na drugą.

– Jezu, powinnaś była zostać dyrektorem do spraw socjalnych u Grossingera – śmiał się.

– Robię to tylko dla ciebie, kochanie – replikowała Jill.

Toby kręcił film dla MGM, miał bardzo męczący rozkład zajęć. Gdy pewnego wieczoru wrócił późno do domu całkowicie wyczerpany, smoking już na niego czekał.

– Chyba nigdzie nie wychodzimy, dziecinko? Przez cały pieprzony rok nie spędziliśmy w domu ani jednego wieczoru!

– To rocznica ślubu Davisów. Będą się czuli okropnie do tknięci, jeśli się tam nie pokażemy.

Toby ciężko usiadł na łóżku.

– Tak się cieszyłem na myśl o gorącej wannie i spokojnym wieczorze. Tylko my dwoje.

Mimo to poszedł na przyjęcie. A ponieważ zawsze musiał być „najlepszy”, musiał znaleźć się w centrum uwagi, czerpał ze swego ogromnego rezerwuaru energii, dopóki nie rozśmieszył wszystkich, nie zdobył poklasku i nie uznano zgodnie, że Toby Temple jest przezabawnym człowiekiem. Nie mógł później zasnąć mimo fizycznego wyczerpania. Powtórnie przeżywał każdy wybuch śmiechu, każdy swój triumf – szczególnie po szczególe. Czuł się bardzo szczęśliwy. A wszystko dzięki Jill.

Jak bardzo jego matka uwielbiałaby Jill.

W marcu przyszło zaproszenie na festiwal filmowy w Cannes.

– Nie ma mowy – rzekł, gdy pokazała mu list. – Jedyne Cannes, do jakiego się udam, jest u mnie w łazience. Jestem zmęczony, kochanie. Wyprułem z siebie wszystkie żyły.

Jerry Guttman, rzecznik prasowy gwiazdora, powiedział Jill, że ostatni obraz Toby'ego ma sporo szans na nagrodę za najlepszy film oraz że ich obecność w Cannes może przeważać szalę. Uważał, że aktor powinien jechać.

Ostatnimi czasy Toby niejednokrotnie skarżył się na przytłaczające go zmęczenie. Cierpiał na bezsenność. Wieczorami zażywał środki nasenne, rano wstawał jak odurzony. Jill zwalczała to uczucie zmęczenia, podając mu na śniadanie benzedrynę, tak że Toby zyskiwał dość energii, by przetrwać dzień. Obecnie ta huśtawka zdawała się zbierać swoje żniwo.

– Przyjęłam już, co prawda, zaproszenie – powiedziała Jill – ale to nic. Odwołam to, kochanie.

– Chodź, pojedziemy na miesiąc do Springs, będziemy się wylegiwać w mydle.

Spojrzała na niego.

– Co?

Siedział zupełnie nieruchomo.

– Miałem na myśli słońce. Nie mam pojęcia, skąd mi się wzięło to mydło.

Roześmiała się.

– Bo jesteś zabawny. – Uścisnęła mu rękę. – W każdym razie Palm Springs brzmi cudownie. Uwielbiam być tylko z tobą.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – westchnął Toby. – Po prostu zabrakło mi paliwa. Chyba się starzeję.

– Nigdy się nie zestarzejesz. Dajesz radę wyczerpać mnie do dna.

Uśmiechnął się.

– Taa? Myślę, że mój fiut mnie przeżyje. – Potarł tył głowy.

– Chyba sobie utnę drzemkę. Prawdę mówiąc, nie czuję w sobie dość ikry. Mam nadzieję, że nigdzie dzisiaj nie jesteśmy umówieni.

– Nic takiego, czego by się nie dało przełożyć. Odeślę dziś służbę i sama przygotuję obiad. Będziemy tylko we dwoje.

– Będzie cudownie.

Patrzył, jak wychodzi i myślał: Jezu, jestem najszczęśliwszym facetem pod słońcem.

Położyli się późno tej nocy. Jill zrobiła Toby'emu ciepłą kąpiel, a potem masaż – ugniatała jego zmęczone mięśnie, łagodząc ich napięcie.

– Ach! Cudowne uczucie – zamruczał. – Jak ja dawałem sobie radę bez ciebie?

– Nie mogę sobie tego wyobrazić. – Przytuliła się do niego.

– Toby, opowiedz mi o festiwalu w Cannes. Jak tam jest? Żadnego nie widziałam.

– Po prostu tłum rozpychających się kanciarzy, którzy zjeżdżają się tam z całego świata, aby sprzedawać sobie nawzajem parszywe filmy. To największy szwindel pod słońcem.

– Brzmi interesująco.

– Taa? Myślę, że to jest dość ciekawe. Miasto jest zapchane dziwadłami. – Przez chwilę badał ją wzrokiem. – Czy naprawdę chcesz pojechać na ten głupi festiwal?

Potrząsnęła natychmiast głową.

– Nie. Jedziemy do Palm Springs.

– Do diabła, do Palm Springs możemy pojechać kiedy indziej.

– Doprawdy, Toby, to nie takie ważne.

Uśmiechnął się.

– Czy wiesz, dlaczego mam fioła na twoim punkcie? Każda inna kobieta wierciłaby mi dziurę w brzuchu, żeby ją zabrać na festiwal. Ty o tym marzysz, ale nie piśniesz ani słówka. Przeciwnie, gotowa jesteś jechać ze mną do Springs. Odwołałaś już naszą akceptację?

– Jeszcze nie, ale...

– To nie odwołuj. Jedziemy do Indii. – Na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. – Czy powiedziałem Indii? Miałem na myśli Cannes.

Gdy samolot wylądował na Toby'emu wręczono telegram. Jego ojciec zmarł w domu starców. Było już za późno na powrót na pogrzeb. Ufundował budowę nowego skrzydła w domu opieki – imienia Friedy i Paula Templarhausów.

Cały świat przybył do Cannes.

Hollywood, Londyn i Rzym przemieszane w potężnej wielojęzycznej kakofonii dźwięków, w szaleństwie obrazów w Technicolorze i Panavision. Ze wszystkich zakątków globu ściągnęli na francuską Rivierę twórcy filmowi, taszcząc pod pachą metalowe, płaskie krążki z marzeniami, zwoje celuloide produkcji angielskiej, francuskiej, japońskiej, węgierskiej czy polskiej, które miały w ciągu jednej nocy przynieść im sławę i pieniądze. Croisette było zapchane zawodowcami i amatorami, weteranami i debiutantami, przyszłymi i przeszłymi gwiazdami, z których każdy aspirował do jednej z prestiżowych nagród.

Zdobycie nagrody na festiwalu w Cannes oznacza pieniądze w banku; jeśli zwycięzca nie ma umowy dystrybucyjnej, teraz może ją zawrzeć, jeśli ma – może wynegocjować lepsze warunki.

Wszystkie hotele w mieście były pełne, a nadliczbowi goście lokowali się w coraz to dalej położonych miejscowościach wzdłuż wybrzeża: Antibes, Beaulieu, Saint-Tropez i Menton. Mieszkańcy tych miasteczek otwierali z podziwu usta na widok znanych twarzy wypełniających ulice, restauracje i bary.

Wszystkie pokoje hotelowe rezerwowano z góry, z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, lecz Toby Temple nie miał trudności z dostaniem wielkiego apartamentu w Carltonie. Toby'ego i Jill podejmowano, gdziekolwiek się pojawili. Migawki aparatów trzaskały bezustannie, ich podobizny obiegały cały świat. Złota Para; Król i Królowa Hollywood. Reporterzy przeprowadzali z Jill wywiady, dopytując się o jej opinie we wszelkich kwestiach – od francuskich win począwszy, na afrykańskiej polityce skończywszy. Jakże daleko odeszła od Josephine Czinski z Odessy, w stanie Teksas.

Film Toby'ego nie dostał nagrody, lecz na dwa dni przed końcem festiwalu jury ogłosiło, iż przyznano mu nagrodę specjalną za całokształt działalności na niwie rozrywki.

W sali bankietowej hotelu Carlton odbyło się uroczyste przyjęcie. Tłum gości, stroje wieczorowe.

Jill siedziała obok Toby'ego na podwyższeniu. Zauważyła, że on nic nie je.

– Co ci jest, kochanie?

Potrząsnął głową.

– Chyba zbyt długo byłem dzisiaj na słońcu. Szumi mi w głowie.

– Dopilnuję, żebyś jutro odpoczął. – Zaplanowała dla Toby'ego na najbliższy dzień wywiad dla Paris Matcha i dla londyńskiego Timesa, potem lunch z grupą reporterów telewizyjnych, a następnie cocktailparty. Postanowiła odwołać najmniej ważną pozycję.

Na zakończenie obiadu wstał burmistrz Cannes i przedstawił Toby'ego.

– Mesdames, messieurs, et ilwitds distinguas, c'est un grand provil ge de vous prdsenter un homme dont ioeiwre a donnd plaisir et bonheur au monde entier. J'ai l'honneur de lui prdsenter cette medaille spdciale, un signe de notre qffection et de notre apprdciation. – Podniósł w górę złoty medal i wstęgę i uklonił się Toby'emu. – Monsieur Toby Temple!

Rozległy się entuzjastyczne brawa, wszyscy goście w ogromnej sali bankietowej powstali, by na stojąco oklaskiwać zdobywcę nagrody specjalnej. Mężczyzna nie ruszył się z miejsca.

– Wstań – szepnęła Jill.

Toby podniósł się powoli i niepewnie. Był blady. Przez chwilę stał, potem uśmiechnął się i ruszył do mikrofonu. W połowie drogi potknął się i upadł nieprzytomny na podłogę.

Toby'ego Temple'a przewieziono do Paryża samolotem transportowym francuskich sił powietrznych a następnie karetką do szpitala amerykańskiego, gdzie umieszczono go w sali intensywnej opieki medycznej. Wezwano najlepszego specjalistę we Francji, a Jill siedziała w pokoju gościnnym szpitala i czekała. Przez trzydzieści sześć godzin odmawiała przyjmowania posiłków; nie odbierała również telefonów, którymi bombardowano szpital z całego świata.

Siedziała samotnie z oczyma utkwionymi w ścianę, nie dostrzegając wzmożonej aktywności dookoła. W jej umyśle tkwiła jedna tylko myśl: Toby musi wyzdrowieć. Był jej słońcem, a gdy słońce zajdzie, cień rozplynie się w mroku. Nie mogła do tego dopuścić.

Była piąta rano, gdy dr Duclos, ordynator, wszedł do pokoju, który Jill wynajęła, aby być bliżej męża.

– Pani Temple, obawiam się, że tuszowanie prawdy nie ma sensu. Pani mąż doznał rozległego udaru mózgu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie będzie w stanie chodzić ani mówić.

Rozdział XXXI

Gdy w paryskim szpitalu dopuszczono wreszcie Jill do Toby'ego, przeżyła na jego widok szok. W krótkim czasie stał się starym, pomarszczonym człowiekiem, jakby wyciekły z niego wszystkie życiodajne soki. Stracił częściowo władzę w rękach i nogach, z gardła był w stanie wydobyć tylko zwierzęce pomruki.

Dopiero po sześciu tygodniach lekarze pozwolili na przewiezienie Toby'ego. Na lotnisku w Kaliforni otoczył ich tłum dziennikarzy, kamer telewizyjnych i setek wielbicieli. Choroba aktora wywołała wielkie poruszenie. Telefon dzwonił bez przerwy – znajomi dopytywali się o jego stan i postępy w powrocie do zdrowia. Ekipy telewizyjne usiłowały wdrzeć się do domu, chcąc go sfilmować. Odezwał się prezydent i senatorowie; tysiącami nadchodziły listy i kartki pocztowe od fanów, którzy kochali go i modlili się za niego.

Za to zaproszenia się skończyły. Nikt nie dzwonił do Jill, by spytać, jak się czuje, lub zaprosić ją na obiad, na przejażdżkę czy do kina. Jej los nie obchodził nikogo w Hollywood.

Jill wezwała osobistego lekarza Toby'ego, dra Eliego Kapłana, oraz dwóch czołowych neurologów – jednego z UCLAMedical Centre, drugiego ze szpitala Johna Hopkinsa. Ich diagnoza pokrywała się z tym, co powiedział dr Duclos w Paryżu.

– Najważniejsze jest zrozumienie – mówił dr Kapłan – że świadomość Toby'ego nie doznała żadnego szwanku. Słyszy i wszystko rozumie, lecz mowa i funkcje motoryczne zostały zaburzone. Nie jest w stanie odpowiedzieć.

– Czy... czy on już na zawsze taki zostanie?

Lekarz zawahał się.

– Nie ma, rzecz jasna, co do tego stuprocentowej pewności, lecz w naszej opinii jego system nerwowy doznał zbyt rozległych uszkodzeń, aby terapia mogła przynieść zauważalne efekty.

– Lecz nie wiesz tego na pewno?

– Nie...

Za to Jill wiedziała.

Oprócz trzech pielęgniarek, które opiekowały się Tobym przez całą dobę, Jill zaangażowała fizykoterapeutę, który przychodził codziennie rano, by pracować z pacjentem. Terapeuta zawoził go do basenu i trzymając w ramionach, delikatnie rozciągał mu mięśnie i ścięgna, a Toby podejmował w ciepłej wodzie niezdarne próby poruszania ramionami i nogami. Nie było poprawy. Po czterech tygodniach ściągnięto logopedę. Spędzał z Tobym codziennie godzinę po południu i usiłował pomóc choremu w artykulacji, w powtórnym opanowaniu mowy.

Minęły dwa miesiące, a Jill nie widziała żadnych zmian. Najmniejszych. Posłała po dra Kapłana.

– Musisz mu jakoś pomóc – zażądała. – Nie możesz go tak zostawić.

Spojrzał na nią bezradnie.

– Przykro mi, Jill. Usiłowałem ci to powiedzieć...

Po wyjściu dra Kapłana Jill długo samotnie siedziała w bibliotece. Czowała, że zbliża się ciężka migrena, lecz nie miała teraz czasu, by myśleć o sobie. Poszła na górę.

Toby, wsparty o poduszki, wpatrywał się w przestrzeń. Gdy weszła, głębokie, fiołkowe oczy Toby'ego rozjaśniły się. Bystre i żywe podążyły za żoną, gdy zbliżała się do łóżka. Spojrzała na męża. Wargi mu drgnęły, z ust dobył kilka nieartykułowanych dźwięków. W oczach pojawiły się łzy frustracji. Jill wspomniała słowa lekarza: Najważniejsze jest zrozumienie, że świadomość Toby'ego nie doznała żadnego szwanku.

Przysiadła na brzegu łóżka.

– Toby, chcę, żebyś mnie wysłuchał. Wstaniesz z tego łóżka. Będziesz chodził. Będziesz mówił.

Toby'emu łzy spływały po policzkach.

– Osiągniesz to. Zrobisz to dla mnie.

Następnego ranka Jill zwolniła pielęgniarki, fizykoterapeutę i logopedę. Połyszawszy te wiadomości, dr Kapłan czym prędzej przyjechał.

– Zgadzam się z tobą co do terapeuty, Jill – ale pielęgniarki!

Toby wymaga opieki przez dwadzieścia cztery godziny...

– Będę z nim.

Potrząsnął głową.

– Nie masz pojęcia, w co się pakujesz. W pojedynkę nie...

– Wezwę cię, gdy będziesz potrzebny.

Odesłała go.

Zaczęła się próba sił.

Jill postanowiła osiągnąć to, co zdaniem lekarzy było nie do zrobienia. Gdy pierwszy raz przenosiła Toby'ego na fotel na kółkach, przeraził ją jego niewielki ciężar. Zwiozła go na dół specjalnie w tym celu zainstalowaną windą i rozpoczęła z nim pracę w basenie, tak jak podpatrzyła u fizykoterapeuty. Tyle że w jej wykonaniu ćwiczenia przebiegały inaczej. Tam, gdzie terapeuta działał powoli i łagodnie, Jill była twarda i nieustępliwa. Gdy Toby usiłował mówić, sygnalizując, że jest wyczerpany i więcej nie znieś, powtarzała:

– Jeszcze nie koniec. Jeszcze raz. Zrób to dla mnie, Toby.

I zmuszała go do powtórzenia ćwiczenia.

I jeszcze raz, i jeszcze... dopóki zupełnie wyczerpany nie zaczynał bezgłośnie płakać.

Popołudniami zasiadała do lekcji mówienia.

– Oooo... oooooooooo.

– Ahaaach... aaaaagha – Nie! Oooooooooo. Złóż wargi w kółko. Zmusz je do posłuszeństwa. Oooooooooo.

– Aaaaaagh...

– Nie, psiakrew! Będziesz mówił! A teraz powiedz: oooooooooo!

Ponawiał próby.

Wieczorem karmiła go, a potem kładła się z nim razem i tuliła w ramionach. Przesuwała jego bezużyteczne ręce powolutku po swoim ciele, w poprzek piersi i w dół, aż do miękkiego zagłębienia między udami.

– Poczuj to, Toby – szeptała. – To wszystko twoje, kocha nie. Należy do ciebie. Chcę ciebie. Chcę, żebyś wyzdrowiał, że byśmy się mogli znowu kochać. Chcę, żebyś mnie rznął, Toby.

Spojrzał na nią żywymi, jasnymi oczyma i wydał kilka nie–koherentnych, płaczliwych dźwięków.

– Wkrótce, Toby. Już wkrótce.

Jill była niez mordowana. Zwolniła służbę, gdyż nie chciała mieć nikogo w pobliżu. Całe gotowanie wzięła na siebie. Wiktuwały zamawiała przez telefon, w ogóle nie opuszczała domu. Na samym początku Jill była zajęta odpowiadaniem na liczne telefony, ale dzwonki stawały się coraz rzadsze, wreszcie całkiem umilkły. W codziennych wiadomościach zaprzestano podawania informacji o stanie zdrowia Toby’ego Temple’a. Cały świat wiedział, że jego śmierć jest tylko kwestią czasu.

Lecz Jill nie miała zamiaru pozwolić Toby’emu umrzeć. Jego śmierć oznaczałaby koniec również dla niej.

Dni zlewały się w jedno nie kończące się pasmo harówki. Jill wstawała o szóstej rano. Rozpocynała od zabiegów higienicznych przy Tobym. Zupełnie nie panował nad zwieraczami. Mimo cewnika i pieluch brudził się w ciągu nocy i nierzadko musiała zmieniać oprócz piżamy również bieliznę pościelową. Odór w sypialni był niemal nie do wytrzymania. Jill napełniała miskę ciepłą wodą i uzbrojona w gąbkę i miękką szmatkę, zmywała kał i mocz z ciała męża. Gdy był już czysty, osuszała go, pudrowała, goliła i czesała.

– No tak. Wyglądasz pięknie, Toby. Twoi wielbiciele po winni cię teraz widzieć. Wkrótce cię zresztą zobaczą. Będą walczyć o bilety, aby cię ujrzeć. Będzie prezydent, wszyscy przyjdą, aby zobaczyć Toby’ego Temple’a.

Następnie przygotowywała śniadanie: płatki owsiane, kaszę manną lub jajecznicę – jedzenie, które można było podać mu łyżeczką do ust. Karmiła go jak niemowlę, nie przestając przy tym mówić o tym, że z pewnością wyzdrowieje.

– Jesteś Toby Temple – recytowała. – Wszyscy cię uwielbiają, wszyscy pragną twego powrotu na scenę. Twoi wielbiciele czekają na ciebie, Toby. Dla nich musisz wyzdrowieć.

A potem zaczynał się kolejny, pełen katuszy dzień.

Zawoziła w fotelu na kółkach jego beużyteczne, kalekie ciało na ćwiczenia w basenie. Potem go masowała i przystępowała do ćwiczeń nad artykulacją. Następnie przygotowywała lunch i po posiłku wszystko zaczynało się od nowa. Nie przestawała mu przy tym powtarzać, jaki jest wspaniały, jak bardzo otoczony powszechną sympatią. Jest Tobym Temple’em i świat czeka na jego powrót. Wieczorami brała któryś z jego albumów z wycinkami i trzymała tak, żeby mógł nań patrzeć.

– Tutaj jesteście z królową. A pamiętasz, jak cię wówczas wszyscy oklaskiwali? Niedługo będzie tak samo. Będziesz większy niż kiedykolwiek, Toby, przejdziesz samego siebie.

Wieczorem karmiła go obficie i zupełnie wyczerpana padała na łóżko polowe stojące tuż koło jego łóżka. W środku nocy często budził ją odrażający smród wynikający z aktywności jelit Toby’ego. Zwlekała się wówczas z posłania, myła go i przewijała, a gdy skończyła, był już czas, by mu przygotować śniadanie i zacząć nowy dzień.

Jeszcze jeden dzień i jeszcze jeden. I tak bez końca.

Za każdym razem Jill popychała Toby’ego troszkę mocniej, troszkę dalej. Nerwy miała tak zszarpane, że biła go po twarzy, ilekroć czuła, że ustaje w wysiłkach.

– Pokonamy ich – mówiła dziko. – Będziesz zdrowy.

Jill była kompletnie wycieńczona męczącą pracą, którą wzięła na siebie, lecz kiedy kładła się spać, sen nie przychodził. Po jej głowie tłukły się oderwane obrazy, niczym sceny ze starych filmów. Ona i Toby w tłumie reporterów na festiwalu w Cannes... Ich dom w Palm Springs i prezydent prawiący jej komplementy, że pięknie wygląda... Wielbiciele kłębzący się wokół nich na premierze... Złota Para... Toby idący po medal i padający... padający... Wreszcie usypiała.

Niekiedy budziła się z nagłym, gwałtownym bólem głowy, który nie chciał ustąpić. Leżała wówczas w ciemności samotnie, walcząc z bólem aż do świtu – pory, kiedy trzeba było zwlec się z posłania i stanąć na nogi.

I wszystko zaczynało się od nowa. Zupełnie jakby ona i Toby, jako jedyni, przeżyli jakiś dawno zapomniany kataklizm. Świat jej skurczył się do rozmiarów tego domu i tego mężczyzny. Bezlitośnie poganiała samą siebie od świtu aż do późnej nocy.

Poganiała także Toby'ego, inwalidę uwięzionego w piekle – w świecie, gdzie istniała wyłącznie Jill, której musiał być ślepo posłuszny.

Tygodnie, ponure i bolesne, zmieniły się w miesiące. Teraz, na sam widok zbliżającej się żony, Toby zaczynał płakać; wiedział, że zostanie ukarany. Z dnia na dzień stawała się bardziej bezlitosna. Zmuszała jego bezwładne kończyny do ruchu, póki męczarnia nie stawała się dla niego nie do zniesienia. Wydobywał z siebie straszne, bulgoczące dźwięki, błagając ją, by przestała, lecz Jill miała jedną tylko odpowiedź:

– Jeszcze nie. Dopóki nie będziesz znowu mężczyzną, do póki wszystkim nie pokażemy.

Masowała jego wymęczone mięśnie. Był bezradnym, wyrośniętym niemowlęciem, rośliną, niczym. Gdy patrzyła na niego, widziała go takim, jakim chciała go widzieć w przeszłości, a wówczas głośno obwieszczała:

– Będziesz chodził!

Stawiała go na nogi i trzymając go, przesuwała mu kolejno stopy, tak że poruszał się jak w groteskowej parodii chodzenia, niczym pijana, popsuta marionetka.

Jej migreny stawały się coraz częstsze. Jaskrawe światło, głośny hałas czy niespodziewany ruch wyzwały ból. Muszę pójść do lekarza, myślała. Później, gdy Toby będzie zdrow. Teraz nie miała czasu ani głowy, by zajmować się sobą.

Liczył się wyłącznie Toby.

Jakby ją coś opętało. Ubranie z niej zwisało, lecz Jill nie uświadamiała sobie ani ile straciła na wadze, ani jak wygląda. Twarz jej schudła i wyciągnęła się, oczy wpadły w głąb. Czarne włosy, niegdyś błyszczące i piękne, zwisały w smętnych kosmykach bez połysku. Nie wiedziała i nie dbała o to.

Któregoś dnia zastała pod drzwiami telegram z prośbą, by zadzwoniła do dra Kapłana. Nie miała na to czasu. Należało przestrzegać codziennej rutyny.

Dni i noce zwały się w jakiś niewyraźny ciąg kąpania Toby'ego, ćwiczenia go, przewijania, golenia i karmienia.

I zaczynania wszystkiego od początku.

Kupiła dla niego balkonik, przymocowywała do niego ręce Toby'ego i podtrzymując go, usiłowała nauczyć chodzenia; spacerowała z nim tam i z powrotem po pokoju, dopóki sama nie usypiała na stojąco; traciła świadomość tego, kim jest, gdzie przebywa i co robi.

Wreszcie, któregoś dnia, Jill zrozumiała, że to już koniec.

Była na nogach przez pół nocy. Kiedy w końcu przed świtem udała się na spoczynek do swojej sypialni, zapadła w głęboki sen. Obudziła się, gdy słońce było już wysoko na niebie. Przespała południe. Toby nie został wykąpany ani nakarmiony. Bezradny leżał w łóżku i czekał na nią, prawdopodobnie w panice. Jill chciała się podnieść i stwierdziła, że nie może się ruszyć. Była do szpiku kości wyczerpana, zmęczone ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Leżała bezradna ze świadomością, że przegrała, że nadaremne były dni i noce pełne męczarni, że miesiące powolnego umierania nie zdały się na nic. Ciało zdradziło ją tak, jak kiedyś zdradziło Toby'ego. Nie miała już sił, zbierało jej się na płacz. To już koniec.

Postyszała jakiś dźwięk dochodzący od drzwi i podniosła oczy. Na progu stał Toby, obejmując drżącymi rękoma balkonik; wydawał nieartykułowane dźwięki, ślinił się, próbując coś powiedzieć.

– Jiiiiigh... Jiiiiiiigh...

Próbował powiedzieć Jill". Z jej piersi mimo woli wydarł się szloch; nie była w stanie go opanować.

Od tej chwili Toby czynił postępy wręcz spektakularne. Teraz on także wiedział, że wyzdrowieje. Nie protestował już, gdy Jill zmuszała go do wysiłku przekraczającego jego wytrzymałość. Przeciwnie, był zadowolony. Chciał wyzdrowieć – dla niej.

Stała się jego boginią; przedtem ją kochał, teraz zaczął ją czcić.

W Jill również zaszła pewna zmiana. Przedtem walczyła o swoje własne życie; Toby był zaledwie narzędziem, które była zmuszona używać. W jakiś sposób to się zmieniło. Jakby Toby stał się integralną częścią niej samej. Stali się jednym ciałem, jedną głową, jedną duszą, oboje opętani przez ten sam cel. Oboje przeszli przez oczyszczającą próbę ognia. Miała jego życie w swoim ręku – uratowała je, oddechowała i wzmocniła. Z tego wyrosła swego rodzaju miłość. Toby należał do niej tak, jak ona należała do niego.

Zmieniła Toby'emu dietę, by mógł trochę przytyć. Sporo czasu spędzał codziennie na słońcu, przedsiębrał długie spacery po swej posiadłości, początkowo przy pomocy balkonika, potem tylko z laską. Odzyskiwał siły. Gdy nadszedł moment, że zaczął chodzić bez żadnej podpory, uczcili to wydarzenie uroczystym obiadem przy świecach.

Wreszcie Jill uznała, że można już Toby'ego pokazać ludziom. Zadzwoiła do dra Kapłana, pielęgniarka połączyła ją natychmiast.

– Jill! Strasznie się martwiłem. Wielokrotnie telefonowałem, ale nikt nie odpowiadał. Wysłałem telegram, a gdy nie było odpowiedzi, uznałem, że wywiozłaś gdzieś Toby'ego. Czy on... czy on..

– Przyjeźdź, a sam zobaczysz, Eli.

Dr Kapłan nie zdołał ukryć swego zdumienia.

– To nie do uwierzenia – powiedział. – To... to prawdziwy cud.

– To jest cud – odparła Jill. Tylko że w tym życiu cuda trzeba robić samemu, ponieważ Bóg jest zajęty gdzie indziej.

– Ludzie wciąż do mnie dzwonią i dopytują się o Toby'ego – mówił lekarz. – Widać nie mogli się tu dodzwonić. Sam Winters telefonuje przynajmniej raz w tygodniu. Dzwonił Clifton Lawrence.

Jill puściła wzmiankę o Cliftonie mimo uszu, ale Sam Winters! Dobra wiadomość. Musiała znaleźć sposób, by dać znać światu, że Toby Temple jest nadal supergwiazdą, że oni oboje nie przestali być Złotą Parą.

Zadzzwoniła do Wintersa następnego dnia rano i spytała, czy nie wpadłby do Toby'ego z wizytą. Przyjechał godzinę później. Jill otworzyła mu drzwi. Z trudem ukrył wstrząs na jej widok. Postarzała się o dziesięć lat, odkąd widział ją po raz ostatni. Oczy miała wpadnięte, podkrążone, twarz mocno pobrużdżoną. Schudła tak bardzo, że wyglądała jak szkielet.

– Dziękuję, że przyjechałeś, Sam. Toby będzie zadowolony, gdy cię zobaczy.

Winters spodziewał się, że zastanie mężczyznę w łóżku, że będzie to cień człowieka, którym aktor był niegdyś, lecz czekała go potężna niespodzianka. Toby leżał na kocu na brzegu basenu. Widząc Sama, podniósł się wolno, lecz pewnie, i wyciągnął do gościa rękę. Był opalony i wydawał się zdrowszy niż przed chorobą. Jakby w skutek jakiejś tajemniczej alchemii siły witalne Jill przepłynęły w ciało Toby'ego, a chorobotwórcze fluidy przemieściły się do niej.

– Hej! Jak to miło cię widzieć, Sam.

Mowa Toby'ego była nieco wolniejsza i dokładniejsza, niż kiedyś, lecz silna i wyraźna. Ani śladu paraliżu, o którym słyszał Winters. Ta sama chłopięca twarz z żywymi, fiołkowymi oczyma. Sam uścisnął Toby'ego i rzekł:

– Jezus, ale nas wystraszyłeś.

Toby uśmiechnął się i odparł:

– Nie musisz zwracać się do mnie, Jezus”, gdy jesteśmy sami.

Sam, pełen zachwytu, obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Nie mogę się pozbierać. Do diabła, przecież wyglądasz młodziej! A na mieście czyniono już przygotowania do pogrzebu.

– Po moim trupie – śmiał się Toby.

– Fascynujące, ile dzisiaj mogą lekarze...

– Żadni lekarze. – Toby odwrócił się, by rzucić okiem na żonę, w jego wzroku była adoracja. – Chcesz wiedzieć, kto to zrobił? Jill. Po prostu Jill. Gołymi rękami. Wyrzuciła z domu wszystkich i postawiła mnie na nogi.

Sam zerknął na kobietę zdumiony. Nigdy nie sprawiała na nim wrażenia dziewczyny zdolnej do takiego samozaparcia. Widać źle ją ocenił.

– Jakie masz plany? – spytał Toby'ego. – Z pewnością ze chcesz wypocząć...

– Wraca do pracy – odezwała się Jill. – Jest zbyt utalentowany, aby siedzieć i nic nie robić.

– Już mi nogi warczą – zgodził się Toby.

– Może Sam będzie miał dla ciebie jakąś propozycję – podsunęła Jill.

Oboje utkwili w nim wzrok. Sam nie chciał Toby'ego zniechęcać, ale też nie miał zamiaru podtrzymywać fałszywych nadziei. Przed przystąpieniem do kręcenia filmu gwiazdor musiał być ubezpieczony, a żadne towarzystwo ubezpieczeń nie będzie się kwapiło, by wystawić polisę Toby'emu Temple'owi.

– Jak na razie magazyn jest pusty – odparł ostrożnie. Lecz będę miał oczy otwarte.

– Boisz się dać mu rolę? – Jakby czytała w jego myślach.

– Oczywiście, że nie. – Lecz oboje wiedzieli, że Sam kłamie.

Nikt w Hollywood nie podejmie ryzyka zatrudnienia Toby'ego Temple'a.

Oglądali w telewizji występy młodego komika.

– Do kitu – prychnął Toby. – Do diabła, gdybym znowu mógł wejść na antenę. Może trzeba wynająć agenta. Kogoś, kto popyta tu i tam, jakie miałbym szansę.

– Nie! – jej ton był stanowczy. – Nie pozwolimy, by cię spławiano z miejsca na miejsce. Nie jesteś byle aktorzyną szukającym pracy. Jesteś Toby Temple. Zmusimy ich, by sami do nas przyszli.

Uśmiechnął się krzywo.

– Jakoś nie widać, żeby się pchali drzwiami i oknami, dziecinko.

– Ale będą – obiecała. – Nie wiedzą, w jakim jesteś stanie.

Jesteś w lepszej formie niż kiedykolwiek. Musimy im to pokazać.

– Mam może pozować nago w którymś z tych czasopism?

Jill nie słuchała.

– Mam pomysł – powiedziała z namysłem. – Spektakl jednego aktora.

– Hę?

– Spektakl jednego aktora. – W głosie jej narastało podniecenie. – Zorganizuję ci wieczór w Huntington Hartford Theatre. Całe Hollywood tam przyjdzie. A potem zastukają do drzwi!

I rzeczywiście – przyszło całe Hollywood: producenci, reżyserzy, aktorzy, krytycy – wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia w przemyśle rozrywkowym. Bilety rozprzedano błyskawicznie, a setki ludzi odesłano z niczym. Gdy Toby i Jill podjechali pod gmach teatru na Vine Street limuzyną prowadzoną przez szofera, na ulicy powitał ich rozradowany tłum. Przyjechał ich Toby. Powstał z martwych i do nich wrócił – uwielbiali go jeszcze bardziej niż kiedyś.

Publiczność przybyła do teatru po części z szacunku dla człowieka, który niegdyś był wielki i sławny, lecz przede wszystkim z ciekawości. Przyszli, by oddać ostatni hołd umierającemu bohaterowi, wypalonej gwiazdzie.

Jill planowała, że wystąpi osobiście. Zwróciła się do O'Hanlona i Raingera, a oni napisali jej zabawny tekst – monolog wyśmiewający miasto za pogrzebanie Toby'ego żywcem. Zwróciła się do zespołu wyspecjalizowanego w tekstach piosenek, trzykrotnego zdobywcy nagrody Akademii. Nigdy wprawdzie nie pisali na zamówienie, lecz przekonała ich słowami:

– Toby upiera się, że tylko wy możecie...

Dick Landry przyleciał z Londynu, by wyreżyserować przedstawienie.

Jill zaangażowała najlepszych, aby stworzyć Toby'emu odpowiednie tło, lecz wszystko w końcu zależało od niego samego. Miał to być faktycznie spektakl jednego aktora – na podium Toby będzie całkowicie sam.

Nadszedł wreszcie przełomowy moment. Światła przygasły, a na sali rozległ się pełen oczekiwania szum, który zawsze poprzedza podniesienie kurtyny, cicha modlitwa, by na scenie wydarzyło się coś cudownego.

Wydarzyło się.

Gdy Toby stanowczym pewnym krokiem wszedł na scenę, a przekorny uśmiech rozjaśniał chłopięcą twarz, na moment zapadła głęboka cisza, po czym nastąpiła eksplozja

oklasków i wrzasków. Potężna owacja na stojąco wstrząsała murami budynku przez pełne pięć minut.

Toby stał i czekał, aż to pandemonium nieco przycichnie, a gdy publiczność wreszcie uspokoiła się, spytał:

– Uważacie, że to właściwe powitanie? – Zaniesli się śmiechem.

Toby pokazał klasę. Opowiadał dowcipy, śpiewał i tańczył, atakował wszystkich, jakby nigdy nie opuszczał sceny. Publiczność nie chciała go puścić. Pozostał supergwiazdą, lecz teraz był czymś więcej; stał się żywą legendą.

Variety tak pisało następnego dnia: „Ludzie przyszli pogrzebać Toby’ego Temple’a, lecz pozostali, aby go oklaskiwać i chwalić. Zasłużył sobie na to! Czar starego mistrza nie ma sobie równych. Był to wieczór owacji i nikt spośród szczęśliwców tam obecnych z pewnością nie zapomni...”

Hollywood Reporter donosił, iż „publiczność przybyła do teatru, by powitać powracającą gwiazdę, lecz Toby Temple udowodnił, że nigdzie nie odchodził”.

Inne reportaże utrzymane były w równie pochwalnym tonie. Od tej chwili telefon u Toby’ego dzwonił bezustannie. Sypały się listy i telegramy z zaproszeniami i ofertami.

Pchano się drzwiami i oknami.

Toby powtórzył swój spektakl jednego aktora w Chicago, Waszyngtonie i Nowym Jorku; wszędzie przedstawienie budziło sensację. Zainteresowanie jego osobą było większe niż kiedykolwiek przedtem. Na fali życzliwej nostalgii wyświetlono stare obrazy Toby’ego w klubach filmowych i w kinach studyjnych. Stacje telewizyjne zorganizowały Tydzień Toby’ego Temple i puściły w eter jego stare programy rewiowe.

W sklepach pojawiły się lalki „Toby Temple” i gry „Toby Temple”, układanki, bawełniane koszulki, książki satyryczne. Plakaty z jego podobizną reklamowały kawę, herbatę i pastę do zębów.

Toby zagrał epizod w filmie muzycznym w wytwórni Universal. Miał również gościnnie występować we wszystkich wielkich programach varietes. Sieci telewizyjne zmobilizowały do pracy tekściarzy, aby w szybkim tempie przygotować nowy cotygodniowy program „Godzina z Tobym Temple’em”, Słońce ponownie wyjrzało zza chmur i opromieniło Jill.

Znów były przyjęcia i bankiety; ten ambasador i ów senator; prywatne pokazy filmowe i... Zapraszano ich wszędzie, byli niezbędni w każdej sytuacji. Ugoszczono ich obiadem w Białym Domu – zaszczyt zarezerwowany zwykle dla głowy państwa. Oklaskiwano ich, gdziekolwiek się pojawili.

Lecz teraz wychwalano Jill na równi z Tobym. Wspaniała historia o jej dokonaniach, o samodzielnym doprowadzeniu Toby’ego do zdrowia na przekór wszystkim przeciwnościom, poruszyła wyobraźnię całego świata. Prasa uczyniła z tego najwspanialszą historię miłosną dwudziestego wieku. Time zamieścił ich zdjęcie na okładce, a w towarzyszącym artykule złożył należne hołdy Jill.

Toby podpisał pięciomilionowy kontrakt za udział w cotygodniowym telewizyjnym varietes. Początek przewidziano na wrzesień, czyli za trzy miesiące.

– Jedziemy do Palm Springs, żebyś dobrze wypoczął do te go czasu – rzuciła Jill.

Toby potrząsnął głową.

– Byłaś dostatecznie długo odcięta od świata. Za to teraz pożyjemy. – Objął ją i dodał:
– Nie jestem mocny w gębie, dzieci no, chyba że są to dowcipy. Nie umiem wyrazić tego, co czuję.

Chciałbym... chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że żyć zacząłem dopiero, gdy poznałem ciebie.

Odwrócił się gwałtownie, żeby Jill nie dostrzegła łez w jego oczach.

Toby zorganizował tournée po Europie ze swym spektaklem jednego aktora. Miał odwiedzić Londyn, Paryż i – największy jego wyczyn – Moskwę. Wydzierano go sobie. W Europie, podobnie jak w Ameryce, stał się obiektem kultu.

W jasny, słoneczny dzień wypłynęli na Jill na Catalinę. Na pokładzie znalazło się kilkanaście osób, wśród nich Sam Winters, a także O’Hanlon i Rainger – autorzy tekstów do nowego telewizyjnego programu Toby’ego. Towarzystwo siedziało w salonie – grano w rozmaite gry, rozmawiano. Jill rozejrzała się i stwierdziła nieobecność męża. Wyszła na pokład.

Stał przy relingu i wpatrywał się w morze. Jill podeszła do niego i zapytała:

– Dobrze się czujesz?

– Patrzę na wodę, dziecinko.

– Prawda, że piękna?

– Dla rekina. – Zadrżał. – Nie tak chciałbym umrzeć. Zawsze przerażała mnie myśl o utonięciu.

Wsunęła rękę w jego dłoń.

– Co cię trapi?

– O to chodzi, że nie chcę umrzeć. Boję się tego, co jest tam.

Tutaj jestem wielkim człowiekiem. Wszyscy znają Toby’ego Temple’a. Ale tam..
Wiesz, jak wyobrażam sobie piekło?

Miejsce, gdzie nie ma publiczności.

Friars Club wydał uroczysty bankiet. Gościem honorowym był Toby Temple. Na podium zasiadało kilkunastu komików, gwiazdor i Jill, Sam Winters oraz dyrektor sieci, z którą Toby podpisał kontrakt. Poproszono Jill o powstanie. Zgotowano jej owację na stojąco. Ukłoniła się.

To mnie oklaskują, myślała. Nie Toby’ego. Mnie!

Mistrzem ceremonii był gospodarz słynnych, telewizyjnych nocnych dyskusji na żywo.

– Nie umiem wyrazić, jak jestem szczęśliwy, że mogę tutaj oglądać Toby’ego – powiedział. – Gdybyśmy bowiem nie czcili go dziś tutaj, zorganizowalibyśmy nasz bankiet w Forest Lawn.

A możecie mi wierzyć – jedzenie tam jest okropne. Czy jedliście kiedy w Forest Lawn? Podają tam resztki z Ostatniej Wieczerzy.

Śmiech.

Zwrócił się do Toby’ego.

– Jesteśmy dumni z ciebie, Toby. Naprawdę. Rozumiem, że proszono cię o zapisanie kawałka swego ciała nauce. Zamierzają włożyć go do słoja w Harvard Medical School. Jak na

razie wyłonił się jeden tylko problem: nie znaleźli słoja dość wielkiego, by ów kawałek się zmieścił.

Ryk.

Gdy nadeszła kolej Toby'ego, przewyższył wszystkich.

Zgodnie uznano, że tegoroczne przyjęcie było ze wszech miar udane.

Wśród gości był także Clifton Lawrence.

Siedział w końcu sali, w pobliżu kuchni, między innymi nieważnymi osobami. Musiał długo powoływać się na wieloletnią przyjaźń, żeby dostać chociaż to miejsce. Odkąd Toby go zwolnił, Lawrence'a uznano za przegranego. Usiłował wejść jako wspólnik do dużej agencji. Nie mając jednak klientów, nie posiadał nic do zaoferowania. Próbował zahaczyć się w mniejszych agencjach, lecz nie byli zainteresowani przegranym facetem w średnim wieku; woleli agresywną młodzież. W rezultacie Clifton zmuszony był wziąć posadę w niewielkiej, niedawno powstałej agencji. Swego czasu potrafił w jeden wieczór u Romanoffa wydać więcej, niż obecnie wynosiły jego tygodniowe pobory.

Lawrence'owi stanął w pamięci jego pierwszy dzień w nowej agencji. Należała do trzech przedsiębiorczych młodych ludzi – nie, raczej chłopców. Cała trójka dobiegała dopiero trzydziestki. Ich klienci rekrutowali się spośród gwiazd rocka. Dwaj agenci nosili brody, a wszyscy trzej – dzinsy, sportowe koszule i tenisówki na gołych nogach. Lawrence czuł się przy nich jak stuletni staruszek. Mówili językiem, którego nie rozumiał. Zwracali się do niego per „tatusiu” lub „staruszk”. Gdy przypomniał sobie, jak wielki szacunek budził ongi w tym mieście, miał ochotę zapłakać.

Niegdyś elegancki i pełen radości życia impresario stał się obecnie niechlujny i zgorzkniały. Toby Temple był całym jego życiem i Clifton nieustannie nawiązywał do dawnych czasów. Równie często powracał w myślach do przeszłości. No i do Jill.

Winił ją za wszystko, co go spotkało. Toby nic nie mógł na to poradzić; był całkowicie pod wpływem tej suki. Tym bardziej Lawrence nienawidził Jill.

Z końca sali obserwował tłum oklaskujący Jill Temple, gdy jeden z mężczyzn siedzących przy stoliku odezwał się:

– Toby to ma fart. Chciałbym i ja mieć takie ciało. Jest wspaniała w łóżku.

– Taa? – spytał ktoś cynicznie. – Skąd możesz wiedzieć?

– Widziałem ją w takim kawałku porno w Pussycat Theatre.

Do diabła, myślałem, że wyssie facetowi wątrobę.

Clifton poczuł nagłą suchość w ustach, z trudem wydobywał słowa.

– Jest pan pewien... czy jest pan pewien, że to była Jill Castle? – spytał.

Nieznajomy odwrócił się do niego.

– Jasne, że jestem pewien. Używa tam innego nazwiska Josephine jakaś tam. Wariackie polskie nazwisko. – Przyjrzał się uważnie Cliftonowi i spytał: – Hej! Czy pan nie był kiedyś Cliftonem Lawrence'em?

Odcinek Santa Monica Boulevard, między Fairfax a La Cienega, należy do terytorium hrabstwa. Część wyspy, otoczonej przez miasto Los Angeles, podlega prawodawstwu hrabstwa, które jest znacznie liberalniejsze niż prawa miejskie. Na obszarze zajęтым przez sześć budynków znajdują się cztery sale kinowe, w których wyświetla się najtwardsze porno, kilka księgarni, gdzie klienci mogą wynająć kabinę i indywidualnie przez wizjer oglądać

filmy, oraz kilkanaście salonów masażu, po brzegi wypełnionych pełnoletnimi młodymi dziewczętami wyćwiczonymi w dawaniu wszystkiego z wyjątkiem masażu. W samym centrum tego wszystkiego stoi Pussycat Theatre.

W mrocznej sali kinowej siedziało dwadzieścia kilka osób, sami mężczyźni, z wyjątkiem dwóch kobiet trzymających się za ręce. Clifton rozejrzał się po publiczności i zadumał nad przyczynami, które pchały ludzi w słoneczny dzień do ciemnych nor, by tam godzinami oglądać na ekranie sceny nierządu uprawianego przez innych ludzi.

Zaczął projekcję głównego filmu i Clifton zapomniał o całym świecie, pochłonięty tym, co widział na ekranie. Pochylił się w fotelu do przodu, z uwagą śledząc twarze aktorek. Film opowiadał o młodym profesorze college'u, który w swojej sypialni udzielał studentkom nocnych lekcji. Wszystkie były młode, zaskakująco atrakcyjne i niewiarygodnie uzdolnione. Przerobiono najróżniejsze ćwiczenia seksualne: oralne, waginalne i analne, aż profesor poczuł się równie usatysfakcjonowany, jak jego uczennice.

Lecz żadna z tych dziewcząt nie była Jill. Musi tu być, myślał Lawrence. To jego jedyna szansa, by się na niej zemścić za wszystko, co mu zrobiła. Zaaranżuje specjalny pokaz dla Toby'ego. Zrani go to, ale się pozbiera. Za to Jill będzie skończona. Gdy Toby się dowie, jaką kurwę poślubił, kopnie ją w dupę na do widzenia. Jill musi wystąpić w tym filmie.

Nagle się pojawiła – na szerokim ekranie, w cudownych, żywych kolorach. Bardzo się zmieniła od tamtej pory. Była teraz szczuplejsza, piękniejsza i bardziej światowa. Lecz z pewnością była to Jill. Clifton upajał się tą sceną, rozkoszował, karmił nią zmysły, przepełniony elektryzującym poczuciem triumfu i odwetu.

Pozostał na miejscu, póki nie wyświetlono nazwisk wykonawców. Znalazł to, którego szukał: Josephine Czinski. Wstał i skierował się do kabiny operatora. Wewnątrz siedział mężczyzna w samej koszuli, zagłębiony w programie wyścigów. Zerknął na Cliftona i rzekł:

– Nikomu nie wolno tu wchodzić, chłopie.

– Chciałbym kupić kopię tego filmu.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie jest na sprzedaż – rzekł i powrócił do programu.

– Dam sto dolców za duplikat. Nikt się nie dowie.

Mężczyzna nawet nie spojrzał.

– Dwie stówy.

Operator odwrócił kartkę.

– Trzy stówy.

Facet przyjrzał się Lawrence'owi uważnie.

– W gotówce?

– W gotówce.

Następnego dnia Clifton przybył pod dom Temple'ów o dziesiątej rano, dzierżąc pod pachą płaskie, metalowe pudełko z taśmą. Nie, to nie film, myślał rozradowany. To dynamit. Wystarczy, żeby wysłać JUI Castle do piekła.

Drzwi otworzył angielski lokaj, którego Clifton nigdy przedtem nie widział.

– Powiedz panu Temple'owi, że Clifton Lawrence chce się z nim widzieć.

– Przykro mi, proszę pana, ale pana Temple'a nie ma.

– Poczekam – rzucił Clifton stanowczo.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Pan i pani Temple polecieli dziś rano do Europy –
odparł lokaj.

Rozdział XXXII

Podróż po Europie stała się jednym pasmem triumfów.

W Londynie, w wieczór premiery w teatrze Palladium, Oxford Circus było wypełnione po brzegi tłumem usiłującym gorączkowo choć raz rzucić okiem na Toby'ego i Jill. Obszar wokół Argyll Street otoczono kordonem policji municypalnej. Kiedy tłum przerwał kordon, pospiesznie wezwano na pomoc oddziały policji konnej. Punktualnie o ósmej przybyła rodzina królewska i przedstawienie się rozpoczęło.

Toby przeszedł najśmielsze oczekiwania. Z twarzą noszącą wyraz niczym nie skalanej niewinności, zaatakował rząd brytyjski i jego samozadowolenie. Wyjaśnił, jak to się stało, że Wielka Brytania stała się słabsza od Ugandy, i nadmienił, że widać na to zasługiwała. Publiczność ryczała ze śmiechu – wiedzieli, że Toby tylko żartuje, że nie myśli tego na serio, że ich uwielbia.

Tak jak oni uwielbiali Toby'ego.

Przyjęcie w Paryżu było jeszcze bardziej hałaśliwe. Jill i Toby byli gośćmi Pałacu Prezydenckiego, przydzielono im służbową limuzynę. Ich fotografie pojawiały się codziennie na pierwszych stronach gazet. Przed ich przybyciem do teatru wzmocniono siły policyjne, aby utrzymać w ryzach tłum. Po spektaklu udali się pod eskortą do czekającego na nich samochodu, gdy nagle tłum przerwał kordon policji i setka Francuzów rzuciła się na nich z wrzaskiem:

– Toby, Toby... on veut Toby!

Setki rąk uzbrojonych w pióra i pamiętniki wyciągnęło się z prośbą o autograf. Ludzie napierali, aby choć dotknąć wielkiego Toby'ego i jego cudowną Jill. Policja była bezsilna, została zmieciona na bok. W pogoni za pamiątkami podarto na Tobym ubranie; w ścisku zostali niemal zgnieceni, lecz Jill nie czuła żadnych obaw. Ten tumult był hołdem dla niej. Dla tych ludzi zrobiła to, co zrobiła: przywróciła im Toby'ego.

Moskwa stanowiła ostatni etap podróży.

W czerwcu jest to jedno z najpiękniejszych miast świata. Pełne uroku brzozy, lipy i rabaty żółtych kwiatów ciągną się wzdłuż szerokich bulwarów, po których przechadzają się w słońcu tłumy mieszkańców i turystów. Trwa sezon turystyczny. Z wyjątkiem oficjalnych gości, turyści w Związku Radzieckim obsługiwani są przez Intourist – agencję rządową, która załatwia transport, hotele i przewodników. Na międzynarodowym lotnisku Szeremietiewo na Toby'ego i Jill czekała limuzyna ził, która zawiozła ich wprost do hotelu Metropol, zarezerwowanego zwykle dla VIP-ów z krajów satelickich. Apartament zaopatrzone w stoliczną i czarny kawior.

W hotelu powitał ich dostojnik partyjny, generał Jurij Romanowicz.

– Niewiele filmów amerykańskich do nas trafia, panie Temple, lecz pana filmy często tutaj wyświetlamy. Ludzie radzieccy wiedzą, że geniusz przekracza wszystkie granice.

Toby miał dać trzy przedstawienia w Teatrze Wielkim. Owacja w dniu premiery przeznaczona była w części dla Jill. Z powodu bariery językowej Toby większość numerów przedstawił w formie pantomimy. Publiczność była zachwycona. Zjadliwy donos, wygłoszony w języku pseudorosyjskim, wywołał burzę śmiechu i oklasków, które, niczym błogosławieństwo, odbijały się echem w ogromnej sali.

Przez następne dwa dni generał Romanowicz towarzyszył im w zwiedzaniu miasta. Odwiedzili park Gorkiego, gdzie odbyli przejażdżkę na diabelskim młynie, obejrzelili historyczną cerkiew św. Wasyla. Zostali zaproszeni do cyrku oraz na wielki bankiet w Aragvi, gdzie podano najrzadszy gatunek złotego kawioru, zakąski i pasztet zapiekany w cieście. Na deser była wyśmienita szarlotka w sosie morelowym.

I znów zwiedzanie. Pojechali do muzeum Puszkina, mauzoleum Lenina; obejrzelili także „Dietskij Mir” – zachwycający sklep z zabawkami dla dzieci.

Pokazano im nawet miejsca, o których istnieniu wie niewielu Rosjan. Ulica Granowsko, zapchana służbowymi czajkami i wołgami. Nie rzucające się w oczy drzwi z napisem „Wstęp za specjalnymi pozwoleniami” – a wewnątrz półki uginające się pod ciężarem luksusowych artykułów spożywczych z całego świata. To tutaj „naczelstwo” robi zakupy.

Wreszcie zawieziono ich do luksusowej daczy, gdzie w małej sali kinowej wyświetla się zagraniczne filmy dla grupki uprzywilejowanych. Fascynujące zbliżenie ludowego państwa.

W dniu ostatniego przedstawienia państwo Temple szykowali się na popołudniowe zakupy.

– Może pójdziesz sama, dziecinko? – powiedział Toby. Położę się na chwilę.

Popatrzyła nań uważnie.

– Czy dobrze się czujesz?

– Świetnie. Tylko trochę jestem zmęczony. Idź, wykup całą Moskwę.

Jill zawahała się. Toby był błydy. Po powrocie dopilnuje, żeby dobrze wypoczął przed rozpoczęciem pracy w telewizji.

– Dobrze – zgodziła się. – Zdrzemnij się.

Jill przechodziła przez hol, kierując się do wyjścia, gdy postyszała męski głos wołający:

– Josephine!

Rozpoznała ten głos natychmiast, jeszcze zanim się odwróciła; na ułamek sekundy powiało dawną magią.

David Kenyon szedł w jej kierunku z uśmiechem na ustach i mówił:

– Tak się cieszę, że cię widzę.

Jill miała wrażenie, że serce jej przestało bić. To jedyny mężczyzna, który wywołuje taką reakcję, pomyślała.

– Napijesz się ze mną? – spytał.

– Tak – odpowiedziała.

Duży bar hotelowy był przepelniony, lecz udało im się znaleźć względnie cichy stolik w rogu sali, gdzie mogli spokojnie porozmawiać.

– Co robisz w Moskwie? – spytała Jill.

– Jestem tu na zlecenie rządu. Trwają rozmowy nad kontraktem naftowym.

Znudzony kelner podszedł do nich i przyjął zamówienie na drinki.

– Jak Cissy?

David przyglądał jej się chwilę, nim oznajmił:

– Rozwiedliśmy się kilka lat temu. – Celowo zmienił temat rozmowy. – Śledziłem z daleka twoje losy. Toby Temple był moim idolem od czasów młodości. – Zabrzmiało to tak, jakby Toby był starcem. – Cieszę się, że wyzdrowiał. Martwiłem się o ciebie, gdy czytałem o jego chorobie. – W oczach Davida pojawił się wyraz, który Jill pamiętała z dawnych czasów: pragnienie, potrzeba.

– Myślę, że Toby był wspaniały w Londynie – mówił David.

– Byłeś tam?

– Tak. – I szybko dodał: – Miałem tam pewne interesy.

– Dlaczego nie wszedłeś tylnym wejściem?

Zawahał się.

– Nie chciałem się narzucać. Nie wiedziałem, czy zechcesz mnie widzieć.

Podano im drinki w ciężkich, niskich szklankach.

– Wasze zdrowie – powiedział David. Sposób, w jaki to powiedział, zdradzał jakiś ukryty smutek, głód...

– Zawsze zatrzymujesz się w Metropolu? – spytała Jill.

– Nie. Jeśli idzie o ścisłość, to musiałem się dobrze nauczać, nim dostałem... – Zbyt późno dostrzegł pułapkę. Krzywo się uśmiechnął. – Wiedziałem, że tu będziecie. Miałem opuścić Moskwę pięć dni temu. Czekałem w nadziei, że natknę się na was.

– Dlaczego, Davidzie?

Upłynęła długa chwila, nim odpowiedział.

– Jest już za późno, lecz mimo wszystko chcę ci powiedzieć, gdyż uważam, że masz do tego prawo.

Opowiedział o swoim małżeństwie z Cissy, o tym, jak go nabrała, o próbie samobójstwa i o nocy, kiedy poprosił Jill o spotkanie nad jeziorem. Mówił z takim wybuchem uczuć, że Jill słuchała cała drżąca.

– Przez cały czas kochałem tylko ciebie.

Czuła, że zalewa ją fala szczęścia jak ciepłe wino. Było to jak urzeczywistnienie najśrodszych snów, realizacja wszystkiego, o czym marzyła, czego pragnęła. Wpatrywała się w mężczyznę siedzącego naprzeciwko; przypomniało jej się dotknięcie jego silnych rąk, twarde, pożądlive ciało i poczuła w sobie niepokój. Przecież Toby stał się częścią niej samej, jej własnym ciałem; a David...

Tuż przy niej odezwał się głos:

– Pani Temple! Szukamy pani! – Był to generał Romanowicz.

Jill spojrzała na Davida.

– Zadzwoń do mnie rano.

Ostatnie przedstawienie Toby'ego w Teatrze Wielkim wywołało jeszcze większe poruszenie niż poprzednio. Widzowie rzucali kwiaty, wrzeszczeli, tupali nogami, odmawiali opuszczenia sali. Było to piękne ukoronowanie wszystkich triumfów Toby'ego. Po spektaklu przewidziane było przyjęcie, ale Toby wymówił się:

– Jestem wypompowany, bogini. Idź sama. A ja wrócę do hotelu i położę się.

Jill poszła sama na przyjęcie, lecz miała wrażenie, że David towarzyszy jej cały czas. Konwersowała z gospodarzami, tańczyła, dziękowała za hołdy, które jej składano, lecz

w duchu cały czas przeżywała spotkanie z Davidem. Poślubiłem niewłaściwą dziewczynę. Cissy i ja rozwiedliśmy się. Nigdy nie przestałem cię kochać.

O drugiej w nocy eskorta Jill pozostawiła ją pod drzwiami apartamentu. Weszła do środka i zastała Toby'ego leżącego na podłodze, nieprzytomnego, z ręką wyciągniętą w kierunku telefonu.

Toby'ego przewieziono ambulansem do kliniki dla dyplomatów przy Prospekcie Swerszkowa. W środku nocy ściągnięto trzech wybitnych specjalistów. Wszyscy okazali Jill współczucie. Dyrektor szpitala odprowadził ją do oddzielnego gabinetu, gdzie czekała na wiadomości. To powtórka, myślała Jill. To się już raz zdarzyło. Wszystko wydawało się nierealne, jakby za mgłą.

Minęły godziny, nim otworzyły się drzwi i wszedł niski, gruby Rosjanin, kołysząc się jak kaczką. Ubranie źle na nim leżało i wyglądał jak kiepsko zarabiający hydraulik.

– Jestem dr Durów – powiedział. – Powierzono mi opiekę nad pani mężem.

– Chcę wiedzieć, co z nim.

– Proszę usiąść, pani Temple.

Jill zerwała się na nogi, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Niech pan mi powie!

– Pani mąż przeżył udar mózgu. Wszystko wskazuje na za krzep tętnicy mózgowej.

– Jak groźny?

– Jest w najwyższym stopniu – jak to powiedzieć – poważny, niebezpieczny. Jeśli przeżyje – a jest za wcześnie, by o tym wyrokować – nigdy nie będzie mówić ani chodzić. Umysł pozostał jasny, ale ciało jest całkowicie sparaliżowane.

David zadzwonił, zanim Jill opuściła Moskwę.

– Nie umiem wyrazić, jak mi przykro – powiedział. – Będę w pobliżu. Przyjadę, jak tylko będę potrzebny. Pamiętaj o tym.

Jego słowa pozwoliły Jill zachować zdrowe zmysły w obliczu koszmaru, który znowu się zaczął.

Podróż do domu była piekłem, które już raz przeżyła. Szpitalne łóżko w samolocie, ambulans z lotniska do domu, pokój chorego.

Mimo podobieństwa sytuacja była inna. Jill wiedziała o tym, odkąd pozwolono jej zobaczyć męża. Serce biło, niezbędne organy funkcjonowały; można go było uznać pod każdym względem za żyjący organizm. A przecież nie żył. Był oddychającym trupem, martwym człowiekiem w namiocie tlenowym, z wystającymi niczym anteny z jego ciała igłami i rurkami, przez które doprowadzano płyny niezbędne do utrzymania go przy życiu. Jego twarz wykrzywiła się w przerażającym grymasie, który nadawał jej pozory uśmiechu, wargi były skurczone, tak że widać było dziąsła. Nie ma nawet cienia nadziei na poprawę, powiedział rosyjski lekarz.

Było to kilka tygodni temu. Obecnie przebywali w swoim domu w Bel-Air. Jill natychmiast wezwała dra Kapłana, który ściągnął specjalistów, a ci z kolei wezwali dalszych specjalistów. Diagnoza była ciągle taka sama: rozległy udar, który poważnie uszkodził lub zniszczył ośrodki nerwowe, z minimalną szansą na odwrócenie szkód, które już zostały zrobione.

Zaangażowano pielęgniarki na całą dobę i fizykoterapeutę do pracy z chorym, lecz tym razem były to tylko puste gesty.

Obiekt tych zabiegów wyglądał wręcz groteskowo. Skóra mu zżółkła, włosy wypadły całymi pęczkami. Sparaliżowane kończyny stały się pomarszczone i żylaste. Twarz zastygła w ohydny uśmiechu, którego nie był w stanie się pozbyć. Wyglądał monstrualnie niczym śmiertelna maska.

Oczy jednak pozostały żywe. I to jak! Wyrażały całą potęgę i frustrację świadomości uwięzionej w tej beużytecznej skorupie. Ilekroć Jill wchodziła do jego pokoju, podążał za nią wzrok Toby'ego – z wyrazem gorączkowego oczekiwania, prośby, błagania. O co? Żeby przywrócić mu zdolność chodzenia? Mówienia? Żeby zrobiła z niego na powrót mężczyznę?

Niejednokrotnie przyglądała mu się w milczeniu i myślała: To część mnie samej leży na tym łóżku i cierpi w bezruchu. Byli ze sobą związani. Oddałaby wszystko, byle uratować Toby'ego, byle uratować samą siebie. Lecz zdawała sobie sprawę, że nie ma szans. Nie tym razem.

Telefon odzywał się bezustannie; dzwoniło z wyrazami współczucia i każda rozmowa była repliką poprzednich.

Z jednym wyjątkiem. Zadzwoił David Kenyon.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że jeśli będę do czegoś potrzebny – do czegokolwiek – jestem do dyspozycji.

Jill pomyślała o tym wysokim, przystojnym, silnym mężczyźnie i zestawiała go z nieszczęsną karykaturą człowieka w sąsiednim pokoju.

– Dziękuję, Davidzie. Jestem ci wdzięczna. Nic nie możesz zrobić. Na razie nic.

– Mamy w Houston kilku świetnych lekarzy. Czołówka światowa. Mógłbym ich posłać do ciebie samolotem.

Jill poczuła skurcz w gardle. Na wargi cisnęła jej się prośba do Davida, by ją zabrał z tego miejsca! Lecz nie mogła. Była związana z Tobym i wiedziała, że nigdy go nie opuści.

Dopóki będzie żył.

Dr Kapłan zakończył badanie Toby'ego. Jill czekała w bibliotece. Gdy stanął w progu, odwróciła się do niego. Odezwał się, usiłując nieporadnie zażartować:

– No więc, Jill, mam dobrą wiadomość i mam złą wiadomość.

– Zaczynaj od złej.

– Obawiam się, że uszkodzenia mózgu u Toby'ego są zbyt rozległe, aby to się mogło cofnąć. Co do tego nie ma dwóch zdań. Tym razem nie. Nigdy już nie będzie chodził. Nigdy nie będzie mówił.

Długo wpatrywała się w niego, na koniec spytała:

– A ta dobra wiadomość?

Lekarz uśmiechnął się.

– Serce Toby'ego jest zdumiewająco silne. Przy odpowiedniej opiece może żyć jeszcze dwadzieścia lat.

Jill spojrzała na niego z niedowierzaniem. Dwadzieścia lat. I to miała być dobra wiadomość! Ujrzała siebie obarczoną tym strasznym potworem na piętrze, uwikłaną w koszmar, od którego nie było ucieczki. Nigdy, do końca jego życia, nie będzie mogła rozwieść się z Tobym. Nikt by tego nie zdołał zrozumieć. Była bohaterką, która kiedyś

uratowała mu życie. Gdyby teraz go opuściła, wszyscy poczuliby się zdradzeni, oszukani. Nawet David Kenyon.

David dzwonił teraz codziennie i ustawicznie mówił o jej cudownej lojalności i samozaparciu; oboje zdawali sobie sprawę z głębokiej więzi emocjonalnej istniejącej między nimi.

Nie wypowiedziana kwestia brzmiała: Gdy Toby umrze...

Rozdział XXXIII

Trzy pielęgniarki, na zmianę, opiekowały się Tobym przez całą dobę. Energiczne i sprawne jak maszyny, były całkowicie pozbawione cech ludzkich. Jill zadowalała ich obecność. Nie mogła znieść widoku męża; obrzydliwa, uśmiechnięta maska odrzucała ją. Wynajdywała coraz to inne wymówki, aby trzymać się od niego z daleka. A gdy już zmusiła się do wejścia do jego pokoju, wyczuwała zmianę, jaka w nim natychmiast zachodziła. Nawet pielęgniarki to dostrzegały. Toby leżał nieruchomo, całkowicie bezwładny, sparaliżowany. Jednak w momencie pojawienia się żony, w fiołkowych oczach zapalał się błysk życia. Jill odczytywała jego myśli równie jasno, jakby wypowiedział je na głos. Nie pozwól mi umrzeć. Pomóż mi! Ratuj mnie!

Wpatrywała się w tę ruinę człowieka i myślała: Nie mogę ci pomóc. Nie chcesz dalej tak żyć. Chcesz umrzeć.

Ta myśl potężniała w głowie Jill.

W gazetach aż roiło się od opowieści o nieuleczalnie chorych mężach, których żony uwalniały od bólu. Nawet niektórzy lekarze przyznawali, że zdarzało im się pozwolić pacjentowi umrzeć. Określano to słowem eutanazja. Zabójstwo z litości. Jill wiedziała jednak, że można to również nazwać morderstwem, mimo że w Tobym nie żyło już nic poza tymi przeklętymi oczyma, które nigdy nie przestaną za nią podążać.

W ciągu następnych tygodni nie opuszczała domu. Większość czasu spędzała zamknięta w swojej sypialni. Migreny wróciły i nic nie przynosiło jej ulgi.

Gazety i czasopisma publikowały historyjki o sparaliżowanym gwiazdorze i jego pełnej poświęcenia żonie, której już raz udało się przywrócić mu zdrowie. Spekulowano, czy Jill zdoła powtórnie dokonać cudu. Ona jednak wiedziała, że tym razem żadnych cudów nie będzie. Toby nigdy nie odzyska zdrowia.

Dwadzieścia lat, powiedział dr Kapłan. A David tam na nią czeka. Musi znaleźć drogę ucieczki z tego więzienia.

Zaczęło się to pewnej ciemnej, ponurej niedzieli. Padało od samego rana. Deszcz bębnił o dach i szyby przez cały dzień, doprowadzając Jill niemal do szaleństwa. Była w swojej sypialni, usiłowała zająć się czytaniem, aby usunąć z mózgu natrętnie narzucający się odgłos padających kropeł, gdy weszła pielęgniarka. Nazywała się Ingrid Johnson i była bardzo nordycka. Szeleściła wykrochmalonym uniformem.

– Palnik na górze nie działa – poinformowała. – Muszę zejść na dół do kuchni przygotować obiad dla pana Temple’a.

Czy mogłaby pani pobyć z nim przez te kilka minut?

Jill wyczuła w głosie pielęgniarki dezaprobatę. Miejsce żony jest przy łóżku chorego męża.

– Zaopiekuję się nim – odparła Jill.

Odłożyła książkę i poszła przez hol do sypialni chorego. Już w progu w jej nozdrza uderzył znajomy odór choroby. W jednej chwili opadły ją wspomnienia tych strasznych, długich miesięcy, kiedy walczyła o zdrowie Toby’ego.

Głowa chorego wspierała się o dużą poduszkę. Ledwie Jill weszła, jego oczy zapłonęły, gorączkowo przekazując wiadomości. Gdzie byłeś? Dlaczego byłeś tak daleko ode

mnie? Potrzebuję cię. Pomóż mi! Zupełnie jakby jego oczy potrafiły posługiwać się głosem. Jill spojrzała na wstrętne, skręcone ciało, na wiecznie uśmiechniętą śmiertelną maskę i poczuła mdłości. Nigdy nie wydobrzejesz, niech cię diabli! Musisz umrzeć! Chcę, żebyś umarł!

Wpatrując się w niego, dostrzegła, jak zmienia się wyraz jego oczu. Pojawił się w nich szok i niedowierzanie, a potem wypełniły się taką nienawiścią, taką niczym nie maskowaną złością, że Jill, mimo woli, cofnęła się o krok do tyłu. Nagle zrozumiała, co się stało: wypowiedziała swoje myśli na głos. Odwróciła się i uciekła z pokoju.

Rano deszcz ustał. Stary fotel na kółkach dawno już przyniesiono z piwnicy. Pielęgniarka z dziennej zmiany, Frances Gordon, wiozła Toby'ego w fotelu do ogrodu, aby zażył nieco słońca. Przejżdżali przez hol w stronę windy. Jill słyszała skrzypienie toczących się kół. Odczekała kilka minut i zeszła na dół. Mijała właśnie bibliotekę, gdy zadzwonił telefon. Z Waszyngtonu odezwał się David.

– Jak się miewasz? – spytał ciepło, z troską w głosie.

Jeszcze nigdy nie była tak zadowolona, słysząc jego głos.

– Dobrze, Davidzie.

– Tak bym chciał, żebyś była ze mną, kochanie.

– Ja też. Tak bardzo cię kocham. I chcę ciebie. Chcę, żebyś mnie trzymał znowu w ramionach. Och, Davidzie...

Jakiś instynkt kazał jej się odwrócić. Toby, przywiązany do fotela, był w holu, gdzie go pielęgniarka na moment zostawiła. Fiołkowe oczy błysnęły w kierunku Jill taką nienawiścią, taką wrogością, że odczuła to jak uderzenie. Toby wzrokiem mówił, wręcz krzyczał: Zabiję cię! W panice rzuciła słuchawkę.

Wybiegła z pokoju i popędziła schodami na górę, czując jak nienawiść Toby'ego depte jej po piętach, niczym jakaś gwałtowna, złowroga siła. Cały dzień spędziła w sypialni, nie przyjmując posiłków. Siedziała w fotelu jakby w transie, a jej umysł wciąż powracał do sceny przy telefonie. Toby wiedział. Wiedział. Nie mogła stanąć przed nim twarzą w twarz.

Wreszcie nadeszła noc. Była połowa czerwca i powietrze było jeszcze silnie nagrzone. Jill otworzyła szeroko okna w sypialni, aby wpuścić nieco chłodniejszego powiewu.

W pokoju chorego dyżur miała siostra Gallagher. Podeszła na palcach, aby zerknąć na pacjenta. Pragnęła móc odczytać je go myśli, wówczas może mogłaby jakoś pomóc temu biedakowi. Poprawiła Toby'emu koce.

– A teraz będzie pan smacznie spał – powiedziała radośnie. – Będę przy panu czuwać.
– Nie było żadnej reakcji. Toby nie podniósł na nią oczu.

Może dobrze, że nie umiem odczytać jego myśli, przyszło jej do głowy. Po raz ostatni rzuciła okiem na pacjenta i poszła do niewielkiego saloniku obejrzeć nocny program telewizyjny. Lubiła dyskusje i wywiady prowadzone na żywo, lubiła obserwować gwiazdy ekranu, jak gawędziły o sobie. Robiły się wówczas bardziej „ziemskie”, podobne do zwykłych ludzi. Ściszyła dźwięk, aby nie przeszkadzać choremu. Lecz Toby i tak by tego nie usłyszał. Jego myśli krążyły gdzie indziej.

Dom spał, bezpieczny wśród dobrze strzeżonych lasów Bel-Air. Słabe odgłosy ruchu dobiegały z odległego Sunset Boulevard. Siostra Gallagher oglądała w telewizji film. Chętnie obejrzałaby jakiś stary obraz Toby'ego Temple'a. Byłoby to bardzo podniecające: oglądać

pana Temple'a na ekranie i jednocześnie wiedzieć, że jest tutaj, oddalony ledwie o kilka kroków.

O czwartej nad ranem zdrzemnęła się w trakcie oglądania jakiegoś filmu grozy.

W pokoju Toby'ego panowała głęboka cisza.

W sypialni Jill słysząc było wyłącznie tykanie zegara stojącego na stoliku nocnym. Pograżona w głębokim śnie Jill leżała nago na łóżku, jej ciało zdawało się ciemne na tle białej pościeli. Uliczne hałasy były stłumione i dość odległe.

Kręciła się bezustannie przez sen i cały czas drżała. Śniło jej się, że wyjechała z Davidem w podróż poślubną na Alaskę. Znajdowali się na rozległej, zmrożonej równinie, gdy niespodzianie rozpętała się burza. Wiatr wiał im prosto w twarz, lodowate powietrze utrudniało oddychanie. Odwróciła się do Davida, lecz już go nie było. Była sama w mroźnej Arktyce – kaszląc walczyła o oddech.

Obudziły ją odgłosy czyjś duszenia się. Słyszała straszne, spazmatyczne charczenie, jakby rżenie przedśmiertne i otworzyła oczy – odgłosy dobywały się z jej gardła. Nie mogła złapać tchu. Zewsząd otaczała ją lodowate powietrze niczym nieprzyzwoite okrycie, które pieściło jej nagie ciało, głaskało piersi, całowało usta, wionąc obrzydliwą, grobową wonią. Serce waliło Jill jak młotem, gdy walczyła o tlen. W klatce piersiowej kłuło ją od zimna. Spróbowała usiąść, lecz nie mogła, jakby przygniatał ją jakiś niewidzialny ciężar. Wiedziała, że to musi być sen, lecz jednocześnie słyszała ohydne rżenie dobywające się z jej gardła, gdy walczyła o oddech.

Umierała. Czy można umrzeć podczas koszmarów sennych? Czuła, jak delikatne zimne wici obmacują jej ciało, wsuwają się między nogi, wchodzą w nią, wypełniają ją i – z nagłością, która powoduje, że serce przestaje bić – zrozumiała: to był Toby. To musiał być Toby.

Gwałtowna fala przerażenia dodała jej sił – zdołała przycupnąć w nogach łóżka, ciężko dysząc, ciałem i duchem walcząc o przetrwanie. Spuściła z łóżka nogi i pokonując opory, zdołała stanąć; pomknęła do drzwi, czując, jak zimno podąża za nią, otacza ją, czepia się jej. Palcami wymacała klamkę i otworzyła drzwi. Bez tchu wybiegła do holu i napelniła spragnione płuca tlenem.

W holu było ciepło, cicho, spokojnie. Jill chwiała się na nogach, zęby jej szczękały. Odwróciła się i spojrzała w głąb swej sypialni. Wyglądała zwyczajnie i kojąco. To był tylko koszmarny sen. Chwilę się wahała, potem powoli przeszła przez próg. W pokoju było ciepło. Nic nie budziło obaw. Rzecz jasna, Toby nie mógł jej skrzywdzić.

Siostra Gallagher obudziła się w swym saloniku i wstała, by rzucić okiem na pacjenta.

Toby Temple leżał w łóżku, tak jak go zostawiła. Jego oczy wpatrywały się w sufit, utkwione w coś, czego pielęgniarka nie mogła zobaczyć.

Odtąd koszmary powracały regularnie, jak zły omen, zapowiedź nadchodzącego nieszczęścia. W Jill powoli narastało przerażenie. Ilekroć wchodziła do domu, z miejsca wyczuwała obecność Toby'ego. Słyszała, kiedy pielęgniarka wywozi go na powietrze. Jego fotel wydawał ostre, zgrzytliwe dźwięki, które działały jej na nerwy. Trzeba to naprawić, myślała. Obchodziła szerokim łukiem pokój chorego, lecz nic jej to nie dało. Toby był wszędzie, czekał na nią.

Migreny teraz nie ustawały – wściekły, pulsujący ból nie pozwalał jej zasnąć. Jill pragnęła, aby przestało boleć na godzinę, na minutę, choć na sekundę. Musiała się przespać. Schroniła się w pokoju służącej, usytuowanym za kuchnią, najdalej od sypialni Toby'ego. Było tam ciepło i spokojnie. Położyła się na łóżku i przymknęła oczy. Zasnęła niemal natychmiast.

Zbudził ją cuchnący, lodowaty powiew, który wypełniał pomieszczenie, przylepiał się do niej, usiłował ją pogrzebać. Jill zerwała się na równe nogi i uciekła z pokoju.

Dnie były dostatecznie straszne, lecz noce stały się wręcz przerażające. Ich przebieg był zawsze taki sam. Jill udawała się do swego pokoju i padała na łóżko; starała się czuć, bała się zasnąć – wiedziała, że Toby przyjdzie. Lecz wyczerpane ciało brało górę i w końcu zapadała w sen.

Budziło ją zimno. Leżała w łóżku drżąc, czując, jak lodowate powietrze podpełza do niej, a zło otacza ją jak straszliwe przekleństwo. Przerazona zrywała się i uciekała w milczeniu.

Była trzecia nad ranem.

Jill zasnęła w fotelu nad książką. Budziła się powoli, stopniowo, a gdy otworzyła oczy w ciemnej sypialni, wiedziała, że coś jest straszliwie nie w porządku. Po chwili uświadomiła sobie, co to jest. Zasnęła przy zapalonym świetle. Poczula gwałtowne przyspieszenie tętna i pomyślała: Nie ma się czego bać. Pielęgniarka musiała tu wejść i zgasić światło.

Wtem usłyszała ten dźwięk, dobiegał z holu; skrzyp... skrzyp... Fotel Toby'ego zbliżał się do drzwi jej sypialni. Poczula, że włosy stanęły jej dęba na głowie. To nic, to tylko gałąź ociera o dach, perswadowała samej sobie. Wiedziała jednak, że to nieprawda. Znała ten dźwięk aż za dobrze. Skrzyp... skrzyp.. niczym muzyka idącej po nią kostuchy. To nie może być Toby, myślała. Leży przecież w łóżku, całkowicie bezradny. Chyba tracę rozum. Lecz słyszała ten dźwięk wyraźnie, był coraz bliżej i bliżej. Doszedł do drzwi. Zatrzymał się, czekał. Nagle rozległ się brzęk i zapadła cisza.

Resztę nocy Jill spędziła wciśnięta w fotel, po ciemku, zbyt przerażona, by się ruszyć.

Rano znalazła pod drzwiami swego pokoju skorupy z wazonu, który stał na stoliku w holu.

Zwróciła się z pytaniami do dra Kapłana.

– Czy uważasz, że... umysł może kontrolować ciało?

Popatrzył na nią zdziwiony.

– W jakim sensie?

– Gdyby Toby zapragnął... bardzo mocno zapragnął wstać z łóżka, czyby mógł?

– Chodzi ci o to, czy mógłby wstać bez pomocy? W obecnej sytuacji? – Spojrzał na nią jego wzrokiem pełnym niedowierzania. – Jest całkowicie unieruchomiony. Całkowicie.

Jill nie czuła się usatysfakcjonowana.

– A gdyby... gdyby był naprawdę zdeterminowany, żeby wstać... gdyby nagle poczuł, że koniecznie musi coś zrobić...

Lekarz potrząsnął głową.

– Mózg wysyła rozkazy do mięśni, lecz jeśli te impulsy są zablokowane, jeśli nie ma mięśni, które by mogły te rozkazy wykonać, to nie będzie żadnego efektu.

Musiała to wyjaśnić.

– Czy wierzysz, że przedmioty można przesuwac tylko za pomoca umyslu?
– Masz na mysli psychokineze? Wykonano mnostwo eksperymentow w tej dziedzinie, lecz jak do tej pory wyniki zadnego mnie nie przekonaly.

Wazon zbity pod drzwiami sypialni.

Kusilo ja, by mu powiedziec o tym wazonie, o zimnym powietrzu, ktore za nia wędrowalo, o fotelu Toby'ego pod drzwiami, lecz obawiala sie, ze Kaplan uznaja za oblakana. A byla? Czy bylo z nia cos nie w porzadku? Tracila rozum?

Gdy lekarz sie pozegnal, Jill podeszla do lustra, aby przyjrzec sie sobie. Przezyta szok na swój widok. Policzki jej wpadly, oczy zdawaly sie ogromne w bladej, koscistej twarzy. Jesli tak dalej pojdzie, pomyslala, Toby mnie przezyje. Popatrzyta na zalosnie zwisajace, pozbawione polysku wlosy i polamane paznokcie. Nie moga dopuscic, by David mnie ujrzal w takim stanie. Musze zaczac dbac o siebie. Od dzisiaj, mowila sobie, bedziesz chodzic raz na tydzien do salonu pieknotci, bedziesz jadać trzy posilki dziennie i spac po osiem godzin.

Nastepnego ranka Jill zamowila sobie wizyte u kosmetyczki. Byla wyczerpana i zdrzemnela sie w cieple i kojacym szumie suszarki do wlosow. Koszmar zaczal sie natychmiast. Byla w lozku, spala. Slyszała Toby'ego, jak wjechał na fotelu do jej sypialni: skrzyp. skrzyp. Powoli wydostal sie z fotela, stanal na nogi i ruszyl w jej kierunku z usmiechem, a jego kosciste rece siegnely jej do gardla. Jill obudzila sie, wrzeszczac dziko; w salonie pieknotci powstalo zamieszanie. Uciekla, nie czekajac na uczesanie.

Po tym doswiadczeniu balala sie ponownie opuścić dom.

Balala sie rowniez w nim pozostac.

Cos zlego dzialo sie z jej glowa. Juz nie chodzilo o migreny. Zaczynala zapominac. Schodzila po cos na dol, szla do kuchni i stala tam, nie wiedzac, po co przyszla. Pamiec platala jej dziwne figle. Pewnego razu siostra Gordon weszla, aby z nia porozmawiac; Jill zaczela sie zastanawiac, co pielęgniarka tam robi, i nagle sobie przypomniała: czeka na nia rezyser. Usilowala wydobyć z pamieci swoja kwestie. Obawiam sie, ze niezbyt dobrze, panie doktorze. Musi porozmawiac z rezyserem i dowiedziec sie, jak ma to mowic. Siostra Gordon trzymala ja za reke i powtarzala:

– Pani Temple! Pani Temple! Czy pani dobrze sie czuje?

Jill wrócila do rzeczywistosci, do terazniejszosci, do sieci strachu przed tym, co sie z nia dzialo. Wiedziala, ze nie da rady ciagnac tego dalej. Musiala sprawdzic, czy cos zlego dzieje sie z jej glowa, czy moze Toby jest jednak zdolny do poruszania sie w jakis sposob, zaatakowania, zamordowania jej.

Musiala go zobaczyc. Zmusila sie do przejścia dlugiego holu w kierunku jego sypialni. Przez chwile stala pod drzwiami, zbierajac siły, potem weszla do pokoju.

Toby lezal w lozku, pielęgniarka akurat go myla. Dziewczyna podniosla oczy, ujrzala Jill i rzekla:

– Ach, pani Temple. Wlasnie sie myjemy.

Jill popatrzyta na postac na lozku.

Rece i nogi Toby'ego staly sie zylastymi przydatkami polaczonymi ze zwiednietym, skreconym torsem. Miedzy nogami niczym dlugi, nieprzyzwoity waz lezal bezuzyteczny czlonek, zwiotczaly i brzydki. Z twarzy Toby'ego zniknelo zolte zabarwienie, pozostal jednak szeroki usmiech idioty. Ciało bylo martwe, lecz oczy zyly w dwójnasob – spoglady to tu, to

tam, szukały, ważyły, planowały, nienawidziły. Przebiegłe, fiołkowe oczy wypełnione sekretnymi planami i śmiertelną determinacją. Widziała jak na dłoni myśli Toby'ego. Trzeba koniecznie pamiętać, że jego świadomość nie doznała żadnego szwanku, powiedział jej kiedyś lekarz. Toby mógł myśleć, czuć, nienawidzić. Jego umysł nie miał nic innego do roboty, jak snuć plany zemsty, szukać sposobów unicestwienia Jill. Toby pragnął, by umarła, tak jak ona życzyła sobie jego śmierci.

Gdy Jill patrzyła na niego teraz, gdy patrzyła w te oczy błyszczące nienawiścią, niemal słyszała, jak mówi: zabiję cię, i czuła falę wrogości bijącą w nią jak fizyczny cios.

Patrząc w te oczy, przypomniała sobie stłuczony wazon i zrozumiała, że koszmar, jaki przeżywa, nie był tworem jej imaginacji. Toby znalazł sposób.

Zrozumiała, że toczy walkę na śmierć i życie.

Rozdział XXXIV

Dr Kapłan, skończywszy badanie, przyszedł do Jill.

– Myślę, że trzeba przerwać ćwiczenia w basenie – powie dział. – To strata czasu. Miałem nadzieję, że uzyskamy nieznaczną poprawę stanu mięśni, ale nie ma żadnego efektu. Sam po rozmawiam z terapeutą.

– Nie! – krzyknęła ostro.

Lekarz spojrział na nią zaskoczony.

– Jill, wiem, co zrobiłaś dla Toby’ego poprzednio. Lecz tym razem nie ma nadziei. Ja...

– Nie możemy rezygnować. Jeszcze nie. – W jej głosie brzmiała desperacja.

Lekarz zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

– No dobrze, jeśli to tyle dla ciebie znaczy, lecz...

– Znaczy bardzo wiele.

W tym momencie była to najważniejsza rzecz na świecie. Od tego zależało jej życie.

Wiedziała już, co musi zrobić.

Nazajutrz był piątek. Zatelefonował David z wiadomością, że będzie musiał polecieć do Madrytu w interesach.

– Może się zdarzyć, że nie będę mógł odezwać się przez cały weekend.

– Będę tęsknić za tobą – rzekła Jill. – Bardzo.

– Brak mi ciebie. Czy wszystko w porządku? Masz dziwny głos. Zmęczona?

Jill z wysiłkiem trzymała oczy otwarte, ze wszystkich sił starała się zapomnieć, że straszliwie boli ją głowa. Już nie pamiętała, kiedy ostatni raz jadła czy spała. Była tak osłabiona, że z trudem stała na nogach. Zmusiła się jednak do energicznego: i – Czuję się świetnie, Davidzie.

– Kocham cię, najmilsza. Dbaj o siebie.

– Dobrze. Kocham cię, Davidzie, pamiętaj o tym. – Bez względu na to, co się stanie.

Usłyszała wóz fizykoterapeuty skręcający na podjazd i ze szła na dół. Głowa jej się trzęsła, z trudem trzymała się na nogach. Otworzyła frontowe drzwi w momencie, gdy terapeuta miał nacisnąć dzwonek.

– Dzień dobry, pani Temple – powiedział.

Chciał wejść, lecz Jill zablokowała mu drogę. Popatrzył na nią zdziwiony.

– Dr Kapłan zdecydował się przerwać terapię pana Temple’a – rzekła Jill.

Fizykoterapeuta zmarszczył się. Zupełnie niepotrzebnie tu przyjeżdżał. Należało zawiadomić go wcześniej. W innej sytuacji zacząłby narzekać na sposób, w jaki go potraktowano, lecz pani Temple była wielką damą i miała tak poważne problemy.

Uśmiechnął się tylko do niej i odparł:

– W porządku, pani Temple. Rozumiem.

Wsiadł do samochodu.

Jill odczekała, aż usłyszy, że wóz odjeżdża. Ruszyła ponownie ku schodom. W połowie drogi zakreśliło się jej w głowie, musiała przytrzymać się poręczy. Nie mogła teraz zrezygnować. Umrze, jeśli odstąpi od swego planu.

Podeszła pod drzwi pokoju Toby'ego, przekreśliła gałkę i weszła do środka. Siostra Gallagher robiła niciane koronki, siedząc w fotelu. Spojrzała ze zdziwieniem na Jill stojącą w drzwiach pokoju.

– Przyszła pani z wizytą? Jak to miło. – Odwróciła się w kierunku łóżka. – Pewna jestem, że pan Temple też jest zadowolony. Nieprawdaż, panie Temple?

Toby siedział wsparty o poduszki. Jego oczy przekazywały

Jill ostrzeżenie: Zabiję cię.

Jill odwróciła od niego wzrok i podeszła do pielęgniarki.

– Uznałam, że za mało czasu poświęcam mojemu mężowi.

– No tak, to samo sobie myślałam – zaszczębiotała pielęgniarka – ale widziałam, że pani sama nie czuje się dobrze, i po wiedziałam sobie...

– Czuję się obecnie znacznie lepiej – przerwała jej Jill. Chciałabym zostać sam na sam z mężem.

Pielęgniarka zebrała swoje przybory i wstała.

– Oczywiście – powiedziała. – Jestem pewna, że nasz pacjent będzie zadowolony. – Zwróciła się do uśmiechniętej postaci na łóżku. – Nieprawdaż, panie Temple? – I dorzuciła: Zejdę do kuchni i przygotuję sobie filiżankę herbaty.

– Nie. Zwalniam panią na pół godziny z dyżuru. Może pani wyjść. Zostanę z nim, póki nie przyjdzie siostra Gordon. – Jill posłała jej uspokajający uśmiech. – Niech się pani nie martwi.

Będę z nim cały czas.

– Myślę, że mogłabym pójść na zakupy i...

– Świetnie – zgodziła się Jill. – Niech pani idzie.

Jill stała bez ruchu, dopóki nie usłyszała trzaśnięcia drzwi frontowych i samochodu panny Gallagher ruszającego z podjazdu. Gdy warkot silnika oddalił się i zapadła letnia cisza, Jill odwróciła się w stronę Toby'ego.

Wpatrywał się w jej twarz bez najmniejszego poruszenia, bez mrugnięcia. Zmusiła się, by podejść bliżej; ściągnęła przykrycie i przyjrzała się zniszczonemu, sparaliżowanemu ciału i bezwładnym nogom.

Fotel na kółkach stał w kącie pokoju. Jill przyciągnęła go pod samo łóżko i zablokowała koła, aby przenieść Toby'ego. Wyciągnęła ręce w jego kierunku i znieruchomiła. Musiała zmobilizować całą siłę woli, by go dotknąć. Uśmiechnięta, nieruchoma twarz mumii była o kilka centymetrów od niej – usta rozciągnięte w idiotycznym uśmiechu, ociekające jadem fiołkowe oczy. Jill pochyliła się do przodu i podniosła Toby'ego za ramiona. Prawie nic nie ważył, lecz skrajnie wyczerpana Jill z trudem dała sobie radę. Ledwie go dotknęła, poczuła, że otacza ją lodowate powietrze. Ciśnienie w jej głowie stało się nie do wytrzymania. Przed oczami pojawiły się kolorowe ciapki, które zaczęły tańczyć dookoła, coraz szybciej i szybciej, przyprawiając ją o zawrót głowy. Czuła, że lada chwila zemdleje, lecz wiedziała, że nie wolno jej do tego dopuścić. O ile chce żyć. Z nadludzkim wysiłkiem przeciągnęła bezwładne ciało Toby'ego na fotel i zamocowała pasy ochronne. Zerknęła na zegarek – zostało jej jeszcze dwadzieścia minut.

Kolejne pięć minut zabrało jej pójście do swojej sypialni, przebranie się w kostium kąpielowy i powrót do pokoju Toby'ego.

Zwolniła blokadę kół i potoczyła fotel w kierunku windy. Była przez cały czas za plecami męża, nie mogła więc zobaczyć jego oczu, ale je czuła. Czuła również wilgoć i chłód niezdrowych wyziewów, które zaczęły wypełniać kabinę windy, pieścić jej ciało, drażnić śluzówki, nasycać jej płuca zgnilizną. Poczwała, że się dusi. Nie mogła oddychać. Osunęła się na kolana, ciężko dysząc, walcząc o zachowanie świadomości. Była zamknięta z nim w windzie jak w pułapce. Czuła, że traci przytomność, gdy drzwi kabiny się otworzyły. Wyczołgała się na dwór; leżała na ciepłej ziemi i głęboko oddychała, napawając się świeżym powietrzem i słońcem; powoli odzyskiwała siły. Odwróciła się w kierunku windy. Toby siedział w fotelu na kółkach, obserwował ją i czekał. Jill szybko wyciągnęła fotel z kabiny. Ruszyła w stronę basenu. Dzień był piękny, niebo bezchmurne, powietrze balsamiczne, słońce rzucało jasne błyski na niebieską filtrowaną wodę.

Jill podtoczyła kalekę na brzeg głębokiego końca basenu i zablokowała koła. Obeszła fotel i stanęła przed Tobym. Nie spuszczał z niej czujnych, zdziwionych oczu. Sięgnęła do pasa mocującego chorego do fotela i zwiększyła docisk, na ile starczyło jej sił, aż z wysiłku zakręciło się jej w głowie. Widziała, jak wyraz oczu Toby'ego zmienił się, gdy zrozumiał, co się dzieje – pojawiła się w nich dzika, szaleńcza panika.

Jill zwolniła blokadę, uchwyciła rączki fotela i ruszyła w kierunku wody. Toby czynił wysiłki, by poruszyć sparaliżowanymi wargami, by krzyżeć, lecz z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Jednak efekt był przerażający. Jill nie mogła się zdobyć, by spojrzeć mu w oczy. Wolała ich nie widzieć.

Dopchnęła fotel do samej krawędzi basenu i utknęła. Koła zatrzymały się na betonowym krawężniku. Pchnęła jeszcze raz, silniej, lecz bez rezultatu. Zupełnie, jakby Toby odpychał fotel siłą swej woli. Jill dostrzegała jego wysiłek, aby się podnieść z fotela, aby ratować życie. Gotów jeszcze uwolnić się, wstać i chwycić ją za gardło kościstymi palcami... Niemal słyszała jego krzyki: Nie chcę umierać... nie chcę umierać... Sama już nie wiedziała, czy był to wytwór jej imaginacji, czy rzeczywistość, lecz w ślepej panice, całą siłą, jaką udało jej się zmobilizować, naparła na oparcie fotela. Zakotywał się gwałtownie, wyskoczył w powietrze, zawisł bez ruchu na, zdawałoby się, całe wieki, wreszcie z głośnym pluskiem wpadł do basenu. Przez dłuższą chwilę unosił się na wodzie, na koniec powoli poszedł na dno. Powstały wir odkręcił fotel tak, że ostatnią rzeczą, którą ujrzała Jill, były oczy Toby'ego przeklinające ją na wieczność, gdy woda zamykała się nad nimi.

Stała długo, drżąc w promieniach południowego słońca, póki nie odzyskała odrobiny sił. Gdy była już zdolna do poruszenia się, weszła po stopniach do basenu, aby zamoczyć kostium.

Następnie udała się do domu i zatelefonowała na policję.

Rozdział XXXV

Doniesienia o śmierci Toby'ego Temple'a wypełniły pierwsze strony gazet całego świata. Toby'ego i Jill pasowano na ludowych bohaterów. Poświęcono im setki tysięcy słów, ich zdjęcia pojawiły się w prasie i telewizji. Ich historię – historię wielkiej miłości – opowiedziano i powtórzono wielokrotnie, a tragiczne zakończenie przydało jej jeszcze wagi i znaczenia. Telegramy i listy z kondolencjami napływały zewsząd – od głów państwa, gospodyń domowych, polityków, milionerów i sekretarek. Poczucie osobistej straty było powszechne; Toby szczerze dzielił się z widzami swym darem rozśmieszania – pozostaną mu za to wdzięczni na zawsze. Fale eteru wypełniły się słowami uznania pod jego adresem; każda sieć składała mu hołd.

Nigdy już nie będzie drugiego Toby'ego Temple'a.

Postępowanie wyjaśniające okoliczności śmierci gwiazdora odbyło się w niewielkiej salce w budynku sądu karnego przy Grand Avenue w Los Angeles. Przesłuchanie prowadził sędzia śledczy, przewodnicząc ławie sześciu przysięgłych.

Pomieszczenie było wypełnione do granic możliwości. Gdy Jill się pojawiła, z miejsca otoczył ją tłum dziennikarzy, reporterów i wielbicieli. Ubrana była w prostą, czarną, szytą na miarę wełnianą sukienkę. Nie miała żadnego makijażu, a mimo to wyglądała pięknie jak nigdy. W ciągu tych kilku dni, które upłynęły od śmierci Toby'ego, Jill cudownie rozkwitła; wróciła jej dawna uroda. Po raz pierwszy od wielu miesięcy mogła się porządnie wyspać; nie trapiły jej żadne sny. Nabrała wilczego apetytu, zniknęły bóle głowy. Demon, który wysysał jej siły – znikł.

Codziennie rozmawiała z Davidem. Chciał przyjechać na rozprawę, lecz Jill nalegała, by tego nie robił. Będą jeszcze mieć dosyć czasu dla siebie.

– Resztę życia – powiedział David.

Przesłuchano sześciu świadków. Pielęgniarki opisały codzienną rutynę i stan pacjenta. Teraz zeznawała siostra Gallagher.

– O której miała pani zejść z dyżuru tego dnia? – spytał przewodniczący.

– O dziesiątej.

– A o której naprawdę pani wyszła?

Chwila wahania.

– O dziewiątej trzydzieści.

– Czy zawsze zostawia pani pacjenta przed końcem swej zmiany, panno Gallagher?

– Zrobiłam to na życzenie pani Temple. Chciała pozostać sama z mężem.

– Dziękuję. To wszystko.

Pielęgniarka opuściła podwyższenie dla świadków. Oczywiście, że to był wypadek, myślała. Jaka szkoda, że kobieta tak wspaniała, jak Jill Temple, będzie musiała przejść przez to wszystko. Dziewczyna spojrzała na Jill i poczuła wyrzut sumienia. Przypomniała sobie noc, kiedy weszła do sypialni pani Temple i zastała ją śpiącą w fotelu. Zgasiła cicho światło i przytknęła drzwi, aby jej nie przeszkadzać. W ciemnym holu potrąciła wazon – spadł i potłukł się. Miała zamiar przyznać się do tego – wazon musiał być kosztowny; skoro jednak pani Temple słowem o nim nie napomknęła, dziewczyna postanowiła również milczeć na ten temat.

Na podium dla świadków stanął fizykoterapeuta.

– Czy codziennie miał pan zajęcia z pacjentem?

– Tak.

– Czy prowadził pan zajęcia w basenie kąpielowym?

– Tak. Woda w basenie jest podgrzewana i...

– Czy tego dnia odbył pan ćwiczenia z panem Temple'em?

– Nie, panie przewodniczący.

– Proszę nam powiedzieć dlaczego.

– Ona mnie odesłała.

– Mówiąc „ona”, ma pan na myśli panią Temple?

– Zgadza się.

– Czy podała przyczyny?

– Powiedziała, że dr Kapłan postanowił przerwać zajęcia.

– I odjechał pan bez widzenia pana Temple'a?

– Zgadza się. Taa.

Na podium wszedł dr Kapłan.

– Czy pani Temple zatelefonowała do pana po wypadku, doktorze? Czy zbadał pan zmarłego zaraz po przyjeździe?

– Tak. Policja wyciągnęła ciało z basenu. Lekarz policyjny i ja zbadaliśmy je i doszliśmy do wniosku, że jest już za późno na ratunek. Płuca zalane były wodą. Nie dostrzeżliśmy śladu życia.

– Co pan zrobił potem, doktorze Kapłan?

– Zaopiekowałem się panią Temple. Miała atak hysterii, martwiłem się o nią.

– Doktorze Kapłan, czy rozmawiał pan przedtem z panią Temple o przerwaniu fizykoterapii?

– Tak. Powiedziałem jej, że to jest tylko strata czasu.

– I jaka była reakcja pani Temple?

Dr Kapłan popatrzył ze swego podium na Jill i powiedział:

– Bardzo niezwykła. Nalegała na kontynuowanie ćwiczeń.

– Zawahał się. – Ponieważ zeznaję pod przysięgą i ponieważ wszyscy tutaj chcą poznać prawdę, czuję, iż powinienem coś powiedzieć.

Na sali zaszumiało. Jill utkwiała w nim wzrok. Dr Kapłan zwrócił się do ławy przysięgłych.

– Chciałbym powiedzieć, że pani Temple jest prawdopodobnie najwspanialszą i najodważniejszą z kobiet, które miałem zaszczyt poznać. – Wszystkie oczy skierowały się na Jill. Gdy u jej męża wystąpił pierwszy udar, nikt z nas nie dawał mu szansy na wyleczenie. A ona sama, bez pomocy, przywróciła mu zdrowie. Zrobiła coś, czego żaden znany mi lekarz nie zdołałby dokonać. Nie jestem w stanie opisać rozmiarów jej poświęcenia dla męża. – Popatrzył w stronę, gdzie siedziała Jill, i dodał: – Wszyscy winniśmy brać z niej przykład. Na sali rozległy się oklaski.

– To byłoby wszystko, doktorze – powiedział przewodniczący. – Chciałbym na to miejsce poprosić panią Temple.

Patrzono, jak Jill wstaje i powoli podchodzi do miejsca dla świadków, aby ją zaprzysiężono.

– Wiem, jakie to wszystko jest trudne dla pani, pani Temple.

Dołożę starań, aby trwało to możliwie krótko.

– Dziękuję – odparła Jill cicho.

– Kiedy dr Kapłan zaproponował przerwanie terapii, pani nalegała na jej kontynuację.

Dlaczego?

Spojrzała na niego – mógł dostrzec w jej oczach głęboki ból.

– Ponieważ chciałam wykorzystać najmniejszą nawet szansę na wyzdrowienie męża. Tobi kochał życie i chciałam, żeby znowu mógł się nim cieszyć. Ja... – głos jej zadrżał, lecz ciągnęła dalej – sama musiałam mu pomóc.

– W dniu śmierci męża odesłała pani fizykoterapeutę?

– Tak.

– Jednakże pani sama wcześniej mówiła, że chce, aby te ćwiczenia kontynuowano.

Czy może to pani wyjaśnić?

– To bardzo proste. Czułam, że nasza miłość jest jedyną rzeczą, która mogłaby uzdrowić Tobi'ego. Już go raz wyleczyłam. – urwała, nie mogła dalej mówić. Uczyniwszy wyraźny wysiłek, by się opanować, kontynuowała ochrypłym głosem: Musiałam mu powiedzieć, jak bardzo go kocham, jak bardzo zależy mi na jego wyzdrowieniu.

Na sali wszyscy pochylili się do przodu, wyżejając słuch, by nie uronić ani jednego słowa.

– Czy może nam pani opowiedzieć, co działo się tego ranka, kiedy zdarzył się wypadek?

Cisza trwała pełną minutę, Jill zbierała siły. Wreszcie odezwała się:

– Weszłam do pokoju Tobi'ego. Wydawał się zadowolony z mojego widoku. Powiedziałam, że zabiorę go do basenu sama, że ponownie go uzdrowię. Włożyłam kostium kąpielowy, żeby móc pracować z nim w wodzie. Gdy próbowałam prze nieść go do fotela na kółkach, ja... zrobiło mi się słabo. Myślę, że powinnam była wtedy uzmysłwić sobie, że nie miałam w tym momencie dość sił na to, co zamierzałam zrobić. Lecz nie mogłam zrezygnować, jeśli miałam mu pomóc. Posadziłam go w fotelu i mówiłam do niego całą drogę do basenu. Podtoczyłam go na brzeg...

Urwała, publiczność czekała z zapartym tchem. Ciszę przerywało tylko skrzypienie ołówków reporterów, którzy zaciekle gryzmoлили w swych notatnikach.

– Sięgnęłam w dół, by zwolnić pasy, które przytrzymały Tobi'ego, i znów zrobiło mi się słabo. Osunęłam się na fotel.

Wi... widocznie przypadkowo zwolniłam blokadę kół. Fotel zaczął się toczyć do basenu. Próbowałam go złapać, ale... stoczył się do wody razem z... z Tobym. – Głos miała zdławiony.

– Wskoczyłam do basenu zaraz za nim i usiłowałam go uwolnić, lecz pas był za mocno zapięty. Próbowałam wyciągnąć fotel z wody, ale był... był zbyt ciężki. Był... po prostu... za... ciężki. – Przymknęła na chwilę oczy, chcąc ukryć swą udrekę.

Potem dorzuciła niemal szeptem: – Chciałam mu pomóc, a za biłam go.

Ustalenie werdyktu zabrało przysięgłym niecałe trzy minuty: Toby Temple zmarł na skutek wypadku.

Clifton Lawrence siedział na końcu sali rozpraw i wysłuchał werdyktu. Był przekonany, że Jill zamordowała Toby'ego, lecz nie było na to dowodów. Ujdzie jej to na sucho.

Sprawa była zamknięta.

Rozdział XXXVI

Na pogrzeb przybyły tłumy. Odbył się w Forest Lawn w słoneczny sierpniowy ranek, w dniu, kiedy Toby Temple miał rozpocząć swój nowy program w telewizji. Tysiące ludzi kręciło się po pięknym, zielonym terenie w nadziei, że uda im się rzucić okiem na sławne osobistości, które przybędą na ceremonię, by po raz ostatni uczcić Toby'ego. Operatorzy telewizyjni fotografowali uroczystości pogrzebowe z oddali, a zbliżenia robili tylko gwiazdom, producentom i reżyserom, którzy stali nad grobem. Prezydent Stanów Zjednoczonych przysłał swego emisariusza. Obecni byli gubernatorzy, dyrektorzy wytwórni, przewodniczący wielkich korporacji i przedstawiciele wszystkich stowarzyszeń, do których Toby należał: SAG, AFTRA, ASCAP i AGVA. Przewodniczący oddziału Beverly Hills Związku Weteranów stawiał się w pełnym umundurowaniu. Przesłano kontyngenty miejscowej policji i straży pożarnej.

Na pogrzebie byli także szarzy ludzie, którzy pracowali z Tobym: pomocnicy sceniczni, rekwizytorzy, garderobiani, chłopcy na posyłki i asystenci reżyserów. I wielu innych. Wszyscy przyszli oddać hołd wielkiemu Amerykaninowi. W tłumie stali O'Hanlon i Rainger. Wspominali chudego młodzieńca, który wkroczył do ich biura w Twentieth Century-Fox. Jak rozumiem, wy dwaj macie napisać dla mnie parę dowcipów. Macha rękoma, jakby drwa rąbał. Może napisać dla niego coś o drwalu... Za bardzo szarżuje... Jezus, a ty byś nie szarżował przy takim tekście?... Humorysta otwiera drzwi do krainy śmiechu. Komik śmiesznie otwiera drzwi. Toby Temple wiele pracował, wiele się nauczył i dotarł na sam szczyt. Był złamanym chujem, myślał Rainger, ale był to nasz chuj.

Przybył także Clifton Lawrence. Mały impresario odwiedził fryzjera, jego ubranie zostało starannie odprasowane, ale zdradzały go oczy – oczy człowieka przegranego. Clifton zatonął we wspomnieniach. Przypominał sobie ów nedorzeczny telefon. Jest taki młody komik; Sam Goldwyn chce, aby go pan zobaczył... I szkolne przedstawienie Toby'ego. Nie trzeba zjeść całego słoika kawioru, aby przekonać się, że jest dobry, prawda?... Postanowiłem wciągnąć cię na listę klientów, Toby... Jeśli zdołasz oczarować zwykłych ludzi, bogaci będą ci jeść z ręki... Mogę z ciebie zrobić największego gwiazdora w interesie. Wszyscy chcieli Toby'ego Temple'a: wytwórnie, sieci telewizyjne, nocne kluby. Masz tylu klientów, że czasem mam wrażenie, iż nie poświęcasz mi dostatecznej uwagi... Przypomina to grupowe pieprzenie się. Ktoś zawsze zostaje ze stojącym futem. Potrzebuję twojej rady, Clif... Chodzi o tę dziewczynę...

Clifton Lawrence miał co wspominać.

Tuż obok stała Alice Tanner. Pochłoneło ją wspomnienie pierwszego spotkania z Tobym w jej gabinecie. Gdzieś, za tymi wszystkim gwiazdami filmowymi, siedzi ukryty młody i bardzo utalentowany człowiek... Po wczorajszym wieczorze opadły mnie wątpliwości. Nie wiem, czy mam talent. A potem miłość. Och, Toby, tak bardzo cię kocham... Ja też cię kocham, Alice... Później odszedł. Lecz pozostała mu wdzięczna za uczucie, którym ją kiedyś darzył.

Na pogrzeb przyjechał również Al Caruso. Przygarbił się, posiwiał. Pijne oczy Świętego Mikołaja były pełne łez. Dumał o tym, jak wspaniałym mężem był Toby dla Millie.

Był i Sam Winters. Rozwahał, ile radości ofiarował Toby milionom ludzi, i zastanawiał się, czy i jak równoważy to ból, który sprawił nielicznym.

Ktoś go szturchnął i Sam się odwrócił. Ujrzał ładną, ciemnowłosą dziewczynę, na oko osiemnastoletnią.

– Pan mnie nie zna, panie Winters – uśmiechnęła się – lecz słyszałam, że szuka pan dziewczyny do nowego filmu Williama Forbesa. Jestem z Ohio i...

Na pogrzeb przyjechał także David Kenyon, Jill wprawdzie prosiła, by tego nie robił, ale się uparł. Chciał być blisko niej. Jill uznała, że już jej to nie może zaszkodzić. Przedstawienie się skończyło.

Sztuka została zamknięta, jej rola odeszła w przeszłość. Jill była z tego zadowolona, ale i bardzo zmęczona. Jakby piekło, przez które przeszła, wypaliło w niej całą gorycz, rozsypało w gruzy twardego muru zbudowanego z krzywd, rozczarowań i nienawiści. Jill Castle zginęła w całopaleniu, a z popiołów narodziła się ponownie Josephine Czinski. Wypełniał ją bezbrzeżny spokój, miłość do ludzi i zadowolenie, jakiego nie zaznała od czasów wczesnej młodości. Jeszcze nigdy nie czuła się tak szczęśliwa. Pragnęła dzielić się swym szczęściem z całym światem.

Uroczystości pogrzebowe dobiegły końca. Ktoś ujął Jill za ramię, pozwoliła odprowadzić się do samochodu. Przy wozie stał David. Na jego twarzy malowało się uwielbienie. Jill uśmiechnęła się do niego. David ujął jej obie ręce w swoje dłonie, zamienili kilka słów. Któryś z reporterów zrobił im zdjęcie.

Jill i David postanowili poczekać ze ślubem pięć miesięcy, aby nie obrażać powszechnego poczucia przyzwoitości. Kenyon spędził większość tego czasu za granicą, lecz rozmawiali ze sobą codziennie. Któregoś dnia zatelefonował – minęły cztery miesiące od pogrzebu Toby'ego.

– Przyszedł mi do głowy świetny pomysł. Nie czekajmy już dłużej. W przyszłym tygodniu mam lecieć do Europy na konferencję. Popłynęmy do Francji na pokładzie Bretagne. Ślubu udzieli nam kapitan. Miesiąc miodowy spędzimy w Paryżu, a stamtąd pojedziemy gdziekolwiek zechcesz, na tak długo, jak będziesz chciała. Co ty na to?

– Och, tak, David, tak!

Po raz ostatni rozejrzała się po domu, rozmyślając o wszystkim, co tutaj przeżyła. Przypomniała sobie swoją pierwszą wizytę i wiele innych wspaniałych uroczystości, a potem chorobę Toby'ego i walkę o jego zdrowie. A potem... wspomnień było zbyt wiele.

Była szczęśliwa, że stąd wyjeżdża.

Rozdział XXXVII

Prywatny odrzutowiec Davida przetransportował Jill do Nowego Jorku. Limuzyna już czekała, by przewieźć ją do Regency Hotel przy Park Avenue. Właściciel osobiście zaprowadził ją do ogromnego apartamentu położonego na dachu budynku.

– Cały hotel jest do pani usług, pani Temple – powiedział. Pan Kenyon polecił nam dopilnować, aby pani niczego nie brakowało.

Dziesięć minut później zadzwonił z Teksasu David.

– Wygodnie ci?

– Trochę tu za dużo ludzi – zaśmiała się Jill. – Tu jest pięć sypialni, David. Co mam w nich wszystkich robić?

– Gdybym tam był, pokazałbym ci – odparł.

– Obiecanki cacanki – przekomarzała się. – Kiedy cię zobaczę?

– Bretagne odpływa jutro w południe. Muszę jeszcze coś załatwić. Spotkamy się na pokładzie. Zarezerwowałem kabinę dla nowożeńców. Szczęśliwa, kochanie?

– Nigdy nie czułam się szczęśliwsza – odparła Jill. I była to prawda. Cała przeszłość, cały ból i udręka były warte teraźniejszości. Zdawały się odległe i zamazane jak na wpół zapomniany sen.

– Samochód rano będzie na ciebie czekał. Twój bilet znajdziesz u kierowcy.

– Będę gotowa – obiecała.

Jutro.

Wszystko mogła spowodować fotografia Jill i Davida Kenyona zrobiona podczas pogrzebu Toby'ego i opublikowana w gazetach. Źródłem mogła być nieostrożna uwaga rzucona mimochodem przez któregoś z członków załogi Bretagne lub jakiegoś pracownika hotelu, w którym zatrzymała się Jill. W każdym razie było wykluczone, by plany małżeńskie kogoś tak sławnego jak Jill Castle mogły zostać utrzymane w tajemnicy. Pierwsza wzmianka o jej bliskim ślubie pojawiła się w biuletynie Associated Press. W ślad za tym długie artykuły wypełniły pierwsze strony gazet w całym kraju i w Europie.

Podobne doniesienia pojawiły się także w Hollywood Reporter i Daily Variety.

Limuzyna podjechała pod hotel punktualnie z wybicciem dziesiątej. Załadowaniem bagażu Jill do samochodu zajął się portier i trzech boyów. Przy niewielkim porannym ruchu jazda do nabrzeża 90 zajęła niecałe pół godziny.

Przy trapie statku czekał na nią starszy oficer.

– Jesteśmy zaszczyceni pani obecnością, pani Temple – po witał ją. – Wszystko jest przygotowane. Tędy, bardzo proszę.

Powiodł ją na pokład spacerowy i zaprowadził do przestronnego apartamentu wyposażonego w prywatny taras. W kabinie stało mnóstwo świeżych kwiatów.

– Kapitan prosił mnie o przekazanie pani jego gratulacji.

Spotka się z państwem wieczorem przy obiedzie. Prosił, by przekazać, że bardzo się cieszy na myśl o ceremonii ślubnej.

– Dziękuję – rzekła Jill. – Nie orientuje się pan, czy pan Kenyon jest już na pokładzie?

– Odebraliśmy wiadomość z lotniska. Jest w drodze do portu. Jego bagaż już przybył. Jeśli pani czegoś potrzebuje, proszę dać mi znać.

– Dziękuję – powtórzyła Jill. – Mam wszystko, czego mi trzeba.

Była to prawda. Miała wszystko, co tylko sobie mogła wymarzyć. Była najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem. Zapukano do drzwi i wszedł steward z bukietem kwiatów.

Jill spojrzała na wizytówkę – od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wywołały mnóstwo wspomnień. Odepchnęła je od siebie i przystąpiła do rozpakowywania swoich rzeczy.

Stał przy relingu na głównym pokładzie i uważnie przyglądał się pasażerom, w miarę jak napływali. Wszyscy byli w świątecznym nastroju – jechali na urlop albo cieszyli się spotkaniem z bliskimi za granicą. Kilku posłało mu uśmiech, ale nie zwracał na nich uwagi. Obserwował trap.

O jedenastej czterdzieści, na dwadzieścia minut przed terminem odpłynięcia, nabrzeżem 90 szybko przemknęła limuzyna silver shadow i zatrzymała się w pobliżu trapu. David Kenyon wyskoczył z samochodu, zerknął na zegarek i powiedział do kierowcy:

– Co do minuty, Otto.

– Dziękuję panu. Niech mi wolno będzie życzyć panu i pani Kenyon udanej podróży poślubnej.

– Dzięki.

David Kenyon pospieszył do trapu, gdzie okazał swój bilet. Na pokład odprowadził go oficer, ten sam, który uprzednio zajął się Jill.

– Pani Temple jest w swojej kabinie.

– Dziękuję.

Wyobrazził ją sobie, jak czeka na niego w kabinie nowożeńców, i serce zabiło mu żywiej. Miał już ruszyć dalej, gdy jakiś głos zawołał:

– Panie Kenyon...

David odwrócił się. Mężczyzna oderwał się od relingu i podszedł do niego z uśmiechem na ustach. Kenyon nigdy przedtem go nie widział, a żywił, jak wszyscy milionerzy, instynktowną nieufność do manifestujących życzliwość nieznajomych. Niemal zawsze czegoś chcieli.

Mężczyzna wyciągnął rękę, David ostrożnie ją uściśnął, – Czy my się znamy? – spytał.

– Jestem przyjacielem Jill – odparł tamten i David odtajał. Nazywam się Lawrence. Clifton Lawrence.

– Witam, panie Lawrence. – Chciał się jak najprędzej oddalić.

– Jill prosiła mnie, by pana powitać – powiedział Clifton. Przygotowała dla pana małą niespodziankę.

David popatrzył na niego.

– Jaką niespodziankę?

– Proszę za mną, pokażę panu.

Kenyon zawahał się na moment.

– No, dobrze. Czy to zajmie dużo czasu?

Clifton Lawrence spojrzał na niego i uśmiechnął się.

– Nie przypuszczam.

Pojechali windą na pokład C, przeszli obok tłumu pasażerów i odprowadzających, potem korytarzem do dużych, podwójnych drzwi. Clifton otworzył je i wprowadził Davida do środka. Znaleźli się w dużej, pustej sali kinowej. Kenyon rozejrzył się zdziwiony.

– Tutaj?

– Tutaj – uśmiechnął się Lawrence.

Odwrócił się, spojrzął w górę na operatora w kabinie projekcyjnej i skinął głową. Operator okazał się chciwy. Clifton musiał dać mu dwieście dolarów, zanim zgodził się wyświetlić film.

– Jeśli mnie nakryją, stracę robotę – marudził.

– Nikt się o tym nie dowie – przekonywał Clifton. – Chodzi o figiel. Musisz tylko, gdy wejdziesz z przyjacielem, zamknąć drzwi na klucz i puścić ten film. Nie zajmie nam to więcej niż dziesięć minut.

W końcu operator wyraził zgodę.

David zdziwiony spoglądał na Lawrence'a.

– Film? – spytał.

– Proszę usiąść, panie Kenyon.

David usiadł w przejściu, długie nogi wyciągnął przed siebie. Lawrence zajął miejsce przed nim, trochę w bok. Obserwował twarz Kenyona, gdy zgasły światła i na wielkim ekranie zamigotały kolorowe obrazy.

Miał uczucie, że dostał w splot słoneczny żelaznym młotem. Gapił się na obsceniczne sceny na ekranie, a jego umysł nie przyjmował tego, co widziały oczy. Jill, młodzianka Jill – taka, jak wówczas, gdy się w niej zakochał – leżała nago na łóżku. Dostrzegał każdy szczegół dokładnie. Jak ogłuszony patrzył na mężczyznę, który usiadł na niej okrakiem i wepchnął prącie w jej usta. Ssała je czule, z miłością. Potem na ekranie zjawiała się inna dziewczyna, rozsunęła nogi Jill i wsunęła jej język głęboko do pochwy.

David poczuł mdłości. Przez moment żywił bezrozumną nadzieję, że może ma przed sobą fałszywkę, fotomontaż, lecz kamera śledziła najmniejsze nawet poruszenie Jill. W pewnym momencie na ekranie pojawił się Meksykanin i wzrok Davida przesłoniła czerwona mgła.

Znowu miał piętnaście lat i patrzył na swoją siostrę Beth – siedziała na meksykańskim ogrodniku we własnym łóżku i mówiła: o Boże! Kocham cię, Juan. Żgaj mnie! Nie przerywaj! Stał w drzwiach i nie wierzył własnym oczom. Jego ukochana siostra! Owładnięty ślepym szałem porwał nóż do papieru, popędził do łóżka, odepchnął siostrę na bok i zagłębił nóż w piersi ogrodnika, powtórzył cios, i jeszcze raz i jeszcze... póki całe ściany nie były zachlapano krwią. Beth krzyczała: O Boże, nie! Przestań, David! Kocham go. Zamierzamy się pobrać! Krew była wszędzie.

Przybiegła matka i wysłała Davida za granicę. Później dowiedział się, że wezwała telefonicznie prokuratora okręgowego, bliskiego przyjaciela rodziny Kenyonów. Długo rozmawiali w bibliotece; ciało Meksykanina zabrano do więzienia, a następnego dnia rano podano do publicznej wiadomości, że popełnił w celi samobójstwo. Trzy tygodnie później umieszczono Beth w szpitalu dla psychicznie chorych.

Wspomnienia zalały Davida, przepelniło go nieznośne, nie do wytrzymania poczucie winy za to, co zrobił. Ogarnięty szaleństwem podniósł siedzącego opodal mężczyznę i rąbnął

go prosto w twarz; walił jak w bęben, wyrzaskując pozbawione znaczenia, bezsensowne wyrazy, bił za Beth i za Jill, wyładowywał własny wstyd. Clifton Lawrence próbował się bronić, lecz nie miał szans na powstrzymanie lawiny ciosów. Dostał pięścią w nos, aż chrupnęło, kilka razy dostał w usta, wreszcie krew zaczęła się lać strumieniem. Stał, bezradnie czekając na następne uderzenie. Nagle – skończyło się. Zapadła cisza przerywana tylko jego własnym, zmęczonym, chrapliwym oddechem i zmysłowymi jękami dochodzącymi z ekranu.

Clifton wyjął chusteczkę, aby zatamować krew. Potykając się opuścił salę kinową i ruszył do kabiny Jill, zasłaniając nos i usta chusteczką. Gdy przechodził przez jadalnię, na moment otworzyły się wahadłowe drzwi od kuchni; wszedł do środka, minął krzątających się mistrzów patelni, stewardów, kelnerów. Znalazł maszynę do robienia lodu, kilka kostek zawinął w chusteczkę i przyłożył do ust i nosa. Miał już wychodzić, gdy spostrzegł ogromny tort weselny ozdobiony na samym szczycie lukrowymi figurkami młodej pary. Wyciągnął rękę, ukręcił głowę pannie młodej i skruszył ją w palcach.

Udał się na poszukiwanie Jill.

Statek był w drodze. Jill odczuła jego ruch, gdy liniowiec o wyporności pięćdziesięciu pięciu tysięcy ton odbił od nabrzeża. Zastanawiała się, co mogło zatrzymać Davida.

Właśnie skończyła się rozpakowywać, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Krzyknęła: „David” i pobiegła, by go wpuścić. Stała w otwartych drzwiach z wyciągniętymi ramionami.

W progu stał Clifton Lawrence; twarz miał spoconą i zakrwawioną. Jill opadły ręce, wpatrywała się w niego.

– Co tutaj robisz? Co... ci się stało?

– Wpadłem tylko, żeby powiedzieć ci cześć.

Ledwie go rozumiała.

– I przekazać wiadomość od Davida.

Patrzyła na niego nie rozumiejąc.

– Od Davida?

Clifton wszedł do kabiny. Jill się zaniepokoiła.

– Gdzie jest David?

Clifton stanął na wprost niej i rzekł:

– Pamiętasz filmy z dawnych lat? Byli w nich dobrzy faceci w białych kapeluszach i źli – w czarnych. Na koniec dowiadywałaś się, że źli poniosą zasłużoną karę. Wychowałem się na tych filmach, Jill. Wyrastałem w przekonaniu, że w życiu jest tak samo, że białe kapelusze muszą zwyciężyć.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Miło pomyśleć, że od czasu do czasu życie przypomina te stare filmy. – Uśmiechnął się do niej zakrwawionymi wargami.

– David odszedł. Na zawsze.

Gapiała się na niego, nie mogła w to uwierzyć. W tym momencie oboje poczuli, że statek stanął. Clifton wyszedł na taras i spojrzał w dół, na burtę statku.

– Chodź tutaj.

Jill zawahała się na moment, potem podeszła do niego; narastała w niej niejasna obawa, strach. Przechyliła się przez reling i spojrzała. Daleko w dole dostrzegła, jak David przesiada się z Bretagne na holownik. Musiała przytrzymać się relingu.

– Dlaczego? – dopytywała się natarczywie, niczego nie rozumiejąc. – Co się stało?

Mężczyzna zwrócił się do niej i wyjaśnił:

– Pokazałem mu twój film.

Od razu pojęła, o czym mówi, i jęknęła:

– O, mój Boże! Nie! Proszę, nie! Zabiłeś mnie!

– No, to wyrównaliśmy rachunki.

– Wynos się! – wrzasnęła. – Wynos się stąd! – Rzuciła się na niego i paznokciami wydrapała głębokie rany na policzkach.

Clifton cofnął się i mocno uderzył ją w twarz. Upadła na kola na, obejmując głowę gestem najwyższej rozpacz.

Clifton przyglądał się jej przez chwilę. Taką chciał zachować w pamięci.

– No, to na razie, Josephine Czinski – rzucił.

Opuściwszy kabinę Jill, skierował się na pokład łodziowy, osłaniając cały czas chusteczką dolną część twarzy. Szedł wolno, przypatrując się pasażerom – szukał świeżej twarzy, czegoś oryginalnego. Nigdy nie wiadomo. Można się niechcący natknąć na nowy talent. Czuł, że już może powrócić do pracy.

Kto wie? A nuż będzie miał szczęście i odkryje nowego Toby'ego Temple'a.

Wkrótce po wyjściu Lawrence'a nadszedł Claude Dessard i zastukał do drzwi. Nie było odpowiedzi, lecz oficer słyszał wewnątrz jakieś głosy. Odczekał chwilę i głośno zawołał:

– Pani Temple, tu Claude Dessard, ochmistrz. Chciałem tylko spytać, czy pani czegoś nie potrzebuje?

Nie było odpowiedzi. Wewnętrzny system ostrzegania Dessarda pracował już teraz pełną parą. Instykt podpowiadał mu, że coś jest nie w porządku, a przecucie podszeptowało, że owo coś wiąże się w jakiś sposób z panią Temple. Czarne myśli snuły się po jego głowie. Została zamordowana lub porwana, a może. Nacisnął klamkę, drzwi nie były zamknięte na klucz. Dessard powoli je uchylił. Jill Temple stała pod przeciwległą ścianą kabiny, tyłem do niego. Wyglądała przez okno. Dessard otwierał już usta, by się odezwać, lecz coś w jej sztywnej, nieruchomej sylwetce powstrzymało go. Stał przez chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy nie lepiej wyjść po cichu, gdy nagle całą kabinę wypełnił nieludzki, dojmujący skowyt, jakby śmiertelnie ranionego zwierzęcia. Bezradny wobec tak głębokiej rozpacz obcego człowieka Dessard wycofał się, starannie zamykając za sobą drzwi.

Postał chwilę na korytarzu, słuchając dobiegającego z wnętrza szlochu bez słów, wreszcie, głęboko wstrząśnięty, udał się na główny pokład do sali kinowej.

Tego wieczora podczas obiadu dwa miejsca przy stole kapitańskim świeciły pustką. W trakcie posiłku kapitan dał znak Dessardowi, który pełnił funkcje gospodarza wśród mniej ważnych pasażerów dwa stoliki dalej. Ochmistrz przeprosił współbiedniaków i pospieszył do dowódcy.

– Ach, Dessard – powiedział kapitan z ożywieniem. Zniżył głos i zupełnie innym tonem spytał: – Co się dzieje z panią Temple i panem Kenyonem?

Dessard powiódł wzrokiem po obecnych i wyszeptał:

– Jak pan wie, pan Kenyon opuścił statek przy latarniowcu Ambrose. Odpłynął z pilotem. Pani Temple jest w swojej kabinie.

Kapitan kłął pod nosem. Był człowiekiem pedantycznym i nie lubił, by mu zakłócano ustalony porządek.

– Merde! Poczyniono już wszystkie przygotowania do tego ślubu – rzucił.

– Wiem, kapitanie. – Dessard wzruszył ramionami i wznosił oczy w górę. – Amerykanie...

Jill siedziała samotnie w ciemnej kabinie wciśnięta w fotel, z kolanami pod brodą, wpatrzona w przestrzeń. Użała się – nie nad Davidem Kenyonem czy Tobym Temple'em, nawet nie nad samą sobą. Użała się nad małą dziewczynką imieniem Josephine Czinski. Jill chciała tyle zrobić dla małej, lecz nastąpił kres jej cudownych, czarodziejskich marzeń.

Siedziała bez ruchu, niczego nie widząc ani nie słysząc, zmiażdżona przez klęskę, której nie potrafiła pojąć. Zaledwie kilka godzin temu miała dla siebie cały świat, miała wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła, a teraz nie pozostało jej nic. Powoli docierało do jej świadomości, że znowu boli ją głowa. Przedtem nie zauważyła tego skoncentrowana na innym bólu, bólu rozpacz, który ją rozdzierał na strzępy. Teraz jednak czuła obręcz zaciskającą się wokół głowy. Przyciągnęła kolana jeszcze bliżej do piersi i siedząc w pozycji embrionalnej, starała się odegnać od siebie wszelkie myśli. Była zmęczona, tak strasznie zmęczona. Jedyne, czego pragnęła, to siedzieć tak bez końca i nie myśleć. Może wówczas przestanie boleć, przynajmniej na chwilę.

Jill z trudem wstała, powlokła się w stronę łóżka, padła na nie i przymknęła oczy.

Wtedy to wróciło. Fala zimnego, obrzydliwie cuchnącego powietrza podpłynęła do niej, otoczyła ją, zaczęła pieścić. Usłyszała jego głos, wołał ją po imieniu. Tak, pomyślała, tak. Powoli, jak w transie, Jill podniosła się na nogi i wyszła z kabiny, kierując się dźwięczącym w uszach głosem, który ją przyzywał.

Była druga nad ranem i na pokładzie nie było żywej duszy, gdy Jill pojawiła się na tarasie. Patrzyła w dół na morze, obserwowała małe fale rozbijające się o burty statku, w miarę jak dziobem rozcinał wodę, i bez ustanku słuchała. Ból głowy spotężniał, stał się niemal nie do zniesienia. Lecz głos mówił, żeby się nie martwiła, że wszystko będzie dobrze. Popatrz w dół, rzekł głos.

Jill spojrzała w wodę i zobaczyła, że coś pływa. Twarz. Twarz Toby'ego – usta uśmiechały się do niej, zalane wodą fiołkowe oczy spoglądały w górę. Powiała lodowata bryza i łagodnie pchnęła ją w kierunku relingu.

– Musiałam to zrobić, Toby – szepnęła. – Teraz to rozumiesz, prawda?

Głowa skinęła potakująco, zatańczyła na falach, zapraszała do towarzystwa. Wiatr zrobił się jeszcze zimniejszy, Jill drżała. Nie bój się, powiedział głos. Woda jest głęboka i ciepła... Tutaj będziesz ze mną... na zawsze. Chodź, Jill.

Zamknęła na chwilę oczy, a gdy je otworzyła, uśmiechnięta twarz nadal była przy burcie, podążała za statkiem, zniekształcone członki kołysały się na wodzie. Chodź do mnie, nalegał głos.

Przechyliła się przez reling. Chciała wytłumaczyć Toby'emu, żeby ją zostawił w spokoju. Lodowaty wiatr targnął nią i nagle znalazła się w przestrzeni; płynęła i wirowała

w miękkim jak aksamit nocnym powietrzu. Twarz Toby'ego przybliżała się, wychodziła jej naprzeciw; poczuła, że sparaliżowane ramiona objęły ją i przytuliły.

I już na zawsze pozostali razem.

Wokół był tylko nocny wiatr i bezkresne morze.

I gwiazdy na niebie, gdzie zapisano tę historię.